



Jolanta Kosowska

DRUGIE DNO

NOVAE RES

Jolanta Kosowska

DRUGIE DNO



NOVAE RES

*Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości,
tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas.*

*Dziękuję wszystkim, którzy towarzyszyli mi
w podróżach do Toskanii*

Wróciłam zmęczona do domu. Myślałam już tylko o miękkości mojego łóżka i przytulności koca. Zajęcia ze studentami nie były moją pasją. Wernisaż zbliżał się ogromnymi krokami. Dzień gonił za dniem. Czas kurczył się coraz bardziej. W nocy chciałam malować, musiałam dokończyć jeszcze obraz. Po południu postanowiłam odpocząć. Nagle rozdzwonił się telefon.

– Chciałem cię tylko usłyszeć. – Męski głos w słuchawce wydał mi się znajomy. Głęboki, ciepły, miękki, z charakterystycznym obcym akcentem. „To niemożliwe – pomyślałam – cholerna wyobraźnia kolejny już raz kpi sobie ze mnie. To tylko mój mózg płata mi figle”.

Minęło już kilka miesięcy. Wszystko oddaliło się i wyblakło, zastąpione szarą, grzeczną, poukładaną codziennością. Zapanowała poprawna nuda zamiast szalonych emocji, nieznaney wcześniej namiętności, ciepłych szeptów, nieprzespanych nocy... Poukładany świat zastąpił: chaos, niepewność, szaleństwo i obłęd. Wyważona codzienność zastąpiła dziesiątki nieokiełznanych emocji, wykrzyczanych marzeń, śmiało stawianych celów. Niby lepiej. Niby stabilniej. Na pewno bezpieczniej. Nie wiem tylko, dlaczego z dnia na dzień wraca coraz więcej i więcej wspomnień.

– Chciałem cię tylko usłyszeć. – Głos dotarł do mnie jak z zaświatów. – Chciałem tylko zapytać, czy u ciebie wszystko w porządku.

Głos mężczyzny w słuchawce był cichszy od bicia mojego serca. „Głupie serce – pomyślałam – ono niczego nie rozumie”. Coś ścisnęło mnie za gardło. Nagle zaczęło brakować mi powietrza. Ściany pokoju zawirowały jak szalone. Możliwe? Niemożliwe? Głos z zaświatów, jakby z innej czasoprzestrzeni. „Bzdura – pomyślałam – to tylko jakaś pomyłka, to jakiś inny facet zadzwonił do jakiejś zupełnie innej kobiety. Kretyn pomylił się, wybierając numer telefonu”.

– Słyszysz mnie? Odpowiedz! – Głos w słuchawce nie pozwalał mi się skupić.

– To pomyłka – powiedziałam powoli. Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. Mój głos wydał mi się obcy. – To pomyłka – powtórzyłam głośniejszym głosem, odkładając słuchawkę.

Sukces, dziwne słowo, które bardziej się czuje, niż rozumie. Pochlebne opinie krytyków, tłumy na wernisażu, wywiady, konferencje prasowe, zdjęcia... Przed paroma miesiącami sukces we Florencji, teraz w Pradze. Inne spojrzenie na sztukę, coś zupełnie nowego. Nie kształt, lecz kolor, nie perspektywa, tylko barwa, nie cienie, lecz cała paleta odcieni. Świat emocji i uczuć zaklęty tylko w kolory. Szalony pomysł, który udało się zrealizować. Stworzyliśmy z Markiem niepowtarzalną wystawę. Jego kolory – fioletowy, pomarańczowy, seledynowy, brązowy i złoty, moje – czern, biel, zieleń, czerwień, błękit i żółty. Uczucia zaklęte w każdym płótnie. Powietrze aż gęste od emocji. W końcu życiem rządzą emocje, tylko one się liczą. Nadają życiu barw, dodają smaku, powodują, że serce bije szybciej, oddech się pogłębia, myśli szybciej wysoko, jest po co wstawać rano i po co kłaść się wieczorem. Wszystko inne nie ma znaczenia. Nasze płótna to czyste emocje. Każdy widzi inaczej, każdy czuje coś zupełnie innego. Liczy się magia chwili, ulotność wszystkiego, zmienność nastrojów. W powietrzu unoszą się wykrzykniki, znaki zapytania, zachwyty, okrzyki oburzenia, groza, złość, miłość i bezwstydną namiętność obok chłodnego wyrachowania, agresji i oziębłości. Można płakać, śmiać się i kłać. Można pławić się w emocjach do woli. Zanurzyć się w nich zupełnie bezkarnie. Dać im się porwać bez konsekwencji, bez narażania się na straty moralne. Można przeżyć wiele, nie ryzykując niczego. To tak jak oglądanie dobrego filmu w kinie, czytanie porywającej książki. Przez chwilę można się pożywić emocjami innych, ukryć się za cudzymi plecami i przeżywać wzloty i upadki, nie ryzykując własnego spokoju. Sztukę wymyślono chyba tylko po to, żeby emocje stały się dostępne dla każdego. Wystawę kończy obraz samotnie wiszący na ścianie. Oddalony od innych, wyraźnie niepasujący do całości, powieszony tuż przy wyjściu, jakby był za karę postawiony do kąta. To płótno jest zapowiedzią cyklu, którego jeszcze nie ma, który na razie jest tylko we mnie, a właściwie w moich wspomnieniach. Emocje zaklęte w taniec. Cała gama uczuć, namiętności i pożądania zaklęta w ruch na parkiecie. Kilka pozornie bezładnie porzrzucanych linii, plam i kresek załamujących biel płótna. Niby nic, ale pobudza wyobraźnię. Nie widziałam nikogo, kto by się przy nim nie zatrzymał. Ten obraz to wspomnienie pewnego wieczoru, pewnego tańca, pewnej chwili, której nie mogę zapomnieć. Pamiętam dobrze tamten taniec. Lubię tańczyć. On też lubił. I nasze ciała bardzo się lubiły. Zarówno w nocy, jak i w tańcu nasze ciała stanowiły jedność. Czułam jego oddech, napięte mięśnie, ślizgające się po moim ciele dłonie. Pamiętam aromat wody kolońskiej mieszający się z zapachem moich perfum. Odurzające połączenie zapachu cedru z zapachem drzewa sandałowego i piżma. Pamiętam, że w moim brzuchu tańczyły setki motyli. Moje nogi były przy jego nogach, moja głowa przy jego ramieniu, moje włosy muskały jego twarz, moje ciało próbowało z jego ciałem stworzyć jedność... Świat wirował dookoła coraz szybciej i szybciej. Wydawało mi się, że nic nie dzieje się naprawdę, że nie ma

żadnego tu i teraz, że tańczymy w odrealnionym świecie, bez określonego miejsca i w nieokreślonym czasie, jakbyśmy tańczyli w nieskończoności. Jakiś krytyk napisał, że niebywałą sztuką jest stworzyć za pomocą paru kresek tak wysublimowane złudzenie ruchu. Pomylił się, patrzył nieuważnie, widział tylko to, co jest powierzchowne. Dał się zwieść swoim zmysłom. Widział tylko pierwsze dno, tylko pierwszą odsłonę. W tym obrazie nie chodzi o ruch, lecz o ukryte za tym ruchem emocje – zauroczenie, nieśmiałość, zdziwienie, lęk i niepokój w okolicach serca. W tym tańcu zakłęte są niepewność, ciekawość, radość i rodząca się namiętność. Ten taniec to preludium nocy, cichych szeptów, głośnych krzyków, pomruków rozkoszy... To historia rodzącego się pożądania. A może historia rodzącej się miłości? Nazwałam ten obraz *Niespełnieniem*. Ponoć sztuka to odzwierciedlenie duszy. W takim razie moja dusza jest niespełniona i spragniona od paru miesięcy. Przyłapałam się na tym, że stoję i gapię się na ten obraz. Nie widzę bieli płótna, nie widzę czarnych kresek ani położonych gdzieś czarnych nieregularnych plam, tylko ciemne włosy Enrica, brązowe oczy wpatrzone we mnie, czuję ciepło jego ciała, dotyk dłoni przesuwających się po mojej sukience, czuję ciepły podmuch jego oddechu, słyszę wyszeptane tuż przy moim uchu słowa: „Chyba nasze ciała się lubią...”.

– Odwieźć cię do domu? – Głos Marka zadudnił tuż za moimi plecami. Podskoczyłam jak oparzona. Teraźniejszość wdarła się brutalnie w świat wspomnień. Postać Enrica rozmyła się wśród czarnych linii i plam. Znowu było tylko płótno wiszące samotnie na ścianie, którego biel zламаłam gdzieś nieregularną czernią.

– Nie. Dziękuję – powiedziałam pospiesznie. – Zostanę tu jeszcze chwilę. Chcę się nacieszyć. W końcu nie codziennie otwieramy nową wystawę. Ten dzień to swoiste święto.

– Jeszcze ci mało? – spytał zdziwiony. – Tłumy zwiedzających, dziennikarze, wywiady, zachwyty... A to dopiero początek. Jeszcze się nacieszysz. W końcu to dopiero wernisaż. Chodź, odwiozę cię. Jest już późno.

– Chcę zostać na chwilę sama – powiedziałam głośnie. Zabrzmiało to zapewne odrobinę niegrzecznie. – Chcę się nacieszyć po swojemu – dodałam przyjaźniej.

– Jak uważasz – powiedział niepewnie.

Stał niezdecydowany. Przeształ niecierpliwie z nogi na nogę. Spieszyło mu się, bo miał odwieźć żonę na lotnisko. Anna musiała jeszcze dzisiaj wrócić do Krakowa. Jutro czekało ją jakieś ważne spotkanie, którego nie dało się przełożyć. Przyjechała tylko na dzisiejszy wieczór, tylko na wernisaż.

– Późno już. – Marek nie dawał za wygraną. – Wolalbym cię odwieźć. Praga to duże miasto... Duże miasta bywają nocą niebezpieczne.

– Pojadę taksówką – powiedziałam pospiesznie, bojąc się, że mimo wszystko

zechce na mnie poczekać. Zabrzmiało zdecydowanie. Zrozumiał, w końcu znamy się bardzo dobrze. Kiedyś był jednym z moich nauczycieli w ASP. Wtedy wydawał mi się sztywny, drętwy, nadęty i stary, wypalony wewnątrz i pozbawiony duszy. Taki człowiek bez wyrazu, którego najlepszy czas już minął i któremu na ziemi pozostała tylko nudna i spokojna, pozbawiona wzlotów i upadków wegetacja. Pozory myliły. Od ponad dwóch lat razem tworzymy wystawy. Nasze drogi życia splotła z sobą sztuka. Mamy wspólną pasję, podobne podejście do malarstwa, taką samą wrażliwość, jesteśmy tak samo szaleni, podobnie nieprzewidywalni. Kochamy emocje. Ja przy nim odrobinę spoważniałam, on przy mnie sporo odmłodził. Nawet jego żona twierdzi, że odkąd razem tworzymy wystawy, ubyło mu lat. Nagle w jego życiu pojawiły się: nowa energia, nowe marzenia, nowe cele, mniej dekadencji, więcej radości. Odrodził się jak Feniks z popiołów. Anna mówi, że rozbudziłam w nim nieodkryte wcześniej obszary wrażliwości, że w pewnym sensie stworzyłam go jako artystę na nowo. Ja też wiele Markowi zawdzięczam. Wiarę w to, że mam talent. Wystawa goni za wystawą, sukces pędzi za sukcesem. Złapaliśmy wiatr w żagle i w ciągu dwóch lat urosły nam u ramion skrzydła. Czasami złości się na mnie, czasami zlorzeczy, twierdzi, że go zmuszam do tworzenia rzeczy niewykonalnych. Klnie, miota się, ale mnie lubi. Odnosimy razem coraz większe sukcesy. Wystawy swą innością przyciągają tłumy, krytycy już dawno przestali nas atakować, koneserzy sztuki kupują nasze obrazy, galerie proponują nam kolejne wystawy. Sukces! Już od paru miesięcy czuję się jak odurzona, jakby mnie ktoś odmienił i zaczarował. Sukces ma w sobie coś magicznego.

– W takim razie cześć, Karo, do jutra! – Słowa Marka dotarły do mnie jak z zaświatów. – Nie siedź tutaj za długo! Nie podrywaj taksówkarza! Nie tańcz dzisiejszej nocy! Wyśpij się sama w swoim łóżku! Ubierz się jutro porządnie! Żadnych ciuchów od Franceski! Nie spóźnij się na wywiad do czeskiej telewizji! Pamiętaj jutro, że Czesi są konserwatywni... – Powietrze aż zadrżało od wykrzykników.

– Zgred! – burknęłam pod nosem.

Roześmiał się. Machnął mi ręką. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Zostałam sama. W starych piwnicach panował półmrok, kręgi ostrzejszego światła padały tylko na obrazy, cienie kładły się po kątach, ciemność kuliła się za filarami, w dużych lampionach poustawianych na ceglanej podłodze dopalały się powoli ogarki świec. Tajemnicze otoczenie dodawało mocy naszym obrazom. Niesamowita jest ta wystawa w Pradze. Ma magiczną atmosferę. Wszystko wydaje się ulotne, niedopowiedziane, tajemnicze, trochę jak marzenia, trochę jak sen. Dziwny jest ten dzisiejszy wieczór. „Głupi wieczór – przemknęło mi przez myśl. – Przez jedno pytanie wróciło tyle wspomnień”. Pytanie padło w trakcie konferencji prasowej. Zadał je mężczyzna stojący z tyłu sali. Przedstawił się, ale nie

dosłyszałam. Ważniejsze od nazwiska i reprezentowanej gazety było jego pytanie.

– Nagrodzony obraz jest zapowiedzią kolejnego cyklu i zapewne kolejnej wystawy. Obraz przedstawia tańczącą parę. Zatyłowała go pani *Niespełnienie*. Czym jest taniec?

Zaskoczył mnie tym pytaniem, zdziwił, wprowadził w konsternację. Widać nie tylko mnie, bo parę osób odwróciło głowy w jego stronę.

– Taniec? – powtórzyłam automatycznie jego pytanie, z przerażeniem szukając w myślach jakiejś sensownej odpowiedzi. – Jako dziecko chodziłam na balet. To była taka głupia fanaberia moich rodziców. Takie drobnomieszczańskie przekonanie, że dziewczynka z dobrego domu powinna chodzić na balet. Uczono mnie wtedy, że taniec to forma sztuki performance, składająca się z celowo wybranych sekwencji ludzkiego ruchu. Ruch ten ma wartość estetyczną i symboliczną. Była to dla mnie wtedy czysta abstrakcja, jak czystą abstrakcją był ten cały balet – mówiłam coraz pewniej, coraz spokojniej. Gdzieś w zakamarkach mojego mózgu odnalazłam hasło „taniec”. – Taniec to bodaj najstarszy rodzaj sztuki i najwcześniejszy przejaw artystycznej działalności człowieka. Zrodził się z potrzeby uzewnętrzniania swoich uczuć za pomocą gestów, ruchu, mimiki. Uważany jest za pierwszy środek komunikacji międzyludzkiej, za swoisty przekaz myśli i emocji za pośrednictwem ruchów, za szczególnie, uniwersalny, ponadkulturowy język, umożliwiający porozumiewanie się bez słów...

– Ja nie o to pytam – dobiegł do mnie głos z końca sali. W głosie mężczyzny wyczułam nutę rozbawienia. – Ja pytam, czym dla pani jest taniec.

– Czym dla mnie jest taniec? – powtórzyłam pytanie, żeby się upewnić, że rozumiem jego sens. Zrozumiałam.

„Wścibski facet – pomyślałam. – Próbuje mnie zmusić do tego, żebym nie oddzielała siebie od sztuki, prywatności od profesji, własnych uczuć od tych malowanych, żebym się obnażyła przed innymi ludźmi, odsłoniła swoje wnętrze. Głupi palant nie wie, że mnie stać na odrobinę szczerości. Sądzi, że się przestraszę”.

– Dla mnie taniec to coś wyjątkowego, to swoiste misterium. To zakłete w ruchu emocje – mówiłam spokojnie. – To cała gama uczuć, tych skrywanych i tych krzyczanych głośno... Zauroczenie, zaciekawienie, niepewność, dziesiątki motyli tańczących w brzuchu i niepokój w okolicach serca. To potęgująca się z minuty na minutę radość, rodząca się namiętność i pożądanie. Taniec to preludium tego, co się dopiero wydarzy, czegoś z pogranicza marzeń i snów... To początek pewnej historii, którą dopiero zaczyna pisać życie...

Szepty w sali ucichły. Dziesiątki oczu skierowało się na mnie. Zapewne w myślach próbowano oddzielić naiwną szczerość od artystycznej maniery.

– Kiedy pani ostatnio tańczyła? – dopadło mnie kolejne pytanie z końca sali. Wyglądało na to, że mężczyzna nie ma zamiaru się ode mnie odczepić.

– Parę miesięcy temu – odpowiedziałam bez zastanowienia.
– Tak rzadko pani tańczy? – W jego głosie usłyszałam ciekawość, a może ironię.

– Może i rzadko. Nie tańczę z każdym – palnęłam.

Nie widziałam twarzy pytającego. Słyszałam tylko jego głos. Przez moment ten głos wydał mi się znajomy. W półmroku panującym w końcu sali dostrzegałam tylko zarys postaci opartej o filar. Parę osób parsknęło śmiechem. Ktoś zaczął bić brawo.

– Ten, z kim tańczę, musi być kimś wyjątkowym. Jak wspomniałam, dla mnie taniec to swoiste misterium.

Z końca sali nie padło już więcej żadne pytanie. Konferencja prasowa powoli dobiegała końca. Jeszcze pojedyncze pytania, jeszcze błysk fleszy, jeszcze zapowiedzi następnych wystaw, pamiątkowe zdjęcia, uściski dłoni, kwiaty, terminy wywiadów. Mój wzrok mimo woli raz po raz wędrował w kierunku tamtego filara. Facet stał bez ruchu. Jego postać zlewała się z szarą kamienną bryłą. Wyszedł tuż przed końcem konferencji prasowej. Już go nie było, kiedy rozbłysły górne światła, ponad rozmowy wzbił się hałas odsuwanych krzeseł, przerzedził się tłum. „No i dobrze” – pomyślałam. Facet wzbudził we mnie dziwny niepokój, uwolnił przez przypadek całą lawinę niepotrzebnych wspomnień. Przyłapałam się na tym, że stoję i gapię się nadal na ten obraz wiszący w końcu sali. Na tę moją burzę emocji zaklątą w taniec. Powiedziałam, że nie tańczę z każdym. To prawda, ale przecież mogę zatańczyć sama. Głosy zwiedzających wystawę ludzi się oddalały. Z sal wystawowych przeniosły się na korytarz, później do szatni. Z czasem zupełnie ucichły. Byłam sama, w każdym razie w tym pomieszczeniu poza mną nie było nikogo. Spojrzałam jeszcze raz na *Niespełnienie*. „Nie tańczę z każdym, ale przecież sama mogę zatańczyć” – powtórzyłam w myślach. Zaczęłam się poruszać w rytm tylko dla mnie słyszalnej muzyki. Pamiętam, że już kiedyś tańczyłam sama. To było parę miesięcy temu we Florencji. To było zaledwie przed kilkoma miesiącami, a mnie wydaje się, że minęły wieki. Tyle rzeczy wydarzyło się tymczasem. Pamiętam, że wyszliśmy z Enrikiem z kawiarni od Filippa. Jeszcze pięć minut wcześniej dekorowałam z Amelią ostatnią kawę, słuchałam muzyki ze starych winylowych płyt, jadłam panna cottę z truskawkami, przysłuchiwałam się cichym rozmowom na zupełnie nieznanym mi tematy i czułam się na swój sposób bezpieczna i szczęśliwa. Spędzałam spokojne tokańskie popołudnie. Przez parę godzin liczyły się tylko: dobra kawa, dobre ciasto, dobre wino i czas, który na to popołudnie postanowił na chwilę zwolnić. Wyszłam stamtąd oszołomiona, zaskoczona, zdziwiona, zauroczona tym leniwym popołudniem. Enrico zaprosił mnie do klubu. On został przy barze. Ja poszłam tańczyć. Obserwował mnie, kiedy wtopiłam się w tłum na parkiecie, kiedy zaczęłam się poruszać w takt muzyki. Nie odrywał ode mnie wzroku. Wtedy to jego spojrzenie z minuty na minutę

podniecało mnie coraz bardziej. Było wspomnieniem nocy, czułych szeptów, głośnych krzyków, bezwstydných pocałunków, wyuzdanych pieszczot, rozkoszy. Miałam wtedy na sobie czarną sukienkę. Była zbyt obcisła i odważnie za krótka. Wyróżniała mnie z tłumu. Przyciągała wzrok nie tylko Enrica. Czułam na sobie spojrzenia wielu mężczyzn. Tę sukienkę włożyłam tamtego wieczoru specjalnie dla niego. Zwykle się tak nie ubieram. To nie mój styl. Tylko narzucona na ramiona chusta była w moim stylu. Delikatna jak mgiełka, ozdobiona moimi ulubionymi motylami, próbującymi się oderwać od trzymającej je pajęczyny cienkich nitki, starającymi się odfrunąć w kierunku słońca, nieba, nieograniczonej przestrzeni, wolności. Kiedyś robiłam dziesiątki takich chust na sprzedaż. Rozchodziły się jak świeże bułeczki. Pozwoliły mi przetrwać pierwszy okres mojego pobytu w Toskanii. Zostawiłam sobie tylko tę jedną. Wydawała mi się najpiękniejsza. Motyle na niej są karminowoczerwone. Przerażliwie czerwone motyle rzucone na delikatną pajęczynę czarnych nitki pasowały do karminowych szpilek i mocnego makijażu, były przewrotne i grzeczne w tej całej niegrzecznej całości. Mój strój drażnił, podniecał, przykuwał wzrok, zniewalał myśli, rozbudzał męską wyobraźnię. Zupełnie niespodziewanie odkryłam wtedy swoją kobiecość i nagle chciałam się nią bawić. Dzisiaj jestem ubrana inaczej. Ale czy aby do końca? Mam na sobie kremową sukienkę, pozornie grzeczną i elegancką, opinającą biust i talię, podkreślającą biodra, kończącą się na wysokości kolan, ale odważnym rozcięciem obnażającą przy każdym kroku uda. Na ramiona mam narzuconą czarną chustę. Krem i czerń. Elegancja i pozorny chłód, a we wnętrzu kipiący wulkan. Jak cudownie jest tańczyć. Świat wokoło zaczął wirować wraz ze mną. Chusta krępowiała mi ruchy. Przewięzałam się nią w pasie. Opięła się na biodrach, pokreśliła talię. Zrzuciłam buty. Przeszkadzały mi w tańcu. Tańczyłam jak szalona. Wtedy tańczyłam dla niego, chociaż sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać. Teraz tylko dla siebie. Dziwny wieczór, nagle jedno głupie pytanie uwolniło całą burzę wspomnień. Raptem z zakamarków pamięci wpełzało na światło dzienne coś, o czym starałam się od paru miesięcy zapomnieć. Znowu emocje i uczucie, uczucie i emocje bez końca. Takie nieustające emocjonalne forte! Tańczyłam jak szalona. Wyjęłam spinki z włosów. Pozwoliłam kosmykom opaść na ramiona. Bose stopy, rozpuszczone włosy, przyspieszony oddech, krew płynąca w naczyniach w rytm niesłyszalnej muzyki. Ściany pomieszczenia wirowały coraz szybciej i szybciej. Nagle wszystko zlało się w jeden kolorowy tunel, który oddzielał mnie od rzeczywistości.

Enrico, dziesięć miesięcy wcześniej

*

Rzuciłem mu na biurko tę listę. Roberto omiół ją uważnym spojrzeniem. Na chwilę zatrzymał wzrok na początku listy. Zaczął czytać. Po twarzy przebiegł mu dziwny grymas.

– Chyba żartujesz! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ciebie pokopało już do reszty. Wygląda na to, że coś ci się stało w głowę.

Nie poczułem się rozczarowany, w każdym razie nie w tym momencie. Nie można rozczarować mnie dwa razy. Należę do tych, którzy uczą się na błędach, wyciągają wnioski z odniesionych ran, dwa razy nie wstępują w to samo gówno. Rozczarował mnie przed dwoma laty. Nie obiecywałem sobie za dużo po tym naszym dzisiejszym spotkaniu. Ludzie się nie zmieniają, tchórz pozostaje na zawsze tchórzem. Przed dwoma laty skorumpowany polityk oskarżył mnie o korupcję. Moi przełożeni uwierzyli jemu. Roberto był moim bezpośrednim zwierzchnikiem, znał mnie dobrze, a jednak uwierzył w te brednie. Ma żonę, dwójkę dzieci, całe jego być albo nie być jest uzależnione od tej posady w policji. Nie wiem, co wtedy myślał, wiem tylko, że bał się mnie poprzeć. To wtedy mnie zawiódł. Wcześniej wierzyłem mu jak ojcu, ufałem bezgranicznie, uważałem go za dobrego glinę i równego faceta, budził mój szacunek, był dla mnie wzorem, spędzałem z jego rodziną popołudnia... Raptem mnie zdradził, oddał na pastwę innym. To wtedy poczułem się nim rozczarowany. Przestał dla mnie istnieć. Drugi raz nie mógł mnie już rozczarować. Przed dwoma laty zarzucono mi korupcję. Moje słowo przeciwko słowu skorumpowanego burmistrza. Słowa jakiegoś tam młodego podoficera kontra słowa najwyżej postawionego urzędnika miasta. Nie ta waga. Do tego tak apolitycznie... Nie miałem szans, ale jeszcze wtedy wierzyłem w sprawiedliwość. Byłem naiwny jak dziecko. Nagle przestało się liczyć, ilu przestępców wcześniej wysłałem za kratki. Raptem nic nie miało już żadnego znaczenia. Z dnia na dzień zawieszono mnie w obowiązkach służbowych, do czasu wyjaśnienia zostałem odsunięty od wszystkich spraw. Dostałem na komendzie tekturowe pudło, do którego zapakowałem swoje rzeczy. Zabrano mi legitymację służbową i broń. Zostałem bez pracy i bez kasy. Staczałem się i nikt nie chciał, a może nie mógł, mi pomóc. Nawet moi najbliżsi patrzyli na mnie podejrzliwie. Zrobiłem się mistrzem w osiągnięciu dna i mistrzem w radzeniu sobie w życiu. Pracowałem jako fotoreporter, startowałem w *The Voice of Italy*, pozowałem jako model, prowadziłem kronikę towarzyską w miejscowej gazecie i cykliczny program poświęcony włoskiej muzyce w lokalnej telewizji. W przeciągu kilkunastu miesięcy stałem się zupełnie innym człowiekiem. Zmieniło się we mnie wszystko. No, prawie wszystko – pozostały niechęć i niepohamowana nienawiść do cwaniactwa, brudnych rąk i korupcji. Postępowanie wyjaśniające w mojej sprawie trwało dwa lata, w sumie aż do następnych wyborów. Po wyborach do głosu doszła inna opcja polityczna, przeproszono mnie i zaproponowano powrót do pracy

w policji. W pierwszej chwili nie chciałem. Świat pełen jest dupków bojących się własnego cienia, zdalnie sterowanych, pozbawionych mózgu marionetek, miernot zajmujących wysokie stanowiska w zamian za szeroko pojętą lojalność, skorumpowanych sędziów i nieuczciwych urzędników. Pomyślałem, że mam gdzieś tak rozumiane prawo, w dupie mam skorumpowaną sprawiedliwość. Szuja jest szują, przestępca jest przestępcą i należy go dopaść bez względu na to, w czyich rękach jest w danym momencie władza. Łajdactwa nie mogą pozostać bezkarne. Roberto dzwonił do mnie wiele razy, przeproszał, wyjaśniał, namawiał, mówił, że wszystko się zmieniło. W ostatnim czasie coraz częściej nękał mnie telefonami. W końcu zdecydowałem się z nim spotkać. Postanowiłem wrócić do policji na własnych zasadach. Jak widać, te zasady były dla mojego byłego szefa nie do przyjęcia.

– Weź z mojego biurka ten zasrany papier! – syczał Roberto. – Nikt nie może u mnie zobaczyć tego gówna. W co ty chcesz mnie zrobić?! Oszalałeś? Chęć zemsty zabrała ci resztki rozumu?! – miotał się. – Chcesz mnie za sobą pociągnąć w to szambo? Widocznie te dwa lata to było dla ciebie za krótko, nie nauczyłeś się niczego, nie przybyło ci ani odrobinę rozsądku. Jesteś jeszcze bardziej popierdolony niż przed dwoma laty.

„Głupi palant uważający się za glinę! – pomyślałem. – Jaja mu obcięli, kiedy mu przypinali do pagonów gwiazdki”. Kiedyś był ponoć dobrym gliną. A może tylko tak mówią? Może zawsze był obślizgłą gnidą, podszytym tchórzem pajacem, pozbawioną własnego zdania marionetką, tańczącą tak, jak za sznurki pociągali inni? Może ja tylko o tym wcześniej nie wiedziałem?

– Ciebie też nie zmieniły te dwa lata – powiedziałem spokojnie. – Nie zmieniłeś się zupełnie, nadal boisz się własnego cienia – wycedziłem powoli. – Nie zmieniłeś się ty i nie zmieniło się nic. Wszystko jest po staremu... Po wyborach pojawili się tylko nowi nietykalni.

– Jesteś kopnięty! – wrzasnął. – Wynoś się! Jak ty ze mną rozmawiasz!

Powoli i starannie złożyłem listę. Schowałem ją do portfela. Nie spojrzałem już nawet w jego stronę. Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w kierunku drzwi. Głupi palant!

– Enrico, poczekaj! – usłyszałem za plecami. – Porozmawiajmy! To nie jest tak, jak myślisz... Jest zupełnie inaczej, niż wygląda...

Wyszedłem. Być może odrobinę za mocno trzasnąłem drzwiami, bo tynk posypał się znad futryny. Funkcjonariuszka siedząca w sekretariacie obrzuciła mnie wzrokiem pełnym lęku. Jej ręka powędrowała w kierunku alarmu.

– Pani Adelo, spokojnie. Wychodzę i już nie wrócę.

Moje kroki zadudniły po pustym korytarzu komendy, odbiły się od szarych i zimnych ścian, wróciły do mnie echem. „Gdzieś mam Roberta i tę robotę – pomyślałem. – Frustrujące, mało opłacalne, do tego pozbawiające godności

zajęcie”.

Roberto zadzwonił do mnie parę dni później i zaproponował spotkanie. Umówił się ze mną w jakimś domu położonym kilkanaście kilometrów od Voltery. Na spotkanie wybrał miejsce, którego nie można było znaleźć na mapie. Zaintrygował mnie. Nawigację ustawiłem na współrzędne geograficzne. Dom położony był na zupełnym odludziu. Na pięć kilometrów przed nim kończyła się asfaltowa szosa. Ostрым łukiem skręcało się w wyboistą, wysypaną drobnym kamieniem polną drożynę. Tuż za pierwszym zakrętem minąłem gospodarstwo. Nieopodal stało w polu zbite w grupę stado owiec. Dwa duże białe psy wylegiwały się leniwie w promieniach nieśmiałego jeszcze wiosennego słońca. Droga ponownie skręcała gwałtownie, a później wiała się zakolami po wzgórzach. Ostry podjazd w górę, ostry zjazd w dół i tak znowu, i znowu bez końca. Raz po raz mijąłem puste domy. Zapewne latem jest tutaj zupełnie inaczej. Latem Toskania jest pełna turystów. Turyści lubią odludne, romantyczne miejsca i porozrzucane na wzgórzach samotne domy. Taką właśnie Toskanię kochają. Okolice Voltery należą do ulubionych. To najbardziej malownicza część Toskanii, najbardziej toskańska z tokańskich. Teraz było tu cicho, odludnie i pusto. Domy straszyły zamkniętymi naглуcho okiennicami i ciężkimi kłódkami wiszącymi u skrzyżnię pozamykanych bram. Cisza aż dzwoniła w uszach. Mąciły ją tylko uderzenia drobnych kamieni o podwozie samochodu i moje przekleństwa. Szutrowa nawierzchnia się skończyła. Dalej wiodła już tylko ziemna polna droga, wyboista i pełna kałuż. Koła raz po raz buksowały, raz po raz ciszę mącił ryk silnika. Szlag by trafił tego Roberta! Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Pomyślałem, że za chwilę zapanuje ciemność, a ja jak kretyn ugrzęznę na tym totalnym zadupiu. Auto pięło się coraz wyżej i wyżej. Zakręty stawały się coraz bardziej ostre. Stojące w rzędzie wysmukłe cyprysy wyznaczały brzeg drogi. Znowu pojawił się ostry wiraż, a za nim jeszcze jeden i jeszcze jeden. Wydawało mi się, że te serpentyny nie będą miały końca. Wspiąłem się już wysoko. Z tego miejsca widać było ciągnące się aż po horyzont pasma wzgórz oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Nieoczekiwanie za kolejnym łukiem drożyny pojawiła się brama. Samotna brama bez płotu, takie symboliczne zaznaczenie terytorium. Minąłem ją i moim oczom ukazał się samochód Roberta stojący na podjeździe przed zbudowanym z kamienia starym domem.

– Dziwne miejsce na spotkanie – rzuciłem na powitanie.

– Bezpieczne – odpowiedział sceptycznie. – Nikt nas tu nie usłyszy. Tu ściany nie mają uszu. Ten dom to taka rodzinna pamiątka wynajmowana latem turystom.

Kamienny stary dom wiał pustką i chłodem. Roberto posadził mnie przy

stole w kuchni. Rozpalił w kominku. Postawił przede mną kubek z gorącą kawą. Usiadł po drugiej stronie potężnego dębowego stołu i milczał. Zmęczyła mnie ta droga. Nie przeszkadzało mi milczenie.

– Kupiłeś ten dom? – spytałem po chwili.

– Nie da się kupić domu z pensji gliny – powiedział z przekąsem. – Wiesz o tym. To mój dom rodzinny. Urodziłem się tutaj. Rodzice na starość wyprowadzili się do Florencji. Tu zimą żyje się ciężko. Kiedy spadnie śnieg, jest się więźniem tego domu. Czasami nie można stąd wyjechać przez parę tygodni. To już nie dla nich. Mieszkają w mieście, a dom jest pamiętką.

Zamilkł. Piłem kawę i rozkoszowałem się ciepłem buchającym z kominka. Coś powoli w tym roku przychodziła wiosna do Toskanii. Zwykle o tym czasie już była. Dzisiaj na wzgórzach leżały jeszcze gdzieś łaty śniegu, a koła samochodu ślizgały się na oblodzonych kamieniach i po części zamarzniętych kałużach.

– Masz z sobą tę listę? – spytał Roberto.

Miałem. Nie rozstawałem się z nią. Zawsze nosiłem ją w portfelu. Wziął ją do rąk. Wlepił wzrok w kartkę. Od czasu do czasu pomrukiwał pod nosem. Parę razy coś na kształt uśmiechu przebiegło mu po twarzy. Przeczytał, odłożył papier, wyciągnął przed siebie nogi, przymknął oczy, wyglądał, jakby drzemał.

– Jesteś pewny? – Spojrzał na mnie spod przymkniętych powiek.

– Jestem – potwierdziłem.

– Ponad trzydzieści nazwisk... – powiedział powoli. – Dużo.

– Myślę, że jest ich więcej. Może znacznie więcej.

– Zapewne.

Wyprostował się i jeszcze raz spojrzął na listę. Nie odrywał od niej wzroku, jakby próbował się tych nazwisk nauczyć na pamięć.

– Alberto Accardi – przeczytał pierwsze nazwisko z listy. – Wpływowy właściciel jednego z codziennych dzienników wychodzących we Florencji. Właściciel jednego z największych wydawnictw we Włoszech. Współwłaściciel stacji radiowej i szalenie popularnego kanału telewizyjnego. Facet ma w ręku wszystkie media. Ma ogromny wpływ na kształtowanie opinii publicznej. Jest powszechnie szanowany. Liczą się z nim wszyscy... – punktował spokojnym głosem.

– Alberto Accardi zdobył swój majątek, sprzedając narkotyki dzieciakom na ulicy – przerwałem mu. – Nigdy mu nic nie udowodniono. Nigdy nie złapano go z towarem w ręku. Jest odpowiedzialny za sprzedanie prochów skażonych bakteriami gronkowca złocistego opornego na metycylinę. Zanim się zorientowano, że to zakażenia MRSA, to już kilkunastu narkomanów zmarło z powodu sepsy bakteryjnej...

– Jesteś pewny? – przerwał mi. – To poważne zarzuty.

- Jestem.
- Wiesz, co by było, gdybyś się pomylił? – spytał.
Skupił wzrok na mojej twarzy. Nie odrywał ode mnie oczu. Czekał na odpowiedź. Była dla niego bardzo ważna.
- Wiem. Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziałem pewnie.
- Antonio Rogozie – przeczytał na głos kolejne nazwisko z mojej listy. – Właściciel sieci marketów spożywczych rozrzuconych po całej Toskanii. Bierze udział w licznych akcjach charytatywnych. Organizuje wysyłki żywności do regionów dotkniętych katastrofami. Ostatnio było o nim głośno w związku z budową hospicjum. Jest jednym ze sponsorów budowy hospicjum dla dzieci dotkniętych dystrofią mięśniową postępującą. Człowiek o nieskazitelnej reputacji. Cieszy się ogólnym szacunkiem społecznym...
- Antonio Rogozie zabił przed pięciu laty swoją żonę – wszedłem mu w słowo. – Chciała od niego odejść. Nie mógł jej na to pozwolić. Bez jej pieniędzy i wpływów był nikim... Odziedziczonym majątkiem potrafił sprytnie obracać. Udziałem w akcjach charytatywnych ucisza wyrzuty sumienia.
- Jesteś w stanie to udowodnić?
- W pewnym sensie.
- Vittoria Romani – przeczytał kolejne nazwisko Roberto. – Vittoria Romani jest świecką dyrektorką ekskluzywnej prywatnej szkoły prowadzonej przez zakonnicę. Szkoła ma ogromny prestiż społeczny. Każdy rodzic chciałby posłać dziecko do tej szkoły.
- Vittoria Romani to tak naprawdę Lucija Nedo, ścigana listem gończym za zbrodnie wojenne w Czarnogórze. Jest odpowiedzialna za pacyfikację muzułmańskiej wioski. Zginęło tam wtedy ponad stu chłopców i młodych mężczyzn. Ma na rękach krew wielu niewinnych ludzi...
- Posiadasz dziwną wiedzę... – Spojrzał na mnie uważnie. – Momentami mnie przerażasz... Agostino Esposito – przeczytał kolejne nazwisko z mojej listy, nie czekając na to, co odpowiem. – Agostino Esposito jest bardzo znaną postacią świata muzycznego. Dyrektor filharmonii, dyrygent, założyciel chóru dziecięcego, który odnosi sukcesy w całej Europie... Ostatnio byli w Stanach. Podbili swym śpiewem Amerykę.
- Agostino Esposito to pedofil, morderca, zabójca ośmioletniego Adamo Rovri – przerwałem mu.
- Wiesz to na pewno? – Spojrzał na mnie uważnie.
- Nie mam cienia wątpliwości – potwierdziłem.
- Jesteś w stanie to udowodnić?
- Nie do końca. W każdym razie dowodów jest za mało, żeby wygrać tę sprawę w sądzie.
- I tak jest w każdym z tych przypadków? – zapytał, świdrując mnie

wzrokiem.

– W każdym – potwierdziłem.

– To znaczy, że nie masz nic! – warknął. – Bez dowodów guzik można zrobić. Nic nam po tej twojej wiedzy. Wiedza dla wiedzy, sztuka dla sztuki. – Napędzał się z minuty na minutę coraz bardziej. – Para w gwizdek. Kłapa. Gówniana wiedza dla gównianej wiedzy...

Raptem zamilkł. Odłożył listę na stół. Odchylił się do tyłu. Przymknął oczy. Zaczął się huścić na tylnych nogach krzesła. Zawsze tak robił, kiedy nad czymś myślał.

– Trzeba odpuścić! – powiedział po chwili. – Bez mocnych dowodów nic z tego nie będzie. Już na początku poniesiemy totalną klęskę. Zniszczą nas, zmiążdżą.

– Niezupełnie – powiedziałem powoli.

– Niezupełnie?! – powtórzył odruchowo. – Brednie! To będzie masakra. Wolę sobie tego nawet nie wyobrażać. Rozerwą nas na strzępy. Rozetrą nas na pył. Wdepczą w glebę. Zrobią sobie z nas worki treningowe. Gazety obrzucą nas błotem. Media nie zostawią na nas suchej nitki. Nie będziemy mieli czego szukać nie tylko w Toskanii, ale i w całych Włoszech...

– Mam pewien pomysł – przerwałem mu.

– Na to nie można mieć pomysłu. – Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. – Bredzisz...

– Mam jeden pomysł na te wszystkie przypadki – powtórzyłem.

– Chyba żartujesz?! – Nerwowy grymas przebiegł mu po twarzy. – Uważasz mnie chyba za idiotę.

Wstał i zaczął się przechadzać po kuchni. Chodził tam i z powrotem. Na koniec zatrzymał się przy oknie. Wbił wzrok w panującą na zewnątrz ciemność.

– Jesteś popierdolony – stwierdził po chwili. – Zawsze byłeś. Teraz tylko stopień popierdolenia się zwiększył.

– Mam to przemyślane – powiedziałem spokojnie.

– Przemyślane, mówisz? A ja mam wrażenie, że wpuszczasz mnie w maliny, że chcesz się na mnie zemścić.

Zamilkł. Usiadł i zaczął bębnić bezmyślnie palcami po blacie dębowego stołu. Pięć uderzeń i przerwa, pięć uderzeń i przerwa. Denerwowały mnie te dźwięki. Musiałem je przerwać.

– Zrobisz to z tobą albo bez ciebie – rzuciłem w jego stronę.

Bębnienie ucichło jak ucięte nożem. Wbił we mnie wzrok i nie odrywał go od mojej twarzy.

– Jesteś aż tak zdesperowany? – spytał.

– Jestem.

– Sfabrykujesz dowody? – zapytał z ironią w głosie. – Posuniesz się do tego?

– Nie.

– To co w takim razie chcesz zrobić?

Miałem wrażenie, że próbuje przeszyć mnie wzrokiem na wylot.

– Posłużę się szantażem – powiedziałem krótko. – Obrzydliwe, ale skuteczne.

– Szantaż? – Zaniósł się śmiechem. Jego rechot został spotęgowany przez kamienne ściany i podłogę. – Mówiłem, że tobie coś się stało w głowę. To, co mówisz, jest niedorzeczne, niezrozumiałe, idiotyczne, niewykonalne. Kto, twoim zdaniem, ma szantażować tych ludzi? Policja?

– Ktoś zupełnie inny. Ktoś, kogo można wciągnąć w tę grę. Ktoś, kto robi to spontanicznie i z pełnym zaangażowaniem...

– Bredzisz! Nie znajdziesz nikogo takiego...

– Znajdę – uciałem krótko. – Wiem, co mówię. Pracuję u Alberta Accardiego. Alberto Accardi to numer jeden na mojej liście. Kiedy straciłem pracę w policji, zostałem bez środków do życia. Wystartowałem w *The Voice of Italy*. Dopisało mi szczęście, doszedłem do finału, przez krótką chwilę byłem na fali. Nagrałem płytę, nakręciłem parę wideoklipów. Miałem swoje pięć minut. To pobudziło wyobraźnię Alberta. Zaprosił mnie na rozmowę. Zaproponował mi prowadzenie kroniki towarzyskiej w swojej gazecie i programu *To się śpiewa we Włoszech* w swojej telewizji. Już wtedy sporo o nim wiedziałem. Jemu zależało na mnie. Mnie zależało na tej pracy. Ta praca otwierała przede mną niesamowite możliwości. Najbardziej nęciła mnie kronika towarzyska. Niby nic – zgony, urodzenia, śluby, zdrady, rozwody i zaręczyny, przyjęcia, festyny, wystawy... Niby nic, a jakże niezwykle możliwości. Zaczęłem bywać. W sumie bardzo ciekawa praca. Kopalnia pomysłów.

– Myślałem, że to nuda – wtrącił Roberto.

– To zależy od podejścia. Mnie wciągnęło od pierwszej chwili. Pochłonęło bez reszty. Tylko pomyśl, powiązania rodzinne i towarzyskie, przyjaźnie, oddanie, lojalność i zdrady. Pod krótką informacją ukryte dziesiątki niedopowiedzeń i mnóstwo emocji. Z czasem zrozumiałem, że nieważne jest to, co napisałem, że znacznie ważniejsze jest to, czego nie napisałem, co zostało przemilczane.

– Nie do końca rozumiem.

– Mój szef zarabia dużo więcej na tym, co zostało w informacji pominięte, niż na tym, co zostało napisane – próbowałem mu wytłumaczyć. – Ludzie są skorzy zapłacić o wiele więcej za milczenie niż za informację.

– Nadal nie rozumiem – powtórzył kolejny już raz.

– Zaraz zrozumiesz. – W kółko powtarzał to swoje „nie rozumiem”, jakby długoletnia praca w policji pozbawiła go zdolności samodzielnego myślenia, jakby spowodowała zanik połączeń między synapsami w istocie szarej mózgu. – To część mojego pomysłu. Zaraz dopowiem ci resztę. Stawiam na Alberta. On to kupi. Kupi

wszystko, co może się przełożyć na duże pieniądze, a ten pomysł może mu przynieść niewyobrażalną kasę. Zaproponuję Albertowi wydanie przewodnika po Toskanii...

– Co mu proponujesz?! Wydanie przewodnika po Toskanii? – Roberto wpadł w bezdech. – I on to kupi? To jakieś brednie. Mówiłem, że ciebie popierdoliło. Półki w księgarniach uginają się pod ciężarem przewodników po Toskanii. Są ich dziesiątki, a może i setki.

– Uwierz mi, taki przewodnik to rewelacyjny pomysł – próbowałem go przekonać. – Alberto jest pazerny. Nawet bardzo pazerny. Słynie z chciwości. Mój pomysł mu się spodoba. Koncepcja jest genialna. Pomysł, to wszystko brzmi pozornie tak bardzo niewinnie. Wydawnictwo Aventura postanawia wydać nowy przewodnik po Toskanii. Ten przewodnik ma być inny niż wszystkie dotychczas wydane. Jego inność ma polegać na ciekawostkach, informacjach, które jeszcze nie były publikowane, na przedstawianiu nowego oblicza starych i znanych miejsc. Przewodnik ma informować o miejscach i związanych z tymi miejscami ludziach. Dodatkowo może być na przykład bogato ilustrowany. Już z tego pomysłu można byłoby wyżyć. Wydawnictwo jest dość znane. Jeśli dobrze rozpuści się wieści, to zgłosi się wielu sponsorów, wielu ludzi, którym zależy na reklamie.

– Ale to nie jest jeszcze ten twój pomysł? – dopytywał niecierpliwie Roberto.

– To jest część pomysłu. Druga część jest o wiele ciekawsza. Wielu ludzi chce, żeby o nich coś wiedzieć, ale jeszcze więcej ludzi wolałoby, żeby pewne informacje o nich przemilczano...

– Chyba powoli zacznym rozumieć.

– No widzisz, to jest całkiem logiczne i proste. Weźmy na przykład jednego z facetów z końca naszej listy. Mierna, nic nieznacząca płotka. To Marco Morani. Marco Morani prowadzi największy sklep rowerowy w Toskanii. Zapłaci wiele za wzmiankę o swoim sklepie w nowym przewodniku, ale jeszcze więcej za to, żeby nikt nie wspomniał, że fortuny dorobił się jako alfons. Teraz jest szacowną głową rodziny, ma piękną żonę i dwójkę udanych dzieci, wychowywanych na dzieci z dobrego domu. Chodzą do prywatnej szkoły. Ze szkoły odbiera je bona. Rodzina cieszy się wielkim szacunkiem. Facet jest jednym ze sponsorów odnowy miejscowego kościoła. A tu raptem informacja, że on był alfonsiem. Taka wiadomość z przeszłości zrujnuje mu życie rodzinne. Może go zniszczyć zawodowo. Wykurzy go z miasteczka, w którym mieszka... Facet zapłaci za pominięcie tej informacji każdą cenę.

– Czyli ile? – spróbował doprecyzować Roberto.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. – Wyznaczenie ceny zostawię Albertowi. On zna się na tym bardzo dobrze. W każdym razie zostawiłbym mu w tej materii wolną rękę. Myślę, że świetnie da sobie radę. Nikt nie wyważy ceny lepiej od niego.

– O jakich pieniądzach rozmawiamy? – naciskał inspektor Brossi.

Nie huśtał się już na krześle. Nie przymykał oczu. Wbił we mnie wzrok i chłonał całym sobą każdą wypowiedzaną przeze mnie informację.

– Nie wiem dokładnie.

– A tak mniej więcej? – padło pospieszne pytanie. Przez chwilę poczułem się jak na przesłuchaniu.

– Myślę, że po cyfrze będzie kilka zer – powiedziałem spokojnie. – Cena będzie zależna od kalibru przemilczanej informacji. Inna cena za paserstwo, inna za prostytutkę, inna za morderstwo... Liczba zer zależna od rodzaju przestępstwa, od tego, co należy przemilczeć.

– A w przypadku Marca Moraniego? – dopytywał Roberto. – Jak myślisz?

– Marco Morani to płotka w porównaniu z innymi. Nędzny alfons. Nic wielkiego. Myślę, że jakieś kilkadziesiąt tysięcy euro za milczenie. Do tego z dziesięć tysięcy za informację o sklepie...

– Chyba żartujesz... – wysapał Roberto.

Zbliżył krzesło do stołu. Siedział i gapił się na mnie. Od dłuższej chwili nie odrywał już oczu od mojej twarzy. Świdrował mnie wzrokiem na wylot. Zapewne byłoby mu wygodniej, gdybym żartował. Nie czułby się tak dociskany do muru.

– Chyba żartujesz – powtórzył przerażony.

– Nie żartuję – odparłem spokojnie. – Ostateczna cena będzie zapewne uwzględniała także zasobność czyjegoś portfela. Nie można zarząć kury, która ma znosić złote jajka.

– Oszalałeś! – wybuchnął niespodziewanie. – Chęć zemsty pomieszała ci zmysły! – mówił głośno. Prawie krzyczał. – To wszystko jest chore. Szantaż jest czymś brudnym, nieetycznym, potwornym.

– To zbrodnia jest chora, nieetyczna i potworna – przerwałem mu. – System ścigania przestępców jest niedoskonały. Policja skorumpowana. Sądownictwo zależne od polityki. Przecież wiesz, że tu nie chodzi o te pieniądze. One same w sobie nie mają żadnego znaczenia. Tu chodzi o fakt zapłacenia za milczenie.

– To pomysł z piekła rodem! – stwierdził wzburzony Roberto.

– Może i z piekła. Co z tego...? Pomyśl, powstanie lista, a obok nazwisk pojawią się ceny. Powstanie cennik – mówiłem powoli. Dobitnie artykułowałem każde słowo. Musiał mnie zrozumieć. – Będzie to swoisty cennik. Będzie można się z niego dowiedzieć, ile trzeba zapłacić za milczenie w sprawie zabójstwa, kradzieży, pobicia, sutenerstwa, gwałtu... Swoiste uzupełnienie brakujących dowodów.

Nareszcie zrozumiał. Wstał gwałtownie. Odepchnięte przez niego krzesło runęło na podłogę. Stał tuż przede mną, jakby sądził, że szerokość stołu utrudnia komunikację.

– Ten pomysł to szaleństwo! Ciebie coś popierdoliło! Opętało cię! Przestałeś

myśleć rozsądnie. Chęć zemsty przyćmiła ci wszystko. Nie masz instynktu samozachowawczego. Pchasz nas w jakieś gówno!

Jego głos zadudnił po kuchni. Odbił się od kamiennych ścian i kamiennej posadzki. Wrócił do mnie zwielokrotniony.

– Nikt się na to nie zgodzi! – mówił Roberto podniesionym głosem. – Wybij to sobie z głowy! Zapomnij o tym!

Wrzeszczał do mnie, jakby dotyczyło go to osobiście, jakby poczuł się moim pomysłem osobiście zagrożony.

– Ja się na to nigdy nie zgodzę! – Poczzerwieniał na twarzy. Nie panował nad nerwami. Krzyczał, jakby jego podniesiony głos był dodatkowym argumentem w naszej rozmowie. Jakby rację miał ten, kto mówi głośniejsz. – Nie ma mowy! To wbrew zasadom! Wbrew procedurom! Wbrew etyce zawodowej!

– Ja cię nie pytam o zgodę – powiedziałem spokojnie. Chyba przypadkiem dolałem oliwy do ognia.

– Nie pytasz?! – Wpadł w bezdech z wściekłości. – Jak to, nie pytasz mnie o zgodę?

– Ja już nie pracuję w policji – stwierdziłem obojętnym głosem. Próbowałem spokojem uciszyć jego emocje. – Ty nie jesteś już moim szefem – wycedziłem powoli. – Rozmawiamy zupełnie prywatnie, jak dwóch starych znajomych, którzy spotkali się przy kawie, a których łączyło kiedyś podobne poczucie przyzwoitości.

Myślałem, że wpadnie w furję, a on zamilkł. Zaczął spacerować po kuchni. Jego buty miarowo stukały po nierównej posadzce. Odbijały się echem od ścian. Wracały, by huczeć w mojej głowie. To nie Roberto spacerował po kuchni, to oddział wojska ćwiczył przed defiladą. Chodził naokoło dębowego stołu, miotał się jak zwierzę w klatce. Denerwował mnie z minuty na minutę coraz bardziej. Próbowałem zająć myśli czym innym. Dziwne są te stare domy, pomyślałem. Ten jest wybitnie surowy. Fasada ułożona z grubo ciosanych kamieni. Dach pokryty czerwoną zmurszałą dachówką. Kamienna podłoga, kamienne ściany, parę starych mebli, biało-niebieskie kafle na ścianach w kuchni, na stole duży gliniany dzban malowany w polne kwiaty. Prowincja... Tajemnicze słowo, które kojarzy mi się z odpoczynkiem, lenistwem i wakacjami. Może i mógłbym się na chwilę wyciszyć, gdyby nie te miarowe kroki Roberta. Nagle zatrzymał się tuż przy mnie.

– To jest szalone, ale genialne.

Znowu wyruszył w swoją wędrówkę. Trzy kroki w przód, trzy kroki w tył. W głowie huczały mi te jego kroki. Nagle zapadła cisza. Stał tuż obok mnie, pochylił się nade mną.

– Kto będzie się kontaktował z ludźmi z listy? Alberto? – zapytał.

– Mało prawdopodobne. Nie będzie ryzykował. To cwany lis.

– Więc kto?

– Ja – odpowiedziałem spokojnie.

– Ty? Bzdura! – warknął. – To idiotyczny pomysł. Trzeba w to ubrać kogoś innego...

– Idealnie pasuję do tego zadania – przerwałem mu.

– A niby dlaczego?

– Nie mam nic do stracenia. Nie mam żony, dzieci, nie posiadam majątku. Nie mogą mi niczego zabrać. Nie mogą mnie niczym zastraszyć.

Usiadł tuż obok mnie. Na chwilę zapanowała cisza. Zamknął oczy i znowu zaczął się huśtać na tym krześle. Paskudny zwyczaj. Cały czas mam wrażenie, że on upadnie i uderzy głową o posadzkę. Zabije się na tym zadupiu, a ja się nigdy z tego nie wytłumaczę.

– Zwiększy ci się znacznie grono wrogów – odezwał się po chwili. – Zastanawiałeś się nad tym?

– Każdy ma wrogów – odpowiedziałem obojętnie.

– Tak, tylko twoi wrogowie zaczną się nagle mnożyć. Będziesz musiał po tej akcji opuścić Toskanię, być może nawet Włochy.

Alberto kupił mój pomysł. Na przemyślenie wszystkiego potrzebował tylko jednego wieczoru. Zadzwoił do mnie następnego dnia rano. Nie mówiłem nic o liście. Mówiłem o pomysły i możliwościach. On był numerem jeden na mojej liście. Moja prywatna krucjata zaczynała się właśnie od niego. Jego telefon wyciągnął mnie spod prysznic.

– Przespałem się z tym, co mówiłeś. Na swój sposób genialne. Wchodzę – poinformował mnie krótko. – Skąd u byłego gliny takie kreatywne pomysły? – zapytał.

– Marnowałem się w policji – palnąłem bez zastanowienia. Przełknął to gładko.

– Udoskonaliłem twój pomysł. Czegoś mi w nim jeszcze brakowało. Każdego roku będzie się ukazywać nowe wydanie. Zmienione i zaktualizowane. Nowe wydania to nowe ceny za aktualizację informacji i za milczenie. Takie swoiste przedłużenie umowy. Niekończące się pasmo dochodów... – mówił podekscytowany. – Przewodnik musi mieć atrakcyjny wygląd. Powinien mieć wyjątkową szatę graficzną. To musi być coś niespotykanego. Twoje zdjęcia i coś jeszcze. Postarasz się o jakieś niepowtarzalne fotografie. Coś wyjątkowego, zupełnie nowe spojrzenie na powszechnie znane i wyświechtane tematy. Kiedyś zrobiłeś takie zdjęcie. Pojawiło się w mojej gazecie. Tęcza nad Ponte Vecchio we Florencji, która opierała się o dwa skrajne filary mostu. To jest właśnie to, czego potrzebujemy. Inne spojrzenie na znany powszechnie temat. – Myślał na głos, kombinował. – Ty potrafisz robić ciekawe zdjęcia. Pamiętam to, które wysłałeś do „National Geographic”...

Tamto zdjęcie było wyjątkowe. Zrobiłem je, lecąc o świcie na lotni. Wieże w San Gimignano wynurzały się z gęstej mgły otulającej całe miasto. Wyglądało to tak, jakby pięły się ku górze, ku szarości nieba stopniowo przechodzącej w błękit i ku powoli wschodzącej kuli słońca.

– To było bardzo dobre zdjęcie – przerwał moje rozmyślenia głos Alberta. – Zapewne masz jeszcze parę takich w zanadrzu. Zawsze chodzisz z aparatem... Poza zdjęciami ten przewodnik musi mieć wyjątkową okładkę. Coś, co przykuje wzrok, zmusi do sięgnięcia po tę książkę, do wygrzebania jej ze stosu innych przewodników po Toskanii. Do tego jakiś szokujący tytuł. Przewrotny i przyciągający, bulwersujący, niemieszczący się w żadnych ramach, bijący w drobnomieszcząską pruderię. Coś w stylu: *Mam cię w dupie, Toskanio...* To muszę jeszcze przemyśleć – zawahał się. – Ten tytuł nie byłby może najlepszy, ale myślę, że rozumiesz, o co chodzi. Chodzi nie o ten tytuł, lecz o ideę. Trzeba szokować, zaskakiwać, bić w konwenanse, zapadać w pamięć – mówił szybko, ze zdania na zdanie coraz szybciej. – Mam w wydawnictwie paru grafików, ale oni się do tego nie nadają. To starzy wyjadacze, którzy nie wymyślą nic nowego, nie wyjdą poza konwencjonalne projekty, poza powielane od lat pomysły. Na szaleństwo są już za starzy, już nie ta wyobraźnia, nie ta wrażliwość, nie te możliwości. To musi być coś innego. Jakiś powiew świeżego powietrza, coś, czego jeszcze nie było. – Napędzał się coraz bardziej. Przyszło mi na myśl, że on już chyba w wyobraźni liczył pieniądze. – To musi być coś wyjątkowego. To nie może być żadne powielanie starych, wyświechtanych graficznych tematów. Musimy wzbudzić zainteresowanie, podniecać, bulwersować, zachwycać, przyciągać, powalać na kolana. Im więcej ludzi kupi ten przewodnik, tym dla nas lepiej – spekulował. – Przewodnik będzie się rozchodził w wielotysięcznym nakładzie. Trzeba będzie pomyśleć o tłumaczeniach. Wielotysięczne nakłady w wielu językach. Niekończące się źródło dochodów...

Kiedy myślałem już, że ten jego monolog nigdy się nie skończy, on nieoczekiwanie zamilkł. Gdyby nie oddech, który słyszałem w słuchawce, pomyślałbym, że coś przerwało połączenie. Swoją drogą ciekawe, dlaczego on zawsze tak głośno oddycha. Może jego płuca są za małe w stosunku do powierzchni ciała.

– Mam jedno pytanie – wyrwał mnie z zamyślenia ostry głos. Był tak wyraźny, jakby Alberto stał tuż za moimi plecami. – Czego w zamian oczekujesz?

Spodziewałem się tego pytania. Byłem na nie przygotowany. W końcu gra szła o pieniądze. Odpowiedź miałem dobrze przemyślaną.

– Przyzwoitego wynagrodzenia – odparłem spokojnie. – Dużo ryzykuję, więc muszę wiedzieć za co. Każdego dnia będzie mi przybywało wrogów...

– Nie tylko tobie – przerwał mi.

– Pan to zupełnie co innego. Pan będzie bezpieczny. Wystarczy, że stworzy

pan listę z nazwiskami, obok nazwisk napisze wpłacone kwoty i zostawi kilka kopii tej listy na przechowanie u paru zaufanych notariuszy. Wystarczy tylko zastrzec, że dokumenty mają być opublikowane w przypadku pana nieoczekiwanej i nienaturalnej śmierci. – Podsuwałem mu gotowe rozwiązanie. – Poinformuje się o tym zainteresowanych. Ręczę, że włos nie spadnie panu z głowy, to będzie swoista polisa na życie. Pana śmierć stałaby się katastrofą dla wielu wysoko postawionych ludzi. Nikogo nie stać na taki skandal. Stanie się pan najbardziej strzeżoną osobą w Toskanii...

– Ile chcesz? – przerwał mi gwałtownie.

– Dwadzieścia procent od pana zysków i zwrot kosztów.

– Wysoko się cenisz – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Poznałem Alberta z Francescą. Chciałem, żeby między nimi zaiskrzyło. Francescę znałem od paru miesięcy. Ubierała uczestników konkursu *The Voice of Italy*. Dobierała ciuchy pasujące do ludzi, w pewnym sensie stworzyła nasz image. Dwa lata wcześniej ukończyła wydział malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych we Florencji, ale nie chciała malować. Nie bawiły ją wystawy, wernisaże i plenery. Czula niechęć do rąk umazanych farbą i nudziły ją godziny spędzane przy sztalugach. Męczyło ją mozolne tworzenie dzieła. Została projektantką mody. Szokującą, prowokującą, bulwersującą i kontrowersyjną. Projektowane przez nią ciuchy ubierają ludzi, eksponując ich naturę. Są niepowtarzalne, jak każdy z nas jest niepowtarzalny. Podkreślają osobowość, wyróżniają z szarości, zapadają w pamięć. Francesca projektuje ubrania, które niby przypadkiem dookreślają człowieka, dopowiadają szczegóły, przyczyniają się do stworzenia zamkniętej i ekscytującej całości. Potrafi projektować także ubrania, które zmieniają ludzką naturę. Według Franceski moda ma być wyzywająca, ma być elementem gry wstępnej, kończącej się wcześniej czy później okrzykami rozkoszy w łóżku. Według niej całe życie kręci się wokół zmysłowości, pożądania i seksu. Każdy element ubioru ma podkreślać zmysłowość, być dobrze dobranym szczegółem, idealnie pasującym do całości. Makijaż i fryzura muszą dokładnie pasować do sukienki, butów, lakieru na paznokciach oraz perfekcyjnie przemyślanych dodatków. Tak wymodelowana postać potrafi, według Franceski, całą sobą wykrzyknąć swoje potrzeby, chęci, marzenia, oczekiwania i erotyczne fantazje. Mnie też stworzyła po swojemu, uformowała na swoją modłę. Ludzie to kupili. Przybyło mi raptem fanów, gorących e-maili, rozhisteryzowanych fanek, przeciskających się z piskiem po autografy. Nie da się ukryć, że Francesca ma talent, chociaż zapewne projektowanie mody nie należy do wielkiej, wiekopomnej sztuki.

– Jesteś rozmazany, rozmyty i bez wyrazu. Jesteś za miękki – powiedziała,

kiedy zobaczyła mnie po raz pierwszy. – Wszystko jest u ciebie pozornie w porządku, ale mdłe i nijakie. Jesteś jakiś taki rozciapany. Masz wszystko, co powinien mieć facet, a jednak, patrząc na ciebie, nie mam ochoty się z tobą kochać. Masz głos, ale głos to zdecydowanie za mało, żebyś mógł wygrać ten konkurs. Ludzie chcą cię nie tylko słyszeć. Dziewczyny chcą cię też widzieć, chcą zasypiać z twoim obrazem przed oczami, chcą erotycznie fantazjować, myśląc o twoim ciele, chcą pisać do ciebie płomienne listy, czekać na twoje spojrzenia, kochać się z jakimś dupkiem, mając ciebie przed oczami... Rozumiesz? Jesteś za mdły, za nijaki. Musimy to zmienić.

I zaczęła to zmieniać. Stworzyła ze mnie na potrzeby *The Voice of Italy* zupełnie innego faceta. Według Franceski pasowały do mnie powycierane dżinsy, białe T-shirty z długimi, niechlujnie zawiniętymi rękawami, tatuaż przedstawiający smoka na lewym przedramieniu, odrobinę za długie włosy, przeczesane tylko niedbale palcami, sterczące we wszystkie strony w artystycznym nieładzie, dwudniowy zarost kładący się cieniem na policzkach, mocno opalone ciało, szelki, zapach mięty i cedru... Według niej zapachy były częścią ubioru, były podkreśleniem i dopełnieniem wszystkiego. Mówiła, że ludzi ubierają ciuchy i zapachy, że zapachy potrafią okryć nawet nagość. Zdaniem Franceski najlepiej do mnie pasował zapach cedru złamany nutą mięty. Według niej tak pachnie seks. Pamiętam, kiedyś przyszła na próbę przed kolejnym koncertem, usiadła w pierwszym rzędzie, przyglądała mi się prowokująco i nachalnie. Przez całą próbę nie spuszczała ze mnie oczu. Złapałem się na tym, że śpiewam dla niej. Zaczepiła mnie, kiedy po próbie wychodziłem z szatni. Zaproponowała wspólną kolację. Nie spieszyłem się wtedy nigdzie, nie miałem żadnych planów. Czekają na mnie puste mieszkanie. Zjedliśmy kolację. Noc spędziliśmy u niej. I tak już zostało. W dzień pracowaliśmy przy *The Voice of Italy*, nocie spędzaliśmy razem. Skończyła się moja przygoda z muzyką, a między nami już tak zostało. Ja nie szukałem miłości. Niczego od Franceski nie oczekiwałem. Ona też na nic nie liczyła. Chciała tylko się ze mną kochać. Połączyło nas czyste pożądanie. W łóżku była odważna i szalona, w życiu nie do wytrzymania. Denerwowała mnie i drażniła, była pusta i zaborcza, pewna siebie i zarozumiała. Jej przeświadczenie, że jest centrum świata, doprowadzało mnie do frustracji. Według niej świat stworzono tylko po to, żeby mógł się wokół niej kręcić. Prowadziła się swobodnie, sypiała z wieloma. Często musiałem się nią dzielić z innymi. Nie przeszkadzało mi to. Mogłem dzielić się nią z każdym. Mogłem i z Albertem. Chciałem mieć nad nim kontrolę. Wiedziałem, że przypadną sobie z Albertem do gustu. On miał słabość do pięknych kobiet, a dla niej nie było na świecie nic bardziej podniecającego od pieniędzy.

To Francesca wymyśliła, jak powinien wyglądać ten przewodnik, żeby różnił

się od innych, przyciągał wzrok, kusił i nęcił. Według niej, obok zdjęć zrobionych przeze mnie powinny pojawić się w nim rysunki, szkice i akwarelki. Toskania widziana oczami kogoś z zewnątrz, kogoś obcego, kto stąd nie pochodzi, kto tu przyjechał. Toskania zobaczona oczami kogoś, kogo ta kraina zauroczyła, opętała, zaczarowała i zatrzymała. Powiedziała mi, że zna kogoś takiego, jakąś dziewczynę, która od niedawna mieszka w Toskanii. Ponoć przyjechała tylko na chwilę i postanowiła zostać na dłużej, być może na zawsze. Zupełnie przypadkiem znalazła w Toskanii swoje miejsce na ziemi. Znały się z lat studenckich. Przez krótki czas, kiedy Francesca pojechała na wymianę studencką do Polski, znalazły się w jednej grupie studenckiej. Umówiliśmy się z tą dziewczyną w tawernie u Antonia. Spodziewałem się zobaczyć kogoś pokroju Franceski, a tu zjawiała się Karolina. Byłem zaskoczony. Siedziałem, słuchałem ich rozmowy i nie mogłem od niej oderwać wzroku. Dziwne zjawisko, jakby do knajpy Antonia przybyła wiosna. Karolina i Francesca bardzo się różnią, miałem wrażenie, że nagle zupełnie przypadkiem spotkały się dwa światy, które nigdy nie powinny były się spotkać. Francesca szczebiotała, wodziła wzrokiem po sali, rozsyłała obcym facetom ciepłe uśmiechy, nęciła, wabiła i kokietowała. Zachowywała się jak zawsze. Przyciągała wzrok wielu. Czowała się królową tej tawerny. W pewnym momencie pomyślałem, że w tej knajpie siedzą sami idioci, lecą na coś, co sztuczne, krzykliwe, puste, nachalne i pazerne, dają się uwodzić tandecie ukrytej pod płaszczykiem mody, dają się zauroczyć sztucznym rzęsom, wargom pociągniętym ostrą karminową pomadką, drapieźnie pomalowanym paznokciom i prowokującej sukience. Na ten wieczór Francesca wybrała kolor karminowy. Sukienka była zbyt obcisła i za kusa, odważnym dekoltem odsłaniała brzegi czarnej bielizny, podkreślała biust i wąską talię, opinała się na biodrach, kończyła się tuż za pośladkami, odsłaniając opalone uda. Myślę, że Francesca ubrała się rozmyślnie w tę sukienkę, bo chciała, żeby ta druga poczuła się od niej gorsza. Królowa i Kopciuszek. Dla mnie krzykliwe, kiczowate, przerobione w Photoshopie lato i świeża wiosna. Karolina wyglądała zupełnie inaczej. Miała na sobie przybrudzone na kolanach dzinsy, białą bluzkę z bawełnianej koronki, gdzieniegdzie upstrzoną kolorowymi punktami zaschłej farby, znoszone, brudne od ceglanego pyłu trampki. Na spieczonym słońcem ramiona narzuciła kolorową chustę wyglądającą jak delikatna pajęczyna utkana z błękitnych nici, w które gdzieniegdzie wplątane były różnobarwne motyle z filcu. Na plecach zwisał jej słomkowy kapelusz, którym zapewne jeszcze przed chwilą osłaniała głowę przed natrętnymi promieniami wiosennego słońca. Włosy miała związane z tyłu aksamitką. Wiele pasm niepokornych, rozjaśnionych słońcem włosów opadało jej na twarz i ramiona. Całości dopełniały brudne od kredy dłonie i pojedyncze krople wyschniętej farby na przedramionach.

- Dziwnie się ubrałaś jak na kolację – zaatakowała Karolinę Francesca.
- Nie miałam pojęcia, że to ma być kolacja – odpowiedziała spokojnie

Karolina. – Mówiłaś, że chcesz porozmawiać o sztuce. Pomyślałam, że to będzie taka luźna rozmowa przy filiżance kawy. Jadę prosto z Volterry. Nie byłam w domu. Nie zdążyłam się przebrać. Nie umyłam nawet rąk. Na pewno mogę umyć je gdzieś tutaj...

– Malowałaś na ulicy? – spytała z ironią w głosie Francesca.

– Na ulicy – potwierdziła dziewczyna. – Co w tym złego?

– Nic złego, ale to takie prostackie...

– Prostackie? Dlaczego? – spytała zdziwiona dziewczyna. – Niewielu ludzi zna się na prawdziwej sztuce, jeszcze mniej osób ma ochotę w nią inwestować – powiedziała. – Licząc tylko na dochody z prawdziwej sztuki, umarłabym z głodu. Nie widzę nic zdrożnego w malowaniu na ulicach. Wielu turystów kupuje akwarelki jako pamiątkę z wakacji w Toskanii, inwestuje w szkice i rysunki. Wielu chce zrobić sobie zdjęcie przy kopii dzieła Michała Anioła. Wiesz, jaką popularnością cieszy się na przykład *Stworzenie Adama* narysowane kredą na chodniku?

– *Stworzenie Adama* pomiędzy japonkami, trampkami i sandałami to profanacja sztuki – powiedziała Franci z przekąsem.

– Czepiasz się.

– Ja nie, ale myślę, że Michał Anioł przewraca się w grobie. – Francesca wydeła wargi, przymrużyła oczy, po jej twarzy przebiegł grymas. Całą sobą manifestowała pogardę do tak uprawianej sztuki. – Sztuka sięgnęła bruku – powiedziała po chwili. – Marzyłaś kiedyś o wielkiej sztuce. Zamiast niej uprawiasz teraz chałturę. Prawdziwą sztukę zamieniłaś na miedziaki rzucane do puszki...

– Nie przesadzaj! – przerwała jej Karolina. – Do życia potrzebne są pieniądze. Czasy mecenasów sztuki już się skończyły. W sztuce też zapanował kapitalizm. Czymś trzeba zapłacić za czynsz, jedzenie, benzynę, płótno, farby... Trzeba zarobić kasę na prawdziwą sztukę. Prawdziwa sztuka jest kosztowna.

– Malujesz coś teraz na poważnie? – zapytała Franci.

– Maluję. Realizujemy z Markiem Skalskim wspólny pomysł. Marek to ten facet, z którym stworzyłam wspólnie poprzednią wystawę. Wiesz, tę o miesiącach i porach roku... Jesienią otwieramy wystawę we Florencji. Będzie miała tytuł *Uczucia zaklęte w kolory*. To będzie coś bardzo nowatorskiego. Zupełnie inne spojrzenie na sztukę. Nie kształt, nie forma, nie perspektywa i nie półcienie, tylko emocje, emocje i emocje bez końca. Takie nieustające emocjonalne forte!

– Znajdź sobie odpowiedniego faceta – przerwała jej chłodno Francesca. – Będzie cię wtedy stać na uprawianie prawdziwej sztuki. No i na te twoje emocje.

Z minuty na minutę czułam się coraz bardziej niezręcznie. Wredna jest ta Francesca. Wredniejsza, niż myślałam. Karolina podniosła głowę i spojrzała na mnie. Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie, jakby wcześniej nie zauważyła, że siedzę tuż obok.

– Ja nie jestem bogaty. – Uśmiechnąłem się do niej. – Nie sponsoruję sztuki uprawianej przez Francescę. Musi mieć jeszcze kogoś – mówiłem jednym tchem. – Ja dzielę z nią tylko czasami łożę. W sumie jestem dla niej nikim. Nazywam się Enrico Rossi.

– Karolina – przedstawiła się dziewczyna. Cień uśmiechu przebiegł po jej twarzy. Lekko przymrużyła oczy. Potrząsnęła głową. Nowe pasmo włosów wysunęło jej się spod aksamitki i opadło na ramiona. Delikatnie przygryzła wargę i przyglądała mi się z rozbawieniem. – Nazywam się Karolina Bielawska. Przyjaciele mówią do mnie Karo...

– Mówiłam ci o Karolinie – przerwała pospiesznie Francesca. – Karolina jest z Polski, ale zauroczyła ją Toskania. Postanowiła tutaj zostać. Życie w Toskanii nie należy do tanich. Trudno jest się tu utrzymać bez stałej pracy. Marnuje się, chałturząc na ulicach. Szkoda, bo ma to coś wyjątkowego, co nazywają talentem.

Karolina przyniosła swoje prace. Położyła je na stole i nagle zrozumiałem pomysł Franceski. Te akwarele były niesamowite. Były wyjątkowe. Nawet ja spojrzałem nagle na Toskanię zupełnie innymi oczami. Na co dzień mam powyżej dziurek w nosie Toskanii. Pozornie sielsko-anielska, a tak naprawdę prowincjonalna, staroświecka, biedna i zaniedbana, małomiasteczkowa i zapyziała. Ona jest trochę jak te ciastka ze Sieny. Jak ricciarelli – słodkie, kruche na zewnątrz i lekko ciągnące w środku, zrobione ze zmielonych migdałów, białek i cukru. Są przeraźliwie słodkie. Mają lekki zapach wanilii i skórki pomarańczowej. Zjesz jedno i jesteś nim zachwycony, sięgniesz po następne i od razu cię zemdli. Z Toskanią jest jak z tymi ciastkami. Przyjedziesz tutaj na chwilę – poczujesz się zauroczony, zostaniesz na dłużej – zrozumiesz, że ta kraina to wrota do piekła. Ta mała myślała i czuła inaczej. Dzięki jej akwarelkom ujrzałem zupełnie inną Toskanię. Nie obskurne, zapyziałe wioski z rozsypującymi się domami, które straszą obłączącymi z farby ramami okien, paskudnymi bramami i dachami z obsypującą się zmurszałą dachówką, lecz urokliwe zakątki, niedopowiedziane, zaczarowane i wiejące tajemnicą. Wszystko staje się nagle niepowtarzalne: pojedyncze drzewka oliwne, zielone winnice, krzewy pnących róż i zwisające z okien pelargonie, figowiec wciśnięty w załom muru, rzędy cyprysów wzdłuż polnej drogi, piniowe aleje... Wszystko jest wyjątkowe: wzgórza wyrastające za wzgórzami, niesamowite, otwarte aż po horyzont przestrzenie. Wszystko jak z pogranicza jawy i snu: mgły kładące się w dolinach, szczyty wzgórz jak małe wysepki wystające z oceanu mgieł, światła w oknach domów porzrzucanych po wzniesieniach jak latarnie zapalone na nieboskłonie, kręte drożyny jak tasiemki opasujące wzgórza. Wszystko chciałoby się zatrzymać pod powiekami, zagarnąć dla siebie, zabrać z sobą na zawsze: kulę słońca chowającą się za wzgórzem, rzucającą ostatnie promienie, ciężkie od porannej rosy łany zbóż, czerwone plamy maków pomiędzy falującym owsem, budzący się za snu srebrzystozielony gaj

oliwny, tęczę rozpiętą pomiędzy dwiema wieżami w San Gimignano. Taka zupełnie inna Toskania, jakby widziana oczami dziecka. Tajemnicza, łagodna, niedopowiedziana, trochę jak marzenia, jak sen. Na jednej z akwarelek był dom z czerwonej cegły pokryty omszałą dachówką, z półotwartymi drzwiami, które nijak nie pasowały do framugi, z otwartymi na oścież oknami, przy których wisiały ciężkie drewniane okiennice. Przez uchylone drzwi i otwarte okna wydostawały się na zewnątrz kiście ogromnych kaktusów. Po ścianie domu pięły się krzewy róż z setkami blad różowych kwiatów. Całości dopełniały wiszące z okien pelargonie, bluszcze pokrywające szczelnie ściany zielenią i donice z olbrzymimi kaktusami ustawione tuż przy wejściu do domu, które sprawiały wrażenie, jakby kule kaktusów, kolczaste liście agawy i prawie dwumetrowej wysokości opuncje czekały na to, że ktoś wpuści je do środka. Wiem, gdzie jest ten dom. Przylega tylną ścianą do murów otaczających stare miasto w Colle Val d'Elsa. Widziałem go przed trzema laty. Prowadziłem wtedy śledztwo w Colle Val d'Elsa. Jakiś facet rzucił się pod zjeżdżającą w dół windę. Samo miejsce jest koszmarnie. Winda łączy niżej położoną nową część miasta ze starą częścią, położoną u góry, otoczoną średniowiecznym murem. Kabina windy wmontowana jest w starą studnię. Studnia ma brudne, omszałe i stale wilgotne ściany. Przy niepogodzie woda ścieka w dół strumieniami, przeciskając się pomiędzy kępami mchu. Strużki wody znaczą ślady na szybach kabiny. Obrzydliwe, śmierdzące stęchlizną miejsce. Pomimo swojego ohydztwa winda jest używana, bo co najmniej o godzinę skraca drogę do zabytkowej części miasta. Korzystając z niej, nie trzeba piąć się w górę krętą serpentyną przylegającą do średniowiecznych murów. Właśnie pod tę windę rzucił się przed trzema laty jakiś zdesperowany facet. Została z niego miazga. Zapach stęchlizny mieszał się z mdłym zapachem ludzkiej krwi. Mech ociekał czerwoną rosą. Musiałem stamtąd wyjść. Pierwszy raz w życiu było mi niedobrze. Nieopodal natknąłem się na ten dom. Zapadł mi w pamięć na zasadzie kontrastu – burza kwiatów tuż obok zmasakrowanych resztek ludzkiego ciała. Ten dom na akwarelce Karoliny niewiele miał wspólnego z tamtym moim okrutnym wspomnieniem, wyglądał nierealnie i bajkowo, jak marzenie, jak sen.

– I co o tym sądzisz? – zapytała Francesca, kiedy tylko zostaliśmy sami.

– Nic.

– Nic? – Zamrugła oczami ze zdziwienia. – Ściemniasz. To superpomysł. Karo maluje rewelacyjnie. Przewodnik będzie się doskonale sprzedawał. Tylko pomyśl, twoje zdjęcia, jej rysunki, szkice i akwarele. Kontrast. Prowokacja. Coś, co przyciąga, podnieca i drażni. Ludzie kochają kontrasty, lubią czuć się zaskakiwani. Nie cierpią monotonii. Twardy facet i patrząca na świat przez różowe okulary dziewczyna. Zdjęcia kogoś, kto mocno stąpa nogami po ziemi, obok akwarelek niepoprawnej marzycielki. To będzie rewelacja...

– Wątpię – stwierdziłem chłodno. – Nie wyobrażam sobie tego – dodałem.

– Ludzie to kupią – nie dawała za wygraną.
– Nie wydaje mi się.
– Dlaczego? Dlaczego tak mówisz? – Wbiła we mnie wzrok. Próbowала mnie tym wzrokiem przeświecić na wylot. Nie mogła we mnie niczego zobaczyć, bo wtedy jeszcze we mnie niczego nie było.
– Karolina się nie nadaje – powiedziałem obojętnym głosem.
Nie chciałem wciągać tej małej w to bagno. Po co miałbym ją krzywdzić? Była zbyt wrażliwa, za delikatna. Należała do innego świata.
– Dlaczego, twoim zdaniem, Karo się nie nadaje? – nie ustępowała Francesca.
– Maluje dobrze, ale nie nadaje się do tej roboty... Nie pasuje do nas – powiedziałem obojętnie.
Zamilkłem. Francesca też milczała. Bawiła się trzymaną w ręce lampką wina. Lepki trunek raz po raz omiatał ścianki kieliszka. Hipnotyzowała go wzrokiem. Wyglądało to tak, jakby ten rubinowy płyn stał się dla niej nagle najważniejszy.
– Ładnie wygląda, ale jest cierpkie – powiedziała nagle.
– O czym mówisz? – spytałem zaskoczony.
– O winie – mruknęła pod nosem. – Rubinowy kolor, cudowny bukiet zapachów, niepowtarzalne załamywanie światła... Niby idealne, a to tylko pozory. Udaje inne wino. Z Karo jest podobnie...
Zamilkła na chwilę. Wróciła do obserwowania trunku. Chciała, żebym to ja zaczął pytać.
– O czym mówisz? – spytałem po chwili. Starłem się, żeby mój głos był chłodny i obojętny.
– Karolina wygląda tak radośnie, a niedawno przeżyła dramat. Rozstała się z hukiem z jednym facetem. Zresztą wcale jej się nie dziwię. Karo robi teraz wszystko, żeby o nim zapomnieć. Zatrzęsło całym jej światem, dlatego zapewne została w Toskanii. Facet stworzył jej piekło na ziemi. Poznałam go nawet. Było to parę miesięcy temu. Wpadłam na nich przypadkiem w Wenecji. Byłyśmy z Agnes na kawie w restauracji przy Canal Grande. Pożegnałam się z nią, odwróciłam się i zobaczyłam ich robiących sobie zdjęcia przy Ponte Rialto. Ucieszyłam się. Nie widziałam Karoliny od studiów. Nie zmieniła się, nadal była radosna jak małe dziecko. Ten jej facet wydał mi się wtedy szary i przeciętny. Nawet nie byłabym w stanie odtworzyć w pamięci rysów jego twarzy, nie pamiętam koloru jego włosów, nie wiem, jak był ubrany. Był tak nijaki, że mój mózg nie zdołał go nawet zapamiętać, nie jestem pewna, czy poznałabym go na ulicy. Nie wiem, co Karo mogła widzieć w tym gościu. Poszłam z nimi na kolację. Siedziałam, patrzyłam na nich i nie mogłam się nadziwić, że Karolina może być z tym facetem. Ona radosna, pogodna, a on posępny, poważny, nudny i smętny. On też mi się wtedy przyglądał.

Robił to nachalnie i otwarcie. Pewnie szufladkował mnie i oceniał, tworzył mój portret psychologiczny, próbował dopiąć mi łątkę jakiegoś psychicznego odchylenia. On jest psychoterapeutą – powiedziała z obrzydzeniem. – Pojeb totalny – dodała jednym tchem. – Człowiek, który próbuje naprawić życie innych, a sam sobie i swoim najbliższym stwarza koszmar. Ponoć w swoim fachu jest doskonały. Stosuje niekonwencjonalne metody leczenia. Ma duże grono uwielbiających go pacjentów i chyba równie spore zagorzałych wrogów. Jego własne życie przypomina szambo. Chcąc zrozumieć swoich pacjentów i im pomóc, upodabnia się do nich. Raz ćpa, raz pije, innym razem próbuje zobaczyć, jak się czuje ktoś, kto podjął próbę samobójstwa, zażywając całe opakowanie psychotropów... Życie z nim to nieustanna huśtawka, raz w górę, raz w dół i znowu, i znowu. Można się zrygać od patrzenia na to, a co dopiero, kiedy się siedzi tuż obok niego na tej rozkołysanej huśtawce. Karo raz czuła się jak dziewczyna narkomana, innym razem jak ukochana alkoholika, kiedy indziej jak wybranka niedoszłego samobójcy... – Francesca zamilkła na chwilę, chyba tylko po to, żeby nabrać powietrza. Wykorzystałem to.

– Makabra – rzuciłem pod nosem.

– Kompletna makabra. Facet ją oszukiwał, zwodził i kłamał. Wszystko w imię dobra Karoliny i jego pacjentów. Wierzyła mu, wybaczała i wciąż miała nadzieję, że on się zmieni.

– I co? Nie zmienił się? – wszedłem jej w słowo.

– Nie zmienił się, niestety. Myślę, że nawet nie chciał się zmienić... Karolina zadzwoniła do mnie parę miesięcy później, kiedy przyjechała na plener do Toskanii. Mówiła, że przyjechała sama, bo Wojtek ma mnóstwo pracy, nie może sobie pozwolić na urlop, musi zostać w Polsce. Okłamał ją, został, żeby pić na umór i przeżyć delirium.

– Jakiś popaprany – mruknąłem.

– Popaprany? – Francesca wyduła usta w grymasie obrzydzenia. – Po prostu kompletny głupek, pojeb totalny.

– Ktoś powinien chronić pacjentów przed psychicznymi psychoterapeutami – wtrąciłem.

– Pomyśl, doprowadził się do delirium, bo miał właśnie takiego pacjenta i chciał go za wszelką cenę zrozumieć. On zawsze był gotów zrobić wszystko dla tych swoich pacjentów. Ci obcy ludzie byli dla niego najważniejsi. Zapomniał o Karo. Ona na te kilka dni przestała dla niego istnieć. Liczył się tylko ten obcy człowiek, któremu chciał pomóc. Już nie pamiętam, jak to się stało, że Karolina domyśliła się wszystkiego. Pojechała autostopem do Polski. Tak było najprędzej. Rzuciła wszystko i pojechała ratować tego durnia.

– I co? Uratowała?

– Kiedy dojechała do domu, ten kretyń miał już halucynacje. Myślał, że

stojąca w drzwiach mieszkania Karolina to jakaś koszmarna mara, która przybrała jej postać. W amoku rzucił w nią butelką. Trafił Karo w głowę. Miała wstrząs mózgu. Spędziła parę dni w szpitalu. Ten pojeb, przewracając się na stos potłuczonych butelek, przeciął sobie tętnicę szkłem sterczącym z denka rozbitej butelki. Szkoda, że nie umarł. Byłoby na świecie o jednego idiotę mniej – złorzeczyła. – Beznadzieja. Kompletny głupek. – Francesca mówiła coraz szybciej, z minuty na minutę napędzała się coraz bardziej. Nie cierpiała tamtego faceta. Ja też go już nie lubiłem.

– Byli razem prawie rok – opowiadała dalej Francesca. – Poznali się na jej wystawie. On przyjaźnił się z tym facetem, z którym Karo tworzy swoje wystawy. Nie wiem, jak Karolina mogła to wytrzymać... Po tej historii z delirium się rozstali. Ona wróciła do Toskanii. Postanowiła tu zostać. – Francesca niespodziewanie zamilkła.

„Ależ kretyn – pomyślałem o tamtym. – Tak głupio ją stracił. Zapewne żałuje. Ja bym żałował”. Francesca milczała. Nareszcie zamiast jej jazgotu mogłem usłyszeć własne myśli. Karolina ma w sobie coś, co we mnie wypaliło się już dawno, a może nigdy tego nie miałem. Jest ufna, otwarta, przyjazna. Jest ciepła, można się przy niej ogrzać. Zachowuje się spontanicznie. Nie ma w niej nic ze sztuczności, pozy i wystudiowanych ruchów Franceski. Brudne od kredy ręce, zastygłe krople farby na przedramionach, pył uliczny na spodniach w okolicy kolan, dwie jaskółki na lewym ramieniu, opadające na twarz rozjaśnione wiosennym słońcem włosy, chusta z wplecionymi w nitki kolorowymi motylami z filcu narzucona na ramiona... Podświadomie zapamiętałem każdy jej uśmiech i każde spojrzenie. Szkoda, że nie spotkałem jej wcześniej.

– Ona potrzebuje pieniędzy – przebił się do mojej świadomości głos Franceski. – Nie da się żyć bez kasy. Porozmawiam z Albertem.

To nie był dobry pomysł. Wiedziałem to od początku, ale przestałem walczyć z Francescą. Myśl, że będę widywał codziennie Karolinę, na chwilę przyćmiła zdrowy rozsądek.

– Spodobała ci się – stwierdziła niespodziewanie Francesca. – Widziałam, jak na nią patrzysz – dodała obojętnie. – Nie odrywałeś od niej wzroku. Z minuty na minutę patrzyłeś coraz bardziej zachłannie.

Nie zaprzeczyłem, bo i po co. Karolina zauroczyła mnie, zaskoczyła, zdziwiła, sprawiła, że serce zabiło mi nagle mocniej. „Ona i my – pomyślałem – to jak dwa różne światy, które nigdy nie powinny być się spotkać, jak biel i czerń, marzenia i twarda rzeczywistość, dobro i zło...” Karolina jest jak ptak szybujący w przestworzach. Na lewym ramieniu ma niewielki tatuaż. Spostrzegłem go od razu. Opalone ramię kontrastowało z bielą koronkowej bluzki. Na ramieniu

zobaczyłem te dwie szybujące jaskółki. Ponoć jaskółki tworzą pary na całe życie. Czyżby ten tatuaż był jej ukrytym marzeniem? Karo jest pogodna, radosna, bezpośrednia, ufna. Pod każdym względem inna niż Franci, która bywa zimna, wyrachowana, samolubna, egoistyczna. Pojechaliśmy razem z Francescą do Alberta. Chciała go przekonać do swojego pomysłu, sprzedać mu go, uzyskać jego akceptację. Pragnęła ugrać przy okazji jak najwięcej dla siebie i choć trochę dla Karoliny. Chciała kuć żelazo, póki gorące, pragnęła nadać wszystkiemu właściwy bieg, sobie przypisać zasługi. Drażniła i prowokowała. Usiadła w fotelu naprzeciw Alberta, założyła nogę na nogę, niby przypadkiem odsłoniła opalone uda. Nagle jej nogi wydały się jeszcze dłuższe. Niby próbowała obciągnąć sukienkę, niby chciała się poprawić w fotelu, niby zupełnie przypadkiem mignął rąbek bielizny... Alberto nie odrywał od niej oczu. Jego wzrok przesuwiał się po jej nogach, zatrzymał się odrobinę dłużej w miejscu, gdzie mignęła przed chwilą czarna koronkowa bielizna. Następnie powędrował wyżej, w kierunku rozchylonego dekoltu sukienki, zawisł w tym miejscu na parę sekund, prześlizgnął się po szyi i spoczął na jej jaskrawo pomalowanych ustach. Tu jego wzrok się zatrzymał. Te usta zaczęły go kusić. Przełknął parę razy nerwowo ślinę. Odruchowo oblizał wargi. Czułem, że zacząłem im przeszkadzać.

– To może ja już pójdę. – Podniosłem się z krzesła.

– Siadaj! – warknął Accardi. – To spotkanie w interesach. Będziesz jeszcze potrzebny.

Wstał gwałtownie i stanął przy oknie. Odwrócił się do nas tyłem. Wbił wzrok w zieleń swojego ogrodu.

– Słucham – powiedział chłodno. – Ponoć masz, Francesca, jakiś pomysł.

– Mam kogoś, kto potrafi stworzyć ilustracje do przewodnika. Mogłyby się one pojawić obok zdjęć Enrica. Dziewczyna świetnie maluje. Jej rysunki i akwarele są doskonałe. Mają niepowtarzalny, ciepły klimat. Ta dziewczyna przed paroma miesiącami przyjechała do Toskanii. Skończyła przed dwoma laty akademię sztuk pięknych...

– Ty też skończyłaś akademię – przerwał jej chłodno Alberto. – Z tego, co pamiętam, to studiowałaś na wydziale malarstwa. Dlaczego się tego nie podejmiesz?

– Ja? Chyba żartujesz! – fuknęła w stronę jego pleców. – Ona ma talent. To wyjątkowo rzadki dar. Nie zastąpią go lata żmudnych ćwiczeń. Ja go nie posiadam. Pod tym względem jest ode mnie lepsza... – Zabrzmiało to dwuznacznie. Zapewne właśnie tak miało zabrzmieć. Ta dwuznaczność miała podkreślać, że pod każdym innym względem Francesca jest od Karoliny lepsza.

– Talent? – roześmiał się Alberto. – Na talent mnie nie stać – burknął. – Tu potrzeba kogoś, kto machnie parę słodkich pejzaży. Do tego nie potrzeba specjalnego talentu... Wystarczy dobry rzemieślnik. Tu nie chodzi o wielką

sztukę...

– Nie rozumiesz – przerwała mu Francesca. – Ta mała jest świetna. Jest świeża, naiwna, radosna... Jej akwarelki tryskają wprost radością. One są jak świat widziany oczami szczęśliwego, ufnego dziecka.

– Szczęśliwego dziecka? – powtórzył niepewnie.

– No właśnie! Z jednej strony świat widziany oczami ufnego dziecka, a z drugiej niesamowite umiejętności. Na pewno spodobały ci się jej prace... To będzie idealne uzupełnienie przewodnika – roztaczała przed nim swoje wizje. – Tylko pomyśl, teksty Enrica i jego zdjęcia, które wieją realizmem i chłodem, a obok ciepłe akwarele, świetne rysunki i szkice. Trochę jak marzenie, jak przepiękny i niepowtarzalny sen o Toskanii. Coś jak powiew świeżego powietrza z zewnątrz, jak wiosna...

– Mówisz, jak powiew świeżego powietrza... – Odwrócił się do niej. Omiótł ją spojrzeniem. Zatrzymał wzrok na jej biuście. – Musisz mnie przekonać.

– Z chęcią – odparła niejednoznacznie. – Na początek pokażę ci jej prace.

Wyjęła z torby parę akwarelek Karoliny. Wiedziałem, że mu się spodobały. One spodobały się każdemu, nawet szui. Wziął jedną z nich do ręki, zaczął się przyglądać, odłożył ją po chwili. Sięgnął po następną, później po kolejną i po kolejną. Ułożył je na biurku i przypatrywał im się uważnie z dziwnym wyrazem twarzy. Usiadł i się zamyślił. Milczenie się przedłużało. Francesca nie spuszczała z niego wzroku.

– Ile? – spytał po chwili.

– No, nie wiem – wycedziła powoli Francesca. – Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym... Myślę, że minimum pięć procent za znalezienie tej małej. Przekonam ją gratis. Sądzę, że to nie jest wygórowana cena...

– Ja nie pytam, ile ty chcesz zarobić – przerwał jej chłodno Alberto. – Pytam, ile trzeba będzie zapłacić tej dziewczynie.

– Niewiele – powiedziała szybko Francesca. – Nawet tego nie odczujesz. Ona ma małe potrzeby.

Podniósł wzrok znad akwarelek i spojrzał uważnie na Franci.

– Ile? – zapytał głośniej.

– Zaraz policzę. Za mieszkanie płaci czterysta euro, spłaca raty za samochód. Wspominała mi, że te raty to około dwustu euro miesięcznie. W sumie daje to sześćset euro. Ona przygotowuje profesjonalną wystawę. Na to też potrzebuje kasy...

– Ile? – przerwał jej gwałtownie.

– Powiedzmy, że na rękę dwa tysiące miesięcznie.

– Dwa tysiące? – spytał z niedowierzaniem. Zamrugął ze zdziwienia oczami.

Dziwny grymas przebiegł po jego twarzy. – Chyba żartujesz – wysapał.

– Nie da się zejść niżej – broniła się Francesca. – Sam rozumiesz. Ona

prawie tyle samo zarabia, malując na ulicach Florencji... Zapewne bywają miesiące, kiedy zarabia znacznie więcej.

– Dwa tysiące? – zapytał.

– Myślę, że muszą to być dwa tysiące. Inaczej nie zdołam jej przekonać.

– Więcej płacę dziewczynie, która sprząta moje mieszkanie, gotuje i robi zakupy – powiedział Accardi. – Mówisz, że ta dziewczyna będzie robiła ilustracje do przewodnika za tak śmiesznie małe pieniądze?

– Karo nie jest wymagająca. – Zabrzmiało to lekceważąco.

– Dwa tysiące... – mruzczał pod nosem. – Jak można wyżyć w Toskanii za dwa tysiące euro miesięcznie? Są jeszcze ludzie, którzy potrafią żyć za tak małe pieniądze? – pytał z niedowierzaniem.

– Są jeszcze tak zwane koszty. Trzeba do tego doliczyć koszty benzyny, materiałów, ewentualnych noclegów... – wtrąciłem.

Odwrócili się gwałtownie w moją stronę. Chyba na chwilę zapomnieli, że ja tu jeszcze jestem. Oboje spojrzeli na mnie z nieukrywaną niechęcią.

– Chciałem wyjść – rzuciłem w kierunku Franci. – To Alberto prosił, żebym został.

– Nie przeszkadzaj! Nie wtrącaj się! – warknęła. – Nikt cię nie pytał o zdanie! To sprawa pomiędzy mną i Albertem. Ty tutaj nie masz nic do gadania – syczała. Przymrużyła oczy. Wydeła wargi. Była wściekła, że cokolwiek mówię, że jeszcze się nie wyniosłem. – Tu rządzi Alberto.

Przeniosła wzrok na Alberta. Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Czekwała.

– Umów mnie z tą dziewczyną! – powiedział Accardi. – Możesz jej powiedzieć, że moje ostatnie zdanie to dwa tysiące plus koszty. Koszty będą wypłacane po przedłożeniu rachunków.

Francesca i Alberto pasowali do siebie idealnie. Dobrali się jak w korcu maku. Dwoje ludzi, którzy nie mieli ani skrupułów, ani sentymentów, nie liczyli się z nikim i z niczym. Dwie kanalie. Już załatwili wszystko, już ustalili szczegóły, już myśleli tylko o tym, jak najszybciej dotrzeć do sypialni. Wstałem pospiesznie i ruszyłem do wyjścia. Nie spojrzeli nawet w moją stronę. Francesca patrzyła już tylko na Alberta. Wszystko inne przestało się dla niej liczyć. Nie odrywała od niego wzroku. Rysy jej twarzy złagodniały, po twarzy błąkał się uśmiech. Kokietowała go każdym ruchem, obiecywała i nęciła, podniecała go z minuty na minutę coraz bardziej. On omiatał ją raz po raz wzrokiem, pieścił spojrzeniami. Oboje czekali już tylko na to, kiedy wyjdę. Pisałem kiedyś artykuł o bogatych tatusiach na wakacje i młodych dziewczynach. Zbulwersowałem tym artykułem połowę drobnomieszczańskich czytelników naszej gazety. Jakaś starsza kobieta postulowała, żeby mnie wyrzucić z wydawnictwa za obrazę moralności. Chciała mnie usunąć z gazety za prawdę. To był wywiad z dziewiętnastolatką. Parę

szybkich numerków, parę czułych pocałunków, parę namiętnych nocy, udawanych orgazmów i czułych pieszczot w zamian za krótkotrwały sen o bogactwie. Tu było podobnie. Francesca jest czterdzieści lat młodsza od Alberta, śpi z nim w zamian za ulotne wrażenie, że jego majątek jest w zasięgu jej ręki, że choć przez chwilę może się pławić w otaczającym go luksusie. W sumie sam tego chciałem. Wszystko poszło po mojej myśli. Nie żałuję.

Alberto zaproponował Karolinie pracę. Karo się zgodziła i tak zaczęliśmy pracować razem. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień podobała mi się coraz bardziej. Była antidotum na moją nienawiść, złość i chęć zemsty. Wracalem do domu, siadałem w fotelu, zamykałem oczy i nie widziałem już twarzy szantażowanych przeze mnie ludzi, nie widziałem zaciśniętych zębów ani nienawistnych spojrzeń, dłoni zamkniętych w pięści, tylko twarz Karoliny. Nie słyszałem pogroźek, tylko ciepły głos Karo. Zasypiałem z widokiem Karoliny pod powiekami, śniłem o niej, wstawałem rano z nadzieją, że ją spotkam. W snach widziałem tylko Karolinę. Śniła mi się stojąca przy sztalugach, malująca kredą na chodniku, szkicująca portret dziewczyny... Widziałem ją, jak chwyta w dłonie motyle na łące, jak dzieli się bułką z beżpańskim psem, jak jeździ konno. Miałem koszmarną pracę, coraz bardziej zanurzałem się w bagno. Sam siebie zacząłem przerażać. Do niedawna uważałem, że cel uświęca środki, a teraz zaczynałem myśleć inaczej. Lekarstwem na całe zło była Karolina. Spokojna, uśmiechnięta, ciepła, roześmiana i niczego nieświadoma... Dla niej tworzyliśmy najzwyczajniejszy na świecie przewodnik. Żałowałem, że to nie było prawdą. Może gdybym spotkał ją wcześniej? Może gdybym nie rozpoczął tej swojej krucjaty, stworzylibyśmy we dwoje niepowtarzalny przewodnik po Toskanii? Jej akwarelki, rysunki i szkice, moje zdjęcia, opowiadki i historie. To byłby przewodnik pełen barw, muzyki i zapachów, bo Toskania jest pełna kolorów, dźwięków i woni. Przewodnik mógłby mieć tytuł *Toskania oczami Karoliny* albo *Zaczarowana Toskania*, a może *Toskania, którą pokazała mi Karolina*... Zresztą nieważne, jak brzmiałby ten tytuł, bo i tak jest już na to za późno. Uczestniczyliśmy w tworzeniu mistyfikacji. Z dnia na dzień zanurzaliśmy się w to gówno coraz bardziej. Karo brała nieświadomie udział w tworzeniu narzędzia wyłudzenia pieniędzy, zbierania dowodów i wymierzania sprawiedliwości. Na razie byłem na etapie szantażu i wyłudzenia pieniędzy, o wymierzaniu sprawiedliwości mogłem w tej chwili tylko marzyć. Dzień po dniu wybierałem kolejną osobę z mojej listy. Każdego dnia dowadywałem się, ile kosztuje milczenie w przypadku zabójstwa, gwałtu, sutenerstwa, pedofilii... Powoli powstawał szokujący, przerażający cennik. Każdego dnia rosła liczba moich wrogów i każdego dnia coraz bardziej uzależniałem się od Karoliny. Uzależniałem się od jej sposobu bycia, uśmiechu,

pogody ducha, barwy głosu... Kochałem się z Francescą i miałem wrażenie, że zdradzam Karolinę. Jak można zdradzać kogoś, z kim się nie jest? Z czasem pomyślałem, że sypiając z Franci, zdradzam samego siebie.

– O kim myślisz, kiedy się ze mną kochasz? – spytała kiedyś niespodziewanie Francesca.

Właśnie chwilę wcześniej opadłem na łóżko. Poczułem się rozprężony. Jeszcze szybko biło mi serce. Ciało miałem lepkie od potu. Czułem tylko zmęczenie. Chciałem na chwilę zasnąć. Nie myślałem o niczym. W każdym razie to nie były myśli, którymi chciałbym się podzielić z Francescą.

– O kim myślałeś przed chwilą? – powtórzyła.

Nie odepchnęła mnie. Nie odsunęła się. Jej ręka, jak przed chwilą, wędrowała po moim ciele. Poczułem na szyi ciepło jej oddechu. Dotknęła językiem mojego ucha. Zaczęła je pieścić wargami. Dreszcz przebiegł mi po ciele. Wiedziała, że to lubię. Znała każdy wrażliwy punkt na moim ciele. Potrafiła pieścić, wzbudzać rozkosz, podniecać, powodować, że pożądanie narastało do granic bólu, że zapomniałem o wszystkim i chciałem się z nią kochać. Dziś już nie chciałem. Jej pieszczoty zaczęły mnie nagle drażnić.

– O kim myślałeś przed chwilą? – szepnęła mi prosto do ucha.

– O nikim. – Mój głos zadudnił po pokoju.

– Czemu krzyczysz? – spytała. – Szepnij mi to do ucha. Lubię czuć na szyi twój oddech. Twój oddech podnieca. O kim myślałeś?

– O nikim – powtórzyłem szeptem.

– Myślałam, że o mnie. – Udała zaskoczenie.

– O tobie myśli Alberto. To ci musi wystarczyć – powiedziałem cicho.

– To nie jest w porządku...

– Co jest nie w porządku? – spytałem zdziwiony. – Wszystko jest tak jak zawsze. Tak samo od naszego pierwszego razu. Mieliśmy się kochać. Nic więcej. Pasujemy do siebie w łóżku. Dobrze nam razem. Nie umawialiśmy się na nic więcej. Od czasu do czasu sypiamy z sobą. I tak jest dobrze. Żadne z nas nie oczekuje niczego więcej.

– To mi nie wystarczy – szepnęła. – Chcę więcej. Chociaż na tę chwilę chcę też twoich myśli.

– Ty też o mnie nie myślisz. – Odsunąłem się. Na moment uwolniłem się od bliskości jej ciała. Poczułem się lepiej. Nie miałem już ochoty się kochać. Chciałem iść do siebie. Marzyła mi się miękkość mojego łóżka i przytulność mojej pościeli, cicha muzyka, przyjazna ciemność.

– Nie myślę o tobie? A o kim? – przekomarzała się ze mną.

– O Albercie, o jakimś dupku z windy, o jakimś palancie z metra, o Paolu...

– Przecież nie jesteś zazdrosny. – Chciała, bym zaprzeczył.

– Oczywiście, że nie jestem – potwierdziłem spokojnie. – Czemu miałbym

być zazdrosny? Widocznie jakoś tam do siebie pasujecie. Nie moja sprawa, zapewne jest ci z nim dobrze. Są ludzie, którzy piją razem kawę, są ludzie, którzy lubią wspólnie pomilczeć, są tacy, którzy z sobą sypiają. Sypiasz z wieloma. Mogę się tobą dzielić. O żadnego z nich nie jestem zazdrosny – mówiłem obojętnym głosem. – Każdy z nich jest inny. Ty potrzebujesz do życia różnorodności, monotonia cię męczy. Ostatnio kochałaś się w windzie z nieznajomym. Kiedyś na moich oczach dawałaś się obmacywać w metrze, bo to było twoim zdaniem cudownie szalone. Zwariowałbym, gdybym był zazdrosny. Nie jestem. O tego faceta z windy też nie jestem zazdrosny, chociaż to było zaskakujące. Musiałaś być bardzo podniecona, nieznany facet zatrzymuje windę pomiędzy piętrami, podciąga ci do góry spódnicę, rozpiną spodnie. Szybki numer jak za szkolnych czasów, gdzieś w bursie w ubikacji. Później uruchamia windę i piętro wyżej wysiada. W sumie idiotyczne, a ty się tym podniecałaś, kochając się ze mną.

– O nikogo nie jesteś zazdrosny? – spytała rozczarowana.

– O nikogo.

– A o Alberta?

– O Alberta? O niego nie jestem zupełnie zazdrosny. To podstarzały facet, niewiele już może. Długo się zbiera, zanim się podnieci. Jeden numer wystarcza mu na dwa tygodnie, a i tak towarzyszy mu lęk, że serce stanie mu szybciej niż penis – mówiłem powoli, gdzieś podświadomie bawiąc się każdym wypowiedzianym słowem. – Zupełnie nie jestem zazdrosny o Alberta.

– Chyba żartujesz! O niego powinieneś być zazdrosny. Alberto to coś zupełnie innego. On ma coś wyjątkowego, coś zupełnie innego niż wszyscy...

– Ma pieniądze – przerwałem jej. – To jeden z najsilniej działających afrodyzjaków. Podnieca prawie wszystkich...

Usiadłem. Zapaliłem lampkę. Rozejrzałem się za swoimi ubraniami. Koszula leżała tuż przy łóżku, upstrzona czerwonymi plamami wina, które Francesca przez przypadek wylała. Spodnie były przerzucone przez oparcie krzesła. Buty stały gdzieś w pół drogi pomiędzy stołem a drzwiami. Kurtka wisiała na kłamec.

– Zbieram się do siebie – oznajmiłem chłodno.

– Już? Chyba żartujesz. – Zamrugała pospiesznie powiekami. – Jutro możemy dłużej pospać, bo przecież dopiero po południu jedziesz do Florencji. Ja zrobię sobie jutro wolne. Całe przedpołudnie spędzimy w łóżku, będziemy się kochać i kochać bez końca. Nie możesz mnie zostawić. Nie będę mogła teraz zasnąć... – dodała pospiesznie, widząc, że wstaje.

– Jestem zmęczony – powiedziałem oględnie.

– Ty zmęczony? – spytała z niedowierzaniem. – To coś zupełnie nowego. Nic nie szkodzi – dodała. – Ja będę cię kochać...

– Idę do domu – przerwałem jej. – Chcę się wyspać.

Oparła się plecami o ścianę i zaczęła mi się uważnie przyglądać. Patrzyła

spokojnie, jak wciągam spodnie, zapinam koszulę, wkładam buty, narzucam kurtkę. Byłem już przy drzwiach, kiedy usłyszałem jej głos za swoimi plecami.

– Masz ochotę na Karolinę. Zapomnij! – zasyczała. – Zestarzejesz się, zanim zaciągniesz ją do łóżka. Ona ma inny temperament. Ona nie jest mną, nie prześpi się z tobą dla czystej rozkoszy. Zasady, uczucia, obietnice, emocje... Całe to gówno, które cię tylko ograniczy i po którym już nie będziesz miał ani siły, ani ochoty się kochać.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pisałem przewodnik, robiłem zdjęcia, szantażowałem ludzi z mojej listy. Alberto stawał się coraz bardziej pazerny. Francesca coraz bardziej zainteresowana majątkiem Alberta. Karolina malowała cudowne akwarelki, niczego nieświadoma. Pozornie miałem wszystko pod kontrolą. Wszystko z wyjątkiem własnych emocji, a właściwie z wyjątkiem własnych emocji i Karoliny. Z dnia na dzień bałem się o nią coraz bardziej. Jej nie dawało się kontrolować, była wolna i niezależna, realizowała własne plany. Jej plany rzadko pokrywały się z moimi.

– Spróbujmy czasem robić coś razem – zagadałem, kiedy wracaliśmy z Florencji. – Możemy na przykład zdjęcia z Ogrodów Boboli połączyć z twoimi rysunkami z tej części Florencji. Dodam do tego jakąś mało znaną historię, parę reklam hoteli, restauracji i klubów położonych w tej części miasta. Powstanie jakiś spójny fragment, coś pchniemy do przodu. Będzie co pokazać Albertowi...

– Tak się nie da – zaczęła się nagle bronić. – Chyba nie znasz się na sztuce... Na sztuce jak na sztuce. – Uśmiechnęła się. – Na artystach...

Zamilkła. Wydawało się, że uważa sprawę za załatwioną.

– Dlaczego, twoim zdaniem, nie znam się na artystach?

– To wolni ludzie. Tworzą zależnie od chwili, nastroju, od emocji, od światła... Nie da się powiedzieć: idź i twórz! Nic z tego nie będzie – tłumaczyła mi. – Najgorsze prace robiłam na studiach, kiedy czas tworzenia był ściśle określony, zamknięty, a temat narzucony odgórnie. „Dzisiaj malujemy studium martwej natury złożonej z jabłka, wazonu, zrobionej szydełkiem serwety i pawiego pióra”. – Naśladowała głos jakiegoś wykładowcy sprzed lat. – Pamiętam, stałam przy sztalugach i nie byłam w stanie wziąć pędzla do ręki. Serweta wisiała beznadziejnie, jabłko wyglądało na kwaśne, wazon pasował do tego jak pięść do nosa, a pawie pióro budziło we mnie tylko nieuzasadnione obrzydzenie. Zmuszona stworzyłam coś, co trudno byłoby nazwać dziełem. Powstała mierna praca, którą po powrocie do domu wrzuciłam do kubła na śmieci. Parę tygodni później jeszcze raz to namalowałam. Moja martwa natura musiała we mnie dojrzeć, wpasować się w moje wnętrze. Musiałam na nią znaleźć odpowiedni czas i odpowiedni nastrój. Ten obraz namalowany parę tygodni później był najlepszą pracą na roku. Do dziś

wisi na korytarzu w dziekanacie naszej akademii. Ta praca wymagała czasu, nastroju, przemyślenia, odpowiedniej chwili, pasujących emocji, wyobraźni... Rozumiesz?

– Staram się zrozumieć – powiedziałem bez przekonania. Pomyślałem, że to prawda, że nie znam się na artystach i mam mierne pojęcie o sztuce.

– Każdy obraz jest inny – opowiadała Karolina. – Zależny od nastroju, od chwili, od emocji, od światła... Muszę to, co maluję, czuć całą sobą. Nie potrafię malować pod dyktando. Maluję to, co danego dnia pasuje do mojego wnętrza, jest zgodne z moim nastrojem, współgra z moimi emocjami. Tylko wtedy powstanie coś ciekawego, coś godnego uwagi, coś, czego nie będę musiała się później wstydić. W każdej akwarelce jest cząstka mnie samej. Rozumiesz?

– Staram się – mruknąłem pod nosem.

– Zaraz zrozumiesz – mówiła podekscytowana. – Na przykład wczoraj pojechałam przed południem do Certaldo Alto z postanowieniem, że muszę namalować coś ciepłego. Pomyślałam sobie, że przecież w końcu życie w Toskanii przypomina sielankę, jest niczym niezmacone, beztroskie, pogodne i spokojne. Przynajmniej tak myśli większość tych, którzy wybierają się na wakacje do Toskanii, a w końcu dla nich ma być ten nasz przewodnik. Postanowiłam namalować drogę Via Boccaccio widzianą z murów zamku. Znasz ten widok?

– Oczywiście, że znam.

– To zaraz wszystko zrozumiesz – ucieszyła się. – Bardzo lubię ten widok. Jest tak niedzisiejszy i nierealny, że aż wydaje się teatralny i sztuczny. Tak jakby czas nabral in nego wymiaru i raptem w tym miejscu się zatrzymał, jakby to miejsce jakimś cudem było wyjęte z pędzącej codzienności. Ciche, spokojne, zadumane. Chyba nic się tutaj nie zmieniło od czasów Boccaccia. Miasteczko sprawiało wczoraj wrażenie zatopionego w półśnie. Wszystko toczyło się statecznie i powoli, jakby rozleniwione wiosennym słońcem i lekkimi powiewami wiatru. Zamknij oczy i spróbuj to sobie wyobrazić!

– Może później. Prowadzę samochód.

– To tylko słuchaj... Wczoraj było tam wyjątkowo spokojnie. Jakiś kudłaty pies rozłożył się w poprzek drogi i drzemał. Jakaś para zatrzymała się przy studni. Starsza kobieta siedziała na bujanym fotelu przed wejściem do swojego domu. Młody mężczyzna czytał gazetę, siedząc na schodach prowadzących do zamku. Raptem czas przestał się spieszyć. Nawet we mnie wszystko zwolniło. Serce też zaczęło bić spokojniej, rozważniej i wolniej. Stałam się cząstką tego leniwego wiosennego przedpołudnia. Rozstawiłam sztalugi. Zaczęłam malować...

Zatrzymałam się na poboczu drogi. Wyłączyłam silnik. Zamknąłem oczy. Spróbowałem nie koncentrować się na ciepłe jej głosu, tylko na tym, co mówi, nie na jej bliskości, lecz na sztuce. Ja też w końcu lubię Certaldo Alto.

– Postanowiłam namalować Certaldo Alto tak, jak czułam i widziałam je

wczoraj. Leniwe, spokojne, rozgrzane promieniami wiosennego słońca... Na namalowanej akwareli Via Boccaccio biegnie w dół, ograniczona z obu stron domami z czerwonej cegły, pamiętającymi jeszcze średniowiecze. Domy mają małe okna, ciężkie drewniane okiennice i potężne bramy. Gdzieś z okien zwisają pelargonie, zza załamów murów wychylają się oleandry. Nielogiczne połączenie średniowiecznej surowości ze współczesnym uwielbieniem dla ozdobnych roślin...

Karolina opowiadała, a ja słuchałem. Mógłbym tak siedzieć i słuchać jej bez końca.

– Śpisz? – zapytała.

– Nie śpię. Siedzę i słucham. Próbuję zrozumieć. Mów dalej.

– Na początku drogi, tuż przy zamku, po jej lewej stronie, nad okrągłymi łukami drzwi i okien wznosi się szeroki taras zdobny w wylewające się z donic karminowe pelargonie. Nieco dalej, po prawej stronie, studnia z czerwonej cegły z dachem krytym dachówką, tonąca w gąszczu wiszących pelargonii intensywnie cyklamenu koloru. Tuż obok studni ktoś ustawił w pękatej drewnianej donicy okazały oleander. Zza studni wylania się figowiec, a tuż obok niego wyrasta drzewko oliwne. Gdzieś w oddali, na końcu drogi, rozpościera się widok na zielone tokańskie pagórki znaczone jasnozielonymi plamami winnic, srebrzystozielonymi gajami oliwnymi, zagonami czerwonych maków i rzędami wysmukłych cyprysów. Wszystko łagodne, lekko zamglone, jak coś nierealnego, jak marzenie, jak sen. Toskania. I nagle sobie pomyślałam, że Bóg musiał pochodzić z Toskanii. Bo skąd miałby pochodzić? Nazwałam ten obraz *Bóg pochodził z Toskanii*. Zrozumiałeś? Nastrój, miejsce, czas, światło, przygodni ludzie jak aktorzy grający w teatrze...

– Rozumiem.

– W takim razie już wiesz, dlaczego rzadko udaje nam się pracować razem – dokończyła niespodziewanie.

– Byłoby taniej – powiedziałem w akcie rozpacz. – Moglibyśmy jeździć wszędzie jednym samochodem...

– Chyba żartujesz? – Spojrzała na mnie rozczerowana. – Chodzi ci o pieniądze? – spytała z niedowierzaniem. – Ty ekonomię stawiasz ponad sztuką?!

Nie chodziło mi o ekonomię, nie obchodziły mnie koszty Alberta. Chodziło mi o nią, a właściwie o jej bezpieczeństwo. Nie wyszło i musiałem wymyślić coś innego. Wymyśliłem coś, co było szalone, co w pierwszej chwili wydało się pomysłem z piekła rodem. Postanowiłem uzależnić ją od siebie, zawrócić jej w głowie, spowodować, żeby mnie potrzebowała, żeby za mną tęskniła, pragnęła mojej obecności, żeby czekała na moje telefony, wypatrywała moich SMS-ów. Zaprosiłem ją na kolację. W pierwszej chwili była zaskoczona. Zauważyłem, że się zawahała. Zapewne poczuła się niezręcznie. Francesca była w Rzymie. Miała tam jakieś bardzo ważne spotkania dotyczące trendów w tegorocznej modzie.

Wydzwaniała do mnie cały dzień. Sądzę, że nie tylko do mnie, myślę, że do Karoliny również. Francesca wściekała się przez telefon. Narzekała na upał, hałas, korki, na stale spieszących się mieszkańców Rzymu i wyjące bez przerwy sygnały pędzących karetek. Złorzeczyła na obsługę w hotelu i zepsutą klimatyzację, na brud w metrze i psie gówna na ulicach, na setki bezdomnych kotów. Przeszkadzało jej wszystko. Ona nie cierpi dużych miast, czuje się w nich nieszczęśliwa i zagubiona. Uważa, że nawet kolory są tam inne – niewyraźne, rozmazane, jakby zamglone. Francesca jest typowym dzieckiem prowincji. Kocha ciszę, spokój, powoli, leniwie biegnący czas, małe grzeszki i lokalne intrygi... Dzisiaj w Rzymie czuła się wyjątkowo fatalnie. Może myślała, że do niej przyjadę. Był piątek, zaczynał się weekend, a ona musiała tam zostać jeszcze do niedzieli. Zresztą kto ją tam wie. Nikt nie nadaży za Francescą. Szła na kolację z jakimś angielskim projektantem mody. Twierdziła, że facet jest niesamowity, mają podobny gust, lubią taką samą kolorystykę. Mówiła, że być może, kiedy poznają się bliżej, stworzą wspólną kolekcję. Szła z jakimś dupkiem na kolację, żeby jakoś przeżyć ten straszny wieczór w tym koszmarnym mieście. Nie miałem ochoty jechać do Rzymu, choć ja lubię to miasto. Ma ono swój smak, swój klimat i swoisty urok. Tam rozmywa się granica między przeszłością a teraźniejszością, setki lat splatają się z sobą, tworząc niesamowitą atmosferę Wiecznego Miasta. W Rzymie wydarzyło się już tak wiele i może się wydarzyć wszystko. Mam mnóstwo ciepłych wspomnień związanych z tym miastem. Studiowałem w Rzymie. Lubię go, chętnie w nim bywam, nigdy mnie nie męczy. Mam tam znajomych i przyjaciół. Chętnie pojechałbym do Rzymu, ale nie do Franceski. Zaprosiłem Karo na kolację. Już wiele razy byliśmy razem na kolacji, z Francescą i sami, często padnięci po przepracowanym dniu kończyliśmy dzień wspólnym posiłkiem. Wypiliśmy już razem całe morze chianti, wiele nocy przegadaliśmy aż do świtu. Bywało, że żegnaliśmy się, staniając się na nogach z nadmiaru alkoholu i ze zmęczenia. Dzisiaj pracowaliśmy osobno. Ja szantażowałem jednego faceta we Florencji. Później dla poprawy samooceny zrobiłem parę ciekawych zdjęć. Ona miała malować winnicę niedaleko Podere Mezzastrada. Mówiła mi, że malowała rozpadającą się bramę, za którą zaczyna się aleja gęsto obsadzona drzewami. Konary drzew splatają się z sobą, tworząc zielony tunel nad ostro pnącą się ku górze kamienistą, pełną wybojów drogą. Ta aleja wygląda niesamowicie, jakby drzewa miały ramiona, którymi próbują się przyciągnąć i objąć. Zielony tunel wydał jej się czymś nadprzyrodzonym. Pracowała nad tym cały dzień. Ni to drzewa, ni to ludzie, i ta pnąca się ku górze, nie wiadomo dokąd i po co, przez nikogo już zapewne od dawna nieuczęszczana droga. Trochę jak alegoria ludzkiego życia. Opowiadała mi o tym radośnie, a ja miałem za sobą koszarne popołudnie. Szantażowałem faceta, a pięć minut później zobaczyłem, że ma niepełnosprawne dziecko. Wszedłem z jego gabinetu, trzasnąłem drzwiami i stanąłem oko w oko z kilkuletnim chłopcem na wózku

inwalidzkim. Mały patrzył na mnie niepewnie. Mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Oblał mnie zimny pot. Nagle pomyślałem przerażony, że on mógł słyszeć strzępy rozmowy toczącej się za zamkniętymi drzwiami. Poczułem się fatalnie, sam do siebie czułem obrzydzenie. Zadzwoiłem do Karo i zaprosiłem ją na kolację. Zgodziła się zapewne z ciekawości. Powiedziałem, że zabiorę ją w wyjątkowe miejsce. Tak naprawdę to chciałem z nią porozmawiać. Nie wiedziałem, na co mogę liczyć. Właściwie to nie liczyłem na nic. W ostatniej chwili się przebrałem. Zamiast dżinsów włożyłem lniane jasne spodnie, zamiast T-shirta niebieską koszulę, zamiast sportowych butów – półbuty. Nagle poczułem się jak przed laty, kiedy szedłem na pierwszą randkę. Wtedy wszystko wyglądało inaczej – pierwsze niepewne spojrzenia, pierwsze dotknięcia dłoni, ciche szepty, nieśmiałe pocałunki. Burza emocji zamiast zimnego, pozbawionego uczuć seksu. Moja dziewczyna zostawiła mnie, kiedy wylali mnie z pracy w policji. W sumie potem było mi już wszystko jedno... Zawiozłem Karolinę do Castello di Santa Maria Novella. Lubię to zamczysko, ma wyjątkową atmosferę. Zamek został wzniesiony na wzgórzu, z jego okien rozpościera się niesamowity widok na leżące w dole Fiano. Siedzieliśmy, jedliśmy, piliśmy, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Ona też ubrała się na ten wieczór inaczej niż zwykle – miejsce dżinsów i podkoszulka zajęła sukienka. Sukienka była chabrowa, miała odważny dekolt, odsłaniała ramiona, opinała się na biodrach, tańczyła rozkloszowanym dołem przy każdym kroku, kończyła się nad kolanami. Trampki zastąpiła sandałami na wysokim obcasie. Włosy, zwykle zawiązane z tyłu aksamitką, rozpuszczone opadały na ramiona. „Cóż za zaskakująca zmiana” – pomyślałem. Zacząłem się jej przyglądać. Początkowo tylko od czasu do czasu podnosiłem na nią wzrok. Potem patrzyłem coraz bardziej natarczywie, coraz odważniej i coraz bardziej nachalnie. Poczuli się niepewnie. Musiała czuć mój wzrok ślizgający się po jej twarzy, omiatający ramiona. Widziała moje spojrzenia, które zatrzymywały się odrobinę dłużej na dekolcie sukienki, kierowały się w dół, wędrowały po jej udach, ześlizgiwały się po nogach do bosych stóp wsuniętych w rzemyki sandałów. Początkowo ją to krępowało. Uciekała wzrokiem. Próbowwała przerywać ciszę rozmową. Zdziwiłem się, że z czasem serce zaczęło mi bić szybciej, wino coraz bardziej szumiało w głowie, z minuty na minutę było mi coraz bardziej gorąco. Nie przestawałem na nią patrzeć. W pewnym momencie ten wędrujący po jej ciele wzrok przestał jej przeszkadzać. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Zobaczyłem blask świec odbity w jej oczach. Zsunęła z nogi sandał. Dotknęła bosą stopą mojej nogi. Przesunęła ją w górę po moich spodniach. Teraz i ona nie odrywała ode mnie wzroku. Przygryzła lekko wargi, przymrużyła oczy, przechyliła na bok głowę i przesywała mnie na wylot wzrokiem. Pomyślałem, że Karolina jest piękna, zmysłowa, gorąca, nieprzewidywalna. Podobała mi się od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem. Budziła mój niepokój, rozpaliała zmysły, odwiedzała mnie

w snach, powodowała, że zaczynałem za czymś tęsknić, czegoś pragnąć. Światło świec odbijało się w jej oczach, ciepłe ogniki igrały jak szalone. Cień jej postaci wędrował po ścianie. Po jej twarzy błąkał się delikatny uśmiech. Nagle wydała mi się tajemnicza, wabiąca, zaskakująca i kusząca. Nie znałem wcześniej takiej Karoliny. A może ja jej w ogóle wcześniej nie znałem? Podniosła do ust kieliszek. Czerwona ciecz zachybotwała, omiotła ścianki naczynia, wydawała się lepka. Wypiła łyk wina, później jeszcze jeden i jeszcze jeden. Mnie też już szumiało w głowie. Zrobiło mi się jeszcze cieplej, jeszcze bardziej gorąco. Serce zabiło szybciej i jeszcze mocniej. Nie mogłem oderwać wzroku od Karo, nie potrafiłem przestać na nią patrzeć. „Mocne jest to chianti – pomyślałem. – Jest jak nasza Toskania: szumi w głowie, przyspiesza tętno, zniewala i rzuca na kolana. Powoduje, że człowiek zaczyna marzyć o rzeczach, o których marzyć mu nie wolno”. Złapałem się na tym, że moja dłoń spoczywa na jej ręce. Podniosłem do ust jej dłoń. Przesunęła palcem po moich wargach. Musnąłem językiem opuszki jej palców. Spodobała jej się ta pieśczość. Cofnęła rękę. Zanurzyła palec w winie. Dotknęła nim moich ust. Dreszcz przebiegł mi po całym ciele. „Co ja wyczyniam, do cholery?! – próbowałem w myślach zdyscyplinować sam siebie. – Gdzie się podziały dystans i profesjonalizm?” Chciałem ją uzależnić od siebie, a to ja z minuty na minutę uzależniałem się coraz bardziej od niej. To miało wyglądać zupełnie inaczej. To miała być czysta, niezaburzona emocjami zmysłowość. Coś, co uzależnia, lecz nie ogłupia, nie powoduje lęku, nie zaburza logicznego rozumowania, nie absorbuje myśli. Chwile rozkoszy bez konsekwencji. Pragnąłem jej z minuty na minutę coraz bardziej. „Co ja wyczyniam, do cholery? – pomyślałem. – Przeklęte chianti. Dziwny wieczór”. Nie chciałem się już kontrolować. Położyłem na stole klucz. Nie poczuła się urażona, nie udawała oburzonej, nie grała niedostępnej. Ucieszyłem się. Czyżby czytała w moich myślach? Wyzwolona, jak ja jestem wyzwolony. Pracujemy razem, a zupełnie się nie znamy. Na co dzień wydawała mi się niedostępna. Spojrzała na mnie, później na klucz. Jeszcze jeden łyk chianti i jeszcze jeden... To ona pierwsza wstała od stołu. Świat zawirował dookoła. Serce zabiło mi jeszcze mocniej. Ruszyła ku wyjściu z sali. Już w windzie zaczęliśmy się kochać. Na moment splotły się nasze dłonie, po czym zaczęły wędrować po naszych ciałach, coraz odważniej, coraz bardziej bezwstydnie, coraz drapieżniej.

– Czy kochałaś się już kiedyś w zamku? – spytałem cicho.

Nie, nie kochała się nigdy w średniowiecznym zamku, nie kochała w zatrzymanej pomiędzy piętrami windzie, nie kochała na tarasie... Nie kochała się bez miłości. To wszystko dla niej było po raz pierwszy. I ja też miałem wrażenie, że robię to po raz pierwszy.

Wojtek, sześć miesięcy wcześniej 1

*

Inspektor Roberto Brossi zaprosił nas do gabinetu. Uważnym wzrokiem obrzucił Karolinę. Zauważyła jego spojrzenie, poczuła się jeszcze bardziej niepewnie, skuliła się w sobie, pobladła. Posadził nas w głębokich fotelach przy małym stoliku w rogu gabinetu. Usiadł tuż obok. Nie przestawał się przyglądać Karolinie, jego wzrok przesuwiał się po jej twarzy tam i z powrotem. Widziałem lęk w oczach Karo. Usztywniła się cała, wyprostowała, zacisnęła dłonie na poręczach fotela i czekała na atak. Milczenie się przedłużało. Ciszę przerywało tylko brzęczenie muchy, która próbowała się zmierzyć z szybą w oknie.

– Należą się pani wyjaśnienia – powiedział Brossi do Karoliny. – Właśnie zakończyliśmy śledztwo. To wielki dzień dla naszego wydziału. Takiej akcji jeszcze nie było. Do tej pory jeszcze nigdy nie odnieśliśmy takiego sukcesu. Ponad trzydzieści osób zasiądzie na ławie oskarżonych, w tym jedna za podwójne morderstwo.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – powiedziała cicho Karolina.

– Zaraz pani zrozumie. – Po twarzy inspektora przebiegł grymas podobny do uśmiechu. – Zaraz pani zrozumie. Zastanawiam się tylko, od czego powinienem zacząć. To długa historia do opowiadania, chociaż trwała bardzo krótko. Wydarzyło się mnóstwo rzeczy, trudno zachować chronologię, dużo spraw działało się równolegle – mówił spokojnym, ciepłym głosem, raz po raz podnosząc wzrok na Karo. – Chyba zacznę od tego przewodnika, do którego robiła pani ilustracje. Enrico jest od nas – powiedział niespodziewanie.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że musiałam się przestyszeć.

– Enrico pracuje w policji – powtórzył dobitniej. – Przed dwoma laty skorumpowany urzędnik doprowadził do zawieszenia go w czynnościach służbowych. Trochę to trwało, nim udało się wszystko wyjaśnić. Czuł się urażony, nie chciał wrócić do pracy, twierdził, że świat jest pełen skorumpowanych urzędników, nieuczciwych sędziów i bojących się własnego cienia policjantów, pełen większych i mniejszych przestępców, którym z różnych względów nic nie można udowodnić. Przyszedł do mnie po paru tygodniach. Powiedział, że chce wrócić do służby na własnych zasadach, że stworzył pewną listę. Położył mi ją na biurku. Zapoznałem się z tym jego spisem i włosy zjeżyły mi się na głowie. Było w nim ponad trzydzieści nazwisk. Listę zatytułował *Nietykalni*. W pierwszej chwili się przestraszyłem. Pomyślałem, że on jest szalony, że coś stało mu się w głowę. Nie chciałem się zgodzić. Przeraził mnie, zszokował, zaskoczył, zburzył mój spokój i spędził sen z powiek. Potrzebowałem czasu, żeby się pozbierać i ochłonać. Spotkałem się z nim parę dni później. Powiedział, że wymyślił sposób, w jaki

można dopaść nietykalnych z tej listy. Opowiedział mi o swoim pomysle na przewodnik. To było niezgodne z obowiązującymi w policji przepisami, ryzykowne i szalone. Oświadczył mi wtedy, że takich ludzi może dopaść tylko ktoś zdecydowany na wszystko. Mówił, że pasuje idealnie do tej misji: nie ma skrupułów, nie ma sentymentów, nie ma rodziny, którą może stracić, ani osób, które kocha. Nie ma niczego, co mogłoby mu przeszkodzić w realizacji zadania... Im dłużej zastanawiałem się nad tym jego pomysłem, tym bardziej mnie on przerażał. Trudno mi było wyrazić zgodę na jego realizację. To było wbrew przepisom, wbrew obowiązującym regułom, wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi. Stoczyłem z sobą całą wojnę, żeby na koniec stwierdzić, że zestarzałem się, siedząc przy tym biurku w komendzie policji. Enrico jest młody i zbuntowany, ma niezwykłą osobowość, stać go na niestandardowe i niekonwencjonalne rozwiązania. Ja jestem już stary i sfrustrowany, cenię sobie święty spokój i rutynę. Z czasem dałem za wygraną. Zgodziłem się. Poszedł *va banque*. Na początek wybrał z listy Alberta Accardiego. Alberto zdobył swoją fortunę, sprzedając dzieciom narkotyki na ulicach. Nigdy mu niczego nie udowodniono. Nikt go nigdy nie złapał z towarem w ręku. Enrico pojechał do niego, zaraził go ideą stworzenia przewodnika. Accardi był chciwy. Pomysł był genialny. Wszystko brzmiało pozornie niewinnie. Wydawnictwo *Aventura* postanowiło wydać nowy przewodnik po Toskanii, inny niż wszystkie dotychczasowe przewodniki. Jego inność miała polegać na ciekawostkach, informacjach, które jeszcze nie były publikowane, na przedstawianiu dobrze znanych miejsc w sposób niestandardowy. Przewodnik miał mówić o miejscach i o związanych z tymi miejscami ludziach. Dodatkowo miał być bogato ilustrowany nie tylko zdjęciami, ale też akwarelami, szkicami i rysunkami. I właśnie w tym miejscu, zupełnie przypadkowo, pani znalazła się w środku tej całej historii. – Brossi spojrział na Karolinę. – Przewodnik miał być aktualizowany co roku. Miał zostać przetłumaczony na kilka języków. To była tylko część pomysłu. Druga część była o wiele ciekawsza. Wielu ludzi chce, żeby o nich mówiono, ale są też tacy, którzy dadzą wiele, żeby pewne informacje o nich nigdy nie ujrzały światła dziennego. Enrico zdobywał dane, Alberto wyznaczał haracz, a dla nas powstała lista, z której jasno wynika, ile kosztuje milczenie o zabójstwie, o handlu ludźmi, gwałcie, przemocy, wymuszeniu, sutenerstwie, kradzieży...

Zamilkł, jakby raptem zaczął się zastanawiać, co może jeszcze powiedzieć, a może przestraszył się, że już powiedział za dużo. Przez chwilę panowało milczenie. Spojrzałem na Karolinę. Odtajała. Siedziała swobodnie, patrzyła na inspektora i nawet próbowała się uśmiechać.

– Genialny pomysł, szalona realizacja, niesamowite wyniki – odezwał się po chwili Brossi. – Możemy być dumni z naszych działań. Nie ma już trzydziestu nietykalnych, jest tylko trzydziestu przestępców, którzy usiądą na ławie

oskarżonych. Są niestety i ofiary... Nie wszystko dało się przewidzieć, bo ludzka natura jest nieprzewidywalna. Na liście Enrica nie było Antonia Sergrana, bo nie mogło go tam być, a mimo to Alberto go zaszantażował. Antonio Sergrano był czysty. Sprawdzaliśmy go wielokrotnie, ponieważ jego życie obfitowało w pechowe zbiegi okoliczności. Za każdym razem musiałem go przeproszać po zapoznaniu się z wynikami śledztwa. Jego żona nie zginęła w wypadku, lecz doznała urazu mózgu. Od paru lat przebywa w ośrodku specjalizującym się w opiece nad pacjentami pogrążonymi w śpiączce. Zapewne już nigdy się nie obudzi, ale Sergrano uważał inaczej. Wszystko, co robił, robił z myślą o żonie. Zamieszkał w domu, który razem wcześniej wybrali, dokupił winnice, zajął się produkcją wina i limoncello, zakładał sklepy, otwierał winiarnie... Z myślą o niej pomnażał swój majątek. Jeździł do niej bardzo często. Ostatnio przymierzał się do remontu domu. Chciał stworzyć dla niej w tym domu warunki do życia. Nieważne – uciał niespodziewane. – Antonio Sergrano nie żyje tylko dlatego, że Alberto postanowił go szantażować. Sergrano był bardzo majątnym człowiekiem, i to właśnie ten majątek sprawił, że Alberto go zaatakował. Zapewne myślał, że takiej fortuny nie da się zdobyć uczciwie. Sergrano zagroził, że pójdzie na policję. Cały misterny plan czerpania z szantażu nieustających zysków zawisł na włosku. Antonio Sergrano wydał na siebie wyrok. Musiał zniknąć, zanim zacznie mówić. Został zamordowany. Z tego, co udało się nam ustalić, spotkał się z panią Francescą Roni. Umówili się w dość nietypowym miejscu, na wzgórzu zwanym Lawendowym Uroczyskiem. Pani Roni czekała na niego w samochodzie. Prawdopodobnie w aucie był też Alberto Accardi. Któreś z nich obezwładniło Sergrana, drugie chwyciło go za gardło. Antonio Sergrano zmarł w wyniku zadławienia. Takie rozpoznanie postawił biegły lekarz sądowy po wykonaniu sekcji. Przez przypadek pani znalazła się niedaleko miejsca przestępstwa – zwrócił się do Karoliny. – Sprawcy byli pewni, że coś pani widziała. Mieli do wyboru: zabić niewygodnego świadka albo sprawić, że stanie się niewiarygodny. Zdecydowali się na to drugie. I tak dzień po dniu, noc po nocy robiono wszystko, żeby pani sama uwierzyła w swoje szaleństwo. Zadanie było trudne, ale nie niewykonalne. Pani Francesca Roni studiowała kiedyś z panią w Akademii Sztuk Pięknych, byłyście razem na wydziale malarstwa. Znała jeszcze ze studiów historię z postacią z obrazu Muncha. Miała pani stare notatki i bez najmniejszych problemów podrabiała pani pismo. Umiała przerobić szkice, poprawić po swojemu akwarelki. Pamiętała hasło do pani poczty internetowej. Do pani mieszkania można dojść przez płataninę tarasów. Pani rzadko zamyka okno. Nie zawsze zamyka pani drzwi. Prześladowający panią samochód należał do Alberta Accardiego, ale z toku śledztwa wynika, że korzystali z niego oboje: Francesca Roni i Alberto Accardi. – Roberto Brossi raptem zamilkł. Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Miotał się po tej małej przestrzeni tam i z powrotem. – Czuję się winny – powiedział

niespodziewanie. – Czuję się wobec pani winny – powtórzył. – Nie zdołaliśmy pani ochronić, o mało co nie doszło do nieszczęścia. – Nie odrywał wzroku od Karoliny. Usiadł tuż przy niej. Mówił spokojnie. Tłumaczył. – Krąg zaciskał się wokół pani. Z dnia na dzień robiło się coraz bardziej gorąco. Wiele rzeczy wymknęło się nam spod kontroli. Baliśmy się o panią. Mieliśmy do wyboru: przerwać akcję albo panią chronić. Niełatwo jest panią chronić, bo ma pani własną wizję życia, własne zdanie na każdy temat, zachowuje się pani nieprzewidywalnie, ma pani niesamowite tempo życia. Trudno jest za panią nadążyć, bardzo trudno panią kontrolować. Już nawet Enrico nie potrafił pani zapewnić bezpieczeństwa. Po śmierci Alberta Accardiego byliśmy pewni, że Francesca Roni będzie panią jeszcze bardziej nękać. Musiała znaleźć kozła ofiarnego, musiała go wskazać palcem. Do tego potrzebowała pani szaleństwa. Przeszła do ofensywy. Wszystko zaczęło się dziać jeszcze szybciej. Jeszcze chwila, a uwierzyłaby pani, że jest pani szalona, że zabiła pani Antonia Sergrana, który nie żył już od kilkunastu dni. Nie było na co czekać. Nasza akcja toczyła się dalej. Brakowało nam jeszcze tylko paru istotnych dowodów, jeszcze paru dni, żeby zamknąć sprawę, ale wokół pani robiło się coraz ciaśniej i coraz bardziej niebezpiecznie. Nie mogliśmy już zwlekać. Nie było wyjścia. Musieliśmy panią stąd zabrać. Wszystko było ściśle tajne. Enrico miał panią wywieźć i oddać w dobre ręce. Mówił, że jest ktoś, komu pani ufa bezgranicznie, że ten ktoś na pewno pomoże. Coś nie wyszło – powiedział przygnębiony. – Ludzie to nie maszyny. Nie da się zaplanować i przewidzieć wszystkiego. Źle oceniliśmy sytuację, gdzieś musieliśmy popełnić błąd, czegoś nie dopatrzyliśmy. W wyniku naszych błędów pani chciała się zabić. Nie wiem, co powiedzieć. Czuję się winny... Przez przypadek naraziliśmy pani życie. Takie rzeczy nie mogą się zdarzać. Czuję się z tym fatalnie...

– Niepotrzebnie – przerwała mu Karolina. – Przecież nic się nie stało...

„Nic się na stało – pomyślałem – ale blizny w okolicach nadgarstków są jeszcze bardzo wyraźne”.

Ona powiedziała, że nic się nie stało, a we mnie zagotowało się w środku. To ja zawiodłem. To ja okazałem się najsłabszym ogniwnem. Ona była nieświadomym uczestnikiem policyjnej akcji. Ja okazałem się idiotą, któremu powierzono ważne zadanie. A mnie z zupełnie debilnych emocjonalnych powodów nie udało się z niego wywiązać. Jak mogłem tak się zbłąźnić!

– Na ławie oskarżonych zasiądą nietykalni i pani Francesca Roni. Ona współuczestniczyła w zamordowaniu Antonia Sergrana i zabiła Alberta Accardiego – wrócił do swojej opowieści Roberto Brossi. – Parę rzeczy wymaga jeszcze wyjaśnienia. Parę drobiazgów wymaga dopracowania. W każdym razie zbliżamy się do końca tej sprawy. Dzisiaj w Paryżu zatrzymano panią Roni. Przyznała się do popełnienia obu morderstw.

Nie wiem, jak się czuła Karolina, mnie od tego wszystkiego kręciło się

w głowie i miałem powyżej dziurek w nosie całej tej pięknej, słonecznej, sielankowej Toskanii. Chciałem pożegnać się jak najszybciej z inspektorem Brossim, opuścić komendę, pójść na spacer po Florencji, a wieczorem wyruszyć do Polski. Nagle wyleczyłem się skutecznie z Toskanii. Chciałem od niej odpocząć. Nie pociągały mnie już te widoki, stojące na wzgórzach samotne domy, drogi obsadzone szpalerami cyprysów, gaje oliwne, limoncello i chianti. A już szczególnie chianti z winnic Antonia Sergrana.

Roberto zatrzymał nas w drzwiach.

– To dla pani. – Podał Karolinie kopertę. – Od Enrica – dodał. – Nie mógł czekać. Pani sama rozumie. On musi po tej akcji na chwilę zniknąć. Musi opuścić Toskanię. Tak będzie dla niego o wiele bezpieczniej. Pewnie chciał się pożegnać.

Karolina bez chwili zwłoki otworzyła kopertę. Wyjęła kartkę papieru. Zaczęła czytać. Spojrzałem jej przez ramię.

Karo,

niech szlag trafi to wszystko! Nie upilnowałem cię. Nigdy sobie tego nie daruję. Zostałaś sama, a on się spóźnił. Tego nie przewidziałem. Na jego miejscu nigdy bym się nie spóźnił. Widocznie on czuł i myślał inaczej. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołasz mi to wszystko wybaczyć. Chciałaś popełnić samobójstwo. Przez ponad dwa tygodnie byłem twoim aniołem stróżem, a na koniec wszystko szlag trafił. Nie nadaję się na anioła stróża. Anioł stróż ma mieć rozsądek i czystą duszę. Mnie często brakuje rozsądku, a moja dusza już od dawna nie jest czysta. Anioł stróż nie powinien mieć uczuć. Uczucia to przekleństwo. One tylko wszystko utrudniają. Emocje zaburzają ostrość postrzegania, zwalniają myśli, powodują, że zaczynamy marzyć o rzeczach, o których nam marzyć nie wolno. Jeszcze nigdy w życiu nie miałem tak wstrętnej pracy i nigdy wcześniej się tak nie zakochałem. Sukces ma gorzki smak. Nasze drogi muszą się kiedyś jeszcze spotkać, w innym miejscu, w innym czasie, wśród innych ludzi... Inaczej nic nie miałoby sensu. Pokazałaś mi, że w Toskanii jest droga do nieba. A mnie się zawsze wydawało, że tutaj jest tylko piekło. Ukradłem z depozytu tę akwarelę. Przepraszam za wszystko, co zrobiłem, i za wszystko, czego nie udało mi się zrobić. Patrzę na Toskańską drogę do nieba i znowu wyruszam samotnie w drogę do piekieł.

Enrico

Po co ja to przeczytałem... Niech szlag trafi tego Włocha!

Karolina przeczytała list od Enrica, złożyła go starannie i wsunęła

z powrotem do koperty. Kopertę wepchnęła do torebki. Milczała, kiedy szliśmy długimi pustymi korytarzami komendy policji we Florencji. Nie podała mi ręki, szła trzy kroki z przodu, jakby przede mną uciekała. Jej buty stukały miarowo po kamiennej posadzce. Odbijały się echem od pustych ścian i szczelnie pozamykanych drzwi. Jeszcze przed godziną mieliśmy wiele planów na popołudnie, nagle wszystkie przestały się liczyć, prysnęły jak bańki mydlane. Karolina nie chciała iść na obiad, nie miała ochoty na spacer ulicami Florencji, nie chciała wypić ze mną kawy... Miała mi w tym mieście tak wiele pokazać, ale nagle o tym zapomniała. Chciała jak najszybciej pojechać do Fiano. Z bliżej nieokreślonego powodu to było teraz dla niej najważniejsze. Pragnęła za wszelką cenę jak najszybciej dotrzeć do swojego domu. Milczała całą drogę, siedząc ze wzrokiem wbitym w boczną szybę. Ani razu nie spojrzała w moją stronę. Ja też nie spieszyłem się do rozmowy, bo niby o kim? O Enricu? Kiedy dotarliśmy do jej mieszkania, dochodziła piąta. Nigdy wcześniej nie byłem w Fiano. Znałem Fiano i to mieszkanie tylko z jej opowiadań. Widziałem tę postać namalowaną w kuchni na ścianie. Nawet teraz, odarta ze swojej tajemniczości, nadal była bezosobowa i przerażająca. Ni to kobieta, ni mężczyzna, ni to dziecko, ni embriion. Postać z *Krzyku* Muncha. Jej olbrzymia głowa wydawała się za duża w stosunku do szczupłej sylwetki i zbyt ciężka dla podtrzymujących ją rąk. Na twarzy widać było tylko otwarte w krzyku usta, zapadnięte trupie oczy i nozdrza. W jej ciałto wbite były dziesiątki różnej wielkości żyłek. Widziałem napisy w łazience na lustrze i zachlapaną sokiem malinowym kabinę prysznicową. Nidy nie myślałem, że zaschnięty sok malinowy może wyglądać jak krew. Ja na miejscu Karoliny chciałbym stąd jak najszybciej wyjechać. Ja tak, ale nie ona. Ona nagle, zupełnie nieoczekiwanie postanowiła tu zostać. Jeszcze dzisiaj rano miała kompletnie inne plany, chciała wracać ze mną do Polski. Wczoraj wieczorem dzwoniła do Marka, uzgadniali wspólne użytkowanie jego pracowni, miała dziesiątki planów i setki pomysłów związanych z powrotem do Krakowa. Dzisiaj wieczorem poinformowała mnie nieoczekiwanie, że zostaje w Toskanii.

– Muszę tu zostać – powiedziała znienacka. – Chcę tu zostać! – poprawiła się po chwili. – Jest parę spraw, które powinnam jeszcze załatwić. Wyjechałam tak nagle, zniknęłam bez słowa, nie było mnie tutaj przez jakiś czas... Jest kilka osób, z którymi chcę się spotkać. Mam zobowiązanie wobec kościoła w Pitigliano. Wygrałam konkurs. Mam malować ilustracje do modlitewnika.

– Wiem – spróbowałem jej przerwać. – Mówiłaś mi o tym.

– Nie mogę zawieść miejscowego proboszcza. – Udała, że mnie nie słyszy. – On szykuje ten modlitewnik na jakąś ważną dla niego rocznicę. Spodziewa się dużej liczby pielgrzymów. Nie mogę go rozczarować. Chcę pogadać z Markiem z kiosku. Nie wypowiedziałam jeszcze mieszkania pani Mornetti. Chcę pojechać do Florencji i spotkać się z Filippem i Amelią – wyliczała jak w transie. – Muszę

w końcu zamalować tę postać na ścianie, wyszorować łazienkę z malinowego soku. Chciałabym pójść na grób Sergrana. Brakuje mi jeszcze dwóch obrazów na wystawę do Florencji. Planowałam je namalować w Toskanii... Zostały mi do namalowania błękit i kolor żółty. Błękit można malować tylko we Włoszech. – Początkowo mówiła cicho. Z minuty na minutę coraz głośniej, jakby chciała siłą głosu dodać ważności swoim argumentom. Milczałem. Nie miałem nic do powiedzenia.

– Czemu nic nie mówisz? – zaatakowała mnie nagle. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Słucham – odpowiedziałem obojętnym głosem, chociaż serce miałem w gardle, a w uszach słyszałem łomot własnego serca. Moja naiwność była frustrująca. Wściekałem się sam na siebie. Byłem i jestem idiotą, łatwowiernym palantem, dającym się wodzić za nos naiwniakiem. Kobiety bywają wredne. Jakiś dupek napisał parę gładkich zdań, a dla niej ja przestałem nagle istnieć

– I co? – dopytywała Karolina. – Co ty na to?

Wbiła we mnie wzrok, świdrowała mnie spojrzeniem i żądała ode mnie odpowiedzi.

– Nic. Przyjąłem to, co mówisz, do wiadomości.

– I co? Nie masz nic przeciwko temu? – spytała zdziwiona. Przez moment wydawało mi się, że słyszę w jej głosie rozczarowanie.

– Zrobisz tak, jak ci jest wygodniej. Zawsze tak robisz. Przywykłem już do tego – odpowiedziałem spokojnie.

– Atakujesz mnie? – spytała zaczepnie. Zrobiła krok w moją stronę. Potrząsnęła głową, włosy rozsypały jej się na ramiona. Przymrużyła oczy. Po jej twarzy przebiegł grymas. Nie czekała na to, co powiem. – Chcesz ze mną walczyć? – nie dawała za wygraną. Chciała wywołać awanturę. Awantura pomogłaby jej wyjść z twarzą z tej sytuacji. Zrzucić winę na mnie. Mogłaby się obrazić i bez wyrzutów sumienia zostać w Toskanii. Ostra wymiana zdań ułatwiłaby jej tak wiele. Nie miałem ochoty jej pomóc.

– Stwierdzam tylko fakty. – Starłem się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i obojętnie. – Zawsze stawiasz na swoim. Nie wiem, czy to wynika z twojej profesji, czy z twojej natury. Ponoć przeciętnemu człowiekowi trudno zrozumieć artystów. Ja chyba nie potrafię. To, co u innych trąci egoizmem, u artystów jest ponoć normalne. To kwestia bardzo rozbudowanego ego. Cały świat w końcu stworzono tylko dla nich. Reszta to nic, szare tło, które oni ubarwiają i ożywiają, któremu nadają sens istnienia.

– Czemu tak mówisz? – spytała cicho. – Chcesz mnie zranić?

– Po co miałbym chcieć cię zranić? To byłoby bez sensu. Mówię tylko to, co czuję. Znam tylko dwoje artystów – ciebie i Marka. W obu przypadkach to, co mówię, jest prawdą. Właściwie powinienem był już się przyzwyczaić.

– Czemu tak mówisz? Przecież jestem ci bliska... Marek też jest twoim przyjacielem.

– Dlaczego miałbym bliskim ludziom mówić kłamstwa? To byłoby nie w porządku.

Nie odpowiedziała. Usiadła tuż przy mnie. Wciśnięty pomiędzy nią a oparcie sofy poczułem się osaczony. Nie potrzebowałem tej bliskości. Byłem za bardzo wściekły.

– Zostań ze mną! – powiedziała niespodziewanie. – Przecież możesz tutaj zostać. Pogadam z panią Mornetti, na pewno się zgodzi. Najwyżej podniesie trochę czynsz. Ja będę malować. Ty nauczysz się włoskiego. Tu też jest wielu ludzi, którym mógłbyś pomóc...

– Wiesz, że to nie jest takie proste – przerwałem jej. – Musiałbym świetnie mówić po włosku, żeby móc wykonywać swój zawód.

– Nie chciałbyś tu ze mną zostać? – Udała, że mnie nie słyszy.

– Może i chciałbym, ale to niewykonalne i szalone. Wyruszam jeszcze dzisiaj. Pojadę nocą. Na jutro mam już zarejestrowanych pacjentów. Do niczego ci już nie jestem w Toskanii potrzebny.

– Zostań przynajmniej na noc – poprosiła.

Zbliżyła się do mnie jeszcze bardziej. Jakby niechcący odchyliła dekolt sukienki. Mignęła, niby przypadkiem, skąpa czarna bielizna. Otoczył mnie zapach jej perfum. Kuszący, zmysłowy, w którym słodka nuta drzewa sandałowego współgrała z ciężkim aromatem piżma, a wszystko okraszone było subtelną wonią różowego pieprzu, wisterii, trawy cytrynowej i wanilii. Lubilem ten zapach. Kiedyś ktoś mówił, że zapachy określają ludzi. Ten zapach idealnie pasował do stale zaskakującej i przewrotnej natury Karoliny. Te perfumy kupiłem jej, kiedy byliśmy razem w Wenecji. Ich zapach lubiłem zawsze, teraz też kusił, podniecał, obiecywał i nęcił. Karolina położyła głowę na moim ramieniu. Poczułem się nagle jak odurzony. Zmysłowa jest Karolina. Potrafi przyciągać, kusić i wabić. A wszystko to niby bezwiednie, jakby samo z siebie, zupełnym przypadkiem. Włosy opadały jej teraz na ramiona. Na komendzie były ujarzmione z tyłu czarną aksamitką i przywołane do porządku paroma wpiętymi z boku spinkami. Jej oczy wpatrzone były we mnie. Po jej twarzy wędrował nieśmiały uśmiech. Całości dopełniały opalone szczupłe ramiona, te dwie jaskółki na lewym ramieniu, wąska talia, kusząco zaokrąglone biodra, długie, wysmukłe nogi, które nijak nie dawały się przysłonić kusym odzieniem... Nagle pomyślałem, jakie to dziwne, że całe to zmysłowe bogactwo zależnie od okoliczności można ukryć lub się nim afiszować. Karolina potrafi się zmieniać jak kameleon. Na komendzie wyglądała na nieśmiałą, przerażoną, młodą kobietę, bezbronną i potrzebującą pomocy. Na pewno taki obraz Karoliny pozostał w pamięci inspektora Brossiego, zwiększył jego poczucie winy, rzucił cię na radość towarzyszącą zwycięstwu. Teraz tuż obok mnie siedziała

zupełnie inna Karolina. Gorąca, namiętna, pewna siebie i próbująca za wszelką cenę podporządkować mnie i moje życie swoim planom. W pewnym sensie wszystko wróciło do normy. Jestem niepoprawnym idiotą, chyba niedługo sam będę potrzebował terapii. Życie to teatr, a ludzie to aktorzy. Sam już nie wiem, jaka jest naprawdę Karolina. Kiedyś była subtelna, delikatna i taktowna. Czyżby aż tak zmieniła ją ta Toskania? A może nigdy nie była taka? Może to tylko moja wyobraźnia płatała mi figle. Karolina zadziwia i zaskakuje mnie bez przerwy. Nigdy niekończąca się huśtawka emocji. W górę i w dół i jeszcze raz w górę i w dół, i tak ciągle na nowo, bez końca. Nieustannie wychodzę przy niej na naiwnego idiotę.

– Zostań na noc – szepnęła tuż przy moim uchu. – Po co będziesz jechał nocą? Pojedziesz jutro. – Pieściła mnie oddechem, kokietowała wzrokiem, mamiła i obiecywała. – W tym mieszkaniu są cudowne poranki. Słońce wdziera się do sypialni dopiero koło południa. Rankiem z okien rozpościera się niepowtarzalny widok na wyłaniające się z porannych mgieł wzgórze. Popatrz, teraz widok też jest oszałamiający.

Wstała, podeszła do okna. Stałem tuż za nią. Ciemność otuliła już wszystko. Widać było tylko pojedyncze światła zawieszane w ciemności, pochodzące z rozsianych na wzgórzach domów. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozsypał na ziemi gwiazdy. Niesamowita jest ta Toskania.

– I co? – spytała szeptem.

– Pięknie.

„Pięknie – pomyślałem. – Takie wyjątkowe miejsce na ziemi. Szkoda tylko, że nie dla mnie”.

Wtuliła się we mnie. Poczułem na twarzy jej włosy, ciepło jej ciała. Otoczył mnie i otulił zapach jej perfum.

– Zostań, proszę – wyszeptała. – Nie jedź nocą.

Odsunąłem się od niej. Poczułem się dziwnie rozdrażniony.

– Odsuwasz się? – spytała zaskoczona. – Dlaczego? Gniewasz się, bo chcę tu zostać? Przecież to idiotyczne. Toskania nie jest na końcu świata. Zawsze mogę do ciebie pojechać. Zawsze ty możesz tu wrócić. To, że chcę tutaj jeszcze na trochę zostać, nie oznacza przecież niczego złego, to niczego między nami nie jest w stanie zmienić.

Przysunęła się bliżej. Przeciągnęła dłonią po mojej koszuli. Niby mimochodem zaczęła palcem o guzik. Przyłgnęła ustami do odsłoniętej skóry. Jej ciepły oddech musnął moje ciało. Jej ręce coraz śmielej ślizgały się po mojej skórze. Rozpinały się kolejne guziki. Ciepły oddech wędrował coraz odważniej po moim ciele. Dałem się opętać jej pocałunkom, zapachowi pośpiesznie zdmuchniętych świec, otulającej nas nagle ciemności. Przez krótką chwilę pomyślałem, że nie mam ani siły, ani ochoty jej się opierać. Oprzytomniałem,

kiedy poczułem chłód pościeli. Mam gówna, nie wolę! Kolejny raz robi ze mnie idiotę, a ja jej kolejny raz na to pozwalam.

– Nie chcę. – Odsunąłem się od niej. – Nie dzisiaj. – Wyciągnąłem rękę w kierunku stojącej na szafce lampki nocnej. Potrąciłem szklankę. Zimna woda chlusnęła mi na bosa stopy. To mnie jeszcze bardziej otrzeźwiło.

– Czemu nie? – szepnęła kusząco Karolina. – Przecież chcesz się ze mną kochać. Zawsze chciałeś.

Przyłgnęła do moich pleców, musnęła językiem skórę pomiędzy łopatkami, przytuliła głowę. Jej ręce zaczęły wędrować po moim ciele. Poczułem przebiegający po skórze dreszcz.

– Zostaw! – Próbowałem się odsunąć. – Nie chcę...

– Jak to, nie chcesz? – Nie mogła albo nie chciała zrozumieć. – Przecież czułam, że chciałeś...

W półmroku znalazłem spodnie i rzuconą gdzieś w pół drogi między drzwiami i łóżkiem koszulę. Zakląłem szpetnie, kiedy potknąłem się o niedbale postawione krzesło, przez którego brzeg przewieszona była ta jej kusa sukienka. Wciągnąłem spodnie, w pośpiechu zapinałem guziki koszuli. Karolina zapaliła lampkę i przyglądała mi się uważnie z narastającym zdziwieniem.

– Naprawdę wychodzisz? – spytała z niedowierzaniem. – Uraziłam cię tym, że zostaje? Myślisz, że cię nie kocham.

Siedziała na łóżku, opierając się plecami o ścianę. Naciągnęła na siebie kołdrę. Odrzuciła do tyłu włosy. Zdziwiona i zaskoczona moim zachowaniem czekała na to, co jeszcze powiem.

– Wychodzę – stwierdziłem kategorycznie. – Mówiłem ci przecież, że pojedę nocą. Już jutro rano mam umówionych pacjentów.

– Nie pożegnasz się? – zapytała.

– Już się przed chwilą pożegnałem.

Wyszedłem i pewnie całe życie będę tego żałował.

Kiedy dojechałem nad ranem do Polski, wysłałem jej SMS-a: „Dojechałem”. Nie spała. Odpowiedź nadeszła natychmiast: „Teraz mogę nareszcie spokojnie zasnąć”. To było wszystko. Nie zadzwoniłem, bo nie miałem jej nic do powiedzenia. Kolejny raz wdarła się przebojem w moje życie, żeby po dwóch tygodniach je znowu opuścić. Nie jest nam pisane być razem. Chciałem jak najszybciej zapomnieć, rzucić się w wir pracy, zacząć żyć problemami innych ludzi. Pragnąłem oddalić od siebie ostatnie parę dni i tę całą szaloną Toskanię. Karolina też nie zadzwoniła, bo zapewne nie chciała ze mną rozmawiać. Za to dwa dni po moim powrocie z Toskanii zadzwonił do mnie Marek.

– Jesteście kopnięci – powiedział bez żadnego wstępu. – Dwoje

popierdolonych, którzy nie potrafią z sobą rozmawiać – sapał wściekły do słuchawki. – Ty uciekasz, bo ona dostała list od jakiegoś frajera. Wyjeżdżasz, bo ci zazdrość dupę ściska. Nie starasz się jej nawet zrozumieć. Dezerterujesz, nie próbując nawet walczyć. Nie potrafisz wcielić w życie żadnej ze swoich cudownych rad, których udzielasz tak licznie swoim pacjentom. Jesteś hipokrytą! Dla ciebie liczysz się tylko ty, twoje urażone ego i twoi mniej lub bardziej popierdoleni pacjenci. Poza tym nie liczy się nikt i nic więcej – mówił coraz głośniej. Prawie krzyczał. – Czy ty rozumiesz, że zostawiłeś ją samą? Ona została sama w Toskanii, która ją prawie zabiła przed dwoma tygodniami. Zostawiłeś ją z tą potworną postacią na ścianie, z dziesiątkami lęków i koszmarnych wspomnień i wyjechałeś, bo nagle znowu najważniejsi na świecie stali się dla ciebie ci twoi pacjenci... Zostawiłeś Karolinę samą, bo znowu ważniejsi od niej są ci obcy ludzie i ich mniej lub bardziej wydumane i wyolbrzymione życiowe problemy. Jesteś chory! Nie wiem, jak się nazywa ta choroba, ale jesteś szalony. Może i to jest miłość, ale ja się cieszę, że mnie taka miłość ominęła – dodał ciszej. – Być może mi się tylko wydaje, że kocham swoją żonę. Może ja wcale nie kocham Anny. Moje życie bywa czasami nudne, pozbawione piorunujących emocji, tych ciągłych wzlotów i upadków, ale dziękuję Panu Bogu, że mnie ominęły emocje, które was kiedyś zabijają. Płoniecie jak żywe pochodnie. Wieczny płomień, ogień, pożar, a po pożarze ruiny i zgłiszcza. Ciągłe miłość, namiętność, nienawiść, rozczarowanie, wściekłość, żal i tak w kółko i bez końca. Koszmar... Jesteście oboje kopnięci. To jest w sumie żalosne. Żałuję, że was z sobą poznałem... Będę pluł sobie w brodę do końca życia...

Zamilkł, a ja nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Zaatakował mnie i miał rację. Moje ego było przez chwilę ważniejsze niż wszystko inne. Kolejny raz w życiu uciekłem w popłochu i wszystko spałem.

– Co wy wyprawiacie? – dotarł do mnie jak z zaświatów głos Skalskiego.

– Nic – bąknąłem pod nosem. Nagle przeraziłem się, że zostawiłem Karolinę samą w Toskanii. To mieszkanie wyglądało paskudnie. Koszmarna postać na ścianie, szalone napisy w łazience, krople soku na kafelkach, wyglądające jak świeżo skrzepnięta krew, na sztalugach oparte płótno z płonącym domem Alberta, wszechobecny nieład. Brudne naczynia i pusta lodówka. Ona już na długo przed przyjazdem do Polski przestała sobie radzić w Toskanii...

– W co wy gracie?

– W zupełnie nic – powiedziałem automatycznie. – Między nami jest wszystko poprawnie – okłamywałem sam siebie. – Karolina chciała zostać w Toskanii, ja musiałem wracać. Obiecała, że wróci ze mną. Później zmieniła zdanie. Przez chwilę byłem wściekły. To wszystko. Nic więcej... Myślę, że z czasem wszystko wróci do normy.

– Poszukaj sobie psychoterapeuty! – warknął Marek do słuchawki. – Może

pomoże ci się skonfrontować z własnymi uczuciami. Może to nigdy nie była miłość.

Rozłączył się. Miłość... Co właściwie znaczy to słowo? Pożądanie, zauroczenie, fascynacja, chęć zdobycia za wszelką cenę czegoś, co jest idealne i nieosiągalne, chęć posiadania czegoś, o czym się marzy i śni, zazdrość, niepokój, lęk, pragnienie bycia razem... Jej ciepło i radość naprzeciw moich pacjentów. Ciepły świat widziany jej oczami naprzeciw szarej, pełnej zła rzeczywistości. A może to nigdy nie była miłość, a tylko antidotum na drzemiące gdzieś we mnie szaleństwo? A może miłość to były tylko te krótkie chwile niepowtarzalnego szczęścia, kiedy trzymałem ją w ramionach, kiedy cały świat kurczył się tylko do nas. Jej pocałunki, zapach jej ciała, dotyk jej skóry, przyspieszony oddech, ciche szepty... Wszystko jedno. Walczyłem z sobą parę godzin i nie zadzwoniłem do Karoliny. Zapewne będę żałował.

Karolina, sześć miesięcy wcześniej

*

No i Wojtek pojechał. Zapewne powinnam czuć się winna, ale się nie czułam. Trochę dziwiłam się sama sobie. Przeczytałam ten list od Enrica i nagle nie mogłam zebrać myśli. Wszystko, co było w miarę poukładane, rozsypało się jak domek z kart. Inspektor Brossi powiedział, że Enrico jest od nich, że pracuje w policji. W pierwszej chwili nie mogłam tego zrozumieć. Enrico pracuje w policji? Wydawało mi się to nielogiczne, wyrwane z kontekstu, fałszujące rzeczywistość. Wiedziałam, że jest dziennikarzem, fotoreporterem, laureatem *The Voice of Italy*, modelem... Nagle usłyszałam, że on jest policjantem. Nie mogło to do mnie dotrzeć. Enrico swoją osobowością nijak nie pasował do policji. Był na to za krnąbrny, zbyt niezależny. Nie wyobrażałam sobie, że można go wepchnąć w wąskie ramy policyjnej dyscypliny i policyjnych przepisów. Nie mogło mi się to pomieścić w głowie, a inspektor do tej sensacji dodawał następne. Opowiadał, że toczyła się pewna ryzykowna gra, do ugrania było wiele. Pomysł był szalony. Realizacja brawurowa. Przypadkiem znalazłam się w środku akcji. Nieświadoma tego, co się dzieje, siedziałam po uszy w gównie. Z dnia na dzień było to dla mnie coraz bardziej niebezpieczne. Enrico zbliżył się do mnie, żeby mnie chronić. Przespał się ze mną, żeby mnie od siebie uzależnić. To nie on uzależnił mnie od siebie, ale sam uzależnił się ode mnie. Pokochał mnie, choć tego nie chciał. Zakochał się, choć było to niekorzystne. Nagle to uczucie zaczęło mu przeszkadzać w realizacji zadania. Był już ktoś, kogo mógł stracić. Przez przypadek wdarłam się w jego życie... Nagle wszystko zaczęło wyglądać inaczej. Raptem zobaczyłam, że

to były zupełnie inne dwa tygodnie, niż mi się wcześniej wydawało. Mój świat stanął na głowie, jakbym w jednej chwili znalazła się w całkiem innym życiu. Wszystko miało inny sens, nabrało zupełnie innego znaczenia. Tamta nasza kolacja w Castello di Santa Maria Novella, jego związek z Francescą, wizyta w kawiarence przy Via dei Neri we Florencji, wnikliwość Filippa, ciekawość Amelii, wzrok Enrica, który czułam na sobie, kiedy tańczyłam z Sergranem, gorące pocałunki, szalone pieszczoty, noce, których nie mogę zapomnieć, czułe szeptki, głośne krzyki, SMS-y i telefony, tamta podsłuchana rozmowa i tamta droga do Polski... Czytałam list od Enrica, a serce czułam gdzieś w gardle. Jak to napisał kiedyś ten Marco z kiosku? Napisał, że patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas. Dla mnie stworzono podwójną iluzję. Nagle wszystko okazało się inne, niż myślałam. Prawda miała drugie i trzecie dno... A może ja jeszcze nie znałam prawdy? Serce biło mi coraz szybciej. Zrobiło mi się gorąco. W gabinecie inspektora zaczęło mi nagle brakować powietrza. *Jeszcze nigdy w życiu nie miałem tak wstrętnej pracy i nigdy wcześniej się tak nie zakochałem.* Litery zaczęły mi się zlewać przed oczami. Świat zawirował dookoła. Wydawało mi się, że podłoga ucieka mi spod nóg. „Byłam ślepa – pomyślałam – byłam kompletnie ślepa”. Wierzyłam zmysłom, nie intuicji, zupełnie nie słuchałam swojego serca. *Sukces ma gorzki smak. Nasze drogi muszą się kiedyś jeszcze spotkać, w innym miejscu, w innym czasie, wśród innych ludzi... Inaczej nic nie miałoby sensu. Pokazałaś mi, że w Toskanii jest droga do nieba. A mnie się zawsze wydawało, że tutaj jest tylko piekło. Ukradłem z depozytu tę akwarelę. Przepraszam za wszystko, co zrobiłem, i za wszystko, czego nie udało mi się zrobić. Patrę na Toskańską drogę do nieba i znowu wyruszam samotnie w drogę do piekieł.*

Wojtek stał tuż przy mnie. Oderwałam wzrok od listu, podniosłam oczy i zobaczyłam, że czyta, patrząc mi przez ramię. Poczułam się rozczarowana. Czytał list do mnie, a przecież nie czyta się cudzej korespondencji. Pomyślałam z niechęcią, że nie pierwszy raz wdziera się w moją prywatność, uzurpuje sobie prawo do tego, żeby wiedzieć o mnie wszystko, nadzorować i kontrolować nie tylko to, co robię, ale nawet to, co myślę i czuję. Jego wzrok przesunął się po mojej twarzy. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Wojtek czekał na moją reakcję. Zapewne spodziewał się wzruszenia ramion, podarcia kartki, wyrzucenia strzępów papieru do śmietnika... Zapewne, jego zdaniem, powinnam była tak zrobić. W końcu to był list miłosny od innego faceta. List miłosny? Nagle mnie olśniło. „To brednie – pomyślałam. – Coś tu nie gra. Enrico i list miłosny? To tak jak ja i podnoszenie ciężarów albo ja i boks”. To jakieś bzdury. Za tym musiało się kryć coś innego. Przeszło mi przez myśl, że znowu daję się zwieść iluzji, że ten list nie jest prawdziwy, że to kolejna mistyfikacja. Cienka linia oddziela prawdę od kłamstwa, rzeczywistość od mistyfikacji, świat realny od iluzji. Pomyślałam, że ta kartka musi mieć zupełnie inne znaczenie. Miałam wrażenie, że Enrico napisał ten

list do mnie, ale przeznaczony był dla nich. Dla Wojtka, dla inspektora Brossiego... To oni mają uwierzyć w tę jego miłość. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam tego pewna. Nie tak dawno rozmawiałam z Enrikiem o listach miłosnych. Wtedy tamta rozmowa wydawała mi się dziwna, wydumana i sztuczna, niepasująca do miejsca ani do sytuacji. Teraz nagle ją zrozumiałam, dotarł do mnie jej ukryty sens. Wracaliśmy wtedy z Florencji. To był jeden z tych nielicznych dni, kiedy wracaliśmy razem. Malowałam cały dzień. Sztalugi ustawiłam przy Ponte Vecchio. Bardzo lubię ten most. Konstrukcja złożona z trzech przęseł podpartych masywnymi filarami, które podtrzymują płytę o szerokości ponad trzydziestu metrów. Dwie środkowe podpory znajdują się w nurcie rzeki. Po obu stronach mostu już w czternastym wieku zbudowano niewielkie budynki nad dwiema skrajnymi arkadami. Teraz te kolorowe domki wyglądają jak doklejone do mostu pudełka zapalek. Ponte Vecchio przyciąga turystów z całego świata, kusi sklepami ze złotem, kolorowym szkłem i obrazami. Gwarno tam i tłoczno. Zawsze lubiłam to miejsce, ale tamtego dnia wydarzyło się tam coś zaskakującego, niewytłumaczalnego, coś z pogranicza rzeczywistości i snu, coś tak nierealnego, że aż trudno mi było uwierzyć w to, co widzę. Zaczarowane są te włoskie miasta. Łączą przeszłość z terażniejszością. Kryją w sobie mnóstwo tajemnic. Tamtego dnia postanowiłam namalować Ponte Vecchio. Pozornie wszystko było jak zawsze. Przęsła jak przęsła, filary jak filary, wody rzeki Arno zielone jak zawsze, małe domki cieszyły oczy żywymi kolorami. Mnie zaintrygowała łódź zacumowana pod pierwszym przęsłem mostu. Ta łódź wydawała się nierealna. Wszystko wokół było ostre, wyraziste, barwne, pławiące się w promieniach wiosennego słońca, tylko ta łódź, pomimo pogodnego dnia, była osnuta mgłą. Wydawała się tajemnicza, niedopowiedziana, jakby wyłaniała się z zaświatów, z innej rzeczywistości, jakby zupełnie przez przypadek trafiła w ten wiosenny dzień do Florencji. Początkowo wyobraziłam sobie, że to łódź jakiegoś kochanka z przeszłości, który zacumował ją pod filarem i czeka na swoją wybrankę. W pewnym momencie pomyślałam, że to nie Arno, tylko Styks i że to łódź Charona, czekającego cierpliwie na czyjąś duszę, którą ma przewieźć na drugą stronę. Stałam, malowałam, a mgła wokół łodzi gęstniała na moich oczach, stawała się z minuty na minutę coraz gęstsza i gęstsza, aż w końcu straciła swoją przejrzystość, przybrała kolor mleka, wbrew wszechobecnemu tego dnia słońcu. Z czasem kontur łodzi rozplynał się w tej mgle. Jeszcze przez chwilę można było dojrzeć zarys dziobu. Po chwili jednak i on zniknął. Raptem pomyślałam, że tej łodzi już nie ma, że odpłynęła, że całe to osnute mgłą widowisko było tylko po to, żeby nikt nie zauważył jej zniknięcia. Nie mogłam oderwać wzroku od tego miejsca. Na chwilę zapomniałam o sztalugach, o ustawionym na nich płótnie i farbach. Liczyła się tylko mgła pod przęsłem. Nagle powiał ciepły wiatr od rzeki. Podmuch rozgonił mgłę. Pod przęsłem nie było niczego, tylko Arno leniwie toczyła swoje zielone wody. Po łodzi nie było śladu.

Zniknęła, jakby rozplynęła się we mgle. Pomyślałam, że ona zapewne tam nadal stoi, tylko w innej czasoprzestrzeni, że być może wróciła do przeszłości. Próbowałam to namalować, ale nie potrafiłam. Nie umiałam przenieść na płótno mistyki i tajemniczości. Nie potrafiłam ukazać za pomocą farb magiczności tamtej chwili. Poczulałam się zmęczona. Enrico prowadził samochód. Słuchał muzyki. Przymknęłam oczy. Wspomnienia znad rzeki mieszały się z ogarniającą mnie sennością. Dźwięki rozmów z bulwaru zlały się z miarową pracą silnika. Moje myśli płynęły coraz leniwiej i coraz wolniej. Rzeczywistość mieszała się ze snem. Na pograniczu jawy i snu tamta łódź jeszcze raz zniknęła we mgle. Nagle głos Enrica wdarł się w ogarniającą mnie senność.

– Co myślisz o listach miłosnych? – odezwał się niespodziewanie. W pierwszej chwili go nie zrozumiałam. Moje myśli były jeszcze przy tamtej łodzi, na tamtym zalanym słońcem bulwarze...

– O co ci chodzi? – spytałam zaskoczona.

– O listy miłosne – powtórzył. – Pytałem, co myślisz o pisaniu listów miłosnych.

– Nic – burknęłam pod nosem.

– Jak to: nic? – dociekał.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie było powodu. Myślę, że nikt w dzisiejszych czasach nie pisze listów miłosnych. Listy miłosne zastąpiły ogniste SMS-y.

– Są tacy, którzy piszą.

– Naprawdę? – spytałam zdziwiona. – Chyba nie znam nikogo takiego. Masz ochotę napisać list miłosny?

– Nie – roześmiał się. – Czy wyglądam na faceta, który pisze listy miłosne?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Kto cię tam wie... Widziałam w Internecie, jak malowałaś serduszka na zdjęciach dla swoich fanek. Setki pękających serc... Jak rozsyłałaś buziaki, kładłaś rękę na sercu... Może list miłosny też mógłbyś napisać...

– To było w ramach *The Voice of Italy* – mruknął chłodno pod nosem.

– I co z tego?

– Nic. To się nie liczy. To był taki image. Taka gra pod publikę.

– Rozumiem. Na co dzień nie rysujesz serc, nie rozsyłasz buziaków i nie kłaniasz się z ręką na sercu...

– No właśnie, to chciałem powiedzieć. Na co dzień nie robię nic podobnego.

– Uśmiechnął się.

– I na co dzień nie pisesz listów miłosnych – dokończyłam.

– No właśnie. Wyjęłaś mi to z ust. Pisanie listów miłosnych nie jest w moim stylu. Bywają jednak faceci, którzy piszą listy miłosne. To frajerzy...

– Frajerzy? – powtórzyłam za nim bezwiednie. – Dlaczego tak mówisz? Są

po prostu romantyczni.

Spojrzałam w jego stronę. Ręce spoczywały na kierownicy. Wzrok miał wbity w drogę przed nami. Po twarzy błąkał mu się uśmiech.

– Co byś zrobiła z takim listem? – spytał nieoczekiwanie.

– Pewnie zostawiłabym go sobie na pamiątkę. Przechowywałabym go jak skarb. To takie niedzisiejsze, wyjątkowe, romantyczne, ciepłe...

– No właśnie – przerwał mi. – Kobiety zbierają takie listy. Francesca ma ich całą kolekcję. Spina je gumką, dodaje kartkę z imieniem. Ma już wiele takich paczuszek. Porównuje swoich byłych facetów...

– Francesca to wyjątek – powiedziałam chłodno.

– Wyjątek? – parsknął. – Większość kobiet, które znam, to w mniejszym lub większym stopniu takie Franceski...

– Obracasz się w złych kręgach – przerwałam mu. – Zmień grono znajomych. To muszą być snoby. Ja nie czuję się w niczym podobna do Franci.

Coś na kształt uśmiechu przebiegło mu po twarzy. Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem. Nasze oczy na krótko się spotkały. Poczułam się nieswojo. Uciekłam w popłochu wzrokiem.

– Patrz na drogę! – rzuciłam w jego stronę. – Nie rozglądaj się, kiedy jedziesz sto czterdzieści.

– Nie mam ochoty rozmawiać o Francesce – powiedział po chwili. – Mówiłem o listach. Takie listy to tylko słowa – nie dawał za wygraną. – Puste słowa, za którymi można ukryć wszystko... Kiedyś ogłosiłem konkurs w rubryce towarzyskiej gazety Alberta. Konkurs na najbardziej romantyczny list miłosny mężczyzny do kobiety. Do redakcji przysłano ponad sto listów. Wybrałem z nich dziesięć. Tę dziesiątkę opublikowałem. Zaprosiłem czytelniczki do zabawy. Z owych dziesięciu wybrały ten ich zdaniem najpiękniejszy, najbardziej wzruszający, najmocniej chwytający za serce. Dużą przewagą głosów wygrał facet, który był pedałem i nie miał pojęcia o tego rodzaju miłości... List to tylko sprytnie ułożone w zdania słowa. Słowa, za którymi można ukryć i przemycić wszystko.

Przypomniałam sobie tamtą naszą rozmowę i nagle nabrałam pewności, że ten list to musi być jakaś ściema. Enrico nie napisałby listu miłosnego do mnie, zresztą nie napisałby do nikogo. Swoją drogą, szkoda. Przez moment serce biło mi szybciej, było mi cieplej w środku, czułam w brzuchu setki motyli, świat wydawał mi się piękniejszy. Przez chwilę czułam się jak ktoś wyjątkowy. No trudno. Ten list był do mnie, ale nie dla mnie. Ten list był dla innych. Nic z tego nie rozumiałam, oprócz tego, że mam grać rolę dziewczyny, która przed chwilą otrzymała niespodziewane wyznanie miłości i zapewne sama jeszcze nie wie, co ma z tym zrobić. Spróbowałam stanąć na wysokości zadania. Podniosłam powoli wzrok znad kartki. Inspektor Brossi przyglądał mi się uważnie. Nie odrywał wzroku od mojej twarzy. Czekał na moją reakcję. Wojtek nerwowo przestępował z nogi na nogę,

dłonie miał zaciśnięte w pięści. „No nic – pomyślałam – trzeba będzie spróbować”. Złożyłam starannie list, wsunęłam go do koperty, kopertę schowałam do torebki. Nie chwyciłam Wojtka za rękę, nie ruszyłam z nim na spacer po Florencji, nie pokazałam mu Ponte Vecchio, nie doszłam z nim do katedry Santa Maria del Fiore, nie wyruszyłam na spacer po Ogrodach Boboli... Na pewno na to czekał. Zapewne poczuł się rozczarowany. Obiecywałam, że pokażę mu wszystkie miejsca, które malowałam, wszystkie zakątki, które były związane z tamtą historią. Nie zrobiłam tego. Nagle zapragnęłam już tylko jechać do Fiano, położyć się na swoim łóżku, zamknąć oczy i spróbować ułożyć to wszystko po swojemu od nowa. Spróbować odgadnąć, co się za tym kryje. Bo przecież coś musiało się za tym kryć. Jak to wtedy mówił Enrico? Listy to słowa, za którymi można ukryć wszystko.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Fiano, dwa razy odezwała się moja komórka. Otrzymałam dwa SMS-y jeden po drugim, w odstępie kilkunastu sekund. Pierwszy był pusty. Drugi niezrozumiały i dziwny, zawierał pozbawiony sensu ciąg liczb. „Coś idiotycznego” – pomyślałam. SMS-y wysłano z nieznanego mi numeru. Liczby w drugim SMS-ie porozdzielane były myślnikami i wydawały się zupełnie przypadkowe.

– Od Enrica? – zapytał Wojtek. Zapewne miało to zabrzmieć obojętnie. Powiało lodowatym chłodem. Nie spojrzał nawet w moją stronę. Jeszcze bardziej skupił się na kierownicy, jeszcze mocniej zacisnął szczęki.

– Nie od Enrica – odpowiedziałam pospiesznie.

– To od kogo?

– Od nikogo. To jakiś głupi żart.

– Nie oszukuj! – powiedział szorstko. – Nie lubię, jak ktoś próbuje robić ze mnie idiotę. W życiu najbardziej wkurzają mnie kręactwa i kłamstwa.

– Po co miałabym oszukiwać? Mówię, że to jakiś wygłup.

Może to i był głupi żart, ale nie dawał mi spokoju. Spojrzałam uważnie jeszcze raz. Dwadzieścia osiem liczb oddzielonych od siebie myślnikami. Przed tym SMS-em przyszedł jeszcze ten zupełnie pusty. Dwa SMS-y po sobie. Nagle przyszło mi na myśl, że tak zawsze pisał Enrico. W pierwszym zawsze były tylko dwa wyrazy: *Cześć, Karo*, w drugim pojawiała się właściwa informacja. Dwa SMS-y po sobie. Może to jednak jest od Enrica. 11-4-10-15-2... Jakaś kompletna bzdura.

Wojtek nie chciał zrozumieć, że muszę jeszcze na trochę zostać w Toskanii. Myślę, że zinterpretował to wszystko po swojemu, zupełnie opacznie. Nie słuchał moich wyjaśnień. Nie zaakceptował mojej decyzji. Nie chciał zostać. Nie dał nam

żadnej szansy. Nie potrafił pójść na żaden kompromis. Pojechał do Polski, pomimo że próbowałam go jeszcze zatrzymać. Nie chciał, a może nie mógł, mnie zrozumieć. A ja musiałam na chwilę zatrzymać się w biegu. Chciałam dopasować usłyszane informacje do własnych przeżyć. Pragnęłam to wszystko uporządkować, ułożyć, zrozumieć i dopiero później pójść dalej. Wojtek widział to zupełnie inaczej. Poczul się urażony. Obraził się, choć nie miał powodu. Zostawił mnie samą, choć nie powinien. Wyszedł, trzasnął drzwiami, ruszył spod domu z piskiem opon i odjechał. Taki męski sposób rozwiązywania problemów. Trochę dziwne zachowanie jak na kogoś, kto jest dobrym psychoterapeutą. A może to prawda, że psychoterapeuci potrafią układać tylko życie innych ludzi, do uporządkowania swojego się nie biorą? Może coś w tym jest, że własne życie najtrudniej jest okiełznać, że najtrudniej zrozumieć własne emocje? Stałam w oknie i patrzyłam, jak odjeżdża. Nie podniósł głowy, nie spojrział w kierunku okna, nie machnął ręką. Zajęty sam sobą, opętany własnymi myślami, zapomniał, że mogę stać w oknie i czekać. Ruszył ostro, budząc od dawna już śpiącą ulicę. Obudził też panią Mornetti. Signora przyczłapała do mojego mieszkania. Potrząsała papilotami, wymachiwała rękami i wyglądała na zdenerwowaną.

– Karo, czy wszyscy twoi znajomi są popierdoleni?

– Nie wszyscy – odpowiedziałam bez większego przekonania, pospiesznie próbując znaleźć w myślach choć jednego poukładanego. Może Marek? Może jego żona Anna?

– To ja chyba mam pecha. Zawsze trafiam na popaprańców.

– Ten już pojechał – powiedziałam cicho, próbując ją uspokoić.

– Słyszałam. Tak trzasnął drzwiami, że miałam wrażenie, jakby pękła ściana w mojej sypialni, a ryk silnika postawił na nogi wszystkich umarłych w okolicy. Serce mam w gardle. Puls chyba z dwieście na minutę... Wolę nie myśleć o moim ciśnieniu. Nie zmrużę już oka do rana. Jestem już za stara na to wszystko. Jutro będę błada i wypluta. Pewnie dopadnie mnie migrena...

– Przepraszam – bąknęłam pod nosem.

– Głowa będzie mi pękać na kawałki – nie dała sobie przerwać – a jestem umówiona na poranną kawę na plebanii. Po południu mam rozegrać partyjkę scopa... Znowu twoje życie przebojem wdziera się w moje, niszcząc misternie zaplanowany poranek i ciekawe popołudnie.

– Przepraszam – powiedziałam odrobinę głośniej.

– Nie przepraszaj! – warknęła. Spojrzała na mnie przeszywającym wzrokiem. Jeszcze raz potrząsnęła głową. Papiloty na jej włosach podskoczyły jak sprężynki. – Wyeliminuj ze swojego życia popierdoleńców! Dobrze ci radzę, bo w przeciwnym wypadku zostaniesz bez mieszkania.

„Łatwo jej mówić” – pomyślałam. Wyszła i trzasnęła drzwiami. Tym razem ja miałam wrażenie, że garnki podskoczyły w kuchni. W każdym razie chochła

wisząca na ścianie spadła na pewno. Usłyszałam brzęk metalu uderzającego o kamienną posadzkę.

Wojtek dojechał do domu o siódmej rano. Po przyjeździe zdobył się na jeden wyraz w SMS-ie: „Dojechałem”. Napisałam: „Teraz będę mogła już spokojnie zasnąć” i czekałam na odpowiedź. Nie nadeszła. Zapewne rzucił się w wir codzienności – brał prysznic, parzył kawę, wciągał na siebie koszulę i wyprasowane w kant spodnie, czyścił buty i myślami był już w swoim gabinecie przy swoich mniej lub bardziej stukniętych pacjentach. Zasnęłam około ósmej rozżalona, że nic więcej nie napisał, że nie zadzwonił. Śniły mi się brednie. Wojtek trzymał w ręku płonący list od Enrica. Postać ze ściany w kuchni miała twarz inspektora Brossiego. Roberto miał szeroko otwarte w niemym krzyku usta i okrągłe z przerażenia oczy. Antonio Sergrano biegał z nożem w plecach po kwitnącej łące. Marco z kiosku uzmysławiał mi, że nawet moje przyjście na świat było iluzją, nie mówiąc już o całej reszcie, a Enrico grał na gitarze i śpiewał jakąś piosenkę o miłości. W refrenie piosenki powtarzały się cyfry 11-4-10-15-2... Sen makabra. Nie mogłam się obudzić. W kółko 11-4-10-15-2... W kółko Wojtek, inspektor Brossi, Sergrano, Marco i Enrico. Obudziłam się około południa zmęczona i złana potem. Lepiej było już w ogóle nie spać. Cholerna podświadomość próbowała mnie wykończyć.

Postanowiłam zamalować tę postać na ścianie. W końcu od czegoś powinnam zacząć ten swój powrót do Toskanii. Inspektor Brossi twierdził, że to Francesca płatała mi te figle. Francesca siedziała w areszcie. Moja ściana była już bezpieczna. „W sumie szkoda” – pomyślałam, zaczynałam lubić tę postać. W każdym razie przestała mi już przeszkadzać. W końcu po raz pierwszy pojawiła się w moim życiu jeszcze na studiach. Najpierw był Edward Munch i jego *Krzyk*. Pamiętam, jak na zajęciach z teorii sztuki wałkowaliśmy ten obraz przez parę tygodni. W końcu nic dziwnego, to jeden z najbardziej znanych obrazów ekspresjonistycznych. Ciągłe rozbieranie tego dzieła na czynniki pierwsze sprawiło, że na samą myśl o tym obrazie robiło mi się niedobrze. Więcej godzin poświęciliśmy na rozmowy o tym malowidle niż Munch na jego tworzenie. Parę miesięcy później namalowałam podobną postać. To był żart, który wrzuciliśmy na uczelnianego Facebooka. Namalowana przeze mnie postać była hybrydą człowieka z obrazu Muncha i profesora Zawady. Z jej ust wychodziła typowa dla komiksów chmurka z napisem: „Że też Pan Bóg obdarza talentem tylko idiotów”, czyli ulubionym tekstem profesora od ceramiki. Nigdy bym wtedy nie pomyślała, że podobna postać będzie mnie prześladować przez prawie dwa tygodnie. Nie śmieszyć, tylko przerażać i straszyć, zamalowywana – pojawiać się na nowo. Będzie przerażać nożem aż po rękojęść wbitym w serce, straszyć dziesiątkami

żyłek kaleczących jej ciało. Teraz mogłam ją spokojnie zamalować. Farby zostało mi jeszcze z ostatniego zamalowywania. Wtedy pomagał mi Enrico. Nigdy wcześniej nie myślałam, że malowanie farbą po ścianie może kryć w sobie aż tyle erotyzmu. Teraz byłam sama. Spojrzałam jeszcze raz na rozdziawione w krzyku usta i okrągłe z przerażenia oczy, na bezkształtną głowę, uniesione w akcie rozpaczy ręce... Zajęłam się wyjmowaniem żyłek z tynku. Miała Francesca fantazję. Nie da się ukryć. Ta postać była połączeniem klasycznego ekspresjonizmu ze współczesnym uwielbieniem dla szeroko pojętego piercingu. Zaczęłam od zamalowywania tułowia. Później przeniosłam się na ręce, jakby za chude w stosunku do podtrzymywanej przez nie głowy. Właśnie miałam jednym maźnięciem pędzla zamalować usta, kiedy nagle coś mnie olśniło. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakaś bzdura. Ale myśl wracała jak bumerang. A jeżeli ten SMS jest rzeczywiście wiadomością od Enrica? Przyszły dwa SMS-y. Enrico zawsze tak pisał. Pierwszy był pusty. Drugi zawierał bezsensowny ciąg nic nieznaczących i przypadkowych liczb porozdzielanych myślnikami. Czy naprawdę ten ciąg był przypadkowy? Wyjdzie na to, że jestem głupsza, niż mu się wydawało. Wyjęłam z torebki list od Enrica. Zaczęłam liczyć wyrazy. 11-4-10-15-2... Nic nie trzymało się kupy. Wyjęte z tekstu słowa ułożyły się w jakąś kompletną bzdurę. Wróciłam do malowania. Z całej twarzy postaci na ścianie zostało mi do zamalowania tylko jedno oko. To oko patrzyło na mnie pustym oczodołem. Nagle pozbawione całej zamalowanej wcześniej reszty przestało straszyć, było śmieszne, okrągłe, jak litera o. Spojrzałam jeszcze raz na list. 11-4-10-15-2... Zaczęłam liczyć litery. Z bezsensownego ciągu liczb powstał napis: „Zostań w Toskanii. Potrzebuję Cię”. Tak jak przypuszczałam, ten SMS był od Enrica.

Mnóstwo czasu zajęło mi trzykrotne położenie farby na ścianie w kuchni. Ostatnią warstwę malowałam w pośpiechu i tak nie wierząc, że pokryje wciąż wyraźnie widoczny kontur tamtej przekłętej postaci. Chciałam jeszcze zdążyć do kiosku. Rozmowa ze sprzedawcą zawsze była niezastąpionym źródłem wszelkich informacji. Już byłam w drzwiach, kiedy zadzwonił Marek.

– Wysłałaś mi SMS-a, że ty na razie zostajesz w Toskanii, a Wojtek wrócił do Polski – zaczął bez żadnego wstępu. – Co wam się znowu stało? Nie mam już do was siły. Nikt za wami nie nadaży. Jesteście po prostu popaprani – dokończył ciszej.

– Tak jakoś wyszło – zaczęłam odruchowo się bronić.

– Wyszło? Co wyszło? Wam nigdy nic nie wychodzi.

– Zostałam, żeby malować. On pojechał do pracy. Mnie maluje się najlepiej w Toskanii. On nie wyobraża sobie życia bez swoich pacjentów. W sumie wszystko w porządku. Nasza norma. – Chciałam, żeby to zabrzmiało beztrąsko.

– Nic nie jest w porządku – przerwał mi gwałtownie. – Jest po prostu jak zawsze. Katastrofa, tragedia i gówno. Dwoje popierdoleńców, z których każde patrzy tylko na siebie, dwoje egoistów, z których każde realizuje tylko własne plany.

– Nieprawda – przerwałam mu. – Tym razem jest trochę inaczej. Wojtek poczuł się urażony, a ja muszę zrozumieć to wszystko, co stało się w Toskanii. Wyszło na to, że razem nam nie po drodze. Bywa... Nie wtrącaj się w to – dodałam po chwili. – Nie jesteś w stanie nam pomóc.

Zamilkłam. Z drugiej strony panowała cisza. Zastanawiałam się, czy Marek się nie rozłączył.

– Ja w innej sprawie – powiedział po chwili. – Przesłałem ci e-mailem list od organizatorów tej naszej wystawy we Florencji. Nic nie rozumiem. Nie znam włoskiego. Po liczbie znaków zapytania mogę się tylko domyślać, że oczekują od nas jakichś dodatkowych informacji.

Wśród dziesiątek nieprzeczytanych e-maili był ten przesłany przez Marka. Mieliśmy podać konkretną liczbę obrazów, ich tytuły, propozycję rozmieszczenia prac w galerii, przesłać listę gości, których chcemy zaprosić na wernisaż... Mieliśmy się zdecydować co do liczby lampionów, które będą ustawione na zewnątrz, by znaczyć drogę do galerii, podać nasze oczekiwania dotyczące oświetlenia poszczególnych obrazów, przyjrzeć się propozycji plakatów i billboardów zapraszających na wystawę. Pytano o oprawę muzyczną i preferowanych krytyków... Pomyślałam, że czas się nagle bardzo skurczył, do otwarcia wystawy pozostały tylko cztery miesiące. Już pojawiły się pierwsze informacje, już spekulowano, już krytycy ostrzyli sobie na nas zęby i pazury. Wystawa będzie nosiła tytuł *Emocje zakłete w kolory*. Zaprezentujemy z Markiem takie zupełnie inne malarstwo. Nie kształt, nie forma, nie światło, nie perspektywa, ale kolory. Nie treść, lecz emocje. Taka symfonia emocji. Emocje i uczucia, uczucia i emocje bez końca. Niekończące się emocjonalne forte. Ta wystawa będzie w pewnym sensie kontynuacją naszej wystawy sprzed dwóch lat. Tamta była w Krakowie, nosiła tytuł *Cztery pory roku*. Coś zakłuło mnie w środku. Przed dwoma laty poznałam Wojtkę na wernisażu otwierającym tamtą wystawę. Dawne czasy, próbowałam odgonić od siebie tamto wspomnienie, później wydarzyło się tak wiele. Już wtedy nasze obrazy były postrzegane jako kontrowersyjne, my jako odszczepieńcy. Przez wystawę przelewały się wtedy tłumy. Zdania krytyków zmieniały się w miarę czasu. Początkowo opinie były krytyczne, z czasem obojętne, a pod koniec trwania wystawy chwalono nas pod niebiosa i piano nad nami z zachwytu. Ja byłam świetnie zapowiadającą się, wschodzącą gwiazdą polskiego malarstwa. Marek stał się nagle na nowo odkrytym talentem. Złapaliśmy wtedy wiatr w żagle. Skrzydła urosły nam u ramion. Na jakiś czas uwolniliśmy się od finansowych kłopotów. Zaczęliśmy marzyć o nowej, jeszcze bardziej

kontrowersyjnej wystawie. Chcieliśmy być jeszcze bardziej rozpoznawalni, kojarzeni tylko z emocjami i kolorami. Raptem czas do otwarcia nowej wystawy skrócił się do czterech miesięcy. Tym razem nie Kraków, lecz Florencja. Mnie brakowało jeszcze dwóch obrazów. Miałam już biel, czern, zieleń i kolor szary. Brakowało mi jeszcze żółtego i błękitu. Markowi brakowało brązu. Nie zazdrościłam mu tego koloru. Brąz i emocje? Jakaś makabra. Miałam właśnie wyłączyć komputer, kiedy zobaczyłam w spamie nową wiadomość. Kliknęłam automatycznie. Wiadomość była wysłana z budki telefonicznej. „Maluj! Niech wszyscy będą pewni, że zostałaś, żeby malować. Nie ufaj nikomu!”

– Karo? – jęknął na mój widok Marco. – Co ty tutaj robisz?

Cofnął się. Oparł się plecami o regał. Podniósł rękę, jakby chciał się nią bronić. Gazety, które właśnie układał na półkach, rozsypały się po podłodze. Cicho stuknęły drzwi za wychodzącym z kiosku ostatnim klientem. Popatrzył przerażony w tamtą stronę, jakby się bał, że zostaliśmy sami. Wbił we mnie wzrok i przyglądał mi się z lękiem.

– Ty w Toskanii? – wyszeptał. – Słyszałem, że wyjechałaś.

– Wyjechałam i wróciłam – powiedziałam pogodnie. Śmieszyło mnie to jego przerażenie. – Nigdzie nie maluje się tak dobrze jak w Toskanii. Nigdzie nie ma takiego światła, takich otwartych przestrzeni, takich kolorów... – paplałam jak najęta. Chciałam dać mu czas, żeby mógł jakoś dojść do siebie, choć odrobinę się pozbierać. Żałośnie wyglądał taki wystraszony.

– Myślałem, że wyjechałaś i nie wrócisz.

– Niby dlaczego? – spytałam zdziwiona.

– Ludzie dziwnie mówili po twoim wyjeździe. Łączono cię ze śmiercią Alberta Accardiego. Ponoć mu się odgrażałaś. Później ktoś podpalił jego dom. Ponoć on już wtedy nie żył. Zmarł od uderzenia w głowę. W twoim mieszkaniu była policja. Szukali czegoś. Słyszałem, że coś znaleźli. Zabezpieczyli twoje mieszkanie...

– A ty skąd wiesz o tym wszystkim?

– Ludzie tak mówili...

– Ludzie mówią różne rzeczy, szczególnie w takich małych miasteczkach. Niedostatki własnego życia rekompensują sobie ciekawostkami z życia innych. Jak widzisz, nikt mnie nie aresztował.

– No właśnie widzę – powiedział z ociąganiem.

Zamilkł, ale nie przestawał mi się przyglądać. Patrzył na mnie spode łba, oparty o stający za nim regał z czasopismami.

– Ponoć jesteś popierdolona – powiedział niespodziewanie. – Ponoć te żyletki, które u mnie zamówiłaś, wbiłaś w jakąś postać namalowaną na ścianie.

– O tym też mówią ludzie? – spytałam z powątpiewaniem.

– Ano mówią.

– Wiesz to od pani Mornetti – weszłam mu w słowo. – Nikt poza nią o tym nie wiedział. Ona się nie zna na współczesnej sztuce. Dla niej już Rubens był za odważny, a jego obrazy trąciły pornografią. To dzieło na ścianie było czymś genialnym. Połączenie postaci z obrazu norweskiego ekspresjonisty z końca dziewiętnastego wieku Edwarda Muncha ze współczesnym uwielbieniem dla piercingu i samookaleczania. Takie ponadczasowe zespolenie dwóch trendów w sztuce. Dla mnie bomba. Aż żałuję, że je dzisiaj zamalowałam. Żyłekki mogą ci oddać – dodałam niedbale. – Nie są mi już potrzebne.

– Nie, dziękuję – odpowiedział pospiesznie. – Nie potrzebuję żyłek. Gole się maszynką...

Zamilkł. Ja też milczałam. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– To dzieło to twój nowy image? – spytał po chwili.

– Coś w tym stylu.

– A ja myślałem, że jesteś walnięta. Dotychczas krytycy postrzegali cię jako wybitnie wrażliwą artystkę malującą emocjami. Tak przynajmniej czytałem w Internecie – dokończył już znacznie ciszej.

– Czasami każdy eksperymentuje. Rutyna jest wrogiem dobrej sztuki.

– To był eksperyment? – upewniał się.

– Eksperyment.

– I co?

– I nic, okazało się, że to nie są moje klimaty.

Nadal stał oparty plecami o regał, ale nie był już taki spięty. Nie szykował się do ucieczki. Nawet ręce trzymał teraz luźno. Stał i gapił się na mnie. Powoli zaczynało mnie denerwować to jego spojrzenie.

– A więc wróciłaś do Toskanii – powtórzył kolejny raz.

– Jak widzisz.

– A co ze sprawą Alberta?

– Ta sprawa mnie nie dotyczy. Tą sprawą zajmuje się policja – uciełam.

– Więc przyjechałaś malować? – dopytywał.

– Przyjechałam malować. Co w tym dziwnego, że artysta malarz chce malować? – spytałam poirytowana.

– Nic – bąknął niepewnie. – A co będziesz malować?

Pomyślałam przez chwilę, że on zidiociał. Wcześniej wydawało mi się, że to zupełnie normalny facet ze sporym ilorazem inteligencji i błyskotliwym poczuciem humoru. Teraz nagle zachowywał się jak idiota.

– Mam mnóstwo planów – odpowiedziałam. – W związku z przygotowaniem cyklu obrazów na wystawę, która ma się odbyć we wrześniu we Florencji, szukam inspiracji. Potrzebne mi są emocje związane z kolorem

żółtym. Proboszczowi z Pitigliano obiecałam stworzyć ilustracje do modlitewnika dla pielgrzymów. Z pewnym artystą z Florencji chcemy namalować kolorową kredą sklepienie kaplicy Sykstyńskiej na bruku przed wejściem do katedry Santa Maria del Fiore we Florencji...

– Rzeczywiście, masz mnóstwo planów – wszedł mi w słowo.

– Mówiłam, że muszę malować...

Kto by pomyślał, że rzeczy najprostsze bywają tak trudne do zrozumienia.

– Czemu wróciłaś do Fiano?

Pytanie padło nieoczekiwanie. Pani Mornetti zaprosiła mnie do siebie na kawę. Wyjęła na tę okazję swój ulubiony różany komplet do kawy. Filiżanki były z bardzo cienkiej, delikatnej porcelany z namalowanymi gdzieś pączkami róż. Obok filiżanek postawiła na stole pękata cukiernicę zdobioną porcelanowymi płatkami róż i pasujący do niej talerzyk z ciasteczkami. W całym mieszkaniu rozchodził się przyjemny zapach świeżo zaparzonej kawy, zmieszany z delikatną nutą syropu orzechowego. Czas nagle zwolnił, zaczął płynąć leniwie, jakby i on chciał odpocząć. Nawet we mnie wszystko przestało pędzić. Rozkoszowałam się spokojem tego przedpołudnia. Jeszcze przed chwilą rozmawiałyśmy o ciastkach z piekarni Duche i o wzrastającej liczbie bezdomnych psów w Fiano, o krawcowej mieszkającej nieopodal, o naszych sąsiadach z przeciwka i nagle nieoczekiwanie padło to pytanie.

– Karo, czemu wróciłaś do Fiano?

– Chcę malować – odpowiedziałam krótko.

– Malować? – spytała z niedowierzaniem. – Po tym wszystkim, co tu przeżyłaś, chce ci się tu jeszcze malować?

– W Toskanii maluje mi się najlepiej.

– Trudno tu wyżyć bez stałej pracy. Teraz po śmierci Alberta Accardiego będzie ci bardzo ciężko.

Przyszło mi na myśl, że ona się boi o swój czynsz.

– Nie będzie źle – zaczęłam ją uspokajać. – Mam umowę z pewną parafią na cykl ilustracji. Proponowano mi już wcześniej prowadzenie warsztatów artystycznych dla dzieci w kilku florenckich szkołach. Może uda się coś podobnego prowadzić w szkole w Fiano. Lubię malować na ulicach i nie widzę w tym nic złego. Powstają dzieła sztuki użytkowej. Nie ma nic niestosownego w uwiecznianiu na płótnie wspomnień z wakacji, w malowaniu portretów z Ponte Vecchio w tle, robieniu szybkich rysunków czy szkiców. Turyści lubią tego typu pamiątki z wakacji.

Nie wiem, czy mi uwierzyła. Patrzyła na mnie z niedowierzaniem, testowała mnie wzrokiem, zastanawiała się. Po jej twarzy błąkał się dziwny uśmiech.

Nie tylko Marca i signorę Mornetti zainteresował mój pobyt w Fiano. Zadzwoił jeszcze inspektor Brossi.

– Pani w Toskanii? – zapytał przyjaźnie. – Wydawało mi się, że pani wyjeżdża. Tak przynajmniej mówił pani chłopak – poprawił się. – W każdym razie ja to tak zrozumiałem – dokończył.

– Zostaję jeszcze na trochę. Przygotowujemy z kolegą wystawę. Na początku września nastąpi jej otwarcie we Florencji. Może ma pan ochotę przyjść na wernisaż? Poproszono mnie właśnie o stworzenie listy oficjalnych gości.

– Oczywiście, będę czuł się zaszczycony.

– To właśnie ta wystawa zatrzymała mnie w Toskanii. Muszę jeszcze parę rzeczy dokończyć. Chciałabym jeszcze namalować dwa obrazy, które moim zdaniem uzupełnią kolekcję. W Toskanii maluje mi się najlepiej.

– Została pani, żeby malować? – Uchwycił się tego jednego słowa. To jedno słowo było dla niego najważniejsze. – A ja myślałem, że po tych wszystkich przeżyciach będzie pani miała powyżej dziurek w nosie tej naszej Toskanii...

– Toskanii nie da się odczarować – odpowiedziałam pogodnie. – Lubię ją nadal.

– Chciałabym panią zaprosić na kolację. Tak w ramach zadośćuczynienia za to wszystko. Najlepiej do nas do domu. Moja żona świetnie gotuje. Na pewno się ucieszy. Opowiadałem jej trochę o pani...

– To bardzo miłe, ale teraz nie mogę. Mam dużo pracy...

„Dziwne – pomyślałam, odkładając słuchawkę – nagle wszyscy chcą wiedzieć, dlaczego zostałam w Toskanii”. Nagle dla wielu osób stało się to bardzo ważne. „Maluj! Niech wszyscy będą pewni, że zostałam, żeby malować” – napisał Enrico. Więc zaczęłam malować, a właściwie to zaczęłam się afiszować z tym malowaniem. Myślę, że wszyscy uwierzyli, że zostałam w Toskanii, żeby tworzyć, bo ja sama też zaczęłam w to wierzyć. Włóczyłam się ze sztalugami, malowałam na ulicach, prowadziłam zajęcia z dziećmi... Wieczorami wstępowałam do pani Mornetti, żeby pokazać stworzone akwarelki, rysunki i szkice. Często odwiedzałam Marca. Początkowo z pewną obawą, z czasem coraz śmielej prezentował i sprzedawał moje prace u siebie w kiosku. Poranki spędzałam z kolorem żółtym. Tu mi nie szło. Nie mogłam nawet zacząć. Nagle przerósł mnie ten kolor. Kolor żółty i emocje. Pozornie zapowiadało się prosto, ale im więcej o tym myślałam, tym gorzej mi szło. Kolor żółty to radość, ciepło, pewność siebie, optymizm, słońce, szata Judasza, gwiazda Dawida, ulubiony kolor Konfucjusza, Majowie i Egipcjanie, wrogość, złe zamiary, bezwstyd, szafran, pycha i bogactwo, mdły banan i kwaśna cytryna... Ten kolor ma w sobie mnóstwo sprzeczności, jak niekończąca się kłótnia, jeden nieustający wrzask i jazgot, niepokój i rozdrażnienie.

1 O wcześniejszych losach bohaterów można przeczytać w powieści „W labiryncie obłądu” (Jolanta Kosowska, Wydawnictwo Novae Res, 2016).

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp/S39PbwJjEXIdagslSCVEBGMObwZqRCdIJQ===

Już od paru godzin walczyłam z żółcią. Podłoga w pokoju usiana była szkicami. Koszmar! Gówna! Nic! Zero pomysłów i rozdrażnienie narastające z godziny na godzinę, z jednego nieudanego szkicu na drugi. Nigdy nie przypuszczałam, że kolor żółty może być tak denerwujący, frustrujący i beznadziejny. Ciszę przerwał dźwięk SMS-a. Najpierw jeden, po chwili drugi. Serce zabiło mi mocniej. Czyżby Enrico? Pierwszy SMS nie zawierał żadnej treści. W drugim był ciąg liczb. Sięgnęłam po list. Podstawiłam litery pod cyfry. Nagle zaparło mi dech w piersi, serce zaczęło bić jak szalone, oblał mnie zimny pot, świat wokół zawirował. W pierwszej chwili nie mogłam nic zrozumieć. Litery rozmywały mi się przed oczami, tańczyły, nie chciały ułożyć się w słowa. Zadanie wydało mi się niewykonalne. Wszystko, tylko nie Antonio Sergrano! Ten temat odsunęłam od siebie, wyparłam go ze swej pamięci, zastąpiłam go dziesiątkami innych myśli. Litery ułożyły się w wiadomość: „Zacznij interesować się Antoniem Sergranem. Rozpowiadaj, że chcesz pójść na jego grób. Nie bój się. Teraz jesteśmy tylko ty i ja. Nie ma nikogo, kto może to spieprzyć. To bardzo ważne. Muszę coś sprawdzić”¹. Raptem wszystko odżyło. Wydawało mi się, że zdołałam już o tym skutecznie zapomnieć. Nieprawda. Wszystko wypełzło z zakamarków pamięci i znowu zaczęło straszyć. Usiadłam w fotelu oblana potem, a serce skoczyło mi do gardła. To był koszmar i ten koszmar znowu zaczął mnie straszyć. Pamiętam, że wszystko zaczęło się od kolacji. Poszliśmy na nią w trójkę – Francesca, Enrico i ja. Francesca opowiadała wrażenia z pobytu w Rzymie. Już miałam powyżej dziurek w nosie tych jej opowieści. Odwróciłam głowę w bok i zobaczyłam wlepione we mnie oczy mężczyzny siedzącego przy stoliku obok. Nasz wzrok spotkał się na chwilę. Nieznajomy uniósł kieliszek, kiwnął głową w moją stronę, przyłożył lampkę do brzegu ust. Poczulałam się nieswojo. Jego wzrok wędrował po brzegach mojej sukienki, po obnażonych ramionach, po nie do końca ukrytych za skąpą tkaniną piersiach, po czym ześlizgnął się na nogi. Jak na złość jakiś gitarzysta zaczął stroić instrument, a po chwili ciepły głos wokalisty wzbijał się ponad szum rozmów, przebił przez szarość wypełniającego pomieszczenie papierosowego dymu. Ciepły, lekko zachrypły głos sławił moc miłości, która oplata jak pajęczyna i łączy na wieki. Nijak to się miało do moich osobistych doświadczeń i do szalonych chwil spędzonych z Enrikiem pod nieobecność Franceski. „Widocznie ta prawdziwa miłość nie wszystkim jest pisana – pomyślałam. – Niektórym pisane są tylko: zmysłowość, pożądanie i seks”. No i dobrze, przynajmniej jest coś dla mnie. Ostatnio myślałam, że dla mnie nie pozostało już nic, nie ma miłości, erotyzmu, pożądania ani seksu. Na parkiecie zaroilo się od ludzi. Wiele par chciało się poprzytulać w rytm piosenki o nigdy niekończącej się miłości. Szlag by to trafił! Francesca uniosła się do tańca. Wstając posłusznie za nią, Enrico nawet nie omiółt

mnie wzrokiem. Głupi palant! Bezwolny idiota! Zastrany pantoflarz! Mieliśmy za sobą dwie szalone noce, a teraz on potulnie wracał pod skrzydła Franceski. Pomyślałam, że pójdę już do domu. „Marzę o kąpieli, o kubku ciepłego mleka, samotności, przytulności pościeli, miękkości mojego łóżka, cicho włączonej muzyce...” Wszystko zaczęło mnie drażnić: tłumy na parkiecie, szary papierosowy dym unoszący się nad stolikami, Francesca i Enrico, i te słowa piosenki. Nigdy niekończąca się miłość. Mrzonki! Teksty piosenek układają palanci.

Właśnie postanowiłam wrócić do domu, kiedy jak spod ziemi wyrósł przy mnie tamten siedzący wcześniej samotnie facet.

– Zatańczysz?

Wstałam odruchowo. Dałam się porwać do tańca i nagle poczułam się zupełnie inaczej niż z Enrikiem. Nieznajomy tańczył bardzo dobrze, ale trzymał dystans. Jego ręce leżały tam, gdzie powinny. Głowę trzymał lekko odgiętą do tyłu, jego nogi nie splatały się z moimi, jego biodra nie przylegały do moich. Takt, szacunek, elegancja... Przez ten dystans poczułam się kimś wyjątkowym. Dziwni są ci faceci. Niepojęta jest dla mnie męska natura. Tańczyliśmy i tańczyliśmy bez końca. Naszym tańcem wzbudziliśmy niepokój. Przez przypadek dokopaliśmy innym. Kątem oka widziałam przyglądającą się nam Francescę. Czułam na sobie ścigające mnie spojrzenia Enrica. Oni już dawno przestali tańczyć. Od dłuższej chwili siedzieli przy stoliku, nie odrywając od nas wzroku. Cudownie tańczył ten Antonio. Czułam się, jakbyśmy płynęli ponad parkietem. Wszystko przestało się liczyć, oddaliło się i odpłynęło. Poczułam się nagle taka lekka, wolna i bezpieczna.

To był dziwny wieczór. Lepiej się nad nim nie zastanawiać. Niewiele z niego rozumiem. Antonio odprowadził mnie do stolika, na chwilę przytrzymał jeszcze moją rękę.

– Dziękuję. Cudownie tańczysz.

Odwrócił się i odszedł, zapłacił przy barze, z ujmującym uśmiechem przeciskał się pomiędzy tańczącymi parami w kierunku wyjścia. Machnął jeszcze ręką na pożegnanie jakiejś parze siedzącej przy drzwiach pod ścianą i zniknął. Ja też chciałam już tylko iść do domu. Nagle nie miałam już ochoty na rozmowy z Francescą i Enrikiem. Denerwował mnie błędzący po moim ciele, pełen bezwstydnego pożądania wzrok Enrica. Nic chyba bardziej nie podnieca mężczyzny niż widok jego kochanki tańczącej w objęciach innego faceta. Mężczyźni są jednak popierdoleni. Jak widać, Enrico nie różnił się pod tym względem od innych. Dotknięcie jego ręki na moim kolanie poczułam jak oparzenie. Odsunęłam się gwałtownie od stolika. Przez przypadek kopnęłam w nogę od stołu. Zabrzęczały kieliszki. Pojedyncze plamy czerwonego wina upstrzyły obrus.

– Przepraszam – mruknęłam pod nosem.

„Co się stało, do cholery? – pomyślałam. – To przecież był tylko taniec, parę

utworów zatańczonych z nieznanym mężczyzną, a we mnie raptem zmieniło się wszystko...” Ja – nie ja, taka sama, a już zupełnie inna, odmieniona, odczarowana, a może zaczarowana na nowo, ale zupełnie inaczej. Wybudzona z jakiegoś snu, a może zasypiająca właśnie z nowymi marzeniami sennymi pod powiekami. „Dziwny wieczór – stwierdziłam. – Chwila na parkiecie zmieniła nagle wszystko”.

– Coś nie tak? – Głos Enrica dotarł do mnie jak z zaświatów. – Zachowujesz się jakoś inaczej...

– Nie. Wszystko w porządku – skłamałam. – Mam za sobą intensywny weekend. Poczułam się zmęczona. Pójdę już do domu...

– Jak ci się spodobał Antonio Sergrano? – zatrzymała mnie pytaniem Francesca.

– Tańczy wspaniale... – odpowiedziałam z wahaniem. „Tańczy wspaniale – pomyślałam – i jest zupełnie inny. Taki człowiek jakby z innej bajki”.

– Nie pytam o taniec. – Spojrzała na mnie z niesmakiem. – Taniec widziałam... Tańczy dobrze, ale bez emocji. Dla mnie za zimno. Wieje chłodem. W jego tańcu nie było ognia.

– A o co w takim razie pytasz?

– O Antonia...

– Facet jak facet. Nie znam go. Wymieniliśmy z sobą zaledwie jedno zdanie.

– Czasami nie trzeba więcej... Czasami nawet milczenie wystarczy, żeby poczuć to coś. Tańczyliście, jakbyście się znali od zawsze. Wasze ciała rozumiały się doskonale – powiedziała z przekąsem. – Antonio Sergrano jest wielką tajemnicą. Prowadzi się jak ksiądz. Nie utrzymuje z nikim bliższych kontaktów. Jest poprawny wobec wszystkich, ale nie ma bliskich znajomych. Wydaje się, jakby od wszystkich stronił, jakby nikogo nie potrzebował do szczęścia. Nie prowadzi się z nikim – wyliczała podekscytowana wszystkie inności Antonia. – Nie bywa w knajpach. Nie widuje się go w niedzielę w kościele. Jak na Włocha, oba te fakty są co najmniej dziwne. W tej knajpie widzę go po raz pierwszy, a my tu przecież z Enrikiem bywamy dość często. Facet wydaje się niedostępny. Mieszka tu już od paru lat i nadal nikt z nas prawie nic o nim nie wie. To pobudza wyobraźnię, podnieca... To powoduje, że do atrakcyjnej powierzchowności całą resztę dopowiadają zmysły...

Pomyślałam sobie, że Francescę wszystko podnieca, poczynając od głosu Enrica, a kończąc na spojrzeniach jakiegoś nieznanego w windzie. Antonio jest zupełnie inny niż Enrico. Nie potrafiłam tego sprecyzować ani nazwać.

Francesca i Enrico opowiedzieli mi wtedy trochę o Antoniu Sergranie. Przed laty przyjechał tu na wakacje. Spędzał je w towarzystwie jasnowłosej piękności o imieniu Alessandra. To była ich podróż poślubna. Spodobało im się w Toskanii. Chcieli tu zostać. Zapragnęli kupić dom w okolicy. Obejrzeli chyba wszystkie posiadłości, które były na sprzedaż w promieniu około trzydziestu kilometrów od

Fiano. W końcu zdecydowali się na dom na lawendowym wzgórzu położony niedaleko Fiano, otoczony winnicą i gajem oliwnym. Kupili go. Wyjechali, żeby przygotować przeprowadzkę, a po paru miesiącach wrócił tylko Antonio. Pozornie był taki sam, ale zupełnie już inny. Zaczął stronić od towarzystwa, omijał tawerny i restauracje, unikał rozmów z ludźmi, przestał chodzić do kościoła. Zamieszkał sam w domu na lawendowym wzgórzu. Zaczął się zajmować winnicą i gajem oliwnym przylegającym do domu. Do jego posiadłości prowadzi właśnie ta brama, którą malowałam dwa dni wcześniej. To do jego domu prowadzi aleja, w której drzewa tworzą tunel, podając sobie ramiona. Niesamowite, urokliwe miejsce, które mnie zaintrygowało, przyciągnęło mój wzrok, pobudziło moją wyobraźnię, spowodowało, że rozstawiłam przy nim sztalugi i zaczęłam malować. Nikt nic nie wiedział o Sergranie. Z nikim nie utrzymywał bliższego kontaktu. Dla miejscowych był wielką tajemnicą. Każdy opowiadał o nim co innego, konfabulacja gonila konfabulację, wyobraźnia ludzka nie miała granic, a zawiść nie zostawiała na nim suchej nitki. Ludzi pokroju Franceski doprowadzał do szaleństwa. Musiał mieć dom jeszcze gdzie indziej, bo dość często wyjeżdżał z Fiano. Inwestował w kolejne winnice. Odkupywał od miejscowych plantację winorośli za plantacją. Zajął się produkcją wina. Wino z jego winnic od paru lat cieszyło się coraz bardziej rosnącą popularnością. Wiele sklepów w okolicy sprzedawało wino z winnicy Sergrana. Etykiety na jego trunkach były charakterystyczne, przedstawiały dwa drzewka oliwne ze splecionymi konarami. Rzadko kupuję wino. Dopiero później zaczęłam zwracać uwagę na etykiety. To prawda, że to jego chianti musiało być bardzo popularne, bo nie było właściwie sklepu w okolicy Fiano, Florencji, Sieny i San Gimignano, w którym nie można byłoby kupić chianti pochodzącego z jego winnic. Francesca mówiła, że Antonio jest też właścicielem paru sklepów w Certaldo i w San Gimignano. W jego sklepach poza winem sprzedawano limoncello. Nie cierpię likieru cytrynowego, ale ten jest wyjątkowy, stworzony według jakiejś starej receptury... Pojechałam kiedyś do San Gimignano i kupiłam sobie ten likier Antonia. To limoncello było naprawdę wyjątkowe, nie miało nuty goryczy. A może ta gorzka nuta tym razem mi nie przeszkadzała? Antonio zaintrygował mnie, zdziwił, pobudził moją wyobraźnię, raptem sprawił, że przestałam tęsknić za nocami z Enrikiem i myśleć o Wojtku. Antonio ostrzegał mnie przed Enrikiem. Dzień później znaleziono Sergrana martwego na wzgórzu zwanym Lawendowym Uroczyskiem. Początkowo jego zgon wiązano z oparami chemikaliów, które wydostały się tego dnia z przewróconej nieopodal ciężarówki. Dziesiątki ludzi z objawami zatrucia trafiło wtedy do miejscowego szpitala. Wśród nich byłam i ja. Bolała mnie głowa, świat wirował dookoła jak szalony, nie mogłam zrobić kroku, twarz miałam upstrzoną czerwonymi plamami, spuchły mi powieki i usta, coś zmuszało mnie do ciągłego kaszlu, świszczałam przy każdym oddechu, wymiotowałam... Mówiono, że

Sergrano znalazł się w epicentrum tych oparów, tam gdzie ich stężenie było najwyższe. Musiał być chyba bardziej wrażliwy od innych, bo zareagował obrzękiem krtani i się udusił. Pomyślałam, że to pech, bo przecież poznałam go zaledwie dzień wcześniej. Zaintrygował mnie na tyle, że postanowiłam się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Tamtego dnia wszystkie lokalne gazety rozpisywały się o Sergranie. Pojechałam do najbliższego kiosku kupić prasę. Brukowce kochają śmierć, romanse, rozwody, stypy, pogrzeby, urodziny, afery towarzyskie i aktualności z giełdy. Na ludzkich emocjach najprościej jest zrobić kasę, a już najlepiej zbija się ją na ludzkim nieszczęściu. Nie pomyliłam się, już na pierwszej stronie jednej z gazet wydawanych we Florencji zobaczyłam duże zdjęcie Antonia z dopiskiem: „Ceny wina rosną błyskawicznie, a za butelkę sławnego limoncello trzeba zapłacić w Certaldo sto euro”, „Nie będzie już wina Sergrana z nowych zbiorów. Antonio Sergrano nie żyje...”. Na zamieszczonym poniżej zdjęciu zobaczyłam miejsce zgonu – Lawendowe Uroczysko – i pamiętam dobrze, jak raptem poczułam serce w gardle. W pierwszej chwili pomyślałam, że to musi być jakaś kaczka dziennikarska, bo przecież w dniu śmierci Antonia byłam niecałe sto metrów od tego miejsca i rysowałam wjazd na jego posesję. Nie miałam wtedy pojęcia, że to wzgórze po prawej stronie nosi nazwę Lawendowego Uroczyska. Nikt nie kręcił się wtedy przy bramie prowadzącej na posesję Sergrana. Pomiędzy piątą rano, kiedy zaczęłam malować, a czternastą, kiedy w popłochu opuszczałam to miejsce, nikt tamtędy nie przechodził. Nikogo, zupełnie nikogo nie widziałam w tej okolicy. Na pewno nie spacerował tam Antonio. Jediną rzeczą, która tamtego dnia przykuła moją uwagę, był stojący na Lawendowym Uroczysku samochód. Raptem ten samochód zaczął mnie jeszcze bardziej intrygować i przerażać. Śmierć Sergrana wywołała w gazetach całą burzę refleksji, przemyśleń i wspomnień. Nagle wszystkie brukowce pisały o Antoniu Sergranie. Z gazet dowiedziałam się, że z jego osobą związanych było sporo niewyjaśnionych wydarzeń, niezrozumiałych historii, pechowych zbiegów okoliczności i nie do końca wyjaśnionych przypadków śmierci. Wyglądało na to, jakby jego ród dotknięty był jakąś klątwą. Niewiadoma gonila niewiadomą, tajemnica pędziła za tajemnicą, skandal za skandalem, śmierć za śmiercią. Każdy artykuł dorzucał coś nowego. Zaczęłam myśleć, że miałam pecha, spotykając na swojej drodze Antonia Sergrana. Do tego na dzień przed jego śmiercią. Swoisty zbieg okoliczności. Czytałam wszystko z wypiekami na twarzy. Sensacja gonila sensację. Sergrano przyjechał przed laty do Fiano w towarzystwie swojej dopiero co poślubionej żony. Alessandra Sergrano należała do kobiet, które swą urodą przyciągają wzrok wielu ludzi. Miała długie, jasne, sięgające do pośladków włosy, lazurowe jak włoskie niebo oczy, ciepły sposób bycia, wyważony styl ubierania się. Piękna, układna, ciepła, wzbudzała powszechną sympatię. Alessandra i Antonio obejrzelili razem mnóstwo domów i posiadłości w okolicach Fiano. Szukali czegoś na stałe. Wybrali

dla siebie ten dom położony na wzgórzu, do którego prowadziła cienista aleja. Obok wzgórza, na którym stał dom, było jeszcze wiele innych wzgórz, wśród nich również to zwane Lawendowym Uroczyskiem. Pisano, że Alessandra Sergrano zginęła w wypadku samochodowym. Teraz już wiem, że było inaczej. Zasnęła w niewyjaśnionych okolicznościach, prowadząc samochód z szybkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę na trasie szybkiego ruchu łączącej Sienę z Florencją. Sprawa wydawała się dość dziwna, bo ofiara na trzy minuty przed wypadkiem rozmawiała przez telefon z mężem, do wypadku doszło w godzinach przedpołudniowych, a warunki meteorologiczne były doskonałe. W jej krwi nie stwierdzono alkoholu, leków ani narkotyków. Nie stwierdzono niczego, co mogłoby spowodować nagłe zaśnięcie. We wraku samochodu nie znaleziono żadnych usterek, które sugerowałyby przyczynę techniczną tego wypadku. Naoczny świadek zeznał, że samochód z dużą szybkością uderzył w barierkę oddzielającą dwa pasy drogi, wpadł w poślizg, przekoziółkował i dachował w rowie około stu metrów dalej. Świadek, który jechał sąsiednim pasem, miał wrażenie, że siedząca za kierownicą kobieta nie reagowała na wydarzenia, siedziała bez ruchu. Twierdził, że po jej twarzy nie przebiegł żaden grymas strachu, że się lekko uśmiechała. Stąd powstało przypuszczenie, że do wypadku doszło w wyniku zaśnięcia. Antonio Sergrano pomimo wypadku żony nie zmienił wcześniejszych planów. Po paru miesiącach wrócił w okolice Fiano i zamieszkał we wcześniej przez nich zakupionej posiadłości z dużą winnicą i gajem oliwnym. Zajął się produkcją wina i limoncello. Pomimo że w okolicy jest dużo winnic, produkowane przez niego chianti stawało się z roku na rok coraz bardziej poszukiwane. Z roku na rok rosły też ceny trunku pochodzącego z winnic Sergrana. Z czasem Antonio dokupił nowe winnice. Pracowało w nich coraz więcej ludzi. Produkcja rosła, sprzedaż systematycznie się zwiększała. W ubiegłym roku sprzedano ponad pięćdziesiąt tysięcy butelek chianti z winnic Antonia. W ciągu paru lat Sergrano wielokrotnie powiększył swój majątek. Przed dwoma laty stało się o nim głośno z zupełnie innych powodów. Przyczyną był ciąg dziwnych wypadków, który dotknął grono bliskich mu osób. Wszystko zaczęło się od jego siostry, która przed dwoma laty przyjechała do niego w odwiedziny. Właśnie skończyła studia w Stanach. Chciała zostać w Toskanii na dłużej. Zginęła dwa tygodnie później, spadając z konia w trakcie pokazów skoków we Florencji. Nie byłoby w tym może nic zastanawiającego, gdyby nie to, że poniósł ją koń, który nigdy nie ponosił, a dziewczyna była wicemistrzynią Kalifornii w skokach przez przeszkody. Później zmarł brat Sergrana. Ponoć od paru lat nie utrzymywał z rodziną żadnego kontaktu, nie był nawet na pogrzebie siostry. Mieszkał w Paryżu. Nagle zupełnie niespodziewanie postanowił przyjechać do brata. Zginął w drodze z lotniska do domu Sergrana, uderzając w stado saren przebiegających przez drogę. Klątwa ściagała nie tylko członków rodziny Antonia. Sam Sergrano ledwie uszedł z życiem

z pożaru swej posiadłości latem ubiegłego roku. Przyczyny pożaru nie udało się ustalić. Ogień pojawił się w środku nocy, drzwi domu się zablokowały. Antonio uratował się, skacząc z tarasu. Blokadę drzwi wyjaśniono błędem systemu ochrony budynku, który zamiast włączyć zainstalowane we wszystkich pomieszczeniach czujniki dymu zablokował drzwi wyjściowe i wszystkie rolety antywłamaniowe. Ponoć ogień rozprzestrzenił się od kominka, chociaż sam Antonio twierdził, że latem w kominku nigdy nie rozpala. Ponieważ drzwi były zablokowane i nie stwierdzono żadnych śladów włamania, przyjęto ostatecznie wersję, że od instalacji elektrycznej zapaliło się zgromadzone w kominku drzewo, ogień objął też stojące w niedalekiej odległości od kominka regały z książkami i zaczął się rozprzestrzeniać w błyskawicznym tempie po całym domu. Wytlumaczenie wydawało się bardzo naciągane, ale sam Antonio nalegał na zakończenie śledztwa. Twierdził, że to dochodzenie nikomu nie jest potrzebne.

Ludzie mieszkający w okolicy coraz częściej opowiadali o kłątwie wiszącej nad rodem Sergrano. Od Antonia zaczęto stronić jeszcze bardziej, ale jego wino kupowano jeszcze chętniej. Dziwna i przewrotna jest ludzka natura. W ubiegłym roku sprzedał najwięcej chianti w całej Toskanii. Przed paroma miesiącami zaginął Marco Rossoni, restaurator z Rzymu i dobry znajomy Sergrana jeszcze z lat szkolnych. Widywano ich często razem. Rossoni systematycznie odwiedzał Fiano. Przyjeżdżał ponoć w interesach. W listopadzie ubiegłego roku wyszedł na spacer z posiadłości Antonia i już nie wrócił. Przepadł jak kamień w wodę. Jego zwłoki znaleziono wczesną wiosną podczas czyszczenia przydrożnych rowów... Ponoć był to nieszczęśliwy wypadek, ponoć przechodząc przez kładkę, potknął się, a wpadając do rowu, uderzył głową o kamień... Makabra, że też musiałam poznać tego Sergrana, w dodatku na dzień przed jego śmiercią. Kurde, ja to mam zezowate szczęście.

Pamiętam, że w ostatniej chwili odwołano jego pogrzeb. Najpierw pojawiła się plotka o jakichś niepasujących zębach denata. Ludzie uwielbiają takie sensacje. Plotka rozeszła się po Fiano z szybkością błyskawicy. Myślę, że dotarła też do Sieny i Florencji. Później ktoś dopatrzył się dziwnych podbiegnięć na szyi denata. Zdecydowano się na sekcję zwłok. Okazało się, że Antonio nie zginął w wyniku działania oparów substancji chemicznej, które wydostały się z przewróconej ciężarówki, lecz został zamordowany. Zginął przez zadławienie. Czyjeś ręce dusiły go za gardło tak długo, aż zadławił się nasadą własnego języka. Wtedy nagle dotarło do mnie, że ktoś może uważać mnie za świadka zbrodni, której nie widziałam. W dzień wypadku ciężarówka siedziałam na kamieniu niedaleko bramy prowadzącej na teren posiadłości Sergrana i malowałam tę drogę obsadzoną drzewami, pnącą się ku górze, gdzie konary drzew łączyły się z sobą, tworząc zielony tunel kończący się małą plamą słońca i błękitnego nieba. Malowałam tę moją *Toskańską drogę do nieba*, a ktoś zamordował Antonia zapewne w tym

samochodzie, który stał na wzgórzu sto metrów ode mnie. Pamiętam, jak tamten samochód ruszył za mną, jak uciekałam, pędząc na rowerze jak szalona. Ktoś pomyślał, że widziałam coś, czego nie mogłam zobaczyć, że jestem świadkiem czegoś, o czym nie mogłam mieć pojęcia. A potem zaczął się dla mnie ten cały koszmar, który doprowadził mnie w przeciągu kilkunastu dni do próby samobójczej. Zaczęły się dziać dziwne rzeczy, których nie mogłam zrozumieć, których nijak nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, które zaczęły otaczać mnie coraz ciaśniej i ciaśniej kręgiem, ingerować w moje życie w dzień, straszyć mnie nocą. W mojej kuchni na ścianie pojawiała się postać z *Krzyku* Muncha, na malowanych przeze mnie akwarelkach toczyły się ścięte głowy, dyndały na wietrze trupy, płonęły żywcem ludzkie pochodnie, na lustrze w łazience pojawiały się szalone napisy. Z dnia na dzień coraz bardziej wchodziłam w ten obłąd. Nie mogłam oddzielić prawdy od kłamstwa, świata realnego od mistyfikacji, swoich działań od działania innych ludzi. Bałam się wszystkich i siebie samej. Wydawało mi się, że we mnie muszą mieszkać dwie dusze. Inaczej nie mogłam sobie wytłumaczyć tego wszystkiego, co działo się wokół mnie. To było jedyne wytłumaczenie, które przychodziło mi na myśl. Miałam dwie dusze w jednym ciele. Były swoimi przeciwieństwami. Jakby jedna z nich była odbita w krzywym zwierciadle. Jedna była dobra, pogodna, łagodna, ciepła, ufna, pełna marzeń... Druga kazała mi malować przerażające postacie na ścianie, wbijać nóż w tynk, ozdabiać wizerunek na ścianie dziesiątkami wbitych w jego ciało żyłek, tworzyć przerażające, chore, okrutne obrazy. Pamiętam każdy z nich. Nigdy ich zapewne nie zdołam zapomnieć. Pamiętam obrazek, na którym pomiędzy filarami Ponte Vecchio, na środkowym przęsle, kolebały się na wietrze trzy męskie trupy, akwarelkę przedstawiającą Ogrody Boboli we Florencji, gdzie obok kolorowych dziecięcych piłek turlały się w dół po ścieżkach poobcinane głowy. Pamiętam rysunek, na którym centralną postacią fontanny na Piazza della Signoria nie był Neptun, lecz płonąca jak pochodnia kobieta, a na placu obok spuszczone ręką *Dawida* Michała Anioła trzymała ociekający krwią ludzki skalp. Zaczęły mnie prześladować koszmarnie sny. Jeden z nich ciągle się powtarzał, wracał i wracał bez końca. Powodował, że bałam się zasnąć, że budziłam się z krzykiem na ustach zlaną potem. Śnił mi się kondukt żałobny. Tłum ludzi w maskach z twarzą postaci z *Krzyku* schodzący aleją w kierunku bramy oddzielającej posesję Sergrana od drogi. Kondukt kroczył powoli, w milczeniu, tylko te maski były bezgłośnym krzykiem przerażenia. Stałam tuż przy tej bramie. Nieznana siła trzymała mnie w tym miejscu. Nie byłam w stanie oderwać stóp od ziemi. Żałobny pochód się zbliżał. Postacie otwierające orszak stawały się coraz wyraźniejsze. Twarze na maskach coraz bardziej powyginane. Kroczyło w moim kierunku narastające przerażenie, niesione na dziesiątkach pozasłanianych twarzy. Narastał we mnie niepokój, który powoli przeradzał się w porażający i obezwładniający strach.

Stałam jak sparaliżowana, a milczący pochód był coraz bliżej i bliżej. Widziałam trumnę niesioną na ramionach. Była duża, masywna, dębowa. Tłum wciągnął mnie w siebie, wchłonał. Dałam się porwać tej masie. Nagle ktoś się potknął, ktoś inny nie utrzymał równowagi i raptem trumna runęła na ziemię. Wieko odskoczyło do góry. Na murawę wypadły dziesiątki poobcinanych głów, takich samych jak te na moich rysunkach z Ogrodów Boboli. Głowy toczyły się po nierównym bruku. Podskakiwały jak piłki na wystających kamieniach. Jedna z nich zatrzymała się na mojej nodze. To nie była głowa Sergrana, tylko Enrica. Ten sen wracał i wracał bez końca. Głupi, koszmarny sen. Nocami dręczył mnie ten koszmar, a w dzień zaczął mnie prześladować pewien samochód. Kierowca zasłaniał twarz maską podobną do twarzy postaci z obrazu *Krzyk*. Za każdym razem w oknie mijającego mnie samochodu pojawiał się ten sam napis: „Uważaj na siebie! Wyjedź z Toskanii!”, a ja już nie miałam siły stamtąd wyjechać. A później przyszło to najgorsze. Wydawało mi się, że moja gorsza dusza zabiła Alberta Accardiego i po raz drugi zabiła Sergrana. Wiem, że nie można zabić po raz drugi kogoś, kto już nie żyje, ale pamiętam to wszystko dokładnie, jakby to się wydarzyło zaledwie przed paroma godzinami. To wraca do mnie bez końca. Jechałam z Pitigliano do Fiano, słuchałam muzyki. Tego dnia wygrałam konkurs na rysunek o treści sakralnej wykonany kredą na bruku. Konkurs ogłosił proboszcz z Pitigliano. To był mój dobry dzień. Wygrałam pięćset euro i dostałam pracę. Miałam tworzyć obrazki do nowego modlitewnika dla pielgrzymów, którzy w przyszłym roku mieli odwiedzić kościół w Pitigliano z okazji jakiejś nic mi niemówiącej rocznicy. Jeszcze przed rokiem pogardziłabym taką pracą. Jeszcze przed kilkunastoma miesiącami interesowała mnie tylko prawdziwa sztuka. Nagle cały mój świat się przewartościował. Rysunki do modlitewnika to też sztuka, tylko że użytkowa, jak malowanie na materiale lub szkłe, portrety rysowane na ulicach... Michał Anioł w końcu też malował freski na ścianach kościoła. Co prawda, tym kościołem była Kaplica Sykstyńska, ale to tylko niewiele znaczący szczegół. Najważniejsze, że miałam nową pracę. Postanowiłam spłacić dług zaciągnięty u pani Mornetti, zamalować postać na ścianie, znowu znaleźć czas na tę prawdziwą sztukę. Czas do wystawy kurczył się coraz bardziej. Do zakończenia cyklu brakowało mi jeszcze dwóch obrazów. Wracałam szczęśliwa z Pitigliano do domu. Miałam wrażenie, że los się do mnie uśmiechnął. Był spokojny wieczór po pełnym wrażeń dniu. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Przydrożne drzewa rzucały długie, miękkie cienie. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanych słońcem cyprysów. Raptem stało się coś, czego nie rozumiem. Wiem, że to, co się wydarzyło, jest niemożliwe. Przeczą temu rozum i logika. To nie mogło się stać. To należało do mojego szaleństwa. Zmysły płatały mi figle. Zwodziły mnie i oszukiwały. Prawda mieszała się z iluzją, iluzja z prawdą. Jak to napisał ten Marco z kiosku? „Patrzmy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas”. Jechałam

i raptem w promieniach zachodzącego słońca zobaczyłam stojący na poboczu tamten prześladowający mnie od kilkunastu dni samochód. Coś kazało mi się zatrzymać. To coś nie było rozumem... Nagle wydało mi się, że to wszystko jest iluzją albo snem. Całe to wydarzenie było jak film przesuwany się przed moimi oczami. Raptem poczułam się jak ktoś obcy, jak widz w kinie, który biernie obserwuje przebieg akcji, jak ktoś, kto nie ma żadnego wpływu na rozwój wypadków.

Wszystko pamiętam jak przez mgłę. Pamiętam, jak podjechałam do tamtego samochodu. Zatrzymałam się równolegle do niego. Drzwi w drzwi, okienko w okienko. Zapadał już zmrok. Ostatnie słoneczne promienie przeciskały się pomiędzy gałęziami pinii. Chwilę wcześniej obserwowałam, jak złoto zachodzącego słońca podświetlało na różowo pojedyncze chmury zawieszona na lazurze nieba. Ten lazur gdzieś na horyzoncie przechodził powoli w zimny nocny granat. „Kicze podpowiada natura” – pomyślałam. Najbardziej kiczowaty z kiczowatych zachód słońca. Nawet na moment przyszło mi na myśl, że to takie dziwne spotkanie o zachodzie słońca. W pierwszej chwili zobaczyłam tylko cień siedzącej za kierownicą postaci. Mrok wtargnął już do wnętrza samochodu, kładł się cieniem na twarzy nieznanego. Obok postaci, na siedzeniu pasażera leżała ta biała maska, pomięta i zniekształcona, z powykrzywianymi w krzyku ustami i pełnymi przerażenia okrągłymi oczami. Twarz jakby żywcem wzięta z *Krzyku*. Odezwałam się wtedy do tej postaci.

– Cześć! – rzuciłam niepewnie. Odpowiedziało mi milczenie. – Cześć! – powtórzyłam głośniejsze.

Człowiek za kierownicą nawet nie drgnął. Raptem jego profil wydał mi się znajomy. Gdzieś już widziałam tę twarz.

– Cześć! – powtórzyłam kolejny raz, coraz bardziej zaniepokojona. Wtem postać osunęła się na bok, drzwiczki samochodu otworzyły się ze skrzypnięciem pod ciężarem bezwładnego ciała i na bruk upadły zwłoki z nożem wbitym w plecy. Ciemna plama na plecach wydawała się aż lepka od niezakrzepłej jeszcze krwi. Usłyszałam głuchy dźwięk upadającego na ziemię ciała i nagle wokół zapanowała niczym niezmacona cisza. Sergrano! Czy można umrzeć dwa razy w odstępie kilkunastu dni?! Noga sama opadła mi na pedał gazu. Mój mózg działał automatycznie. Moja świadomość zamarała w krzyku, który zastygł mi na ustach. Samochód ruszył jak szalony. „Byle przed siebie – myślałam. – Byle jak najdalej stąd. Nieważne, w którą stronę”. Ochłonełam odrobinę, gdy znalazłam się w korku na przedmieściach Florencji. Naraz zaczęłam się dusić w sznurze stojących samochodów. Coś ograniczało mi oddech. Serce biło jak szalone. Coś przeszkadzało w gardle. W uszach słyszałam monotony szum. Było mi mdło i słodko. Bałam się spojrzeć na samochody obok. Bałam się, że zobaczę w nich twarze w maskach, powykrzywiane w krzyku przerażenia i rozpaczy usta,

przestraszone, puste oczy. Postanowiłam zadzwonić do Enrica. Musiałam z kimś porozmawiać.

– Widziałam zabitego Sergrana! – krzyczałam do słuchawki. – Sergrano nie żyje. On nie żyje na nowo. Leży na poboczu drogi z Pitigliano z nożem wbitym w plecy. Widziałam, jak powiększa się na błękitnej koszuli plama krwi.

Raptem pomyślałam, że to ta druga ja zabiła Sergrana. Tam byliśmy tylko on i ja, i ta powiększająca się na moich oczach plama krwi. Pomyślałam, że to ja musiałam wbić mu nóż w plecy. Enrico powiedział, że mi pomoże, że zawiezie mnie moim samochodem do Polski, że tam muszę się poddać leczeniu... Mówił, że jestem szalona, że widzę rzeczy, których nie ma, że mam omamy wzrokowe, że słyszę dźwięki, które podsuwa mi chora wyobraźnia, że one wywołują u mnie lęk, że zachowuję się irracjonalnie, żyję jakby w dwóch światach, że moja wyobraźnia tworzy obrazy, które ja przyjmuję za prawdę. Enrico był u Wojtka. Poprosił go o pomoc. W końcu nie znam lepszego psychoterapeuty. Wydawało mi się, że tylko on może mi pomóc. Czekałam na niego w hotelu, a on się spóźniał. Wskazówka minęła dziesiątą i przesuwała się nieubłaganie dalej. Pięć minut, dziesięć, piętnaście. Pomyślałam, że Wojtek nigdy się nie spóźnia. Nagle przyszło mi na myśl, że on już nie przyjedzie. Nie pozostało mi już nic innego, jak zabić we mnie tę drugą, która nie przestawała mnie dręczyć. Lęk przed tym, co może jeszcze nastąpić, był silniejszy od lęku przed śmiercią. Mijały kolejne minuty, a Wojtek nie przychodził. Postanowiłam zabić tę złą duszę we mnie, uchronić przed nią innych. Uwolnić od niej świat. Postanowiłam unicestwić samą siebie. Nie można zabić tylko jednej ze swych dusz. Trzeba obie. Nie udało się. Przed paroma dniami inspektor Brossi wyjaśnił mi to wszystko. Wszystko, co mnie spotkało, powiązał z akcją policji, która zakończyła się niespotykanym sukcesem. Rozumiem. Już się nie boję. Wiem, że to nie ja zabiłam Alberta Accardiego i Antonia Sergrana. Wiem, że nie jestem chora. Wiem, że uknuto to wszystko, że dzień po dniu próbowano zrobić ze mnie szaloną. W sumie wiem już wszystko, a i tak imię Antonia Sergrana wzbudziło we mnie lęk. Z zakamarków pamięci wypełzały wspomnienia i dawny strach. Siedziałam złana potem i przerażona. Serce biło mi jak oszalałe. W uszach słyszałam jeden huk, jakby wodospad Niagara przelewał mi się przez mózg. Szalony jest ten Enrico! Czego on ode mnie oczekuje? Popatrzyłam jeszcze raz na SMS-a. „Zaczynj interesować się Antoniem Sergranem. Rozповідаj, że chcesz pójść na jego grób. Nie bój się. Teraz jesteśmy tylko ty i ja. Nie ma nikogo, kto może to spieszyć”. Ucisk w piersi lekko zmałał. Serce tylko biło jeszcze jak szalone. Czułam, że kolejny raz wchodzę w jakieś gówno.

Zbudziłam się nad ranem. Nie mogłam już zasnąć. Przez okno wdzierały się delikatne podmuchy ciepłego wiosennego wiatru. Na zewnątrz jakiś ptak próbował

swym śpiewem przepędzić ciemność. Gdzieś w połowie odległości pomiędzy ziemią a roziskrzonym gwiazdami niebem zawieszono były światła pałacu Castello di Santa Maria Novella. Nagle wróciło mnóstwo wspomnień. Ja, Enrico i tamta kolacja, i dziwne uczucia, których nigdy wcześniej nie znałam. To wszystko było niecodzienne, niezrozumiałe, dziwne i szalone. Działo się mnóstwo, wydawało mi się, że nie jestem sobą, odkryłam najbardziej tajemne zakamarki mojej duszy, przeżyłam szalone dwa tygodnie, z których niczego się nie wstydzę i niczego nie żałuję. Wszystko zaczęło się właśnie od tego pałacu i od pewnej kolacji. Pamiętam wzrok Enrica wędrujący po moim ciele. Początkowo czułam się nim skrepowana i onieśmielona. Z czasem przestał mi przeszkadzać, podniecał mnie i bawił. Ja też nie byłam mu dłużna. Mój wzrok raz po raz spotykał się z jego wzrokiem. Pamiętam, jak zsunęłam sandał i dotknęłam bosą stopą jego nogę. Przesunęłam nią w górę po jego spodniach. Nie odrywał ode mnie wzroku. Przygryzł lekko wargi. Przymrużył oczy. „Piękny jest ten Enrico – pomyślałam. – Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam”. Enrico ma kruczoczarne kręcone włosy, ciemnoorzechowe oczy, smagłą cerę, ciemny zarost, mocne ręce i mocne ramiona... Spostrzegłam wytatuowaną postać smoka na lewym przedramieniu. Nie zauważyłam wcześniej tego tatuażu. Światło świec odbijało się w oczach Enrica. Ciepłe ogniki igrały jak szalone. Po jego twarzy błąkał się cień uśmiechu. Ubrał się na ten wieczór inaczej niż zwykle, odświętnie. T-shirt zastąpiła niebieska koszula, zamiast noszonych zawsze džinsów pojawiły się jasne spodnie. Nie mogłam od niego oderwać wzroku. „Mocne jest to chianti – pomyślałam. – Jest jak ta ich Toskania – szumi w głowie, przyspiesza tętno, zniewala i rzuca na kolana. Zmienia życie. Pisze swoje historie, wzbudza nieznane emocje”. Nie przestawałam na niego patrzeć. Raz po raz nasze spojrzenia się spotykały. Uniosłam do ust kieliszek. Czerwona ciecz zachybotwała, omiotła ścianki naczynia. Wydawała się lepka. Wypiłam łyk wina, po nim jeszcze jeden i jeszcze jeden. Zrobiło się jeszcze cieplej, jeszcze bardziej gorąco. Serce zabiło mi szybciej. Zniknął gdzieś dystans. Przestałam się kontrolować. Zauroczył mnie i oczarował ten wieczór. Enrico uniósł do ust moją rękę. Poczulałam na wewnętrznej stronie dłoni jego ciepły oddech. Musnął ustami czubki moich palców. Przesunęłam palcem po jego wargach. Były gorące i wilgotne. Poczulałam jego język na opuszkach palców. Spodobała mi się ta pieśczoć. Cofnęłam rękę. Zanurzyłam palec w winie. Dotknęłam jego ust. Dreszcz przebiegł mi przez ciało. Pamiętam tamtą krótką myśl, że nie powinnam, że przecież Enrico jest facetem Franceski. Po chwili myślałam już tylko o tym, że z minuty na minutę pragnę go coraz bardziej. To był dziwny wieczór. Czułam się tak, jakby mnie ktoś nagle odmienił i zaczarował, wyrwał ze szponów drobnomieszczańskiego wychowania, mamł i przyciągał czymś, co dotąd było obce i nieznane, zakazane i wstydlive. Nigdy wcześniej nie rządziło mną pożądanie. Nie znałam seksu bez miłości. Nagle nie chciałam się już kontrolować. Pożądanie narastało do granic bólu. Pamiętam, że

moja stopa nie przestawała wędrować po jego nodze, że przesuwała się tam i z powrotem, w górę i w dół. Na chwilę ujął ją w dłoń. Zatrzymał. Położył na stole klucz. Nie poczułam się wtedy urażona, nie udawałam oburzonej, nie grałam niedostępnej. Ucieszyłam się. Pomyślałam, że on czyta w moich myślach, że pracujemy razem, a zupełnie się nie znamy. Na co dzień wydawał mi się gburowaty, małowówny, skoncentrowany na pracy, zimny, ponury, zakochany po uszy w seksownej Francesce, podporządkowany jej w każdym geście i w każdym słowie. W poprzecieranych dżinsach i T-shircie wyglądał inaczej niż tamtego wieczoru. Pomyślałam, że może i ja w pracy, z tym pędzlem w ręku i w stale brudnych od farb ubraniach, wyglądam nieatrakcyjnie. Może on też na co dzień widzi nie mnie, tylko moje sztalugi i farby? Spojrzał na mnie, później na klucz. Jeszcze jeden łyk chianti i jeszcze jeden... To ja pierwsza wstałam od stołu. Świat zawirował dookoła. Serce zabiło mi jeszcze szybciej. Ruszyłam ku wyjściu z sali. Już w windzie zaczęliśmy się kochać. Od tamtego wieczoru co noc patrzę na światła pałacu Castello di Santa Maria Novella z dziwnym uczuciem, że nikt nie zna samego siebie, nikt nie potrafi nazwać swoich tęsknot, ukrytych marzeń, słabości. Lubię ten zamek, bo wszystko zaczęło się właśnie od niego. Tamten wieczór kipiał od erotyzmu, nagle poznałam nieznane uczucia, pragnienia, marzenia, pożądanie i rozkosz. A później prawie każdy dzień przynosił coś nowego, czego jeszcze nie znałam, a może znałam inaczej, jakby bardziej monotennie, ciszej, wstydlawiej i mniej intensywnie. Moim światem na chwilę zawładnęły pożądanie i seks. Pamiętam nasz pierwszy taniec. Całe popołudnie spędziliśmy w kawiarni Filippa i nagle po wyjściu stamtąd postanowiliśmy pójść potańczyć. Enrico znał klub w okolicy. On zatrzymał się przy barze. Ja poszłam tańczyć. Pił drinka, śledził mnie wzrokiem. Obserwował, kiedy wtopiłam się w tłum na parkiecie, kiedy zaczęłam tańczyć. Nie odrywał ode mnie wzroku. To jego spojrzenie z minuty na minutę podniecało mnie coraz bardziej. Było wspomnieniem nocy, czułych szeptów, głośnych krzyków, bezwstydnym pocałunków, wyuzdanych pieszczot, rozkoszy. Czarna sukienka wyróżniała mnie z tłumu. Była zbyt obcisła i odważnie za krótka. Przyciągała oczy nie tylko Enrica. Ścigało mnie wzrokiem wielu facetów. Włożyłam tę sukienkę tamtego wieczoru tylko dla niego. Rzadko tak się ubieram, to nie jest mój styl. Tylko narzucona na ramiona chusta była w moim stylu. Delikatna jak mgiełka, ozdobiona moimi ulubionymi karminowymi motylami, próbującymi się oderwać od trzymającej je pajęczyny cienkich nitki, starającymi się odfrunąć w kierunku słońca, nieba, nieograniczonej przestrzeni, wolności. Kiedyś zrobiłam dziesiątki takich chust. Sprzedawały się jak świeże bułeczki. Pozwoliły mi przetrwać pierwszy okres mojego pobytu w Toskanii. Zostawiłam sobie tylko tę jedną, bo wydawała mi się najpiękniejsza. Motyle na niej były karminowoczerwone. Pasowały do karminowych szpilek i mocnego makijażu. Były przewrotne i grzeczne w tej całej

niegrzecznej całości. Pamiętam, że tańczyłam jak szalona. Wzrok Enrica zachęcał mnie i podniecał. W pewnym momencie chusta zaczęła mi krępować ruchy. Zdjęłam ją z ramion, przewiązałam się nią w pasie. Chusta opięta się na biodrach, pokreśliła talię. Zrzuciłam buty ze stóp, bo przeszkadzały mi w tańcu. Płásający wokół mnie się rozstąpili. Zaczęłam tańczyć otoczona kręgiem dopingujących mnie osób. Tańczyłam jak szalona, świat wirował wokół mnie coraz szybciej i szybciej. Enrico stał przy barze, pił kolejnego drinka i nie odrywał ode mnie wzroku. Tańczyłam tylko dla niego, chociaż wiedziałam, że to głupie i szalone, idiotyczne i beznadziejne. Byliśmy z dwóch różnych światów. On miał na co dzień seksowną Francescę, kopniętą erotomanekę onanizującą się przy jego głosie, dającą się obmacywać w metrze... Ja na co dzień spędzałam czas przy sztalugach, sama z sobą i ze swoją sztuką. Nasze światy bardzo się różniły, nie przylegały nawet do siebie. Nie łączyło nas nic poza pracą nad przewodnikiem. Pamiętam, że ściany pomieszczenia wirowały coraz szybciej i szybciej. Serce biło mi coraz mocniej. Nawet krew wydawała się płynąć w naczyniach w rytm muzyki. Zauważyłam go dopiero, kiedy stanął tuż obok.

– Zatańczysz ze mną?

Podobnie jak w nocy, tak i w tańcu nasze ciała stanowiły jedność. Czulałam jego oddech, napięte mięśnie, ślizgające się po moim ciele dłonie. Moje nogi były przy jego nogach, moja głowa przy jego ramieniu, moje włosy muskały jego twarz, moje ciało próbowało stworzyć jedność z jego ciałem... Szkoda, że nie można było kochać się na parkiecie tego klubu. I pomyśleć, że nie było w tym żadnych uczuć, tylko czyste pożądanie. Nigdy nie podejrzewałabym siebie o to. Nikt nie zna samego siebie, co dopiero mówić o innych ludziach. Zawsze wydawało mi się, że jeżeli chodzi o seks, to jestem odrobinę staroświecka, konserwatywna, skażona drobnomieszczańską mentalnością. Jak to można się pomylić, zaskoczyć samego siebie. Ja, Enrico i rozszalałe zmysły. Gorące SMS-y, przypadkowe spotkania, muśnięcia ust, potajemne dotknięcia dłoni, szalone noce, wspólne zdjęcia do magazynu „Moda”... Nigdy by mi wcześniej nawet przez myśl nie przeszło, że się na to zgodzę. Zostałam modelką sesji zdjęciowej kolekcji mody Franceski, do tego z Enrikiem w roli rozkochanego we mnie faceta. Dawniej takie rzeczy nie mieściłyby mi się w głowie. Pamiętam, że sesja trwała parę godzin. Było wiele sukienek, spodni, bluzek... Poszczególne kreacje nie miały dla mnie żadnego znaczenia, nawet ich nie pamiętam. Zlały się we wspomnieniach w jeden przyjemny dotyk miękkich tkanin, które w różny sposób opinały moje ciało. Moje zmysły skoncentrowały się na Enricu. Ciemne, odrobinę zbyt długie, kręcone, mokre od żelu włosy, ciemnobrązowe oczy, dwudniowy zarost... Cały mój świat skurczył się raptem tylko do niego. Zapamiętałam blask fleszu odbity w oczach Enrica, dotyk jego rąk na moich pośladkach, jego dłonie unoszące moje włosy, ciepło jego oddechu na karku, zapach jego wody kolońskiej, w którym nuta cedru

mieszała się z nutą mięty, jego usta na moich ustach... I pamiętam dźwięk migawki aparatu. Raz głośniejszy, raz cichszy, raz z bliska, raz z daleka. Pamiętam jeszcze moją dłoń w jego dłoni, moją głowę na jego ramieniu, jego usta przy moim uchu, ciepły oddech połączony z szeptem: „Uzależniłem się od ciebie. Uzależniłem się od twojego ciała”. Zaskoczyłam nie tylko samą siebie, ale też Francescę. Pamiętam, że umówiła się ze mną w kawiarni.

– Chciałam ci pokazać wasze zdjęcia – zaczęła bez żadnego wstępu.

Pamiętam, jak rzuciła na blat stołu magazyn „Moda”, jak zadrzały filizanki i kawa chlusnęła na obrus. Pojedyncze brązowe krople upstrzyły moją sukienkę. Francesca udawała, że tego nie widzi.

– Chcę, żebyś je zobaczyła, zanim zobaczą je inni. Mówiłam, że będzie rewelacyjnie. Tylko popatrz! To egzemplarz sygnałny. Za trzy dni będzie już dostępny we wszystkich kioskach – paplała podekscytowana z niezdrowym rumieńcem na twarzy. – Rewelacja! Po prostu bomba! Moje ciuchy, wy dwoje i talent fotograficzny Paola. – Napędzała się coraz bardziej. – Początkowo miałam wątpliwości. Nie byłam pewna, czy dasz radę. Marzyły mi się głębokie spojrzenia w oczy, czułe objęcia, muśnięcia warg, nieśmiałe pocałunki. Mieliście być romantyczni, zmysłowi, subtelnie seksowni... Przeszliście moje najśmielsze oczekiwania! Rozkręciliście się na dobre – mówiła coraz głośniej. Usta jej się nie zamykały. Uderzała ręką w okładkę. Gestykulowała. Miałam wrażenie, że wszyscy ludzie w kawiarni zaczęli nam się przyglądać. – Paolo jest świetnym fotografem. Zrobił dziesiątki zdjęć. Wybraliśmy z tego kilkanaście niepowtarzalnych ujęć. Jedno zdjęcie pojawi się za dwa tygodnie na okładce „Playboya”. Rewelacja! Moja kolekcja będzie kojarzyła się wszystkim z latem, z erotyzmem, z pożądaniem, z seksem. Każda dziewczyna będzie chciała mieć takie ciuchy. Każda będzie chciała być tobą. Każdy facet będzie marzył o nocy z tobą.

Pamiętam, otworzyłam „Modę” i raptem kęs przełykanego ciastka stanął mi w gardle. Nad ogromnym zdjęciem przytulającego mnie Enrica widniał tytuł kolekcji – *Przeleć mnie*.

Ja, Enrico i szalone dwa tygodnie. Czułam się wtedy jak w labiryncie obłądu. Wszystko było jak jeden długi, niezrozumiały sen. Seks, pożądanie, erotyzm obok zupełnie niezrozumiałego koszmaru. Żadnych uczuć i żadnych emocji? Przecież to nieprawda. To była cała burza uczuć i emocji, niekończące się emocjonalne forte. Jeden SMS od Enrica zostawiłam sobie na pamiątkę. „Spotkaj się ze mną jutro. Nie wyobrażam sobie dnia bez Ciebie. Nie musimy się kochać. Uzależniłem się od Twojej obecności. Uzależniasz szybciej i mocniej niż prochy”.

Przez głowę przelewały mi się dziesiątki myśli. Miałam wrażenie, że galopują tam i z powrotem jak tabun dzikich koni. Nie mogłam ich okiełznać.

Robiły ze mną, co chciały. Dlaczego ja, do cholery, nie wyjadę z tej Toskanii? To na pewno nie jest moje miejsce na ziemi. Za dużo mam związanych z tym miastem złych wspomnień. Mogłam wyjechać z Wojtkiem, ale on nie dał mi szansy. Znowu obcy ludzie byli dla niego najważniejsi, dużo ważniejsi od nas. Znowu miał swoje terminy, których musiał niewolniczo przestrzegać, zobowiązania, których musiał dotrzymać, terapie, które musiał przeprowadzić, ludzi, którzy na niego czekali, problemy swoich pacjentów, które musiał koniecznie rozwiązać. Próbowałam go zatrzymać, ale widocznie nieudolnie, bo wyjechał. Nie chciał mnie zrozumieć, a może wszystko rozumiał inaczej. Był oburzony, rozczarowany, zazdrosny... A ja musiałam tutaj zostać, żeby zrozumieć tę całą historię. Chciałam ułożyć sobie w głowie te wszystkie wydarzenia, uporządkować je godzina po godzinie, dzień po dniu, od początku do końca. Musiałam się upewnić, że tego, co robiłam, nie zrobię już nigdy więcej. Chciałam porównać własne przeżycia z wyjaśnieniami inspektora Brossiego, rozłożyć to wszystko na czynniki pierwsze i zrozumieć, zrozumieć innych i siebie. Postanowiłam przeanalizować cały splot wydarzeń, które doprowadziły do tego, że chciałam się zabić. Stworzoną iluzją i mistyfikacją doprowadzono mnie do próby samobójczej. Ponoć życie jest teatrem, a ludzie aktorami, ale to, że podciąłam sobie żyły, wydarzyło się naprawdę. Przerazona, zaszczuta, pozostawiona sama sobie, ogarnięta panicznym lękiem, który z minuty na minutę przeradzał się w obezwładniający strach, wzięłam do ręki nóż do rozcinania kopert, nacięłam nim nadgarstki, patrzyłam, jak plamy krwi u moich stóp stawały się coraz większe i większe. Dziwiłam się, że są niesymetryczne. Pamiętam tę głupią myśl, że po lewej stronie mam więcej krwi niż po prawej, bo po lewej stronie jest w końcu serce. Głupie serce, które nie potrafiło nazwać tego, co czuło. Głupi mózg, który nie potrafił rozróżnić mistyfikacji od prawdy. Pamiętam swoją myśl, że muszę wyruszyć w tę ostatnią drogę z jakimś przyjemnym widokiem pod powiekami. Wyobraziłam sobie wzgórza Toskanii, cienie chmur wędrujące po falujących łąkach zbóż, zielone, otwarte aż po horyzont przestrzenie. Niczym nieograniczone uczucie wolności. Pamiętam, że widziałam postać Enrica idącego polną drogą wijącą się pomiędzy winnicami... Pokojówka znalazła mnie nieprzytomną na podłodze. Temu, że nie przeczytała kartki „Proszę nie przeszkadzać”, zawdzięczam życie. Życie to teatr, a ludzie to aktorzy, ale ja byłam kiepskim aktorem, nie grałam, chciałam umrzeć naprawdę. Inspektor Brossi przeprosił mnie za wszystko. Czy można kogoś za coś takiego przeprosić? Potrzebowałam czasu, żeby to przemyśleć, czasu, żeby na nowo zaufać samej sobie. A tu nagle wdepnęłam w kolejne gówno. Znowu jakieś tajemnice, znowu niepewność, lęk. Ponownie ktoś oczekiwał czegoś ode mnie, o coś mnie prosił. Nie byłam pewna, czy jestem na to gotowa. Jeszcze raz przeczytałam otrzymane wiadomości. Pierwszy był SMS: „Zostań w Toskanii. Potrzebuję Cię”. Później e-mail: „Maluj! Niech wszyscy będą pewni, że zostałam, żeby malować. Nie ufaj

nikomu!”. Teraz kolejny SMS: „Zaczynj interesować się Antoniem Sergranem. Rozpowiadaj, że chcesz pójść na jego grób. Nie bój się. Teraz jesteśmy tylko ty i ja. Nie ma nikogo, kto może to spieprzyć”. Te wiadomości intrygowały mnie, pobudzały moją wyobraźnię, budziły niezdrową ciekawość. Spojrzałam na zegar. Dobiała dziewiąta. Zwykle o dziewiątej pani Mornetti wracała z piekarni i siadała do kawy. Nie mogłam przepuścić takiej okazji do rozmowy o Antoniu Sergranie.

– Karo? – zdziwiła się pani Mornetti, otwierając drzwi.

Musiła dopiero wrócić do domu. Na nogach miała jeszcze buty, a w ręku koszyk z zakupami.

– Coś się stało? – spytała przestraszona.

– Dlaczego miałyby się coś stać? – zapytałam.

– Ty zwykle śpisz o tej porze.

– Nic się nie stało – uspokoiliam ją. – Wszystko w porządku. Naprawdę.

W nocy nie pojawiła się żadna postać na ścianie, żaden napis na lustrze w łazience. Kabiny prysznicowej też nikt nie pochlapał sokiem. Spokój, stabilizacja, nuda... Żadnego trzaskania drzwiami i żadnych nieobliczalnych znajomych. Poważnieję – powiedziałam pospiesznie.

Przyglądała mi się rozbawiona.

– Poważniejesz? – spytała z niedowierzaniem. – Niesamowite. Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– Naprawdę, aż sama się sobie dziwię.

– W takim razie co cię do mnie sprowadza?

– Skończyła mi się kawa – skłamałam gładko.

– Wejdz! Napijemy się razem – ucieszyła się. – Ja też jeszcze nie piłam.

Przyniosłam rogaliki z piekarni. Powinny być jeszcze ciepłe. Zapewne jeszcze nic nie jadłaś. Mam konfitury malinowe. – Usta jej się nie zamykały. Pomyślałam, że ona chyba nie lubi pić samotnie porannej kawy.

Siedziałyśmy. Rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym. Czas nagle zwolnił. Zrobił się taki cudownie leniwy poranek.

– Czy pamięta pani pogrzeb Antonia Sergrana? – spytałam obojętnym głosem.

– Nie było pogrzebu. Zapomniałaś? – zdziwiła się. – Po tym wszystkim mogłaś zapomnieć – dodała, patrząc wymownie na blizny na moich nadgarstkach.

– Nic dziwnego, że zapomniałaś. Miał się odbyć pogrzeb, ale go odwołano. Zebrało się kilkaset osób i wszyscy musieli się rozejść do domów. Ktoś miał jakieś wątpliwości. Początkowo mówiono, że poszło o jakąś kompletną bzdurę. Moja przyjaciółka twierdziła, że coś było ponoć nie tak z użębieniem martwego Sergrana. Czy ty to rozumiesz? – Spojrzała w moją stronę. – Świat staje na głowie. Ktoś ma o jeden ząb za dużo albo o jedno wypełnienie więcej i raptem rozpoczyna

się śledztwo. Świat jest pokopany. Mogą ci odmówić pochówku z powodu braku skrupulatności w zapiskach twojego dentysty. Obłąd. Co za bzdury! Po co ktoś miałby porównywać jego zęby, skoro wszyscy go od razu poznali?

– Słyszałam, że to nie chodziło o zęby – przerwałam jej.

– Też tak później słyszałam – powiedziała kamiennym głosem. – Nie wiem, co o tym myśleć. Jestem tym przerażona. Pierwsza powiedziała mi o tym pani Romi.

– Pani Romi?

– Znasz ją. To ta kobieta mieszkająca w domu z zielonymi okiennicami i cudownym różanym ogrodem. Byłaś kiedyś u niej – przypomniała sobie. – Chciałaś namalować jej dom do przewodnika. Mówiłaś, że ten różany ogród jest wyjątkowy, że pasuje do twoich malunków z Toskanii.

– Nie wiedziałam, że tak się nazywa.

– Teraz już wiesz. W tym domu z zielonymi okiennicami mieszka pani Romi. To ona pierwsza mi powiedziała, że ponoć Antonio Sergrano został zamordowany. Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie coś takiego w naszym miasteczku? Tu nie było nigdy żadnego morderstwa. Tu wszyscy się znają. Tu ludzie żyli zawsze bezpiecznie i spokojnie. Trochę dziwnych rzeczy działo się kiedyś wokół Antonia Sergrana, ale to były tylko nieszczęśliwe wypadki. Facet miał pecha. Morderstwo w Fiano wydawało się zawsze czymś nieprawdopodobnym. Świat schodzi na psy, skoro sąsiad może zabić sąsiada.

– Może zrobił to ktoś obcy?

– Może. Nie wiem – duknęła niepewnie. – Wątpię... – wykrztusiła. – Tu obcy widoczni są jak na dłoni. Nikt obcy nie kręcił się ostatnimi czasy po okolicy.

– A co pisały gazety?

– Nic.

– Jak to: nic?

– Nic – powtórzyła. – Zupełnie nic. Jakby nagle wszyscy nabrali wody w usta.

– Przecież to niemożliwe. Na początku aż wrzało. Widziałam na własne oczy. Artykuł gonił artykuł. Gazety z Fiano, San Gimignano i Florencji przekrzykiwały się tytułami. Pamiętam doskonale. „Ceny wina rosną błyskawicznie, a za butelkę sławnego limoncello trzeba zapłacić w Certaldo sto euro...”, „Nie będzie już wina Sergrana z nowych zbiorów. Antonio Sergrano nie żyje...”, „Pieniądze szczęścia nie dają. Antonio Sergrano nie żyje”.

– Tak było tylko na początku, dopóki wszyscy myśleli, że to był wypadek. Później gazety zamilkły. Oficjalnie nic nie napisano. Pani Romi mówiła mi, że ponoć ktoś wykorzystał zamieszanie, jakie powstało po przewróceniu się ciężarówki wiozącej chemikalia, i udusił tego biedaka. Ponoć wybroczył na twarzy, spuchnięta twarz i przekrwione białka oczu, które były wynikiem

uduszenia, wyglądały bardzo podobnie do zmian wywołanych działaniem oparów tych chemikaliów. Ty też wyglądałaś podobnie. Nie pamiętasz?

– Pamiętam.

– W sumie przerażające, jak łatwo można pod katastrofę podpiąć zbrodnię. Zapewne często tak bywa...

– A pani syn coś mówił? Przecież on pracuje w policji.

– Nic nie mówił – burknęła pod nosem signora Mornetti. – Ich w policji obowiązuje tajemnica zawodowa. Nawet go nie pytam. Zresztą go przenieśli. Pracuje pod Rzymem. Ponoć tam jest bardziej potrzebny.

Nagle zamilkła. Skupiła się na smarowaniu rogalika konfiturą malinową.

– Jedz! – powiedziała po chwili. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale zmizerniałaś okrutnie. Ubrania wiszą na tobie jak na wieszaku. Wyglądasz strasznie. Żaden facet nie zatrzyma na tobie wzroku. Faceci lubią krągłości.

Jadłam rogaliki, piłam kawę i zastanawiałam się, jak wrócić do przerwanej rozmowy.

– Pytałam: czy była pani po tym wszystkim na pogrzebie Sergrana?

– Przecież ci mówiłam, że nie było pogrzebu. Ksiądz nic nie mówił w ogłoszeniach parafialnych. W mieście nie pojawiły się nowe nekrologi.

– I nikogo to nie zdziwiło?

– Zapewne wielu, ale ludzie szybko zapominają. Życie pędzi dalej. Każdy ma swoje małe troski i radości. Nikt już nie miał czasu zajmować się Sergranem.

– To dziwne...

– Może i nie ma w tym nic dziwnego. On nie był stąd. Myślę, że on w ogóle nie pochodził z Toskanii. Zapewne pochowali go w jego stronach. Pewnie miał jakąś rodzinę, która zajęła się pochówkiem.

– Wiesz, pomyślałam sobie, że poszłabym na grób Antonia Sergrana. – Staralam się, żeby to zabrzmiało obojętnie.

Marco spojrzał na mnie uważnie. Wbił wzrok w moją twarz i próbował przeszyć mnie spojrzeniem na wylot. Jeszcze przed chwilą rozmawialiśmy o wiośnie w Toskanii, o kwitnących żarnowcach, czerwonych makach, falujących łąkach zbóż. Żartowaliśmy, śmialiśmy się. Nagle zapanowała złowroga cisza.

– Oszalałaś?! – spytał po chwili. – Nie masz już co robić? Ponoć miałaś malować. Mówiłaś, że czas cię goni. Terminy naciskają...

– Maluję – weszłam mu w słowo.

– To maluj! – zabrzmiało to jak rozkaz. – Skoncentruj się na malowaniu! Opuść Sergrana. Daj spokój tamtej historii.

– Próbuję, ale ona powraca.

– Niby dlaczego? – spytał zdziwiony. – Przeszło, minęło, życie toczy się

dalej.

– Przejeżdżałam wczoraj koło bramy prowadzącej do posiadłości Antonia...
– zaczęłam opowiadać.

– Nie ma już innych miejsc w okolicy? – przerwał mi.

– Wczoraj był czwartek. Wybrałam się na targ do Certaldo.

– I co?

– Targ jak targ. Nie do końca moje klimaty. Dużo ludzi, ścisk, hałas, mydło i powidło, jajka obok dywanów, stare kafle przy jabłkach... Kupiłam sobie kubek na pędzle. Rewelacja. Wyobraź sobie ręcznie malowaną porcelaną ozdobioną postacią smoka ze średniowiecznego herbu z zamku w Certaldo Alto...

– Ja nie o to pytam. – Nie dał mi dokończyć.

– A o co? – spytałam zdziwiona.

– Mówiłaś, że przejeżdżałaś koło posiadłości Antonia.

– Przejeżdżałam. Do tego dwa razy, jadąc tam i z powrotem. Miałam czas się przyjrzeć.

– I co? – dopytywał niecierpliwie.

– Wrota są zamknięte na głucho. Masywna kłódka wisi przy bramie. Tuż przy wjeździe na teren posiadłości ktoś zamieścił olbrzymich rozmiarów ogłoszenie o wystawieniu nieruchomości na sprzedaż. Widać to ogłoszenie z daleka. Czarne litery na krzykliwym żółtym tle. Trudno przegapić. Są tak drapieżne, że każdemu rzucają się w oczy.

– Słyszałem, że są jacyś spadkobiercy – wtrącił Marco. – Zdecydowali się ponoć wystawić nieruchomość na sprzedaż.

– Nie interesuje ich ta posiadłość? – spytałam zdziwiona. W głowie mi się nie mieściło, że ktoś wystawił na sprzedaż tę moją drogę prowadzącą do raj. Moje „Toskańskie wrota do nieba”.

– Na to wygląda. Nie każdy ma zamiłowanie do toskańskiej wsi, do prowincji, winnic, gajów oliwnych i produkcji wina. Nie każdego pociąga zadupie. Pierwsze ogłoszenia o sprzedaży pojawiły się jakiś tydzień temu. Widziałem je w paru miejscowych gazetach. Duże ogłoszenie rzuciło mi się w oczy w miesięczniku „Immobile”. Ponoć zajmuje się tym jedno z najbardziej znanych biur pośrednictwa sprzedaży nieruchomości we Włoszech.

– Znalazł się już kupiec?

– Myślę, że nie, skoro wczoraj widziałas to ogłoszenie. Niełatwo będzie sprzedać taką posiadłość.

– Dlaczego? – zapytałam zdziwiona. – Ze względu na złą sławę?

– Bzdury – bąknął pod nosem. – Jest jedno morderstwo i wiele pechowych zbiegów okoliczności. To raczej dodaje pikanterii. Ludzie lubią takie historie.

– To dlaczego?

– Ze względu na cenę – wyjaśnił. – Ta posiadłość ma bardzo dużą wartość.

Musi mieć. Dom, przyległe winnice, gaje oliwne, winiarnie, sklepy... Już kiedy kupował ją Sergrano, wyceniano ją bardzo wysoko. On dokupił ziemię, założył kolejne winnice, nabył gaj oliwny i sad cytrynowy. Założył dużą manufakturę produkującą limoncello i chianti. Zatrudniał wielu ludzi. Do niego należało parę winiarni w San Gimignano, Certaldo i we Florencji. Miał kilka sklepów. Każdego roku wzrastała produkcja wina z jego winnic. Chianti z winnic Sergrana w ciągu paru lat podbiło rynek. On chyba nawet nie był z Toskanii, a produkował najlepsze chianti w okolicy. To wszystko musi mieć swoją cenę. Sądzę, że w przeciągu tych kilku lat co najmniej potroił swój majątek. Zapewne długo trzeba będzie czekać na nabywcę...

Stuknęły drzwi wejściowe. Marco zamilkł. Wstał pospiesznie, stanął za ladą, z uśmiechem na twarzy powitał klienta. Wrócił po chwili.

– O czym mówiliśmy? – Udał, że nie pamięta.

– O Sergranie.

– Faktycznie, o Sergranie, a właściwie o jego majątku.

– Majątek majątkiem, ale facet miał klasę. Nie całkiem pasował do tej miejsciny.

– Może miał, a może było zupełnie inaczej. Marco się zawahał. – Teraz to już nie ma znaczenia. Nie żyje.

– Byłeś na pogrzebie Sergrana?

– Nie było oficjalnego pogrzebu.

– Jak to, nie było oficjalnego pogrzebu? – Udałam zdziwienie.

– Nie było. Pochowano go po cichu. Pewnie chciano oszczędzić mieszkańcom miasteczka dodatkowych emocji. W końcu morderstwo tutaj jest wydarzeniem niecodziennym. Miasto aż huczało, kiedy ktoś rozpowszechnił wiadomość, że Antonio został zamordowany.

– Nie było pogrzebu? – chciałam się upewnić.

– Tylko jakaś cicha ceremonia.

– Byłeś na niej? – dociekałam.

– Nic o niej nie wiedziałem. Dowiedziałem się parę dni później. I tak bym nie poszedł.

– Nie przepadałeś za Sergranem?

– Bo ja wiem... – Zawahał się, co odpowiedzieć. – Izolował się – powiedział powoli. – Tacy ludzie budzą niepokój. Są wyniośli, boją się czegoś albo mają coś do ukrycia. Unosiła się wokół niego niezdrowa aura...

– Bzdura – przerwałam mu.

– Wiem, że ty myślisz inaczej...

– Nic nie myślę. Nie znałam Antonia.

– Nie kłam. – Przymrużył oczy. Spojrzał na mnie rozbawiony. – Wszyscy wiedzą, że tańczyłaś z Sergranem.

– I co z tego, że z nim zatańczyłam? Powiedział do mnie jedno zdanie. Chyba nawet się nie odezwałam. Nie pamiętam. Trudno powiedzieć, że go znałam.

– Ale zaniepokoił cię...

– Może. – Pomyślałam, że Marco ma rację. Antonio wzbudził we mnie niepokój. Nagle jak bańka mydlana przysło zauroczenie Enrikiem. Spadłam z obłoków na ziemię. Gruchnęłam w tę ziemię z całej siły. Nie poczułam się gorzej, a wręcz lepiej. Nagle znowu stałam się sobą. – Raczej wybudził mnie z pewnego snu... – dokończyłam.

– Mówiłem o dziwnej aurze.

Zamilkł na chwilę. Bawił się bezmyślnie łyżeczką.

– Gdzie pochowano Sergrana? – spytałam.

– Nie wiem. Słyszałem, że na starym cmentarzu na obrzeżach miasta. Tam już prawie nikogo nie chowają. Są tam groby z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Ponoć jest tylko parę grobowców z początków dwudziestego. Przed paru laty w dobrym stylu było wybudować tam sobie grobowiec. Poprzedni proboszcz zarobił na tym spore pieniądze. Rozповідаł, że miejsca na tym cmentarzu, wśród szczątków zamierzchłych przodków, mają swoisty prestiż. Jakby to po śmierci miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Ludzie to pustaki. Uwierzyli mu. Teraz sami się tego wstydzą.

– Wybudowali sobie grobowce za życia?

– Ano wybudowali. Powstało kilkanaście do dziś pustych grobowców. Ich właściciele nadal żyją i myślę, że tam nie bywają. Przecież to koszmar. Wyobraź sobie kogoś, kto sam dla siebie buduje grobowiec. Wybiera najlepsze jego zdaniem miejsce, określa głębokość, na której ma być kiedyś umieszczona trumna, sadi cyprysy, dobiera odpowiedniej klasy marmur, zastanawia się nad barwą kamienia, współuczestniczy w projektowaniu płyty i krzyża. Wybiera kształt liter na tablicę. Później każe wyryć na tablicy swoje imię i nazwisko, datę urodzenia i napis „świętej pamięci”. Zostawia tylko miejsce na datę śmierci...

– To jest chore – przerwałam mu.

– Nie znasz mentalności ludzi w małych miasteczkach. Są podatni na sugestie, zazdrośni, pełni pychy... To nigdy by się nie zdarzyło w dużym mieście. W dużych miastach ludzie są inni... Mniej skoncentrowani na sobie.

– Mówisz, że Sergrana pochowano na tym cmentarzu?

– Tak słyszałem. Przed paroma dniami dwóch facetów rozmawiało o tym, kupując gazety w moim kiosku. Jeden z nich ponoć widział ten grób. Był przypadkiem na tamtym cmentarzu na grobie jakiejś swojej stryjecznej babki, zobaczył świeżo rozkopaną ziemię i wbity w tę ziemię krzyż. Zaintrygowało go to. Podszedł bliżej. Mówił, że na krzyżu jest tabliczka z nazwiskiem Antonia Sergrana.

– Ciekawe...

– Może. Nie zastanawiałem się nad tym.

– Jak trafić na ten cmentarz?
– Trzeba pojechać w kierunku San Donato. Skręcić w pierwszą polną drogę za ostatnimi zabudowaniami Fiano. Ta polna droga wysadzona jest cyprysami. Biegnie wzdłuż winnicy signora Rovasoniego... – Marco nagle zamilkł i spojrzał na mnie uważnie. – Po co ci to? Zadupie totalne. Chyba nie chcesz tam jechać?
– Właśnie, że chcę. Pojadę tam.
– Oszalałaś! Byłaś kiedyś na wiejskim cmentarzu?
– Nie pamiętam. Być może...
– Nie byłaś, skoro nie pamiętasz. Ten jest wyjątkowo zapomniany. Nikt tam nie chodzi. Nędzny drewniany płot oddziela cmentarz od piniowego lasu. Na teren cmentarza prowadzi żelazna furтка. Ta furтка jest zawsze niedomknięta, skrzypi przy każdym powiewie wiatru. Rzadko ktoś tam bywa. Chyba że trafi tam jakiś zabłąkany turysta. Wszędzie jak okiem sięgnąć wysoka trawa i kwitnące polne kwiaty. Trawy są znacznie wyższe od grobowców. Cisza aż dzwoni w uszach, latem słycać tylko brzęczenie owadów. Kiedyś słycałem tam głos puszczyka. Koszmar...

Kolor żółty to jakieś przekleństwo. Kolejne przedpołudnie mogłam zaliczyć do straconych. Nie miałam żadnego pomysłu. Nic. Pustka. Marazm. Jakby nagle mój mózg przestał pracować, wyobraźnia zniknęła, emocje zlały się w jedną narastającą złość i frustrację. Że też sama wybrałam sobie taki kolor. Kolejna kartka papieru wylądowała na podłodze, dołączyła do dziesiątek poprzednich. Pani Mornetti zajrzała do mnie, wracając z kościoła. Patrzyła z przerażeniem na zasłaną papierami podłogę, brudne spodnie i poplamiony podkoszulek. Kolor żółty był wszechobecny. Był na moich rękach, na blacie stołu, oparciu krzesła, na podłodze...

– Posprzątam – rzuciłam w jej stronę.
Nawet nie drgnęła. Stała i rozglądała się niepewnie po pokoju.
– Może to nie kwestia koloru, tylko wielkości powierzchni? – rzuciła nieoczekiwanie. – Maluj na ścianie w kuchni! Później zamalujesz.

Pomyślałam, że to genialne. Kolor żółty chyba faktycznie potrzebuje przestrzeni. Popróbuje na murze. Później przeniosę to na płótno. Mam już wprawę w zamalowywaniu obrazów na tamtej ścianie. Ostatnio położenie trzech warstw zajęło mi już tylko jedno przedpołudnie.

– Dziękuję – powiedziałam radośnie.
– Nie ma za co – mruknęła pod nosem. – Nie mogę patrzeć, jak się męczysz. A co ty właściwie malujesz?

– Wspominałam już pani. Emocje zakłete w żółci.
– Faktycznie, mówiłaś. Nawet myślałam o tym trochę. Trudne zadanie.

Kwaśna cytryna i gorące słońce...

Zapadła cisza. Myślałam, że już sobie pójdzie. Nie ruszyła się z miejsca. Przystępowała tylko z nogi na nogę.

– Stało się coś? – spytałam zaniepokojona.

– Właściwie to nic – zaczęła niepewnie. – Szkoda, że nie byłaś dzisiaj w kościele... Proboszcz miał wyjątkowe kazanie. Myślę, że by cię zainteresowało. Opowiadał o człowieku, który nagle umarł i trzeba go było pochować. Od dawna nikt go nie widywał w kościele. Nigdy się nie spowiadał. Nie przystępował do komunii. Parę razy odmówił kolędy. Nie chciał widzieć księdza w swoim domu. Zmarł nagle śmiercią tragiczną. Powstał swoisty etyczny dylemat: jak należy tego człowieka pochować...? Jak uszanować jego światopogląd, a jednocześnie dać szansę jego zbłąkanej i obolałej duszy...? Nikt nie wie, jaki był jego stosunek do Pana Boga, bo nie pozwolił się nikomu do siebie zbliżyć. Był samotnikiem? A może miał tylko obolałą duszę, przytłoczoną przez pasmo nieszczęść? Może buntował się przeciwko wszystkim? A może zwątpił w swej rozpacz w miłość ludzi i Boga...? Myślę, że mówił o Sergranie – dokończyła niespodziewanie.

– Być może – powiedziałam z ociąganiem. Wcale nie byłam tego pewna. Słyszałam kiedyś, jak ksiądz mówił, że obcy powodują destabilizację, zaburzają odwieczny porządek, wzbudzają niepokój, rodzą lęk. Sergrano, tak jak i ja, był obcy.

– Myślę, że mówił o Antoniu – powtórzyła signora Mornetti. – Jestem tego prawie pewna. W pewnym momencie powiedział, że w kościele nie ma nikogo bez winy, że żaden człowiek nie powinien być zostawiony sam sobie, ogarnięty przez rozpacz, przytłoczony przez nieszczęścia, opętany smutkiem. Powiedział, że on też czuje się winny. Mówił, że to my nie zrobiliśmy nic, żeby ten człowiek nie czuł się wśród nas obco...

„O Boże – pomyślałam przerażona. – Ja też nie jestem stąd. Żeby się tylko dla mnie nie zaczął teraz jakiś koszmar”.

– Pomyślałam, że ty też możesz czuć się tu obco.

Signora Mornetti na chwilę odwróciła wzrok od usłanej papierami podłogi i spojrzała na mnie. Przez przypadek nasze spojrzenia się spotkały. Uciekła wzrokiem w popłochu.

– Jeszcze ja się ciebie czepiałam – mówiła ze spuszczoną głową. – Cały czas czegoś od ciebie chciałam. To przeszkadzało mi, że przypaliło ci się mleko, to denerwowali mnie twoi znajomi, atakowałam cię za te malunki na ścianie w kuchni, a okazało się, że ty ich wcale nie malowałaś. Przepraszam...

– Nie ma pani za co mnie przepraszać. Wszystko jest w porządku.

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem.

– Naprawdę.

– To cudownie – ucieszyła się nagle.

Ulżyło jej. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi.

– Ksiądz nie mówił przypadkiem, gdzie pochowano Sergrana? – rzuciłam w stronę jej oddalających się pleców.

– Nie. – Odwróciła się do mnie zaskoczona. – Mówiłam ci już, że mówił ogólnie. Nie padło nazwisko Antonia.

– Szkoda. Słyszałam, że jego grób jest na jakimś starym wiejskim cmentarzu na przedmieściach Fiano.

– Może. Nie wiem. Wątpię. – Zaczynała się przy każdym słowie. – Nikt się tam nie zapuszcza. To odludne miejsce... Upiekę ciasto. Wpadnij do mnie na kawę około szesnastej – zmieniła nagle temat.

– Zostałaś w Toskanii dla Enrica – powiedziała signora Mornetti.

W pierwszej chwili wpadłam w bezdech. Wydawało mi się, że się przestęszczałam. Pani Mornetti powiedziała to mimochodem, nakładając mi na talerzyk spory kawałek świeżo upieczonego ciasta. Mówiąc to, nie spojrzała nawet w moją stronę.

– Nie zaprzeczaj! – powiedziała odrobinę głośniej. – Wiem, że zostałaś dla niego. Nie ma w tym nic złego. Lubię Enrica. Znam go od wielu lat. Zanim go zawiesili, pracował w policji z moim synem.

Usiadła. Napełniła nasze filiżanki kawą. Spojrzała na mnie przelotnie.

– Byli partnerami – mówiła dalej. – Enrico często przychodził do nas do domu. To był pogodny, serdeczny chłopak. Mój syn nie mógł pogodzić się z tym, co go spotkało. Jego zdaniem Enrico był doskonałym gliną. Był niezależny, odważny, myślący, wolny. Był wyczulony na korupcję i niesprawiedliwość. Wrobiono go, bo ktoś nagle poczuł się zagrożony. Jego słowo przeciwko słowu burmistrza. Nie miał szans. Był za młody. Nie miał poparcia. Nawet przełożeni nie wstawili się za nim. Wszyscy chcieli, żeby jak najszybciej odszedł, zniknął, nie przysparzał już więcej problemów, nie drażnił tych wysoko postawionych. Paskudna praca...

Siedziała naprzeciw mnie. Mówiła, nie patrząc w moją stronę.

– Mojego syna też wtedy zdegradowali. Odsunęli go od wszystkich spraw. Przesunęli do pracy w drogówce. Później musiał wyjechać do Rzymu. Ponoć tam jest bardziej potrzebny. Myślę, że i on zaczął komuś przeszkadzać. Paskudna robota... – powtórzyła.

Siedziała ze wzrokiem utkwionym w okno. Opowiadała rzeczy, o których nie miałam pojęcia.

– Jakoś obaj przeżyli ten koszmar. Mój syn przynajmniej nie stracił pracy, nie straszono go... Gorzej było z Enrikiem. On z dnia na dzień stracił wszystko. Pracę, dobre imię, środki do życia. Rzuciła go nawet ta pusta dziewczyna. Nagle

przestała go kochać. Nigdy jej nie lubiłam. Nie pasowała do niego. Była wyrachowana i chłodna. Powiedziała, że nie może być z kimś, kto ma rysę na honorze... Dokopała mu. Zachowała się jak pozbawiona serca i rozumu samolubna idiotka...

Zamilkła na chwilę. Jadła ciasto. Patrzyła za okno. Miałam czas to wszystko przemyśleć.

– Enrico przeżył jakoś ten koszmar, ale się zmienił – powiedziała po chwili.
– Stał się cyniczny, podejrzliwy. Otoczył się grubym murem szczelnie oddzielającym go od reszty świata. Myślałam, że już na zawsze taki zostanie, że tamte wydarzenia uszkodziły mu duszę. Ostatnio coś w nim drgnęło...

– Nie zostałam dla Enrica... – przerwałam jej. Ten temat budził we mnie dziwne emocje. Zaburzał mój spokój. Wzbudzał wspomnienia. Rodził wątpliwości. Powodował, że serce biło mi mocniej. – Zostałam, żeby malować... – powiedziałam może odrobinę za głośno. Chciałam tym zagłuszyć własne wątpliwości.

– Enrico ostatnio się zmienił – powtórzyła pani Mornetti, udając, że mnie nie słyszy. – Coś w nim drgnęło. Wybudził się z obojętności. Bał się o ciebie. Znowu zaczęło mu na kimś i na czymś zależeć. Z dnia na dzień się odradzał...

– Z tego, co wiem, Enrico wyjechał – przerwałam jej. – Ja zostałam tutaj, żeby malować. Jak widać, mój pobyt w Toskanii nie ma z nim nic wspólnego.

– Czemu oszukujesz samą siebie? – Spojrzała rozczerowana w moją stronę.
– Boisz się uczuć? Dlaczego? Nie wyjechałaś z tym swoim dawnym facetem. Jego wyjazd nie wzbudził w tobie żadnego bólu, żadnych zupełnie emocji... Zaakceptowałaś to. Przeszłaś nad tym do porządku dziennego. Ty go po prostu już nie kochasz. W twoim sercu zamieszkał ktoś zupełnie inny.

– Zostałam, żeby malować – powtórzyłam kolejny raz, sama nie wierząc w to, co mówię. – W Toskanii maluje mi się najlepiej... – dokończyłam.

Wysłam od pani Mornetti z mocno bijącym sercem i głową pełną wspomnień. Pomyślałam, że nie mam pojęcia, jak było naprawdę. To był dziwny czas. Wszystko było niezrozumiałe, nieznanne, szalone. Kipiało od pożądania i erotyzmu. Pamiętam to wszystkimi zmysłami, całą sobą. Pamiętam zapach jego ciała, dotyk dłoni, ciche szepty i głośne krzyki, ciepło jego oddechu, barwę głosu... Pamiętam jeszcze jego bliskość, mięśnie drżące ze zmęczenia, dziwne ciepło rozchodzące się po całym ciele, skórę wilgotną od potu, włosy, które wydawały się mokre. Pamiętam pościel, która miała jego zapach, dopalające się na stole, podłodze i parapecie ogarki świec. Czuję jeszcze unoszącą się w powietrzu wyraźną woń stearyny. Pamiętam swoją myśl, że świece pachną jak seks, swoje zdziwienie, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Pamiętam cudowne zmęczenie. Myślałam, że nie ma w tym żadnych uczuć, tylko czyste pożądanie. Nigdy wcześniej nie podejrzewałam siebie o to. A może było zupełnie inaczej?

Pamiętam budzący się świt za oknem, głosy pierwszych ptaków dochodzące z zewnątrz, delikatne podmuchy wiosennego wiatru unoszące zasłonę. Pamiętam pokój tonący jeszcze w ciemności. W tej ciemności byliśmy on i ja, i nasze rozszalałe zmysły. Pamiętam, usiadł na brzegu łóżka. Siadając, niechcący odsunął brzeg pledu. Niby przypadkiem przesunął ręką po moim odsłoniętym udzie. Potem już z rozmysłem przejechał po owalu biodra. Jego dłoń powędrowała po moim brzuchu w kierunku odsłoniętych piersi. Dreszcz przebiegł mi po ciele. Poczułam, że znów go pragnę. Uzależniłam się od Enrica i od seksu. Kochaliśmy się w zamku i w moim mieszkaniu, w windzie, w łóżku, na podłodze, pod prysznicem, na stole w kuchni, na tarasie... Nie kochałam się nigdy wcześniej w zamku. Nie przypuszczałam, że moje mieszkanie stwarza tyle wcześniej nieodkrytych możliwości. Czysty erotyzm, czyste pożądanie? A może było zupełnie inaczej. Może miłość bywa też tak szalona. Odszukałam stare SMS-y: „Nie zasnę bez Ciebie. Uzależniasz szybciej od prochów. Brakuje mi Twojego dotyku, ciepła Twojego ciała, Twojego zapachu... Pozwól mi przyjechać do siebie, bo zwariuję do rana”, „Gdzie dzisiaj będziesz pracować? Może spotkamy się po pracy? Marzy mi się wieczór z Tobą”, „Nie muszę się z Tobą kochać. Wystarczy mi Twoja obecność. Nie wyobrażam sobie dnia bez Ciebie”, „Uzależniłem się od Ciebie duszą i ciałem”.

Dni wlokły się potwornie, życie nagle zwolniło, jak dla mnie to chyba za bardzo. Malowałam, piłam poranną kawę z panią Mornetti, rozmawiałam z ludźmi o Antoniu Sergranie, rozповідаłam, że chcę pójść na jego grób... Nie było dnia, żebym nie myślała o Enricu. Ciekawe, jak było naprawdę. Gdzie kończyło się poczucie obowiązku, a zaczynała prywatność. Napisał, że był moim aniołem stróżem. Zapewne było tak nadal. Ta myśl sprawiała, że nie przeszkadzały mi nawet rozmowy o Sergranie. Zaczęłam się nudzić. Wszystkie dni były do siebie podobne. Nie lubię stagnacji. Nie cierpię monotonii. Lubię, kiedy każdy dzień jest pełen emocji. Emocje są mi potrzebne do życia jak powietrze. Chyba wszystko po tamtym koszmarze wróciło już do normy, bo znowu chciałam, żeby życie nabrało tempa, żeby dni pędziły jak szalone, a każdy przynosił coś nowego. Długo walczyłam z sobą, zanim w końcu zadzwoniłam do Wojtka. Nie odebrał. Nie oddzwonił. Nie chciał ze mną rozmawiać. Dziwne, ale to nie zabolowało, nie uraziło. Nagle mi ulżyło. Sprawę można było zaszukadkować jako minioną. Poprawiłam ilustrację do modlitewnika. Namalowałam ją parę dni temu. Dopracowałam parę szczegółów i wysłałam e-mailem do proboszcza parafii w Pitigliano. Odpowiedź przyszła natychmiast: „Dziękuję. *Wędrowiec w drodze do nieba*. Rewelacja. Bóg cię natchnął. Czekam na dalsze ilustracje. Bóg zapłać (oczywiście w życiu doczesnym ja zapłacę). Ksiądz Francesco”. Nie byłam pewna, czy natchnął mnie

Bóg, czy zupełnie niedawne wydarzenia. Namalowałam postać pielgrzyma stojącego przy lekko uchylonej bramie prowadzącej do tej alei, która jest dla mnie *Toskańską drogą do nieba*. Sergrano nie żyje, jego dom został wystawiony na sprzedaż, a ja jakoś nie mogę się uwolnić od tej bramy wiodącej na teren jego posiadłości i od tej alei. Namalowałam pielgrzyma, który zatrzymał się w pół kroku, jakby się wahał, czy ruszyć tą drogą. Myślę, że to miejsce zostanie już we mnie na zawsze. Konary drzew splatają się z sobą, tworząc zielony tunel nad ostro pnącą się ku górze kamienistą drogą. Promienie słońca z trudem przedzierają się przez gęstwinę liści. Gdziekolwiek tylko widać igrające na kamieniach jasne plamy słońca. Ta aleja wygląda niesamowicie, jakby drzewa miały ramiona, którymi próbują się przyciągnąć i objąć. Zielony tunel wydaje się czymś nadprzyrodzonym. Aleja kończy się jasną plamą niebieskiego nieba. Serce znowu zabiło mi mocniej. Nagle ciszę przerwał dźwięk SMS-a. Nareszcie. Podświadomie czekałam na niego. Nie mogłam już się go doczekać. Wiadomość, jak zawsze, była wysłana z budki telefonicznej. Znowu ciąg liczb, do którego odczytania niezbędny był list od Enrica. Przyporządkowałam liczbom litery. Raptem poczułam serce w gardle. „Pójdź jutro przed południem na stary cmentarz. Poszukaj grobu Sergrana. Muszę sprawdzić, czy się nie mylę”.

Obudziłam się z krzykiem. Zlana potem usiadłam na łóżku. Znowu śniły mi się te koszmary. Wydawało mi się, że udało mi się o nich zapomnieć, a one nieoczekiwanie wróciły i znowu napawały mnie lękiem. Znowu orszak pogrzebowy, znowu Enrico, znowu ta aleja i ta brama. Śnił mi się kondukt żałobny w maskach z twarzą postaci z *Krzyku*, schodzący aleją w kierunku bramy oddzielającej posesję Sergrana od drogi. Postacie kroczyły powoli, statecznie, w milczeniu, tylko te maski były bezgłośnym krzykiem przerażenia. Stałam tuż przy bramie. Nieznana siła trzymała mnie w tym miejscu. Nie byłam w stanie oderwać stóp od ziemi. Żałobny pochód się zbliżał. Postacie otwierające orszak stawały się coraz większe i coraz wyraźniejsze. Twarze na maskach były coraz bardziej powyginane. W moim kierunku kroczyło powolnym krokiem narastające przerażenie, niesione na dziesiątkach pozasłanianych twarzy. Pęczniał we mnie niepokój, który stopniowo przeradzał się w porażający i obezwładniający mnie strach. Stałam jak sparaliżowana, a milczący pochód był coraz bliżej i bliżej. Zobaczyłam trumnę niesioną na ramionach. Była duża, masywna, dębowa. Tłum wciągnął mnie w siebie, wchłonął. Dałam się porwać tej masie. Nagle ktoś się potknął, ktoś inny nie utrzymał równowagi i raptem trumna runęła na ziemię. Wieko odskoczyło do góry. Na murawę wypadły dziesiątki poobcinanych głów. Przypominały tamte z moich rysunków z Ogródów Boboli. Głowy zaczęły się toczyć po nierównym bruku. Podskakiwały jak piłki na wystających kamieniach.

Rozpierzchły się na boki. Jedna z nich zatrzymała się na mojej nodze. To była głowa Enrica. Zaczęłam krzyczeć przerażona. Zbudził mnie właśnie ten mój krzyk. Nie mogłam się uspokoić. Przed oczami miałam turlające się głowy. Widziałam, jak podskakiwały na bruku, jak rozpierzchły się w różne strony, jak toczyły się do parowu przy drodze. W uszach słyszałam huk rozpadającej się na kawałki trumny. Raptem z przerażenia zaczęło mi brakować powietrza. Próbowałam się uspokoić. Zawsze mogłam obudzić panią Mornetti, ale zdecydowałam się na mleko. Moja ciotka kiedyś twierdziła, że na złe sny najlepiej pomaga ciepłe mleko. Wierzyłam w uspakajającą moc szklanki mleka. Ruszyłam do kuchni. Serce biło mi jak szalone. Wydawało mi się, że czuję je w gardle, a nie w piersiach. „Co za bzdury – pomyślałam – prześladowuje mnie ta aleja”. Wypiłam kubek mleka. Popatrzyłam na ścianę upstrzoną wariacjami na temat koloru żółtego. Zrobiłam parę głębszych wdechów i wydechów. Uspokoiliam oddech. Serce też przestało pędzić, zaczęło bić wolniej i stateczniej. Wróciłam do łóżka. Sięgnęłam po książkę. Próbowałam coś przeczytać. Zawsze kiedy nie mogę zasnąć, czytam *Alicję w krainie czarów*. Dostałam ją na ósme urodziny. Nie zdołałam jej jeszcze przeczytać. Działa na mnie jak środek nasenny. Jeszcze nigdy nie dobrnęłam dalej jak do połowy ósmej strony. Nie mam pojęcia, co jest dalej. Ale jest jeden cytat z tej bajki, który mama napisała mi na tytułowej stronie, a który bardzo lubię: „Czas nie znosi, żeby go zabijano. Gdybyś była z nim w dobrych stosunkach, zrobiłby z twoim zegarem wszystko, co byś chciała”. Zawsze stawiam sobie za cel, że muszę dobrnąć do tego cytatu. Tym razem też mi się nie udało. Zasnęłam. Znowu zaczęła mi się śnić ta aleja i tym razem był też mój pielgrzym. Pielgrzym wchodził przez bramę na teren posiadłości. Nie mogłam się obudzić. Słyszałam dźwięk budzika, ale nie potrafiłam otworzyć oczu. Sen mieszał się z rzeczywistością. Nagle uświadomiłam sobie, że ja widziałam człowieka przy tej bramie. Nie było to jednak w dniu, kiedy przewróciła się ciężarówka, ale parę dni wcześniej, kiedy po raz pierwszy malowałam te wrota.

– Dzisiaj nie mogę przyjść na kawę. Mam coś do załatwienia – oznajmiłam signorze Mornetti.

Musiałam ją obudzić. Była jeszcze w piżamie. Na głowie miała dziesiątki papilotów, z których każdy sterczał w inną stronę. Patrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Która jest godzina? – spytała niepewnie.

– Dochodzi ósma.

– Zaspałam – jęknęła. – Niech to diabli! Nie mogłam wczoraj wieczorem zasnąć. Wypiłam lampkę wina. Już dawno temu kupiłam butelkę chianti z winnic Sergrana. Miała być na jakąś wyjątkową okazję. Wczoraj nie było żadnej wyjątkowej okazji, ale ją otworzyłam. Zwykle nie piję. Uspiała mnie – tłumaczyła

się. – Umówiłam się o ósmej w piekarni. Miałam dać gospodyni proboszcza przepis na supkę krem ze szparagów... Wszystko sobie wczoraj przygotowałam, teraz wyjdzie na to, że miałam to gdzieś, że ją zlekceważyłam i o niej zapomniałam. Obrazi się na mnie. Obgada mnie przed innymi. Nie zostawi na mnie suchej nitki... Niech to szlag trafi! – dokończyła nieoczekiwanie.

Odwróciła się na pięcie. Od razu zaczęła się spieszyć. Ulżyło mi. Obyło się bez zbędnych pytań.

Wyruszyłam od razu. Wpadłam na chwilę do Marca. W kiosku poza nim nie było nikogo.

– Pustki. Może zamkniesz na chwilę?

– Chyba żartujesz! – Spojrzał na mnie zaskoczony. – Nie mówisz chyba poważnie. Wyleją mnie z pracy i powiększą grono bezrobotnych mieszkańców Fiano... Nie będę miał forsy na studia. Wyrzucą mnie z mieszkania. Przyjdzie mi głodować... – wyliczał monotonnym głosem.

– Katastrofista! Może jeszcze z tego powodu będziesz musiał targnąć się na swoje życie...?

– Może, kto wie. Nie znasz właścicieli tej budy...

– Nie znam.

– Nic nie tracisz. Wyzyskiwacze i krwiopijcy.

– Narzucasz mi drogę na ten stary cmentarz?

Na skrawku papieru pojawiła się droga, ostatnie zabudowania Fiano, boczna drożyna na prawo, zaraz za hydrantem stojącym samotnie sto metrów od ostatniego domu, tuż za tabliczką z napisem „Fiano”... Nagle oprzytomniał.

– Po co ci to? Chyba się tam nie wybierasz?

– Wybieram.

– Sama?

– Sama. Ty ponoć nie możesz.

– Bez sensu – burknął pod nosem. – Idiotyczny pomysł. Nikt normalny nie włóczy się samotnie po takim cmentarzu. Odpuść!

– Nie ma mowy.

– To poczekaj do niedzieli! Pójdę tam z tobą w niedzielę. W tygodniu nie dam rady, kiedy zamykam, jest już ciemno. W niedzielę buda jest nieczynna. Poczekaj do niedzieli! – powtórzył.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie możesz? – spytał zdziwiony.

– Muszę się uwolnić od tematu Sergrana. To nie daje mi spokoju. Cały czas chodzi mi po głowie. Muszę to odfajkować i o tym zapomnieć, inaczej nic nie będzie z malowania. To ciągle zaprzęta mi myśli. Jakaś makabra.

Pojechałam bez niego. Nie mogłam czekać do niedzieli. W końcu miałam tam pojechać dzisiaj. Kiedy dotarłam na miejsce, dochodziła dziesiąta. Żar lał się

z nieba. Oparłam rower o płot. Pchnęłam metalową bramkę prowadzącą na cmentarz. Furtka otworzyła się z przeraźliwym skrzypnięciem. Ciarki przebiegły mi po plecach. „To przez Marca – pomyślałam – i jego wątpliwości. Idiota, próbował mnie za wszelką cenę odstraszyć od tego miejsca”. Rozejrzałam się dookoła. Nikt tu chyba ostatnio nie zaglądał. Nie było widać śladów ludzkiej bytności. Jak okiem sięgnąć rosły chwasty. Małe tegoroczne rośliny próbowały się przebić ku słońcu przez płataninę suchych badyli. Nawet główna aleja porosła mchem i trawą. Wokół panowała cisza. Słyszałam tylko własne kroki, zgrzytanie żwiru pod stopami i swój przyspieszony oddech. Raptem wydało mi się, że te kroki są jakby podwójne. Zatrzymałam się. Rozejrzałam się dookoła. Poza mną nie było tu nikogo. „Wariuję – pomyślałam. – Wyobraźnia to przekleństwo. Dopowiada rzeczy, których nie ma”. Spróbowałam wyłowić z otaczającej mnie ciszy inne dźwięki. Gdzieś w oddali słychać było pracujący na polu ciągnik, ale wokół mnie panowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu brzęczeniem owadów. Wiatr poruszył gałęziami starego dębu. Na ziemię spadł jakiś suchy konar. Upadł tuż przede mną. Podskoczyłam jak oparzona. Stado kruków żerujących wśród chwastów wzbilo się w powietrze. „Coś musiało spłoszyć te ptaki – pomyślałam przerażona. – Ktoś tu musi być poza mną. Zwierzę albo człowiek”. Rozejrzałam się nerwowo dookoła. Nic. Tylko te chwasty i chwasty, wysokie trawy i suche badyle. „Bzdura, mam wybujałą wyobraźnię – uspokajałam sama siebie. – Tu nie ma nikogo”. Już miałam ruszyć dalej, kiedy znów usłyszałam jakiś dźwięk. Coś jak trzask złamanego patyka nadepniętego czyjąś stopą. Odwróciłam się w tamtym kierunku. Nic, tylko chwasty i suche badyle. Pomyślałam, że wizyta na tym cmentarzu mnie przerosła. „Tu nie ma nikogo – powtarzałam sobie w myślach. – To tylko moja głupia wyobraźnia płata mi figle”. Ruszyłam do przodu i znów wydawało mi się, że słyszę za sobą kroki. „Co jest grane, do jasnej cholery? Zwariowałam, a to wszystko jest tylko grą mojej imaginacji, czy znowu wdepnęłam w jakieś gówno? To tylko wyobraźnia” – pomyślałam. Marco mówił, że ten facet, który widział grób Sergrana, przyszedł na grób jakiejś swojej babki. Grobowiec tej jego stryjecznej babki musi być w nowszej części cmentarza. Ta kobieta musiała się urodzić w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Na prawo od bramy ponad chwasty wystawały stare nagrobki. Zatrzymałam się przy jednym z nich. Data śmierci: tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty. Nowsze groby zwykle budowane są na końcu cmentarza. Pomyślałam, że trzeba będzie przejść tą aleją aż do końca. Niech to szlag trafi! Jak na złość głupie ptaki zaczęły krążyć nad cmentarzem. Na błękitnym niebie pojawiła się chmura czarnych punktów. Punkty te stawały się coraz większe i większe, rosły w oczach. Ptaki krążyły coraz niżej. Spłoszone wcześniej, próbowały wrócić. Ich krakanie zagłuszało nawet moje myśli. Przeszłam kilkanaście metrów. Serce biło mi jak szalone. Nogi miałam jak z waty i brakowało mi nagle powietrza. „Nie ma szans, nie dojdę do końca

cmentarza – pomyślałam. – Nie nadaję się do tego zadania”. Nieopodal na drzewie zobaczyłam klepsydrę. Czyżby jednak chowali na tym cmentarzu? Kartka kłuła w oczy przeraźliwą bielą. Wczoraj padało. Ktoś musiał ją powiesić dzisiaj rano, kiedy było już po deszczu. Podeszłam bliżej i serce zamarło mi na chwilę. „Świętej pamięci Karolina Bielawska, urodzona...” Świat zawirował mi przed oczami. Na klepsydrze było też moje zdjęcie. Stałam obok sztalug na tle wrót do posiadłości Sergrana. Data śmierci: dwudziesty trzeci maja. „Dzisiaj jest dwudziesty trzeci maja” – pomyślałam przerażona. Zaczęłam biec w kierunku bramy. Pędziłam jak szalona. Teraz już wszędzie widziałam te klepsydry. Były na każdym drzewie aż po bramę cmentarza. Nie pamiętam, jak dotarłam do domu. Położyłam się na łóżku, nakryłam głowę poduszką, trzymałam w ręku komórkę i czekałam, aż ten dureń znowu do mnie napisze.

Enrico nie napisał. Zadzwoiła za to do mnie Amelia. Nagle dzisiaj przypomniała sobie o mnie i chciała się spotkać. Lubię Amelię. Pomaga Filippowi prowadzić kawiarnię. Łączy ich chyba dużo więcej niż praca. Miło jest na nich patrzeć. Wyglądają na szczęśliwych. Pasują do siebie idealnie, są ciepłi, przyjaźni, opiekuńczy, radośni. Myślę, że każdy czuje się w ich kawiarni jak w domu, jakby był wśród bliskich, w gronie przyjaciół. Filippo jest bratem Enrica. Wiem to tylko z podsłuchanej kiedyś rozmowy. Nikt mi tego nigdy nie powiedział. Ostatni raz widziałam Amelię w przeddzień mojego wyjazdu do Polski, kiedy czekałam w ich kawiarence na Enrica. To było zaledwie parę tygodni temu, a mnie się wydawało, że minęły lata. Tyle się później wydarzyło, że wspomnienia tamtego wieczoru straciły na wyrazistości, oddaliły się, rozmyły w pamięci... Telefon Amelii sprawił, że odłożyło mnóstwo wspomnień. Tamtego popołudnia wracałam z konkursu rysowania kredą na bruku. Konkurs zorganizował proboszcz parafii w Pitigliano. Udało mi się wygrać i nieoczekiwanie poza nagrodą otrzymałam stałą pracę. Wracałam do domu jak na skrzydłach. Nagle zobaczyłam stojący na poboczu tamten samochód, który prześladował mnie już od dwóch tygodni. Zatrzymałam się przy nim, chociaż to było zupełnie nielogiczne. W samochodzie siedział martwy Sergrano. Pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Pamiętam dziwny głuchy dźwięk ciała padającego na drogę, nóż wbity w plecy mężczyzny i lepka plamę krwi na niebieskiej koszuli. Pamiętam moje przerażenie. Moja świadomość zamarła w krzyku, który zastygł mi na ustach. Mój mózg działał automatycznie. Noga sama opadła mi na pedał gazu. Samochód ruszył z piskiem opon. Chciałam uciec stamtąd jak najprędzej. Oprzytomniałam odrobinę, gdy znalazłam się w korku na przedmieściach Florencji. Nagle zaczęłam się dusić w sznurze stojących samochodów. Coś ograniczało mi oddech. Serce biło jak szalone. Coś przeszkadzało mi w gardle. W uszach słyszałam monotonny szum krwi

pompowanej przez moje serce. Było mi mdło i słodko. Bałam się spojrzeć na samochody obok. Lękałam się, że zobaczę w nich twarze w maskach, powykrzywane w krzyku przerażenia i rozpaczyste usta, przestraszone, puste oczy. Musiałam z kimś porozmawiać. Postanowiłam zadzwonić do Enrica.

– Widziałam zabitego Sergrana! – zakomunikowałam mu bez żadnego wstępu. – Jak ktoś może umrzeć dwa razy w przeciągu niecałych dwóch tygodni?! Sergrano nie żyje. On nie żyje na nowo. Leży na poboczu drogi z Pitigliano z nożem wbitym w plecy...

Nie uwierzył mi. Wcale mu się nie dziwię. Sama sobie też bym nie uwierzyła. To brzmiało jak kompletna brednia, jak głupi żart albo wytwór czyjejś wyobraźni.

– Piłeś coś? Ktoś poczęstował cię działką? Jakies grzybki albo zioła? – dopytywał Enrico.

– Nie piłam. Nie ćpam. Wiem, co mówię! – krzyczałam do telefonu. – Musisz mi uwierzyć. Widziałam martwego Sergrana. Leży z nożem w plecach. Podjechałam do samochodu stojącego na poboczu. Nie wiedziałam, że to jego samochód. W środku siedziała nieruchoma postać. Nagle ta postać się przechyliła, drzwi auta się otworzyły i na drogę wypadło ciało Sergrana z nożem w plecach... – próbowałam mu opowiedzieć. Mówiłam chaotycznie. Pewnie dla Enrica zupełnie niezrozumiale. – To na pewno był Sergrano!

– Niemożliwe – stwierdził stanowczo. – Sergrano nie żyje już od ponad tygodnia – dodał powoli, dobitnie cedząc każde słowo. Mówił spokojnie, jak do upośledzonego umysłowo idioty. Nie uwierzył mi. Wszystko zrzucił na konkurs, zmęczenie, wiele godzin spędzonych na słońcu. Sugerował, że mam udar słoneczny oraz towarzyszące mu omamy wzrokowe i halucynacje. Pamiętam, że poczułam się nim zawiedziona. „Głupi palant – myślałam wtedy o nim. – Nie jest w stanie wyjść poza stereotypy logicznego myślenia”. Sama wiedziałam, że to wszystko jest nielogiczne. Pamiętam, że pogłośniłam radio. Wyło już na cały regulator. Próbowałam głośną muzyką uciszyć wszystkie emocje, zwłaszcza strach, przerażenie, zaskoczenie i rozpacz... Radio wyło, samochód stał w korku, a we mnie wszystko krzyczało. Raptem łzy same napłynęły mi do oczu. Wszystko, co we mnie było, przeszło w jeden przeciągły szloch. Pomogło na tyle, że zobaczyłam, że ktoś dzwoni. Enrico. „Niech się wypcha” – pomyślałam. Na krótkim szlochu się nie skończyło. Rozbuczałam się na dobre. „To wszystko przez ten korek – próbowałam się tłumaczyć sama przed sobą. – Stoję tu już od godziny i z braku zajęcia rozczulam się nad sobą”. Chusteczki mi się skończyły. Nos mnie bolał od wycierania. Oczy piekły, a powieki były spuchnięte i czerwone. Nie mogłam się uspokoić. Jeszcze raz odezwał się telefon. To znowu dzwonił Enrico. Pamiętam, że było mi tak źle, że postanowiłam odebrać.

– Gdzie jesteś? Byłem u ciebie w domu. Nie ma cię! – mówił głośno.

Krzyczał. – Signora Mornetti powiedziała, że nie widziała cię od rana. Nie odbierasz moich telefonów. Bez przerwy dzwonię. Co ty wyprawiasz? Za kogo mnie masz? Za zwyrodnialca? Za drania? Jak mam ci pomóc, kiedy odkładasz słuchawkę? Gdzie jesteś? – Pytanie gonilo pytanie. Enrico był wzburzony. Pamiętam, że poczułam się podle. Zadzwoiłam do niego, zburzyłam mu wieczorny spokój, rozłączyłam się, skupiłam na sobie i go zlekceważyłam, zupełnie nie myśląc, co on zrobi z tym, co ode mnie usłyszał.

– Jestem na przedmieściach Florencji – wykrztusiłam niepewnie.

– Na przedmieściach Florencji? – zapytał zdziwiony. – Co ty robisz na przedmieściach Florencji? Przejechałaś tuż obok domu i pognąłaś do Florencji?

Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego pojechałam do Florencji. Pamiętałam tylko, że chciałam uciec jak najdalej od tamtej drogi, stojącego na poboczu samochodu i leżącego tuż obok niego ciała. Raptem zobaczyłam, że dojeżdżam do Florencji. To było zupełnie podświadome. Z ulgą pomyślałam o tłumie na ulicach, w który będzie można się wmieszać i wtopić. Chciałam poczuć się anonimowo i przez to bezpiecznie. Enrico miał na ten mój pobyt we Florencji zupełnie inny pomysł. Wysłał mnie do kawiarni Filippa przy Via dei Neri. Miałam tam na niego poczekać pod opieką Filippa i Amelii. Dotarłam do kawiarenki i nagle poczułam się bezpiecznie. Filippo już wiedział, że przyjdę. Czekał na mnie w drzwiach kawiarni. Amelia poczęstowała mnie amaretto zrobionym przez jej babcię. Do stworzenia likieru użyto migdałów, pestek moreli i wanilii. To była niesamowita kompozycja zapachu i smaku o zaskakującej mocy. Poczułam się mile odurzona. Amaretto zaczęło działać od pierwszego łyku. Najpierw zrobiło mi się przyjemnie ciepło, później zakręciło mi się w głowie, a potem nawet wspomnienie martwego Sergrana przestało mnie przerażać. Niepokój minął, obraz zabitego Antonia stał się mniej wyrazisty, zaczął przypominać teatralną scenografię. Ciężar na twarzy siedzącej w samochodzie postaci, przewracające się ciało, drzwi samochodu otwierające się ze skrzypem, głuchy dźwięk zwłok padających na drogę, błękit koszuli złamany olbrzymią czerwoną plamą niezakrzepłej jeszcze krwi, nóż wbity w plecy aż po rękojeść. Do tego ostatnie promienie zachodzącego właśnie słońca, długie cienie rzucone przez rosnące przy drodze cyprysy. Nienaturalne, kiczowate... Jeszcze jeden łyk amaretto. Jeszcze jeden i jeden. Nagle tamten widok wydał mi się nierzeczywisty. Jak przejaskrawiony obraz, nieudana scenografia, kiepski film. Jak on mógł siedzieć za kierownicą z tym nożem w plecach? Pomyślałam, że to wyobraźnia mnie zwiodła... To był bardzo męczący dzień. Wszystko mogło się wydarzyć. W sumie w ciągu tego dnia przejechałam prawie pięćset kilometrów, i to głównie po drogach, których nie zaznaczają na mapach. Pomyślałam, że to tylko moja własna wyobraźnia płata mi figle, że to moja fantazja zdrwiła ze mnie. Pamiętam, jak jadąc, bałam się, że zasnę. Postanowiłam zająć czymś myśli. Próbowałam sobie wyobrazić, co mogłoby się stać na tej spokojnej,

zapomnianej przez wszystkich drodze. Może to była tylko imaginacja? Z minuty na minutę byłam o tym coraz bardziej przekonana. Przecież nikt nie może umrzeć dwa razy, i to w przeciągu dwóch tygodni. Ten likier to było cudowne lekarstwo o tajemnej mocy. Kupiłam od Amelii butelkę tego amaretto, tak zupełnie na wszelki wypadek, gdybym jeszcze kiedyś w życiu weszła w takie gównno. Butelka amaretto stoi w mojej sypialni. Likier miałam pić w ekstremalnie trudnych sytuacjach. Miał być antidotum na rozpacz, smutek i złość. Raptem przysłała mi ochota, by się napić. Rzadko bywa gorzej niż dzisiaj. Płyn koloru ciemnego złota wypełnił kieliszek. Zapach amaretto rozszedł się po pokoju. W ustach poczułam smak migdałów złamany nutą goryczy z pestek moreli i szczyptą wanilii. Pamiętam, dekorowałyśmy wtedy z Amelią kawy. Nagle wszystko się oddaliło, zatarło, przestało mieć znaczenie. Liczył się tylko rysunek patyczkiem na mlecznej pianie na kawie. Caffè latte z sercem była dla siedzącej pod oknem pary zakochanych. Owieczka dla Amelii. Dla Filippa saksofonista. Kapelusz z kwiatami dla starszej kobiety siedzącej w rogu sali. Zapach kawy, smak amaretto, słodycz tiramisu i kolor wszechobecnego na stołach chianti. Nie ma chyba bardziej relaksującego zajęcia na świecie niż praca w tej kawiarni, szczególnie kiedy ta kawiarnia jest położona w sercu Toskanii. Czułam tamten zapach, smak tamtego amaretto, słyszałam cichą włoską piosenkę w tle. W życiu ważna jest tylko miłość, wszystko inne nie ma znaczenia, wszystko inne się nie liczy.

Jeden telefon i nagle wróciło tyle wspomnień. Poczułam się, jakbym znowu była w tej ich kawiarni. Pamiętam, jak Amelia postawiła przede mną puszkę na datki. Pojawiła się przy niej kartka z napisem: „Zbieramy na chianti dla wszystkich”. W kawiarni poczułam się bezpiecznie. Odtajałam, wszystko zaczęło się toczyć wolniej. Zmysły się rozleniwiwały. Myśli zaczęły płynąć sennie. Nagle cały mój świat ograniczył się do cichej muzyki, zapachu kawy, słodczy likieru, przyjaznych ludzi... Pamiętam, że byłam zajęta tworzeniem pękatego serca przebitego strzałą dla dziewczyny pracującej w kuchni, kiedy Enrico wszedł do kawiarni.

– Poproszę kawę z krajobrazem Toskanii – usłyszałam jego głos. – Zapłacę za nią każdą cenę.

Spojrzałam na niego. Pomyślałam, że musiał biec. Zapewne zaparkował samochód daleko od kawiarni. W pobliżu trudno o miejsce. Włosy miał mokre od potu. Wilgotna koszula przylegała mu do pleców. Nie mógł uspokoić oddechu. „Przejął się mną” – pomyślałam. Zrobiło mi się ciepło gdzieś w środku. Malowany piórkiem pejzaż Toskanii wyszedł mi wyjątkowo. Na powierzchni gorącej kawy pojawiły się: obsadzona cyprysami, pnąca się ku górze droga, gaj oliwny, stojący na wzgórzu samotny dom.

– Szkoda, że nie można tego zachować – szepnęła za moimi plecami Amelia.
– Pięknie malujesz...

– Jak chcesz, to namaluję ci pejzaż na płótnie. Nie będzie tak ulotny... Musisz mi tylko opowiedzieć o twojej Toskanii...

Nie zrozumiała. Patrzyła na mnie zdziwiona.

– O Toskanii?

– Nie rozumiesz? Widzisz, możesz dostać ode mnie prezent uniwersalny, wiernie oddający rzeczywistość. Obraz podobny do tych sprzedawanych przy Ponte Vecchio. Będzie piękny, ale powtarzalny. Będzie twój, ale nie do końca. Będzie uniwersalny, czyli stworzony dla ciebie i dla wszystkich. To będzie prezent, ale zupełnie nieosobisty. Dla ciebie i dla innych. Nie będzie w nim ducha. Nie będzie emocji. Nie będzie uczuć. Będzie to jakiś tam pejzaż Toskanii. A ja mogę ci namalować coś zupełnie innego. Tylko dla ciebie. Roboczo możemy to nazwać *Toskania widziana oczami Amelii*.

Rozmawialiśmy o tym tamtego wieczoru w ich kawiarni.

Nagle teraz Amelia zadzwoniła do mnie i poprosiła mnie o obraz.

– Zdecydowałam się. Chcę obraz tylko dla mnie. Podjadę do ciebie. Pójdziemy gdzieś na kawę. Opowiem ci o mojej Toskanii.

Spadła mi dzisiaj jak z nieba.

Toskania Amelii jest spokojna i łagodna. Jest jak baśń. Za górami, za lasami była sobie kraina zwana Toskanią. Wszystko tu jest w delikatnych pastelowych kolorach, jakby lekko zamglone, niedopowiedziane i niewyraźne. Trochę jak marzenie, jak sen. Dźwięki też są ciche, zapachy są łagodne. Czas płynie wolno, jakby szedł noga za nogą. To trochę tak, jakby Toskanię wyjąć z pędzącej codzienności i pozwolić jej zostać cichą, łagodną, zaczarowaną, wyjątkową. Amelia mówiła, a ja miałam przed oczami poranek w tym domu na wzgórzu w okolicach Voltery. Falujące łąny zielonych jeszcze zbóż kończące się tuż przy schodach do domu. Pierwsze promienie słońca oświetlające zroszone źdźbła. Pastelowa zieleń i srebro promieni odbitych od kropel rosy. Ciągące się po horyzont wzgórze. Zdziwienie, że droga kończy się na tym domu. Powiew otwartych przestrzeni. Tamten widok uspokajał, kołował wszystkie zmysły, sprawiał, że myśli płynęły coraz wolniej i coraz leniwiej, nagle wszystko we mnie zaczynało drzemać i odpoczywać. Toskania Amelii jest właśnie taka. Piano, piano, pianissimo. Łagodnie, cicho, pastelowo, szczęśliwie.

– I co? Namalujesz mi taką Toskanię? – dopytywała.

– Namaluję.

Siedzieliśmy w kawiarni. Piłyśmy kolejną już kawę. Jadłyśmy ciasto z ricottą i truskawkami. Na chwilę zapomniałam o klepsydrach rozwieszonych na tamtym starym cmentarzu.

Wszystko się oddaliło, wyblakło, przestało straszyć, straciło na znaczeniu.

Lubię Amelię. Lubię Filippa. Tęsknię za atmosferą ich kawiarni. Nagle ten dzień stał się znośny, a nawet całkiem przyjemny.

– Ten obraz chcesz powiesić u siebie w domu? Muszę wiedzieć, jaki ma być duży...

– Duży – powiedziała z namysłem. – Chciałabym, żeby był bardzo duży.

– Masz małe mieszkanie niedaleko kawiarni. Duży obraz będzie przytłaczający.

– On nie będzie wisiał w moim mieszkaniu.

– A gdzie? – spytałam zdziwiona.

– W kawiarni – powiedziała radośnie. – Będzie wisiał w kawiarni. Mówiłaś, że zatytułujesz go *Toskania oczami Amelii*. Później poproszę cię jeszcze o jeden obraz dla Filippa, *Toskania oczami Filippa*. Oba obrazy zawisną obok siebie na tej dużej ścianie naprzeciw wejścia do kawiarni. Będą się dobrze komponować z nazwą kawiarni.

– Zmieniacie nazwę? – spytałam zdziwiona.

– Zmieniamy – potwierdziła. – No, jeszcze nie teraz, za kilka miesięcy... – dodała pośpiesznie. – W grudniu chcemy się pobrać. Po powrocie z podróży poślubnej zmienimy nazwę kawiarni. Filippo powiedział, że to będzie genialne. Kawiarnię nazwiemy „Nasza Toskania”.

– Rewelacja.

Nagle zrobiło mi się smutno. Jeszcze przed rokiem marzyła mi się suknia ślubna. Po rozstaniu z Wojtkiem przestałam wierzyć w dłużej trwające związki. Moda ślubna przestała mnie zupełnie interesować.

Amelia zaproponowała mi pracę. Jutro po południu będzie jakieś duże przyjęcie związane z zakończeniem kongresu chirurgicznego. Potrzebują dekoratorów kawy. Poproszono Amelię. Pomyślała o mnie.

– Nieźle płacą – zachęcała. – Ty lubisz tę pracę. Wpadnie ci trochę niespodziewanej gotówki...

Nie musiała mnie namawiać. Dekorowanie kawy bawiło mnie, relaksowało, uspokajało moje zmysły, studziło niepotrzebne emocje. Było wymarzonym zajęciem po koszmarnych przeżyciach na cmentarzu. Było jak antidotum na całe zło.

Amelia zabrała mnie z sobą do Florencji. Zaproponowała nocleg w swoim mieszkaniu. Poczęstowała amaretto. Klepsydry rozwieszane na cmentarzu zaczęły mi się wydawać głupim żartem. Jakiś psychopata ukrył się pewnie w tych suchych badyłach i miał niezły ubaw, widząc moje przerażenie. Świat jest pełen mniejszych i większych popierdoleńców. W końcu wybiła północ i przeżyłam zupełnie dobrze ten dwudziesty trzeci dzień maja.

– Mam dla ciebie sensacyjną wiadomość – przywitał mnie już w progu Marco. – Nie żyje dentysta, który przed laty pracował w Fiano.

– Oszalałeś! – Stałam jak wryta. – Myślisz, że interesują mnie wszystkie zgony aktualnych i byłych mieszkańców Fiano? Odpuść! To nie moje tematy. Muszę się skoncentrować na malowaniu... Mam zamówienia. Gonią mnie terminy. Wpadłam do ciebie po papier na szkice.

– Ten zgon cię zainteresuje – nie dał za wygraną.

– Wątpię – burknęłam pod nosem.

– Chcesz gazetę na koszt firmy czy czytasz na miejscu?

– Czytam na miejscu – skapitulowałam.

– To zrobię ci kawę.

Na pierwszej stronie miejscowego brukowca przeczytałam tytuł: „Następna ofiara klątwy Sergrana”. Ciarki przebiegły mi po plecach. Ja się chyba nie uwolnię od tego Antonia Sergrana. Tańczyłam z facetem raz w życiu, a on mnie teraz będzie prześladował aż do śmierci. Wyjdzie na to, że nie należy tańczyć z nieznajomymi. Zaczęłam czytać i nagle zrobiło mi się duszno. Nie pamiętam, kiedy Marco postawił przede mną kawę. Czytałam, a serce zaczęło mnie dławić w gardle. „Przed dwoma dniami w Dolomitach znaleziono ciało Adama Fricciego. Miejscowa policja przeprowadziła śledztwo. Nic nie wskazuje na udział osób trzecich w śmierci denata. Adamo Fricci wyruszył w góry w godzinach porannych. Nie wrócił do wieczora. Zaniepokoiło to właściciela pensjonatu, w którym zatrzymał się Fricci. Zawiadomił policję i ratowników górskich. Poszukiwania rozpoczęto następnego dnia rano. Ciało znaleziono w rozpadlinie skalnej nieopodal rzadko uczęszczanej trasy turystycznej, około siedmiu kilometrów na południowy wschód od Cortina d’Ampezzo. Warunki atmosferyczne były dobre. Policja przypuszcza, że denat wyszedł poza trasę, prawdopodobnie chciał zrobić jakieś zdjęcie, bo miał na szyi zawieszony aparat, stracił równowagę i runął w rozpadlinę skalną. Spadając, uderzył głową w skalny występ. Przyczyną zgonu był rozległy krwiak okolicy potylicznej. Zgon nastąpił od razu. Adamo Fricci był dentystą niedawno zamordowanego Antonia Sergrana. Czyżby klątwa nękająca rodzinę i przyjaciół Sergrana nie skończyła się wraz z jego śmiercią? Czyżby Fricci był następną ofiarą klątwy?” Serce biło mi jak szalone. Świat wirował dookoła. Litery zlewały mi się przed oczami. Gazeta z San Gimignano też rozpisywała się na ten temat. Krzykliwy tytuł biegł w poprzek strony: „Klątwa dopadła kolejną ofiarę”. W plotkarskim magazynie „Sfery” pojawiła się rozmowa z miejscową wróżbitką. Signora Roksana Mrovi przepowiadała kolejne zgony. „To jeszcze nie koniec. Dusza Sergrana błąka się po ziemi. Antonio Sergrano nie załatwił jeszcze wszystkich swoich ziemskich spraw. Pojawią się inne zbrodnie. Zbłąkana dusza Antonia szuka zemsty”.

– I co ty na to? – Głos Marca przebił się do mojej świadomości.

– Dziennikarze ze wszystkiego robią sensację. – Staralam się zapanować nad drżeniem głosu. – Z tego żyją. Gazety mają się sprzedawać. Najlepiej, kiedy sensacja goni sensację, trup ściele się gęsto, tajemnica goni tajemnicę, a skandal pędzi za skandalem – przekonywałam samą siebie. – „Sfery” to już kompletny szmatławiec. Niedawno signora Mornetti przeczytała tam, że Michał Anioł malował Kaplicę Sykstyńską, mieszając farbę ze swoją krwią...

– I co? Mieszał? – zainteresowała się niespodziewanie Marco.

– Nie mieszał. Kiedyś skaleczył się w palec i trochę krwi dostało się do farby zupełnie przypadkiem. Postanowił ją wykorzystać. Z tego, co pamiętam, malował wtedy rękę Boga. Dla niego samego miało to znaczenie symboliczne...

– Jak widzisz, to nie do końca była taka bzdura. Może i tym razem jest w tym ziarenko prawdy. Signora Mrovi jest znaną wróżbitką. Wałą do niej tłumy. Dorobiła się już fortuny na tych swoich umiejętnościach. Ponoć słuchają jej nawet politycy.

– Bzdury. Chyba sam w to nie wierzysz?

– Może i bzdury, ale dla mnie intrygujące.

– Niby dlaczego? – spytałam, chociaż sama nie byłam pewna, czy chcę to wiedzieć.

– Adamo Fricci nie tak dawno rozповідаł wszystkim, że to nie Sergrano zginął, tylko ktoś do niego bliźniaczo podobny. Upierał się przy tym jak osioł. Mnie też o tym opowiadał. Myślałem, że zidiociał. Twierdził, że to nie były zęby Antonia Sergrana...

– Jak to: nie były Sergrana?

Nagle przypomniałam sobie wywody pani Mornetti na temat przełożenia uroczystości pogrzebowych. Pamiętam, że mówiła wtedy o uzębieniu. Twierdziła, że świat staje na głowie, jeśli wystarczy, że ktoś ma o jeden ząb za dużo albo o jedno wypełnienie za mało i raptem rozpoczyna się śledztwo. Nie mogła zrozumieć, o co chodzi z tymi zębami, skoro wszyscy od razu rozpoznali Sergrana. Pamiętam, jak złorzeczyła, że ludzie są coraz bardziej pokopani, jeżeli ktoś komuś może odmówić pochówku z powodu braku skrupulatności w zapiskach dentysty. Teraz nagle pomyślałam, że mogło być zupełnie inaczej i może ten dentysta miał za dobrą pamięć i był za bardzo skrupulatny.

– Jak to, to nie były zęby Sergrana? – powtórzyłam.

– Tak twierdził Fricci. Sergrano był przed laty jego pacjentem. Jeszcze w czasach, kiedy Antonio przyjechał tu po raz pierwszy ze swoją żoną. Spodobało im się tutaj. Chcieli tu zostać. Szukali przez parę miesięcy odpowiedniego domu. To z tamtego okresu Fricci znał Sergrana. Podobno Antonio miał jakąś rzadką wadę zgryzu. Brakowało mu w uzębieniu dwójek. Ponoć w dzieciństwie w wyniku jakiegoś urazu doszło do uszkodzenia uzębienia. Zapewne zostały wtedy uszkodzone zawiązki stałych zębów, bo nigdy nie wyrznęły mu się dwójki. Adamo

pisal doktorat dotyczacy wad zgryzu. Sergrano sie zgodzil i stal sie jednym z kazuistycznych przypadkow w pracy doktorskiej Adama Fricciego. Później sie juz nigdy nie widzieli. Adamo Fricci wyjechał z Fiano, zanim Sergrano zdecydował sie tutaj wrócić po wypadku swojej zony. Zaczal praktykować w Rzymie. Przypadkiem zjawił sie tutaj jakoś tuż po zgonie Antonia, kiedy miejscowe gazety prześcigały sie w informowaniu o jego śmierci. W wielu gazetach publikowano wtedy zdjęcia Antonia. Adamo Fricci przyjechał ze swoją matką odwiedzić groby rodzinne. W Fiano szykowano sie właśnie do pochówku Sergrana. Do pogrzebu, do którego nie doszło. Fricci przeglądal gazety u mnie w kiosku. Nagle zaczął głośno mówić, że to jakaś mistyfikacja, że na zdjęciach jest ktoś inny, ktoś, kto jest tylko bliźniaczo podobny do Antonia Sergrana. Nagle wokół zapanowała kamienna cisza. Wzrok wszystkich skupił sie na Adamie. Pamiętam, że spojrzalem na oglądane przez niego zdjęcie. Na zdjęciu Sergrano stal uśmiechnięty na jakiejś degustacji chianti z jego winnicy. Fricci pokazywał wszystkim to zdjęcie. Mówił, że to nie jest Antonio Sergrano. Uderzał ręką w fotografię, krzyczał, że to mistyfikacja, oszustwo, fałsz. Ludzie patrzyli na niego jak na idiotę. W kiosku bylo wtedy sporo klientow. Słyszało go wielu. Po Fiano poszła plotka, że dentysta uważa, jakoby coś bylo nie tak z tym Sergranem. Nikt jeszcze wtedy nie wiedział, że Sergrano został zamordowany. To wyszło na jaw parę godzin później. Adamo nie dał za wygraną. Jeszcze z kiosku zadzwonił do koronera, mówił, że prześle mu dokumentację...

– I co bylo dalej?

– Ponoć wszystko sie zgadzalo – powiedzial Marco bez przekonania. – Ta jego dokumentacja i uzębienie denata. Ponoć koroner sprawdzil to dokładnie. Tak przynajmniej mówiono. Fricci zalał sie w barze i wszystkim opowiadal, że to przeciez niemożliwe, chyba że na zdjęciu w gazecie jest inny facet. Wstawil sie wtedy paskudnie. Wszystkim podstawial pod oczy tamto zdjęcie z gazety i pytal, czy to jest Antonio Sergrano. Na zdjęciu byl Sergrano. Wszyscy myśleli, że facet zidiociał. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego tamto zdjęcie bylo dla niego takim problemem. „Sergrano jak Sergrano”, mówił mu kazdy. Dla niego problemem byly wszystkie zdjęcia Sergrana, jakie udalo mu sie znaleźć w gazetach... – Marco zamilkł nieoczekiwanie.

– Co bylo później? – Zzerala mnie niezdrowa ciekawość.

– Szukal u ludzi innych zdjęć Antonia Sergrana. Za kazde placil pięć euro. Wszyscy myśleli, że zwariowal. Mnie tez pytal o zdjęcia.

– I co bylo dalej? – ponagliłam go. Jak dla mnie Marco mówił o wiele za wolno, zacinął sie co chwile, jakby sie zastanawial, co może, a czego nie powinien powiedzieć.

– Udalo mu sie kupić kilkanaście fotografii. Twierdzil, że początkowo myslal, iż te zdjęcia w gazetach to przeróbki w Photoshopie, ale teraz zdobył juz

pewność, że to dwóch różnych facetów.

– Co było dalej?

– Nie wiem...

– Jak to: nie wiesz? – spytałam zdziwiona.

– Przestałem się tym interesować. Zresztą jak wszyscy. Myślałem, że gościowi bije w dekiel – próbował się usprawiedliwić. – Pomyślałem, że to był szok, taka reakcja na nagłe skonfrontowanie się ze śmiercią. Ludzie różnie się zachowują w takich sytuacjach. Widziałem już różne reakcje. Zresztą nikt nie brał tego, co on mówił, na poważnie. Za jego plecami każdy stukał się palcem w czoło. Poza tym ludzie zaczęli żyć czymś zupełnie innym. Pojawił się nowy temat – morderstwo – i to on zdominował umysły wszystkich. Sprawa uzębienia przestała się liczyć... Rozumiesz, nie ta kategoria ważności... Morderstwo w takiej dziurze to dopiero sensacja. Szczególnie że zamordowanym był ktoś ogólnie znany. Nie dość, że zamordowany, to jeszcze tak brutalnie – przez uduszenie... W miasteczku zawrzało. Też tu byłaś. Ale wydaje mi się, że miałaś inne problemy... – Marco zamilkł na krótko. Niepewnie spojrział w moją stronę.

– Trochę inne – przyznałam.

– Ty wyjechałaś, a Francesca przyznała się do zbrodni... Znowu zawrzało. Sama rozumiesz. Francesca jest stąd. Może i jest trochę popierdolona, prowadzi się też nie tak, jakby sobie ksiądz życzył, ale należy do tej społeczności. Pamiętam, jak ksiądz na mszy przed dwoma laty powiedział, żeby osoby w zbyt kuszonych spódnicach nie klękały, bo widokiem bielizny sięją zgorszenie. Jedyną dziewczyną w przykrótkiej spódnicy na tej mszy była Francesca. Franci jest walnięta, ale jest stąd – powtórzył. – Jest jedną z nas, należy do naszej małej, zapyziałej społeczności. Tu się urodziła, tu chodziła do szkoły, do gimnazjum dojeżdżała do Florencji, później poszła studiować sztukę na florenckiej akademii. To taki miejscowy barwny motyl. Ma dziesiątki przywar. Sam jej nie trawię. Ale zbrodnia? Nikomu nigdy nie przyszłoby do głowy, że ona jest zdolna do popełnienia zbrodni. Popaprana erotomanka. Artystka... Artystom wybacza się wszystkie ekstrawagancje. Na swój sposób wszyscy byli z niej dumni. Pochodzi z naszej dziury i nagle zaczyna coś znaczyć w świecie mody... Nawet ten magazyn „Moda” rozszedł się u mnie jak ciepłe bułeczki. Musiałem dwa razy domawiać... Wszystkim podobała się ta jej kolekcja. Może z wyjątkiem jej nazwy, ale to zawsze można było zwalić na media. Raptem po twoim wyjeździe gruchnęła informacja, że Franci przyznała się do morderstwa, i to podwójnego. Szybciej uwierzyliby, że to ty niż że ona. Zawsze łatwiej posądzać i osądzać obcych... Rozumiesz? W krótkim czasie pojawiło się mnóstwo innych tematów. Nagle ta nasza miejscina zaczęła puchnąć od emocji. Wybudziła się z uspienia. Facet, który skupował zdjęcia, stał się przy tym zupełnie nieważny. Nikt już na niego nie zwracał uwagi.

– Wyjechał?

– Wyjechał, ale nie wiem kiedy. Wiele się działo. Nie zauważyłem. Myślę, że nikt nie zauważył.

– I teraz nagle przeczytałeś tę informację w gazecie?

– Niezupełnie – mruknął pod nosem i zamilkł.

– Było coś w międzyczasie?

– Wydaje mi się, ale nie jestem pewien – powiedział z wahaniem. – Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz? – zapytałam zdziwiona.

Do tej pory byłam przekonana, że on w tym swoim kiosku musi wiedzieć wszystko.

– Ktoś coś wspominał przed paroma dniami. Nie skoncentrowałam się na tym. Wiadomość wydawała mi się nieważna. Wiesz, u mnie ludzie często wertują prasę, piją kawę, dyskutują... Czasami przynoszą różne plotki... Staram się nie słuchać. Ta wiadomość wydawała mi się nieistotna. Dopiero dzisiaj sprawdziłem, że była prawdziwa. Odszukałem tę informację w Internecie... Zaraz ci ją pokażę.

Na przedostatniej stronie gazety „Liberta” przed tygodniem opublikowano informację o pożarze, który objął dom i praktykę doktora Adama Fricciego. Gwałtowny pożar wybuchł w godzinach nocnych. Policja podejrzewała podpalenie. Właściciel przebywał wtedy na konferencji medycznej w Mediolanie. W wyniku pożaru uległy całkowitemu zniszczeniu pomieszczenia domu i praktyki. Spłonęła dokumentacja...

Byłam już w drzwiach, kiedy usłyszałam za plecami pytanie:

– Znalazłaś grób Antonia Sergrana?

– Nie.

– Nie pojechałaś tam – zatriumfował Marco. – Chociaż raz wykazałaś odrobinę zdrowego rozsądku. Już myślałem, że jesteś przypadkiem straconym. To był okrutnie nietrafiony pomysł...

– Byłam tam – przerwałam mu. – Jak okiem sięgnąć trawy i suche badyle po pas. Gdziekolwiek tylko z tego buszu wystają ramiona krzyży. Trudno tam znaleźć cokolwiek. Musiałabym stracić na szukanie parę godzin. Aż tak bardzo mi nie zależało...

Sama się zdziwiłam, że mówię o tym tak spokojnie, bez żadnych emocji i bez żadnego lęku. Minął dwudziesty trzeci maja i żyję. Dzisiaj jest już dwudziesty piąty. To był tylko głupi żart. Wszędzie rozповідаłam, że chcę pójść na grób Sergrana. Ktoś się zabawił moim kosztem, a ja z przerażenia prawie umarłam. Ludzie to jednak pojeby.

Miałam właśnie zabrać się do szkicowania, kiedy usłyszałam dźwięk nadchodzącego SMS-a.

„Niech się wypcha – pomyślałam. – Dwudziestego trzeciego nawet nie napisał. Anioł stróż od siedmiu boleści”. Po chwili dźwięk się powtórzył. Ciekawość kolejny raz zwyciężyła nad rozsądkiem. Pierwszy SMS był jak zwykle pusty. Drugi zawierał zaszyfrowaną wiadomość. „Zaufaj mi! Nie bój się niczego. Ręczę głową, że nic Ci się nie stanie. Zadzwoń do inspektora Brossiego i umów się z nim. Powiedz, że chcesz odwiedzić żonę Sergrana. Zapytaj, gdzie jest ten dom opieki, w którym ona przebywa”. Odłożyłam pospiesznie komórkę. Wydawało mi się, że parzy mnie w rękę. „O nie – pomyślałam. – Nie wchodzę w to gówna. Mam za dużo pracy”. Wciąż nie mam pomysłu na ten obraz, który ma przedstawić emocje zaklęte w kolorze żółtym. Czas się kurczy coraz bardziej, organizatorzy wystawy oczekują przesłania prac, a ja nie mogę tego obrazu nawet zacząć. Pustka w głowie, żadnych pomysłów, mnóstwo mieszanych uczuć i zupełnie sprzecznych emocji. Makabra! A przecież ten obraz to nie wszystko. Mam jeszcze inne zobowiązania. Proboszcz wydzwania prawie każdego dnia i przypomina, że czeka na następne ilustracje. Amelia prosiła mnie o obraz. Mam jeszcze namalować obraz przedstawiający Toskanię widzianą oczami Filippa. Powinnam w stu procentach oddać się sztuce i nie robić nic innego, tylko malować, malować i malować. Powinnam wyciszyć i uspokoić wszystkie myśli, wsłuchać się w siebie i tworzyć. „Nie dam się w to wrobić – buntowałam się w myślach. – Enrico wyjechał i na odległość znowu próbuje mnie wciągnąć w to gówna, z którego ledwie uciekłam”. Najłatwiej kimś dyrygować. Funkcje kierownicze lubią pełnić wszyscy.

Zabrałam się do malowania ilustracji do modlitewnika. Postanowiłam, że wszystkie będzie łączyła postać tego pielgrzyma, którego umieściłam na pierwszej akwarelce. Pielgrzym zatrzymał się przy bramie i wahał się, czy pchnąć ją i wejść na teren posiadłości. Już przed paroma dniami przemknęło mi przez myśl, że swego czasu widziałam kogoś stojącego przy tamtej bramie. A teraz już byłam pewna, że coś takiego wydarzyło się naprawdę. Nie było to w dniu wypadku ciężarówki, lecz trzy dni wcześniej, kiedy w piątek po raz pierwszy zobaczyłam tę na pół otwartą bramę, ten zielony tunel utworzony przez drzewa budujące aleję, to rozświetlone słońcem niebo na końcu alei. Tamtego dnia na drodze panował normalny ruch. Raz po raz jakiś pojazd zasłaniał mi bramę. Pamiętam, że mignęła mi postać stojąca przy bramie. Później zasłoniła ją jakaś ciężarówka jadąca w kierunku Certaldo. Ciężarówka przejechała, a tej postaci już tam nie było. Przypominałam sobie, że robiłam wtedy zdjęcia. Często je robię, kiedy się obawiam, że coś mogę zapomnieć, że jakiś szczegół może umknąć mojej uwadze, może się rozmyć w niepamięci. Wtedy też zamierzałam trochę poszkicować w domu i bałam się, że czegoś mogę zapomnieć. Czasami, kiedy chcę uchwycić ulotność danej chwili, nagrywam filmiki. Wtedy też nagrywałam. Pragnęłam uchwycić ulotność tego obrazu, tę grę promieni słonecznych pełzających po kamiennej drodze, tę zmienność świetlnych smug zależną od wiatru, ruchu gałęzi,

drzenia liści... Potem wydarzyło się tak wiele, że zupełnie zapomniałam o tej postaci przy bramie, o zdjęciach i o kręconych filmikach.

Zeszłam do samochodu. Aparat leżał jak zwykle pod przednim siedzeniem. Nie wyciągałam go od tamtego piątku. Zaczęłam przeglądać zdjęcia. Na jednym z nich zobaczyłam stojącego przy bramie Sergrana, który wahał się, czy ma wejść na teren własnej posesji.

Wczoraj wieczorem dostałam jeszcze jedną wiadomość: „Umów się z nim u Filippa”. Dobrze to wymyślił. Nagle spotkanie z inspektorem Brossim przestało straszyć, wręcz mogło wydawać się przyjemne, a wszystko za sprawą atmosfery tej kawiarni. Bardzo lubię to miejsce. Jest wyjątkowe. Wycisza, uspokaja, powoduje, że czas odrobinę zwalnia, a świat wydaje się lepszy. Wszystko do siebie pasuje: Filippo, Amelia, wystrój kawiarni, zapach kawy, woń amaretto, blask świec odbijający się w szkle wypełnionym rubinowym chianti, cienie pełzające po ścianach, cicha muzyka w tle, przychodzący tu ludzie... Taka oaza ciszy, spokoju i ciepła tuż przy pełnej turystów florenckiej starówce. Zaczarowane miejsce. Ciepłi ludzie. Niesamowita atmosfera.

Zadzwoiłam do inspektora Brossiego.

– Inspektor Roberto Brossi – zahuczało w słuchawce. Chłodny głos przeszył mnie na wylot. Entuzjazm zmalął we mnie już na początku rozmowy. Chyba nie lubię tego drętwego faceta.

– Karolina Bielawska – wykrztusiłam.

– Ach, to pani... – Głos w słuchawce nagle złagodniał, przybrał ciepły, przyjacielski ton. – W czym mogę pomóc?

– Będę jutro we Florencji – powiedziałam pogodnie. – Muszę podjechać do galerii. Chcę zobaczyć jeszcze raz pomieszczenia przeznaczone na naszą wystawę. Mam kłopoty z rozplanowaniem oświetlenia. Światło jest bardzo ważne. Często bywa najważniejsze, bo podkreśla, akcentuje, dopowiada, ukrywa niedociągnięcia, dodaje nastroju... – paplałam jak najęta. – Pomyślałam sobie, że wykorzystam okazję i podjadę na chwilę do pana na komendę. Chciałam się pana w czymś poradzić.

– Jutro? – spytał zaskoczony. – Jutro nie ma mnie na komendzie. Wziąłem dzień wolnego – tłumaczył się. – Muszę trochę odpocząć.

– To się pechowo składa – skłamałam. Ulżyło mi. Nie podobał mi się ton, jakim rozmawiał ze mną ten facet.

– Dlaczego pechowo? – zdziwił się. – Myślę, że bardzo dobrze. To wspinały zbieg okoliczności. Będę miał więcej czasu dla pani – oświadczył pogodnie. – Nie wyjeżdżam, zostaję we Florencji. Możemy się spotkać gdzieś na mieście. Będzie na pewno przyjemniej niż na komendzie. Bardziej prywatnie... –

plótl trzy po trzy. – Zresztą była pani u nas. Komenda budzi respekt. Przepustki, zezwolenia, długie puste korytarze, funkcjonariuszka w sekretariacie... Oczy, które obserwują, notują i widzą wszystko. Ściany, które mają uszy...

– Wiem, jak wygląda komenda – weszłam mu w słowo. – Dość ponuro. Pana sekretariat też widziałam...

– No właśnie. To jest to słowo, którego mi zabrakło. Komenda wygląda ponuro – powtórzył za mną. – Trafiła pani w sedno. Zdecydowanie wolę spotkać się z panią gdzieś poza komendą. Pani nie pasuje do tej szarości. Jakby ktoś chciał barwnego wolnego motyla złapać w szarą paskudną siatkę – gadał bez sensu. – Cieszę się, że jutro będę miał okazję spotkać się z panią tak zupełnie prywatnie. Zapraszam na kawę.

– Bardzo chętnie. – Próbowałam wzbudzić w sobie entuzjazm. Nie byłam pewna, czy zabrzmiało to szczerze. Denerwował mnie ten facet.

– Zapraszam do kawiarni nieopodal Ogródów Boboli. Fantastyczne miejsce. Z okien rozciąga się wspaniały widok na całe miasto. Kawa też dobra. Mają tam takie...

– Chyba wolałabym gdzie indziej – nie dałam mu dokończyć.

– Nie dziwię się. Zdekoncentrowałam się, przez chwilę zapomniałem o tamtej sprawie. Po tym wszystkim, co pani przeżyła, chyba nie lubi pani Ogródów Boboli.

– Nie przepadam – stwierdziłam chłodno.

– Rozumiem. Ma pani jakieś ulubione miejsce?

– Bardzo lubię małą kawiarenkę tuż przy Via dei Neri. To niedaleko Ponte Vecchio.

– Nie wolałaby pani czegoś bardziej znanego? Na przykład "Caffe Rivoire" na Piazza della Signoria? Każdy marzy, żeby pójść tam na kawę. Turyści, którzy przygotowują się do zwiedzania Florencji, notują to miejsce tuż obok godnych zobaczenia zabytków. To kultowa kawiarnia Florencji. Miła obsługa, niepowtarzalna atmosfera, ciekawe wnętrze, bardzo dobra kawa, wyśmienite desery. Może jednak tam pójdziemy na kawę?

– Wolałabym gdzie indziej – powiedziałam z ociąganiem. – Już mówiłam, że bardzo lubię tę kawiarenkę przy Via dei Neri. Dla mnie to cudowne miejsce.

– Skoro ją pani tak lubi, to znaczy, że musi mieć w sobie coś wyjątkowego – skapitulował. – To o której?

– W galerii mam być o dziesiątej. Zejdzie mi tam ze dwie godziny – myślałam na głos. – Nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie.

– Proszę zadzwonić, kiedy będzie pani już wolna. Przyjadę po panią. Tak będzie chyba najprościej. Najwyżej pani na mnie chwilę zaczeka.

Odłożyłam słuchawkę. Nabrałam głęboko powietrza. Pomyślałam, że kości zostały rzucone i nie mogę się już wycofać.

Siedzieliśmy, piliśmy kawę, a on uporczywie mi się przyglądał. Jego wzrok wędrował po mojej twarzy, ślizgał się po odsłoniętych ramionach, przesuwał się wzdłuż dekoltu aż po koniec rozcięcia, omiatał biust, przebiegał po biodrach, wędrował po nie do końca osłoniętych przez kusą sukienkę udach. Włożyłam sukienkę, którą dostałam od Franceski. Należała do jej najnowszej letniej kolekcji. Chciałam jakoś wyglądać. W końcu jechałam do galerii. Dżinsy zastąpił błękitny jedwab, trampki – sandały na wysokim obcasie... Włosy, zwykle związane gumką, opadały swobodnie na ramiona. Sukienka była delikatna, powiewna, trochę jak mgiełka, marzenie, sen. Kusila i nie dopowiadała, zostawiała miejsce dla wyobraźni. Niesamowite są te ciuchy projektowane przez Franci. Ubrałam się tak rozmyślnie na rozmowy w galerii. Spotkanie z inspektorem Brossim miało być przy okazji. On chyba zrozumiał to inaczej.

– Niesamowite, dziewczyna ze zdjęć z magazynu „Moda” dała się zaprosić na kawę. – Nie odrywał wzroku od mojej twarzy. – Widziałem też okładkę „Playboya”. Niepowtarzalna... Chłopcy z komendy wykupili chyba wszystkie „Playboye” w okolicy – bredził bez sensu. – Rzeczywistość jest jeszcze bardziej interesująca. Oryginał przewyższa zdjęcie. Realia pobiły artystyczną fotografię.

Denerwowały mnie te jego spojrzenia. Z minuty na minutę był coraz bardziej nachalny. Czulałam się, jakby rozbierał mnie wzrokiem.

– Raz dałam się namówić na sesję zdjęciową. Nie zrobię tego nigdy więcej. Chciałam pomóc Franci, bo rozchorowała się jej modelka. Pokazy mody i sesje zdjęciowe to zdecydowanie nie są moje klimaty – odparowałam.

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem. – Trudno mi w to uwierzyć. Taki sukces i nigdy więcej? Byłoby szkoda. Te zdjęcia w „Modzie” są rewelacyjne. Moda, jak wszystko, potrzebuje emocji... Te zdjęcia są pełne emocji. Są gorące... Już od samego patrzenia na nie można się oparzyć... – bredził.

Pamiętam, jak Francesca poprosiła mnie o pomoc. Modelka się rozchorowała, a ona musiała wysłać zdjęcia swej kolekcji do redakcji „Mody”. Nigdy by mi wcześniej nawet przez myśl nie przeszło, że się na to zgodzę. Ja jako modelka sesji fotograficznej kolekcji mody Franceski, do tego z Enrikiem w roli rozkochanego we mnie faceta, to było coś, co z trudem mieściło mi się w głowie. Zdjęcia trwały parę godzin. Było wiele sukienek, spodni, bluzek... Nie pamiętam poszczególnych kreacji. Nie miały dla mnie znaczenia. Złazy się w jeden przyjemny dotyk miękkich tkanin, które w różny sposób opinały moje ciało. Moje zmysły skoncentrowały się na Enricu. Cały mój świat skurczył się raptem tylko do niego. Ciemne, odrobinę zbyt długie, kręcone, mokre od żelu włosy, ciemnobrązowe oczy, których moje oczy nie potrafiły zapomnieć, dwudniowy zarost, który znaczył ciemny ślad na policzkach. Pamiętam tamtą myśl, że moje

ciało nadal lubi jego ciało, że nie udało się jeszcze mojemu ciału jego ciała zapomnieć... Niewiele poza tym pamiętam. Nie potrafiłabym w myślach odtworzyć ani jednej sukienki, ani jednej bluzki, ani jednych spodni... Pamiętam za to coś zupełnie innego. Zapamiętałam błyszczące oczy Enrica, dotyk jego rąk na moich pośladkach, opiętych jakimiś zbyt obcisłymi spodniami, jego dłonie unoszące moje włosy, ciepło jego oddechu na karku, jego usta na moich ustach... I pamiętam dźwięk migawki aparatu. Raz głośniejszy, raz cichszy, raz z bliska, raz z daleka. Pamiętam jeszcze moją dłoń w jego dłoni, moją głowę na jego ramieniu, jego usta przy moim uchu, ciepły oddech połączony z szeptem: „Uzależniłem się od ciebie. Uzależniłem się od twojego ciała”. Pamiętam moje zdziwienie, kiedy Francesca pokazała mi egzemplarz sygnałny magazynu „Moda”. Jej ciuchy, my dwoje i talent fotograficzny Paola. Mieliśmy być romantyczni, zmysłowi, subtelnie seksowni. Miały być jej ciuchy, głębokie spojrzenia w oczy, czułe objęcia, muśnięcia warg, nieśmiałe pocałunki. Przeszliśmy najśmielsze oczekiwania Franceski. Rozkręciliśmy się na dobre. Paolo jest świetnym fotografem. Zrobił dziesiątki zdjęć. Wybrali z tego kilkanaście niepowtarzalnych ujęć. Jedna fotografia trafiła później na okładkę „Playboya”. Dzięki tym zdjęciom kolekcja Franceski kojarzyła się z latem, z erotyzmem, z pożądaniem, z seksem... Każda dziewczyna chciała mieć takie ciuchy... Francesca nazwała swoją kolekcję *Przeleć mnie*.

– Enrico to szczęściarz... – dotarł do mnie jak z zaświatów głos inspektora Brossiego. Przedarł się jakimś cudem przez tamte szalone wspomnienia.

– Bo ja wiem... – zaczęłam niepewnie. – Nie wydaje mi się. Musiał zniknąć. Gdzieś tam zaczyna swoje życie od nowa. Nie zazdroszczę. Potrafię sobie wyobrazić, co to znaczy „zaczynać od nowa”. Dla mnie byłoby to straszne. Nowe nazwisko, zawód, wyuczony na pamięć obcy życiorys... Bez rodziny, bez przyjaciół, bez przeszłości... Drugie życie jak druga szansa. To musi być koszmarnie. Zapłacił dużą cenę za sukces policji, za ten splendor, który spłynął na pana i pana ludzi.

Filippo stał przy sąsiednim stoliku. Przyjmował zamówienia. Jestem pewna, że słuchał. Raz po raz rzucał ukradkiem uważne spojrzenia w naszą stronę. Czułam się bezpieczna.

– Jakoś sobie poradzi... – wszedł mi w słowo Brossi. – To twarda sztuka. On tylko tak wygląda, jakby chciał, żeby go przytulić. To jego image po *The Voice of Italy*. Kobiety lubią tak bezradnie wyglądających facetów. Tacy faceci budzą w nich instynkty macierzyńskie. To tylko poza. On jest twardzielem. Nic go nie zabije ani nie zniszczy. Da sobie radę – powtórzył. – Jestem tego pewny. Proszę się o niego nie martwić. Pewnie już czuje się jak ryba w wodzie w tym swoim nowym życiu. Ja nie o tym chciałem mówić...

– A o czym? – spytałam zdziwiona.

– O pani, Enricu i tych zdjęciach.

Filippo bardzo starannie i powoli sprzątał stół pod oknem. Nie uronił na pewno ani słowa z naszej rozmowy.

– Chce pan rozmawiać o mnie, o Enricu i o zdjęciach? – spytałam zdziwiona.

– Nie ma o czym. Enrico był modelem podczas sesji zdjęciowej. Ja była modelką. Mieliśmy dobry dzień. Udało nam się przekonująco odegrać swoje role. Ludzie to kupili...

– Zakochany facet i równie zakochana w nim dziewczyna – przerwał mi Brossi. – Namiętność bez końca.

Mówił i nie przestawał mi się przyglądać. Denerwowało mnie to z minuty na minutę coraz bardziej. Skoncentrował wzrok na moich ustach.

– Nazwano tę kolekcję *Przeleć mnie* – dodał po chwili.

– Tytuł jak tytuł... – Czułam, że się rumienię. Byłam wściekła sama na siebie. „Głupi palant – pomyślałam o Brossim – jeszcze jeden popapraniec. Podstarzały erotoman”.

– To mocny tytuł. Jednoznaczny. – Uczepił się tego tytułu jak rzep psiego ogona.

– To sprawa marketingu – powiedziałam obojętnie. – Tytuł powinien być wyrazisty. Ten jest szokujący, bulwersujący, rzucający się w oczy, uderzający w drobnomieszczańską mentalność, gorący... Jak widać, oszczędny w słowach, a trafiający do wyobraźni... Zapamiętał go pan od razu. Pasował do tych zdjęć i do tej kolekcji. Ludzie lubią, żeby ich zaskakiwać i szokować...

– Ciekawe jest to, co pani mówi...

– Ten tytuł mógłby brzmieć *Kochaj mnie*. Czy by go pan wtedy zapamiętał? Myślę, że nie. Byłby mdły, nijaki, obojętny emocjonalnie, zgrany, wyblakły... Tytuł *Przeleć mnie* zapadł panu od razu w pamięć. Zresztą wielu...

Ja mówiłam, a on się na mnie gapił. Coraz bardziej mnie to denerwowało. Wybitnie denerwujący facet.

– Pojechaliście później do niego czy do pani? – spytał niespodziewanie.

– A jak się panu wydaje? – palnęłam bez zastanowienia. Boże, skąd się biorą na świecie tacy idioci? – Poszliśmy we czwórkę na kolację – odpowiedziałam obojętnym tonem, zamykając mu tym stwierdzeniem usta. W środku wszystko się we mnie gotowało. Miałam ochotę go zagryźć. Świat jest pełen wścibskich prostaków.

Dobrze pamiętam tamten wieczór. Skończyliśmy sesję i poszliśmy we czwórkę na kolację – Francesca, Enrico, Paolo i ja. Oglądaliśmy zdjęcia, piliśmy wino. Szalone były te fotografie. Przesiąknięte erotyzmem. Zastanawiałam się: czy to na pewno są moje zdjęcia? Ja – nie ja, jakaś zupełnie inna dziewczyna. Wyzwolona, odważna, kusząca, momentami wyzywająca... Oszołomiona, zdziwiona, oczarowana, odkrywająca świat zmysłów... Zaskakująco piękna...

Porządnie szumiało mi w głowie, kiedy Enrico odprowadzał mnie do domu. Myślałam wtedy, że wyjątkowo mocne jest to tokańskie chianti, że szalona jest ta ich Toskania. W uszach słyszałam jeszcze głos piosenkarza z tamtej tawerny. Serce biło mi w rytm ostatniej piosenki. Sandały trzymałam w ręku, bo nie mogłam w nich już dłużej tańczyć. Zaczęły mi przeszkadzać. Przetańczyliśmy parę godzin. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Zastanawiałam się, czy zdołam wejść na pierwsze piętro do mojego mieszkania. Chłopak o ciepłej barwie głosu śpiewał piosenki o miłości. Śpiewał o miłości silniejszej niż śmierć... Nie słyszałam chyba nigdy żadnej włoskiej piosenki, która nie byłaby o miłości...

– Poszłicie na kolację? – Głos Roberta przedarł się do mojej świadomości. – A ja myślałam, że pojechaliście się kochać – kropnął.

Nie patrzyłam na niego. Patrzyłam na Filippa. Spod przymrużonych powiek przyglądał się inspektorowi Brossiemu. Dłonie pobielewały mu od ściskania oparcia krzesła. Chyba na dzisiejszy dzień on przejął rolę mojego anioła stróża i ta rola zaczęła go powoli przerastać.

– Źle pan myślał – odpowiedziałam spokojnie.

– Sądzę, że każdy, kto ogląda te zdjęcia, tak myśli. Nie da się myśleć inaczej...

– Na tym właśnie polega sztuka – przerwałam mu. – Sprzedaje się ludziom iluzję... A oni wierzą w tę iluzję jak w najprawdziwszą prawdę... Nie wiedziałam, że pan pracuje w obyczajówce... – palnęłam głośno.

Para przy stoliku obok spojrzała w naszą stronę. Dziewczyna zachichotała. Facet zmierzył Roberta rozbawionym wzrokiem. Filippo parsknął śmiechem. Roberta zatkało. Zreflektował się. Zamilkł. Uciekł wzrokiem gdzieś w bok. „Tchórzliwy dupek – pomyślałam – wystarczy podnieść głos, żeby się przestraszył”.

– Nie chciałem pani urazić – zaczął się nieudolnie tłumaczyć. – Próbuję tylko zrozumieć. To takie dziwne i zaskakujące. Niespójne i niezrozumiałe. Ma pani twarz anioła, który przez przypadek zstąpił na ziemię, a tu nagle erotyczne, prawie pornograficzne fotografie... Nie widziałem tych zdjęć przed naszym pierwszym spotkaniem. Zobaczyłem je dopiero dzień później. Nie mogłem zrozumieć. Zapamiętałem panią jako przestraszoną młodą kobietę, potrzebującą opieki i wsparcia. Czułem się winny, paskudnie winny. Zupełnie nieświadomie została pani wciągnięta w grę. Znalazła się pani w środku policyjnej akcji. Wszystko toczyło się coraz szybciej i szybciej. Jeszcze chwila, a uwierzyłaby pani w swoje szaleństwo. Nie było na co czekać. Nasza akcja musiała się toczyć dalej. Brakowało nam jeszcze paru istotnych dowodów, parę szczegółów wymagało dogrania. Wszystko było ściśle tajne. Enrico miał panią wywieźć i oddać w dobre ręce. Coś nie wyszło. Źle oceniliśmy sytuację. Pani chciała się zabić. Całe szczęście, że pomoc przyszła na czas. Czułem się winny...

– Teraz już się pan nie czuje? – spytałam z ironią.

– Nadal czuję się winny. Pewnie tak już zostanie, ale nie o to chodzi. Moja sekretarka widziała, jak wychodziła pani ode mnie z gabinetu. Skojarzyła panią ze zdjęciami, które oglądała dzień wcześniej w magazynie „Moda”. Sprawdziła w domu. Następnego dnia pokazała mi pani zdjęcia. Nagle zobaczyłem to wszystko zupełnie inaczej.

– Inaczej?

– Tak, zupełnie inaczej. Nagle wszystko ułożyło się w logiczną całość, zacząłem rozumieć znacznie więcej, niż wcześniej rozumiałem. Niepokój Enrica, jego narastające zdenerwowanie, chęć przerywania akcji, jego wyjazd z panią do Polski, list, który u mnie zostawił dla pani... Wszystko nagle zaczęło wydawać mi się inne. Jeszcze bardziej skomplikowane. Sprawa zaczęła mieć drugie dno. Szczęściarz z tego Enrica...

– Myślę inaczej...

– Pani jest wyjątkowym zjawiskiem. W pani wszystko jest tak niespójne, że aż dech zapiera w piersi. Tak szalone, podniecające, zaskakujące... Mała dziewczynka potrzebująca opieki i pomocy. Szalona dziewczyna o nieprawdopodobnych pomysłach. Utalentowana malarka, przed którą galerie otwierają swoje podwoje. Piękna kobieta pobudzająca wszystkie zmysły...

Siedziałam, piłam kawę i zastanawiałam się, do czego zmierza Roberto Brossi. Mówił dziwne rzeczy, patrzył na mnie coraz bardziej natarczywie, coraz mniej się pilnował. Jak niewiele trzeba, żeby facet stracił nad sobą kontrolę, żeby zaczął się zachowywać nielogicznie i bez sensu. Wystarczy jedwabna, kusa sukienka, opalone nogi, sandały na wysokim obcasie, dobry makijaż... Roberto zamilkł na chwilę. I całe szczęście, bo zyskałam parę minut na refleksje. Jadłam tiramisu, piłam kawę i próbowałam choć na moment uspokoić myśli, wyciszyć się, zapanować nad emocjami. Obłeśny jest ten Roberto Brossi. Z minuty na minutę wydawał mi się coraz gorszy. Miód i wazelina, zuchwałe spojrzenia i insynuacje... Wił się jak piskorz, zmieniał jak kameleon, błyskawicznie dopasowywał do nowej sytuacji. Filippo nie spuszczał z nas wzroku. Wiedziałałam, że czuwał nade mną. Mogłam zanurzyć się bezpiecznie w atmosferę tej mojej ulubionej florenckiej kawiarni. Wszechobecny zapach świeżo parzonej kawy zmieszany z zapachem amaretto, cichy głos fortepianu dochodzący z tyłu pomieszczenia, szmer rozmów... Mój ulubiony zaczarowany lampion stojący na kontuarze, zrobiony z dziesiątków kolorowych szkiełek, z których każde inaczej przepuszcza blask włożonej do niego świecy. Wieczorem ten lampion wygląda wprost bajecznie. Teraz też paliła się w nim świeczka. Brakowało tylko kolorowych chybotliwych cieni, które wieczorami pełzają po ścianach. Wieczorem wszystko wygląda tutaj inaczej. Jeszcze bardziej tajemniczo. Ostatnim razem przy lampionie stała puszka, do której zbierałyśmy z Amelią datki na chianti dla wszystkich. Dotychczas bywałam tu

zawsze wieczorem, zawsze z Enrikiem. To jest takie spokojne, bezpieczne miejsce, gdzie czas nagle zwalnia, jakby chciał się zatrzymać, smutki i zmartwienia się oddalają, a wszystko toczy się pod dyktando pitej kawy, amaretto i chianti, w rytm dźwięków fortepianu dochodzących z końca sali. Dzisiaj było tu inaczej. Cienie nie pełzały po kątach. Przez duże okna wdzierały się do środka słoneczne promienie. Podniosłam wzrok i nagle na ścianie obok wejścia zobaczyłam moją *Toskańską drogę do nieba*. Jak ja mogłam jej wcześniej nie zauważyć? Serce zabiło mi mocniej. Świat zawirował dookoła. Nagle zrobiło mi się gorąco. Czyżby Enrico naprawdę ukradł ten obraz? Dlaczego on to zrobił? Czy to była jedyna prawda w zostawionym przez niego liście? Życie to teatr, a ludzie to aktorzy. Cienka linia oddziela prawdę od kłamstwa, iluzję od rzeczywistości, mistyfikację od świata realnego. Wygląda na to, że Enrico naprawdę ukradł ten obraz z depozytu i to nie była mistyfikacja.

– Chciała się pani ze mną spotkać. – Głos Brossiego dobiegał do mnie jak przez ścianę. – Czemu zawdzięczam to spotkanie?

– Chciałam z panem porozmawiać.

Odpowiedź była prosta i jednoznaczna, ale on chyba zrozumiał ją inaczej. Niby przypadkiem jego ręka znalazła się przy mojej ręce. Niby niechcący dotknął mojej dłoni. Jego kolano pod stołem przyłgnęło do mojego kolana. „Facet jest zdrowo popierniczony – pomyślałam. – Niektórzy faceci to gnoje. Ten do nich należy. Ma żonę i dwie córki, a leci na jedwabną sukienkę i twarz z okładki «Playboya». Dupek rządzony hormonami i penisem”. Odsunęłam się nieznacznie. Udawał, że tego nie zauważył. Jego kolana powędrowały pod stołem za moimi kolanami. Jego ręka przesunęła się za moją po obrusie.

– Chciałam z panem tylko porozmawiać – powiedziałam kamiennym tonem.

– Nie chcę niczego więcej – dodałam dobitnie. – Potrzebuję adresu domu opieki, w którym przebywa żona Antonia Sergrana.

– Czego pani potrzebuje? – Nie mógł zrozumieć.

– Potrzebuję adresu domu opieki, w którym leży żona Antonia Sergrana – powtórzyłam powoli.

– To coś niedorzecznego. Po co to pani?

Usztywnił się nagle. Spiał się w sobie. Jego kolana odsunęły się od moich. Jego ręce powędrowały na swoje miejsce. Jedną dłoń zacisnął na brzegu stołu. Drugą, jakby przypadkiem, zgniótł serwetkę. Spojrzał na mnie uważnie. Moje pytanie wzbudziło w nim niepokój, którego nie mogłam zrozumieć.

– Chcę tam pojechać – odpowiedziałam obojętnym głosem.

– Chce pani tam pojechać? – Chciał się upewnić, czy mnie dobrze zrozumiał.

– Po co? To jest zupełnie niezrozumiałe. Irracjonalne. Idiotyczne.

– Mówił pan nie tak dawno temu, że Antonio Sergrano często tam jeździł – tłumaczyłam spokojnie. – On nie żyje. Ona nagle została sama. Pewnie

podświadomie czeka na niego. Nic nie rozumie. Zapewne czuje się opuszczona. Musi być jej z tym ciężko...

– Bzdura! – przerwał mi gwałtownie. Mówił głośno. Prawie krzyczał. Raptem mój pomysł, że chcę pojechać do Alessandry, wzbudził w nim niezrozumiałą dla mnie agresję. – Ona od paru lat leży w śpiączce. Nic nie wie. Nic nie czuje. Nic nie rozumie. Jest jej wszystko jedno. Jej mózg już dawno przestał pracować. Już umarł. To żywy trup, wbrew logice utrzymywany przy życiu... Istnieją granice życia i śmierci. Współczesna medycyna niepotrzebnie czasami je zaciera. Ona należy do tych przypadków, przy których medycyna przestała się liczyć z logiką.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Byłem tam – warknął w moją stronę. Pomyślałam, że facet, jak na inspektora policji, kiepsko ukrywa swoje emocje.

– Ja też chcę tam pojechać – powiedziałam spokojnie.

– Bez sensu. Tylko się pani zdołuje. – Zmienił nagle taktykę. Przestał wrzeszczeć. Ton jego głosu znowu był przyjazny, ciepły. Próbował mi ten pomysł wyperswadować. – To koszmarny widok. Tam wszystko jest koszmarnie – mówił spokojnie. – Ośrodek jest położony na totalnym zadupiu. Prowadzą go siostry zakonne, bodajże elżbietanki. Ośrodek ma dwie niezależne części, jedną dla niepełnosprawnych, drugą dla pogrążonych w śpiączce. Leży tam kilkanaście ludzkich trupów z funkcjami życiowymi utrzymywanymi dzięki skomplikowanej aparaturze. Ich mózgi już nie żyją. Ponoć wszystkie uczucia mieszczą się w mózgu, a nie w sercu. Ich już tam nie ma. Tkwią w jakiejś beznadziejności pomiędzy życiem a śmiercią. A wszystko w imię miłości Bożej i znaku krzyża. Koszmar. Nie wiem, czy to jest Boże miłosierdzie, czy ludzki brak wyobraźni i totalna głupota.

– Nie wierzy pan, że ona może się jeszcze kiedyś obudzić?

– Obudzić? Chyba pani żartuje. Nie wierzę w cuda. To, że samodzielnie oddycha, już jest cudem. Trudno wymagać następnych. Pan Bóg nie jest znowu taki hojny – mówił szybko. Z minuty na minutę napędzał się coraz bardziej. – Nie wierzę w to, że ona się kiedykolwiek obudzi. Jestem realistą. Mocno chodzę nogami po ziemi. Inaczej nie mógłbym wykonywać swojego zawodu.

– A jednak zdarzają się przypadki...

– Nie słyszałem. Nie wierzę. To jest niemożliwe. Ludzkie plotki i kaczki dziennikarskie. Pobożne życzenia... Rodziny tych pogrążonych w śpiączce chcą w takie rzeczy wierzyć, to pomaga im przetrwać. Na początku daje złudną nadzieję, która z każdym dniem maleje, przechodzi w rozczarowanie, rozgoryczenie, a na końcu w obojętność.

– Skąd pan może o tym wiedzieć?

– Mogę, miałem matkę w śpiączce – uciął krótko.

– Przepraszam, nie wiedziałam.

– Skąd mogła pani wiedzieć...? Ulżyło mi, kiedy umarła. Moja matka była w ośrodku w Neapolu. Wszystkie te ośrodki wyglądają podobnie. Beznadzieja i czarna rozpacz.

Zapadło milczenie. Pewnie myśleliśmy o tym samym, ale na pewno zupełnie inaczej. Ja wierzę w cuda, on już przestał wierzyć.

– Bardzo chciałabym tam pojechać – odezwałam się po chwili.

– Ale po co? – Spojrzał na mnie rozdrażniony. – Proszę podać chociaż jeden racjonalny powód. Proszę powiedzieć cokolwiek, co by mnie przekonało.

Wlepił we mnie wzrok i nie odrywał go od mojej twarzy. Może myślał, że ja się tego wzroku przestraszę.

– Chcę pomóc – powiedziałam spokojnie.

– Pomóc? – Nie mógł zrozumieć. – Jak pani może tam pomóc? Tam poza Panem Bogiem już nikt nie może niczego zrobić.

Nie spuszczał ze mnie oczu i próbował przeświecić mnie wzrokiem na wylot. Poczułam się nagle jak na przesłuchaniu.

– Nie jestem w stanie pani zrozumieć – mówił. – To jakieś brednie. Jak chce pani pomóc?

– Zaraz panu wytłumaczę. Postanowiłam podarować temu ośrodkowi kilka moich akwareli. Chciałam tam pojechać, porozmawiać, zobaczyć. Stworzyć małą kolekcję na ich potrzeby. Zaplanować aukcję obrazów na rzecz tego ośrodka... Zaraziłam tym pomysłem Marka Skalskiego, tego malarza, z którym wspólnie tworzymy wystawę, która odbędzie się jesienią we Florencji. Będą tam prace nas obojga. Zgodził się. Rozmawiałam już nawet o tym dzisiaj w galerii. Pomysł im się spodobał. Wystawę będzie zamykać aukcja, na której wystawimy dwa najwyżej ocenione obrazy z wystawy. W pewnym sensie obrazy na licytację wybiorą krytycy. To powinno ściągnąć na aukcję więcej ludzi, wzbudzić większe zainteresowanie. Zawsze można to jeszcze podkreślić w prasie, w radiu, w telewizji. Takie rzeczy budzą emocje. Trzeba je tylko umiejętnie przedstawić. Zajmie się tym menedżer galerii. Proszę tylko pomyśleć, obrazy dwojga mało znanych artystów, których dzieła w przyszłości mogą mieć niesamowitą cenę, to dla wielu osób niezły kąsek. Jakaś tam inwestycja, która po paru latach może się zwrócić wielokrotnie. Może się też nie zwrócić, ale to w końcu ryzyko towarzyszące każdej inwestycji. Tak przynajmniej twierdzi ten menedżer – tłumaczyłam mu spokojnie.

Jeszcze wczoraj ten pomysł i mnie wydawał się szalony. Wczoraj przegadałam z Markiem przez telefon o tym projekcie ponad godzinę. Marek, jak to Marek, zgodził się, mrużąc pod nosem, że tylko ja mogę się pakować w tak niezrozumiałe dla innych ludzi przedsięwzięcia. Dzisiaj w galerii spojrzeli na to inaczej. Byli pełni entuzjazmu. Zrozumieli to po swojemu. Dla nich był to wspaniały chwyt marketingowy. Wielka aukcja na rzecz jakichś ludzi leżących w śpiączce. Tego w ich galerii jeszcze nie było. Tego nie było jeszcze w żadnej

galerii we Florencji.

– Jakoś tak pani nagle zamilkła... – usłyszałam głos Roberta.

– Przepraszam. Próbowałam odtworzyć sobie w myślach rozmowę z menedżerem galerii. Chciałam dokładnie przypomnieć sobie jego słowa. On twierdzi, że licytacja może ściągnąć tłumy. Im też zależy na takich akcjach. Podnosi to prestiż galerii... Tym bardziej że chodzi o cele charytatywne. Może uda się zdobyć jakieś konkretne pieniądze, które podarujemy temu ośrodkowi.

– Chce pani podarować pieniądze? – Patrzył na mnie z niedowierzaniem. – Przecież pani nawet nie знаła tych ludzi. Raz zatańczyła pani z Antoniem... Ponoć nawet nie rozmawialiście w tańcu. Co panią to może obchodzić? Po co to pani?

– Chcę im pomóc i mam na to jakiś pomysł.

– Wydaje mi się, że pani sama nie narzeka na nadmiar pieniędzy...

„Co za wkurzający człowiek – pomyślałam. – Wścibski, wszystkowiedzący, pewny siebie i zarozumiały. Parszywa gnida”.

– Źle się panu wydaje – odparłam spokojnie. – Mam tyle, ile potrzebuję. Nie narzekam. Nie mam dużych potrzeb. Nie mam gromadki krzyczących dzieciaków. Pewnie innym byłoby mało, mnie wystarcza.

Przyglądał mi się uważnie. Szczytywał każde słowo z moich ust, jakby dla pełnego zrozumienia musiał równocześnie usłyszeć i zobaczyć.

– Kiedy byliśmy z Wojtkiem u pana na komendzie, mówił pan, że placówka jest prowadzona przez siostry zakonne, a utrzymywana z pieniędzy jakiejś fundacji i wspierana datkami prywatnych sponsorów...

– Tak to wygląda w ogólnym zarysie – przyznał bez entuzjazmu.

– Sergrano przelewał systematycznie pieniądze. Teraz zabraknie tych jego przelewów. Mają zapewne niewiele i raptem będą mieli jeszcze mniej. Chcę im pomóc.

Skapitulował nieoczekiwanie. Przestał nagle dyskutować. Może go już czas gonił, a może wyczuł, że nie ustąpię.

– Kiedy chciałaby pani tam pojechać? – spytał chłodno.

– Choćby jutro.

– Jutro nie mogę. Mam parę ważnych spraw do załatwienia. Mogę pojechać tam z panią w piątek po południu albo w sobotę. W sobotę będzie chyba najlepiej. Przyjadę po panią do Fiano przed południem. To dość daleko stąd. Ten ośrodek dla ludzi pogrążonych w śpiączce nosi imię świętej Elżbiety i znajduje się na przedmieściach Rzymu.

1 O wcześniejszych losach bohaterów można przeczytać w powieści „W labiryncie obłądu” (Jolanta Kosowska, Wydawnictwo Novae Res, 2016).

Pierwszy raz byłam w Rzymie przed wielu laty na wycieczce szkolnej. Pędziliśmy jak szaleni, żeby zobaczyć jak najwięcej zabytków. Obtarły mnie buty, niosłam je w ręku, pomyliły nam się kierunki, obeszliliśmy Watykan wzdłuż murów... Na koniec już tylko ja pobiegłam boso zobaczyć Kaplicę Sykstyńską. Miałam trzynaście lat, ale nie mogłam sobie jakoś darować tego Michała Anioła. Rzym wydawał mi się wtedy ciasny, hałaśliwy, upalny, męczący. Kojarzył mi się z brudnymi murami Koloseum, okopconym samochodowym smogiem Forum Romanum, piramidą postawioną z zazdrości, kolumną Trajana sławiącą coś, co dla innych było porażką, łukami triumfalnymi postawionymi bez sensu na pamiątkę aktów barbarzyństwa, tysiącami bezdomnych kotów... Później byłam tam z Wojtkiem. Nagle Rzym wydał mi się zupełnie innym miastem, romantycznym i zaczarowanym. Takim miastem z pogranicza snu i rzeczywistości, tak nierealnym i wyjątkowym, że aż teatralnym i sztucznym. Pomyślałam, że czas tu biegnie jakby zupełnie niezależnie, setki lat splatają się z sobą, tworząc niepowtarzalną atmosferę Wiecznego Miasta. Dzisiaj Rzym mnie zmęczył. Był zatłoczony i głośny, rozwity sygnałami pędzących karetek i policyjnych samochodów. Tu, kilkanaście kilometrów od Rzymu, było zupełnie inaczej... W Rzymie wszystko było trochę rozmyte, lekko zamglone, jakby wszystkie kolory ktoś pociągnął dodatkowo szarością. Te barwy nie były pastelowe, lecz brudne. Nawet niebo nie było błękitne, tylko niebieskoszare. Powietrzu brakowało przejrzystości. Tutaj przejrzystość była wszechobecna, tu królował świat barw: błękit nieba, biel przydrożnych kamienni, kremowy kolor ścian kamiennych domów, ceglasta czerwień dachówek, zieleń roślin wyrastających wszędzie, jakby wbrew logice. Pojedyncze palmy, przysadziste figowce, gaje oliwne, lasy piniowe, rosnące wzdłuż dróg cyprysy. Brakowało mi tylko wzgórz. Tu było płasko jak okiem sięgnąć. Pomyślałam sobie, że jednak wolę Toskanię. Toskania to moje miejsce na ziemi, kocham te zielone wzgórza po horyzont...

Prowadzony przez elżbietanki ośrodek dla osób niepełnosprawnych, połączony z oddziałem śpiączek, znajduje się kilkanaście kilometrów na południowy zachód od przedmieścia Rzymu. Kompleks nazwano, od patronki tego zgromadzenia zakonnego, imieniem świętej Elżbiety Węgierskiej. Już przy granicach Rzymu pojawiły się drogowskazy z napisem „Dom św. Elżbiety”. Droga kończyła się przy wysokim murze ułożonym z nierównych kamieni. Potężny mur ze skrzypiącą zardzewiałą bramą nie zachęcał do wejścia do środka. Zaklęty krąg izolował chorych, wbrew nazwie zapomnianych przez Boga i ludzi, od tej innej, barwnej rzeczywistości. Nad sklepieniem bramy stała postać świętej Elżbiety z naręczem róż w fartuchu. Nawet ta figura i róże wydawały mi się smętne. Tu wszystko było smutne, szare i beznadziejne... Zardzewiała brama otwierająca się

z przeraźliwym skrzygnięciem, wyboista ścieżka wiodąca do stojącego w oddali kompleksu budynków, stare ławki niemalowane od lat, przesuszone majowym słońcem grządki... Szarość, smutek i bieda. Siostra przełożona przyjęła nas z kamiennym wyrazem twarzy.

– Czego państwo sobie życzą? – Zabrzmiało to lodowato, jakby sam fakt, że jesteśmy z zewnątrz, że przychodzimy zza murów, dyskwalifikował nas już na wstępie.

– Byłem tu niedawno w związku ze śmiercią Antonia Sergrana... – odezwał się Roberto.

– Pamiętam. – Zakonnica obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. – Pan jest z florenckiej policji. Szukał pan żony Antonia Sergrana. W toku śledztwa dowiedział się pan, że ona żyje i że jest u nas na oddziale śpiączek. Weryfikował pan przebieg jakiegoś śledztwa sprzed lat. Mało istotne ziemskie sprawy...

– Czy jest tutaj nadal? – przerwał jej.

– Skoro była, to i jest – odpowiedziała opryskliwie siostra. – Chyba żeby umarła, ale ja wiem o śmierci każdego naszego podopiecznego. My jesteśmy dla nich jak rodzina. Najczęściej nie mają nikogo. Tu nikt w inny sposób nas nie opuszcza. Nikt tu nie jest dla przyjemności. To nie jest żaden chwilowy przystanek – mówiła pozbawionym emocji głosem. – Stąd nikt już nigdy nie wyjdzie. Nikt nie zatrzymał się tutaj tylko na chwilę... Stąd jest już tylko jedna droga...

Nagle jej wzrok zatrzymał się na mnie. Przyglądała mi się z nieukrywanym zainteresowaniem, jakby się zastanawiała, co ja tu robię.

– To miejsce to w pewnym sensie przystanek końcowy, to ostateczność... – dodała po chwili. – To jest ich dom. Niedoskonały, biedny, ale dom. Domu się nie opuszcza. Państwo zapewne życie pełnią życia, nie jesteście w stanie tego zrozumieć. Prawdziwe życie to nie luksusowe samochody, modne ubrania, jachty, wakacje, pieniądze... To czasami cicha akceptacja, towarzyszenie, modlitwa, szara normalność...

– Wiem – weszłam jej w słowo.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Co taka dziewczyna jak pani może wiedzieć o bólu, cierpieniu i śmierci? – spytała lodowatym głosem. – Przyjechała tu pani nasycić oczy ludzkim cierpieniem? Chce pani po wyjściu stąd poczuć się szczęśliwsza, bo wolna od chorób, bólu i udręki?

Z kamiennym wyrazem twarzy nie odrywała ode mnie wzroku. Osądzała mnie, nie mając podstaw. Nie dała mi szansy na obronę. Wydała wyrok bez sądu.

– Znam podobny ośrodek w Polsce – odpowiedziałam spokojnie. – Miałam piętnaście lat, kiedy moja mama umierała w hospicjum. Miała raka trzustki z przerzutami do wątroby i płuc. Nigdy nie miała czasu dla siebie. Kiedy postawiono rozpoznanie, to było już na wszystko za późno. Ostatnie sześć miesięcy

spędziła w hospicjum. Mnie siostra nie musi tego tłumaczyć. Na śmierć, cierpienie i ból napatrzyłam się do syta. Byłyśmy na świecie tylko we trzy: mama, moja siostra i ja. Później zostałyśmy z siostrą same...

Gdy do niej mówiłam, wszystko we mnie odżyło. Coś ścisnęło mnie w środku. Łzy napłynęły mi do oczu. Wewnątrz wciąż jestem miękka jak kiedyś. Obrzydliwie miękka była po prostu.

– Przepraszam... – powiedziała ciepło siostra Bernadetta. – Skąd mogłam wiedzieć? Tak mi przykro. Zachowałam się paskudnie. Niech cię Bóg wspiera. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Nic. – Spróbowałam uspokoić oddech. Nie pozwolić łzom spłynąć po policzkach. – Zupełnie nic. Dla mojej mamy jest już za późno. Ja żyję nadal. Mam się nawet nie najgorzej. Tylko moja droga do Pana Boga odrobinę się wydłużyła i stała się bardziej kręta, czasami biegnie przez zupełnie bezdroża.

Udała, że nie słyszy moich uwag o Bogu. Wolą pominąć je milczeniem. Moja wiara jest chyba za mała, bo jakoś nie potrafię sobie tego wszystkiego wytłumaczyć Bożą miłością.

– Bóg zawsze jest z nami. Wspierał cię. Teraz przyprowadził cię tutaj. Kiedyś to zrozumiesz – mówiła ciepło, próbowała tłumaczyć. – Co cię do nas przywiodło?

Patrzyła już tylko na mnie. Rozmawiała tylko ze mną. Inspektor Brossi nagle przestał się dla niej liczyć.

– Przyjechałam, bo chcę pomóc...

– Pomóc? – spytała z niedowierzaniem. – Pomóc? Komu? Nam?

– Pomyślałam sobie, że po śmierci Antonia Sergrana może siostrą brakować pieniędzy.

– A jak wyobrażasz sobie tę swoją pomoc?

– Przed trzema laty ukończyłam wydział malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych. Mam już za sobą pierwsze wystawy, pierwsze sukcesy. Jesienią organizujemy z kolegą wystawę we Florencji. Chcemy ją zakończyć licytacją dwóch najlepszych zdaniem krytyków, obrazów. Pieniądze z aukcji postanowiliśmy przekazać na rzecz prowadzonego przez siostrę ośrodka.

– To ma być jakiś chwyt reklamowy poprawiający oglądalność twojej wystawy? – Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Nie. Chcę po prostu pomóc i mam na to jeszcze parę innych pomysłów.

Przyglądała mi się uważnie, testowała mnie wzrokiem, zastanawiała się, do czego zmierzam. Nawet nie wiem, kiedy usiadłam naprzeciw niej. Od razu poczułam się swobodnie i lepiej. Nie cierpię rozmawiać na stojąco, czuję się wtedy jak uczennica wyrwana do tablicy.

– Pomyślałam, że mogę stworzyć cykl obrazów związanych tematycznie z okolicą, z Rzymem albo z Toskanią. Może cykl dotyczący całych Włoch. Siostry

zdecydują. Siostry mogłyby organizować aukcję tych obrazów. Byłyby z tego jakieś dodatkowe pieniądze. Przed chwilą wymyśliłam coś jeszcze. Maluję dla proboszcza z Pitigliano ilustracje do modlitewnika. To są takie miniatury. Widziałam przy wejściu na teren ośrodka sklepik. Siostry sprzedają tam miód, nalewki, herbaty, zioła, modlitewniki... Można do tych modlitewników dodać ręcznie malowane zakładki, na przykład z postacią świętej Elżbiety z bukietem róż...

Patrzyła na mnie. Mrugała oczami i nie mogła zrozumieć. Ja sama siebie też do końca nie rozumiałam.

– A co chcesz za to? – spytała.

– Ja nic nie chcę.

– Nic? – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Nie rozumiem. Robić coś i nic w zamian nie chcieć. To takie niespotykane w dzisiejszych czasach.

– Chcę odrobić swój dług z przeszłości – powiedziałam pewnie. – Kiedyś przed laty, kiedy moja mama była chora, to nam też pomagano.

Siostra Bernadetta oprowadziła mnie po domu opieki, zaprowadziła na oddział dla pogrążonych w śpiączce.

– Nie mamy tu pacjentów, którzy potrzebują respiratorów. Do tego potrzeba lekarzy, wykwalifikowanych pielęgniarek, bardzo drogiego sprzętu... Nie stać nas na to. Nasi pacjenci mają uszkodzony mózg, ale nieuszkodzony ośrodek oddechowy. Oddychają samodzielnie. Żywieni są przez sondy dożołądkowe. Oddychają, biją ich serca, pracują nerki i wątroba. Zatrzymał się w swej pracy tylko mózg. Jest wielu ludzi, którzy mówią, że oni już umarli, że powinni być dawcami organów, że na coś przydałyby się te ich bijące jeszcze serca, pracujące wątroby i filtrujące nerki. Mówią, że oni tutaj śpią, zapomniani przez Pana Boga i nikomu do niczego już niepotrzebni.

– A siostra jak myśli?

– Myślę, że żyją – odpowiedziała pospiesznie. – Pan Bóg jeszcze się nad nimi zastanawia. Wystawia na próbę ich najbliższych i ich samych. Żyją na pewno, inaczej ten nasz oddział nie miałby sensu.

– Czy ktoś kiedyś się tu obudził?

– Ponoć przed paru laty jakaś kobieta obudziła się po paru miesiącach. Mnie jeszcze tu nie było. Służyłam gdzie indziej... Siostra Klara opowiada to każdej zrozpaczonej rodzinie...

Widziałam żonę Antonia Sergrana. Wcześniej oglądałam tylko jej zdjęcia ilustrujące krzykliwe artykuły, które pojawiły się w licznych gazetach tuż po śmierci Antonia. Były to fotografie Alessandry Sergrano sprzed wypadku. Kobieta na tych zdjęciach miała długie, jasne, sięgające do pośladków włosy, lazururowe jak

włoskie niebo oczy, spokojną, uśmiechniętą twarz. Ponoć Alessandra należała do kobiet, które swą urodą przykuwają wzrok wielu ludzi. Miała ciepły sposób bycia, wyważony styl ubierania się. Piękna, układna, ciepła, wzbudzała powszechną sympatię. Alessandra i Antonio obejrzeni razem przed laty mnóstwo domów i posiadłości w okolicach Fiano. Szukali czegoś na stałe. Ostatecznie kupili dom z tą moją *Toskańską drogą do nieba*. Gazety pisały, że Alessandra Sergrano zginęła w wypadku samochodowym. Później dowiedziałam się, że żyje, ale od tamtego wypadku jest pogrążona w śpiączce. Zasnęła w niewyjaśnionych okolicznościach za kierownicą, prowadząc samochód z szybkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę na trasie szybkiego ruchu łączącej Sienę z Florencją. Naoczny świadek zeznał, że samochód z dużą szybkością uderzył w barierkę oddzielającą dwa pasy drogi, wpadł w poślizg, przekoziółkował i dachował w rowie około stu metrów dalej. Okoliczności wypadku były nie do końca jasne, ale nikt się już chyba nigdy nie dowie, co się naprawdę wydarzyło. Teraz to była zupełnie inna kobieta. Miała twarz bez wyrazu, nieomknięte oczy, chronione przed wyschnięciem nawilżanymi płatkami waty. Jej skóra wydawała się gruba i woskowo biała w nikłym świetle sączącym się przez na pół opuszczone rolety. W nieomknięte dłonie miała włożone kule waty. Na poduszkę opadały krótko przystrzyżone włosy... Słyszeć było monotony szum pompy zmieniającej ciśnienie w antyodleżynowym materacu. Obok łóżka stała pompa podająca pokarm do żołądka. Zauważyłam jeszcze worek na mocz wiszący przy łóżku, gruby pled narzucony na nogi. Na stoliku leżały kartka, bilans płynów i godziny zmian pozycji ciała, za każdym razem z podpisem osoby dokonującej tych czynności. Panującą w pokoju ciszę przełamывał tylko monotony szum pompy tego przeciwoleżynowego materaca. Nagle pomyślałam, że ta cisza jest gorsza od krzyku. Beznadziejność. Życie zwolniło i stanęło w miejscu, zastanawiając się, czy warto zrobić jeszcze ten jeden krok oddzielający życie od śmierci.

– Antonio bardzo ją kochał – powiedziałam szeptem. Bałam się, że jednak ona może to usłyszeć, że może usłyszeć ten czas przeszły.

– Nawet na pewno. Przynajmniej na początku. Zresztą pewnie i do końca, chociaż miłość ma dziesiątki różnych obliczy – odpowiedziała niepewnie siostra przełożona. – Nie nam sądzić ludzi – dodała chłodno.

– Słyszałam, że ciągle tu przyjeżdżał.

– Na początku siedział tu bez przerwy. Dzień i noc – opowiadała spokojnym głosem. – Nie można było na to patrzeć. Serce się krajało. Wychudł, zmizerniał, nigdzie stąd nie wychodził. W kółko powtarzał, że ona się obudzi i wtedy zobaczy, że nie jest sama, że on jest tuż obok. Na początku spał na materacu rozłożonym na podłodze. Później na łóżku polowym ustawionym tuż przy jej łóżku. Nie przestawał trzymać jej za rękę. Kiedyś wmawiał mi, że bezwiedne skurcze mięśni dłoni to jej uścisk. Cały czas coś jej opowiadał. Usta mu się nie zamykały. Szeptął,

śmiał się, mruzczał jakieś pewnie kiedyś przez nią lubiane piosenki... Twierdził, że ona go słyszy, że te jego słowa zaczną do niej docierać, że coś drgnie w jej mózgu i ona zacznie się budzić. Kiedyś powiedział, że widział, jak Alessandra się uśmiecha. Powiedziałam, że mu wierzę... Bardzo chciałam mu wierzyć. Masował jej nogi i ręce. Twierdził, że ona tak lubi. Stawiał w pokoju eustomy, bo to były jej ulubione kwiaty. W pokoju rozchodził się zapach jej ulubionych perfum. Kiedyś uparł się na jakiegoś psa. Mówił, że to ich ulubione zwierzę, że jeśli poczuje jego jęzor na ręce, to na pewno się obudzi. Zgodziłam się na tego psa, choć nie powinnam. Mogliśmy przez tego zwierzaka stracić licencję. Żal ściszał serce. Mówił, że bez dodatkowych impulsów mózg nigdy nie zacznie pracować. Nie obudziła się ani wtedy, ani później. Żal go było nam wszystkim. Chodziłam się modlić do kaplicy i błagałam Boga o miłosierdzie dla niej i dla niego. Pan wysłuchał i zrobił po swojemu. Niezbadane są wyroki Boże. Nie nam je rozumieć. Nie można było na to już patrzeć. Mijały dni, które układały się w tygodnie, później tygodnie zaczęły się układać w miesiące. Nic nie drgnęło, tylko z nim było coraz gorzej i gorzej. Wyglądał, jakby mu dziesięć lat przybyło, posiwiiał na skroniach, nic nie jadł. To ja mu powiedziałam, że powinien na krótko wyjechać, odrobinę odpocząć. Powtarzałam mu to przez dłuższy czas. W końcu się zgodził. – Zamilkła, a ja nie mogłam się doczekać tego, co jeszcze powie.

– I co było dalej?

– Nic. Na tym wszystko się skończyło.

– Jak to: nic? – Nie mogłam zrozumieć.

– Wyjechał i już nigdy nie wrócił.

– Jak to: nie wrócił? – Wpadłam w bezdech. – To niemożliwe. Siostra chyba się myli. Słyszałam coś zupełnie innego.

– Jestem tutaj cały czas. Nie mam innego mieszkania. Wiem, kto przebywa w naszym domu. On już nigdy później jej nie odwiedził – powtórzyła. – Wiem, co mówię.

– To niemożliwe.

– Możliwe.

– Nieprawdopodobne...

– Prawdopodobne, bo stało się naprawdę.

– Przecież to nielogiczne.

– Ja też tego nie rozumiem. Niezbadane są wyroki Pana, nam nie wszystko udaje się zrozumieć. Na początku martwiłyśmy się, że coś mu się stało. Siostra Matylda miała przecucie, że on sobie na pewno coś zrobił. Powtarzała to tyle razy, że uwierzyłyśmy w to wszystkie. Dzień i noc modliłyśmy się w kaplicy za jego obolałą i chorą duszę, która pewnie błąka się gdzieś po czyścicu. Przytłaczało mnie poczucie winy. Czulałam się po prostu winna – powtórzyła. – Zamiast wezwać do niego lekarza kazałam mu na trochę wyjechać. Zostawiłam go samego w jego bólu.

Chciałam mu pomóc, a wyszło paskudnie. Chyba to rozumiesz? – Spojrzała na mnie przelotnie. – W końcu to ja go namawiałam, żeby stąd wyjechał. Powiedziałam o tym księdzu Tadeuszowi, kiedy był u nas na rekolekcjach. Po paru dniach do mnie zadzwonił. Mówił, że bardzo się zmartwił, i spróbował pomóc. Rzucił się w wir poszukiwań w Internecie i znalazł tam informację o Antoniu Sergranie. Sprawdził dokładnie tę informację. Po paru dniach przyjechał do nas z wieściami, że Antonio Sergrano żyje i wygląda na to, że ma się dobrze. Opowiedział nam, że Sergrano zamieszkał w dużej posiadłości w okolicach Fiano. Miał dom, przyległe do domu winnice, gaj oliwny... Ucieszyłyśmy się, ale coś nie pasowało, coś nie dawało nam spokoju. Odczekałam parę miesięcy i napisałam do niego. Po paru tygodniach odpisał – mówiła coraz wolniej, zacinając się co chwilę. Na koniec zamilkła.

– Co napisał? – ponagliłam ją.

– Nic – odpowiedziała z ociąganiem. – W każdym razie nic, co mogłabym zrozumieć.

Siostra Bernadetta nie spieszyła się do dalszej rozmowy. Pompa podająca jedzenie właśnie skończyła podawać pokarm. Na krótką chwilę rozjarzyła się na czerwono jakaś lampka. Panującą w pomieszczeniu ciszę zmaćcił donośny dźwięk dzwonka, informujący, że urządzenie przestało pracować. Zakonnica wyłączyła pompę. Ułożyła Alessandrę na boku. Podłożyła pod jej nogę kołdrę. Za plecami ułożyła wałek z poduszki. Przykryła kobietę pledem. Namoczyła usta chorej wacikiem zanurzonym w herbacie rumiankowej, wypędzowała jej jamę ustną, po czym posmarowała wargi Alessandry grubą warstwą białej maści. Na leżącej na stole kartce zaznaczyła godzinę wykonania tych czynności. Spojrzała na krzyż z Jezusem wiszący nad drzwiami na ścianie, przyklękła, przeżegnała się szerokim znakiem krzyża. Nagle wróciła do mnie myśl sprzed lat. Z czasu, kiedy siedziałam przy mojej umierającej mamie. Na świecie jest mnóstwo dróg krzyżowych i mnóstwo Jezusów na krzyżu.

– Pytałam siostrę: co było dalej? – Próbowałam uciec tym pytaniem od bolesnych wspomnień.

– A co ci odpowiedziałam? – Spojrzała na mnie uważniej.

– Odpowiedziała mi siostra, że później wydarzyło się coś, czego siostra nie rozumie.

– No właśnie. Tak było i tak to zostawmy. Już ci mówiłam, że nie nam sądzić innych. Nikt z nas nie wie, jak zachowałby się w takiej sytuacji.

– Nic mi siostra więcej nie powie?

– Nie ma po co. Przeszło, minęło. Dawne czasy... My tu mamy wielu śpiących pacjentów, nie tylko Alessandrę Sergrano...

– Mieszkam od roku w Fiano – weszłam jej w słowo. – Przyjechałam przed rokiem na plener do Toskanii. Spodobało mi się i tak już zostało.

- Mieszkasz tam, gdzie jest posiadłość Sergrana?
- Posiadłość jest tuż pod Fiano. Ja mieszkam w Fiano.
- Rozumiem.
- O Sergranie mówiło się tam dużo.
- A mówiło się dobrze?

Siostra od dłuższej chwili szykowała się do wyjścia z pokoju Alessandry. Teraz się zatrzymała. Odwróciła wzrok w moją stronę. Nagle przestała się spieszyć. Czekwała na to, co odpowiem. Ta moja odpowiedź była dla niej bardzo ważna.

– Nie wiem – odpowiedziałam niepewnie.
 – Jak to: nie wiesz? – spytała zdziwiona. – Przecież mówisz, że tam mieszkasz.

– O Antoniu mówiło się dziwnie.
 – Dziwnie? – Nie mogła zrozumieć.
 – Może to nie jest najlepsze słowo, ale inne nie przychodzi mi na myśl. Jego osoba budziła dziwne emocje.

– Dziwne emocje... – powtórzyła za mną jak echo.
 – Antonio budził... niepokój. – Próbowałam znaleźć właściwe słowo.
 – Niepokój? – powtórzyła zdziwiona.
 – Izolował się od wszystkich. Nie widywano go w kościele. Nie bywał w kawiarniach ani w tawernach. Nie utrzymywał z nikim bliższego kontaktu. To drażniło miejscowych, pobudzało ich wyobraźnię. Skupował ziemię od okolicznych gospodarzy. Z każdym rokiem powiększał swoje winnice. Jego chianti podbiło całą Toskanię. Z roku na rok było coraz lepsze, coraz bardziej poszukiwane. Produkował też limoncello. Miał parę sklepów. W Certaldo, San Gimignano i we Florencji... Zatrudniał w swych winnicach wielu ludzi, ale i oni widywali go rzadko. Nikt o nim nic nie wiedział.

Teraz to ona zaczęła mi się przyglądać z zainteresowaniem. Czekwała na każde moje dalsze słowo.

– Myślę, że się go bano – dodałam po chwili.
 – Bano? – spytała zdziwiona. – Jak to rozumiesz?
 – Zupełnie zwyczajnie.
 – Zwyczajnie, czyli jak?
 – W jego otoczeniu działo się mnóstwo dziwnych wydarzeń. Każde z nich związane było ze śmiercią. Wszystko zaczęło się przed dwoma laty, kiedy przyjechała do niego w odwiedziny młodsza siostra. Parę lat nie była we Włoszech. Studiowała dziennikarstwo w Stanach. Za swoje artykuły została nawet wyróżniona jakąś prestiżową nagrodą, pomimo to nie chciała tam zostać. Po ukończeniu studiów postanowiła wrócić do Europy. Ponoć nie wyobrażała sobie życia w Ameryce. Zatęskniła za Europą, za ojczyzną, za europejską kulturą, za

europijską mentalnością, za Włochami i Toskanią. Na początek zatrzymała się u brata. Uśmiechnięta i radosna rozpowiadała wszystkim, że chce zostać w Toskaniu na dłużej. Mówiła, że Toskania to jej miejsce na ziemi. Zginęła dwa tygodnie później, spadając z konia w trakcie pokazów skoków we Florencji. Nie byłoby w tym może nic zastanawiającego, gdyby nie to, że poniósł ją koń, który nigdy nie ponosił. Upadek widziało mnóstwo osób. Umarła w drodze do szpitala w wyniku złamania podstawy czaszki i dużego wewnętrznego krwotoku.

– Straszne. Biedny Antonio. Musiał to straszne przeżyć – szepnęła siostra Bernadetta.

– To był początek nieszczęść, a nie koniec – przerwałam jej. – Później nieszczęście dotknęło brata Sergrana. Ponoć od paru lat nie utrzymywał kontaktu z rodziną, nie był nawet na pogrzebie siostry. Mieszkał w Paryżu. Zajmował się sprzedażą nieruchomości. Raptem zupełnie niespodziewanie postanowił przyjechać do brata.

– Niech zgadnę. On też nie żyje? – weszła mi w słowo siostra przełożona.

– Nie żyje – potwierdziłam. – Zginął w drodze z lotniska do domu Sergrana, uderzając w stado saren przebiegających przez drogę. To było jesienią. Gęsta mgła i ciemność sprawiły, że zobaczył sarny dopiero tuż przed maską samochodu. Zahamował zbyt mocno. Droga usłana była wielobarwnym dywanem z liści. Tego dnia padał deszcz. Wszystko było mokre. Wpadł w poślizg, koziółkował, zatrzymał się na przydrożnym drzewie. Policję zawiadomił Sergrano. On też wezwał pogotowie. Nie mógł się doczekać brata. Wyruszył mu naprzeciw i zobaczył samochód owinięty wokół drzewa. Ludzie zaczęli wtedy mówić, że to musi być jakaś klątwa, która ściga członków rodziny Antonia.

– Na tym był koniec? – zapytała podekscytowana Bernadetta.

– Niestety nie. Klątwa ścigała nie tylko członków rodziny Antonia. Latem ubiegłego roku sam Sergrano ledwie uszedł z życiem z pożaru swej posiadłości. Nie udało się jednoznacznie ustalić przyczyny pożaru. Ogień pojawił się w nocy. Rozprzestrzenił się bardzo szybko i ostatecznie strawił całe wnętrze domu. W wyniku pożaru zablokowały się rolety antywłamaniowe założone na oknach niższych kondygnacji domu. Sergrano uratował się, skacząc z okien pierwszego piętra. Ponoć ogień wybuchł z powodu iskrzenia instalacji elektrycznej. Wytlumaczenie wydawało się bardzo naciągane, ale sam Antonio nalegał na zakończenie śledztwa. Twierdził, że to dochodzenie nikomu nie jest potrzebne. Powiedział, że nie będzie się starał o żadne pieniądze z ubezpieczenia, że ich nie potrzebuje.

– Dziwne – mruknęła pod nosem siostra Bernadetta.

– Też tak myślę. Sądzę zresztą, że w Fiano wszyscy tak myślą. Ludzie mieszkający w okolicy coraz częściej opowiadali o klątwie wiszącej nad rodem Sergrano i jakimś strasznym przekleństwie wiszącym nad nim samym. Po tym

pożarze zaczęto od niego stronić jeszcze bardziej, ale jego wino kupowano jeszcze chętniej. W ubiegłym roku sprzedał najwięcej chianti w całej Toskanii.

– Dziwne jest to wszystko – mruknęła Bernadetta.

– Wszyscy myślą, że to jest dziwne. Nie jest siostra w swych poglądach odosobniona.

– Na tym skończyło się to pasmo nieszczęść?

– No, nie całkiem – powiedziałam z wahaniem w głosie. – W pewnym sensie rzekoma klątwa zaczęła zataczać szerszy krąg. Dotknęła kogoś, kto nie należał do rodziny, kto był tylko znajomym.

– Mówisz, że dotknęła kogoś, kto był tylko znajomym?

– No właśnie. Przed paroma miesiącami zaginął Marco Rossoni...

– Marco Rossoni? – dopytywała siostra przełożona. – Gdzieś obito mi się o uszy to nazwisko. Nie mogę sobie tylko przypomnieć. To nazwisko na pewno nie kojarzy mi się z Toskanią. Ja nie byłam już dawno w Toskanii, a to nazwisko słyszałam parę miesięcy temu. Już wiem, przypominałam sobie – wyraźnie się ucieszyła. – Kiedyś byłam w restauracji, która należała do sieci restauracji Marca Rossoniego. Ty było w Rzymie.

– Tak. To ten sam. Marco Rossoni był restauratorem z Rzymu i dobrym znajomym Sergrana jeszcze z lat szkolnych. Widywano ich często razem. Rossoni w ostatnim czasie dość często odwiedzał Fiano. Przyjeżdżał ponoć w interesach. Bywał krótko. Wyjeżdżał zadowolony. Wszystkim wokoło opowiadał, że będzie częściej zaglądał do Fiano, że to taka piękna okolica. W listopadzie ubiegłego roku był gościem Sergrana. Wyszedł na spacer z posiadłości Antonia i już nie wrócił. Przepadł jak kamień w wodę. Zaniepokojony Antonio zawiadomił policję. Bezowocne poszukiwania trwały parę dni. W listopadzie go nie odnaleziono, za to jego zwłoki, leżące w przydrożnym rowie, znaleziono wczesną wiosną. Ponoć był to nieszczęśliwy wypadek, przechodząc przez kładkę, potknął się, a wpadając do rowu, uderzył głową o kamień...

– Dziwne – powtórzyła kolejny raz siostra Bernadetta. Zamyśliła się. Na jej czole pojawiło się parę zmarszczek.

– Pan Bóg coś mocno doświadczał Antonia Sergrana – powiedziałam pod nosem.

– Nie mieszajmy w to Pana Boga – mruknęła. – Myślę, że dobry Bóg nie ma z tym nic wspólnego...

– Mówiła siostra, że napisała siostra do niego...

– Napisałam i żałuję – odpowiedziała smutno. – To było zupełnie niepotrzebne. Potwierdziło tylko, że zupełnie się nie znam na ludziach, a wiek nie dodaje mi mądrości, tylko wręcz głupoty.

– Nie odpisał?

– Mówiłam ci już, że odpisał. Odpisał mi, że jego żona umarła i on nie

rozumie, dlaczego do niego piszę, że chcę mu tylko przysporzyć bólu, którego i tak ma dosyć, wywołać demony przeszłości, o których on chce zapomnieć. Prosił, żebym uszanowała jego ból i nie pisała do niego już więcej.

– To wszystko? – chciałam się upewnić.

– To wszystko. Nigdy już tu więcej nie przyjechał. Nigdy też nie przelał żadnych pieniędzy na utrzymanie żony. Mówiłaś, że był bogaty. Niezbadane są wyroki Boże, nieznane ścieżki, którymi biegnie nasze życie. Niech Bóg mu wybaczy. Nie nam go oceniać – dokończyła i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia.

„Coś tu nie gra – pomyślałam. – Ktoś tu kłamie”. Gazety pisały, że Antonio Sergrano pomimo wypadku żony nie zmienił wcześniejszych planów. Po paru miesiącach wrócił w okolice Fiano i zamieszkał w zakupionej wcześniej posiadłości z dużą winnicą i gajem oliwnym. Zajął się produkcją wina i limoncello. Mimo że w okolicy jest dużo winnic, produkowane przez niego chianti stawało się z roku na rok coraz bardziej poszukiwane. Z roku na rok rosły też ceny trunku pochodzącego z winnic Sergrana. Ponoć miał dom jeszcze gdzieś indziej, bo często wyjeżdżał. Przed dwoma tygodniami inspektor Brossi powiedział, że Alessandra nie zginęła w wypadku, a tylko doznała urazu mózgu. Od paru lat przebywa na oddziale leczenia śpiączki. Mówił, że zapewne już nigdy się nie obudzi, ale Sergrano uważał inaczej. Wszystko, co robił, robił z myślą o niej. Dla niej zamieszkał w tym wspólnie wybranym domu, dla niej dokupował nowe winnice... Z myślą o niej pomnażał majątek. Jeździł do niej bardzo często. Ostatnio przymierzał się do remontu domu. Chciał stworzyć dla niej w posiadłości pod Fiano warunki do życia.

Coś tu nie gra. Chciałam powiedzieć o tym zakonnicy, kiedy przypomniał mi się SMS Enrica. „Nie ufaj nikomu!” „Nie ufaj nikomu” – powtórzyłam w myślach. Nikomu to nikomu, więc siostrze Bernadecie również.

– Tak jak ci już powiedziałam, nie nam to oceniać – mówiła siostra Bernadetta, idąc szerokim korytarzem upstrzonym prostokątami drzwi prowadzących do pokoi kolejnych pogrążonych w śpiączce pacjentów. – Tu mało kto z rodzin przyjeżdża. Dzisiaj też nie ma nikogo. Ostatni raz widziałam tu kogoś z zewnątrz przed ponad miesiącem. Ci tu śpią, a życie ich najbliższych toczy się dalej. Może i tak jest dobrze. Trudno, żeby nagle zatrzymało się życie wielu ludzi. Czasami mam wrażenie, że rodziny czekają na ich śmierć. Oni dla nich już dawno umarli, tylko że jeszcze nie mają grobów i ich bliscy nie mają gdzie palić zniczy na Wszystkich Świętych...

Smutne to wszystko. Ja bym wolała, żeby moja mama spała. Miałabym wtedy jeszcze jakąś nadzieję, że ją odzyskam. Mogłabym siedzieć przy niej, trzymać ją za rękę, przytulać się do niej i szeptać. Życ złudzeniem, że mnie słyszy, że kocha mnie nadal, tak jak ja ją kocham.

Minęły nas jakieś siostry idące z przeciwka. Ich kroki odbijały się echem od

pustych korytarzy. Wracały zwielokrotnione. Tak jakby to nie dwie siostry zakonne, lecz oddział wojska maszerował przez ten pusty korytarz. „Zimno tu jest i nieprzytulnie” – pomyślałam.

– Rozmawiała siostra z inspektorem Brossim o Sergranie?

– Oczywiście. W końcu nie tak dawno po to tu przyjechał. Powiedział mi, że to był prawy człowiek, którego ktoś tam zamordował, że było prowadzone w tej sprawie śledztwo... Wspomniał coś, że niedługo zostanie otworzony testament Antonia Sergrana i że nikt nie zna treści tego testamentu.

– Mówiła siostra inspektorowi Brossiemu o tym, że Sergrano tu wcale nie bywał?

– Po co? – Spojrzała na mnie zdziwiona. – On wcale mnie o to nie pytał. On o nic nie pytał. Chciał ją tylko zobaczyć. Chciał sprawdzić, czy ona jeszcze żyje. Ponoć to jest bardzo ważne dla przeprowadzenia formalności związanych z otwarciem testamentu tragicznie zmarłego Antonia Sergrana. Nie miałam podstaw, żeby mu nie wierzyć. W końcu inspektor jest policjantem. Policja kojarzy się z prawem. Zupełnie się nie znam na testamentach. Zobaczył, że ona żyje, i wyszedł. Nic go więcej nie obchodziło. Dzisiaj też został w parku na ławce. Nie chce sobie zepsuć popołudnia. Po co ma napawać oczy widokiem ludzkiego nieszczęścia?

Kiedy wchodziłam do domu, usłyszałam dźwięki nadchodzących SMS-ów. Pierwszy był jak zawsze pusty. W drugim był ciąg liczb poprzedzielany myślnikami. Nie odczytałam go od razu. Nie miałam na to siły. Ten dzień mnie prawie zabił. Położyłam się na łóżku, przymknęłam oczy i stoczyłam z sobą całą wojnę. „Mam to gdzieś – pomyślałam. – To ich sprawy, nie moje. Ja nie jestem stąd. Nic mnie to nie powinno obchodzić. Nie mam siły naprawiać świata. Po co to robić, skoro taki, jaki jest, innym nie przeszkadza?” Naprawianie tego ich świata jest dla mnie ostatnio bardzo męczące, absorbuje wszystkie moje myśli, spędza sen z powiek, zabiera całe dni. Na koniec wybucha płomieniem, zostawiając we mnie tylko požogę i zgliszczą. Znowu obraz po bitwie. Znowu ruiny, pustka i ból, samotność i beznadzieja. Dzisiaj odżyło we mnie tyle bolesnych wspomnień. Tyle lat odsuwałam je od siebie, a nagle wszystko wróciło. Wróciło tamte sześć miesięcy przesiedzianych w hospicjum przy mojej mamie i pustka, która nastąpiła później, ta tęsknota za nią, która potęgowała się z dnia na dzień. Najpierw wydawało mi się, że ona jeszcze wróci. Uczyłam się w liceum plastycznym daleko od domu. Mieszkałam w internacie. Przyjeżdżałam do domu tylko na weekendy. Bywało, że plener gonił plener i widziałyśmy się raz w miesiącu. Przywykłam do tego, że widzimy się rzadko. Minął miesiąc, a ona nie wracała. Minął drugi i kolejne. Minął rok i minęły później następne. Coraz bardziej mi jej brakowało.

Wszystko mi się z nią kojarzyło – pierwsze kwiaty wiosną, topniejące łąty śniegu, kwitnące magnolie, spacerzy wzdłuż plaży, szalone zjazdy na nartach, drzewa rzucające długie cienie w promieniach powoli zachodzącego słońca... Pamiętam, jak mi mówiono, że z czasem wszystko się oddali, że przestanie boleć, że prawie zapomnę. Bzdury! Jak mogłabym zapomnieć? Kiedy mama odeszła, miałam piętnaście lat. Zamieszkałyśmy z siostrą u ciotki, siostry mojej mamy. Nigdy jej nie lubiłam. Stara panna skoncentrowana na sobie i swoich wydumanych problemach, którą przerosła opieka nad dziećmi siostry. Sfrustrowana, stale niezadowolona, nieakceptująca samej siebie i nie lubiąca innych ludzi. Zaprzeczenie mojej mamy, mimo że była córką tych samych rodziców. I jak tu wierzyć w genetykę i geny? Zdałam maturę i uciekłam na studia do Krakowa. Moja siostra też wyjechała na studia. Nigdy już nie wróciłam. Poszłam na Akademię Sztuk Pięknych tylko dla mamy, choć po jej śmierci przez wiele miesięcy nie byłam w stanie nic namalować. Jedynym moim dziełem była kartka papieru zamalowana na czarno. Codziennie nakładałam na nią nową warstwę farby. Nie byłam w stanie stworzyć nic innego. Poza tym czarnym kolorem nie było we mnie nic. Tylko żal, smutek i pustka. Ona wierzyła we mnie. Wierzyła, że mam ten dar, który nazywają talentem. Później uwierzyli we mnie na akademii. Najbardziej chyba profesor Wara, a to za sprawą alegorii życia i śmierci. Profesor był dziekanem na naszym wydziale, prowadził zajęcia z malarstwa. Nikt nic nie miał do Wary. Był w porządku. Nikogo nie niszczył i nikogo nie wyróżniał. Był wymagający, ale w granicach rozsądku. Nie narzucał nikomu swojego zdania. Pozwalał na spontaniczność. Można go było przekonać do różnych koncepcji. Nie zabijał w nas inności, pobudzał do myślenia. Pamiętam, jak kiedyś na arkuszu papieru namalowałam punkt. Czarną małą plamkę na olbrzymiej białej powierzchni. Stał wtedy za moimi plecami, przyglądał się długo i w końcu powiedział, że na swój sposób jest to genialne. Ten punkt to kropka, a kropka kończy zdanie, coś zamyka. Praca miała być alegorią śmierci i przemijania. Dokładnie to miałam na myśli, ale zdziwiło mnie, że on czuje i myśli tak samo. Kropka i nic. Kropka i koniec. Skończyło się coś raz na zawsze. Nie ma znaczenia, co było wcześniej. Nie będzie już niczego później. Powiedział wtedy, że nie sztuką jest malować bajeczne pejzaże, że sztuką jest swą twórczością coś przekazać – myśl, uczucie, przekleństwo, przesłanie... A ja wtedy postawiłam tę kropkę, myśląc o mojej mamie. Dzisiaj to wszystko wróciło. Biała kartka papieru z czarną kropką. Tym razem ten czarny punkt dotyczył kogoś innego. W którym miejscu tej kartki papieru jest teraz Alessandra? Jak wyglądałaby alegoria jej życia? Od płomiennej czerwieni do bladego, chłodnego błękitu pociągniętego dodatkowo szarością. Od wielkich płomiennych uczuć po samotność i sen o wolności, o spokoju dla umęczonego ciała i zatrzymanej w biegu duszy. Zaczęłam malować. Łzy cisnęły mi się do oczu, spływały po policzkach. Raz po raz wycierałam ręką twarz, rozmazując na niej smugi farby. „Ależ jestem okropnie

miękką bułą – powtarzałam w myślach. – Makabra. Już dawno się tak nad sobą nie użalałam”. Prawą stronę dużego płótna zamalowałam na kolor intensywnie czerwony. Na czerwonej powierzchni pojawiły się gdzieś tam pomarańczowe i złote promienie. Ciepło, miłość, radość, nadzieja, ogień i temperament, młodość i witalność... Po lewej stronie pojawił się kolor niebieski pociągnięty szarością. Chłód, zimno, nijakość, monotonia, beznadziejność, sen... O SMS-ie przypominałam sobie dopiero wieczorem, leżąc w łóżku. Powoli ogarniała mnie senność, rzeczywistość mieszała się ze snem i nagle w ten ogarniający mnie spokój wdarło się wspomnienie dźwięku nadchodzącego SMS-a. Długo nie mogłam zasnąć. Zimny blask księżyca sączył się przez nie do końca opuszczone rolety. W jego świetle wszystko wyglądało bardzo niezwykle – moje sztalugi, stara mosiężna lampa z witrażowym abażurem, którą bardzo lubię, dwa duże fotele, moje obrazy na ścianach. Okrągły księżyc odbijał się w drzwiach szafy. Dziwne było to odbicie – jakby nie jednego księżyca, lecz kilkunastu srebrzystych planet odbijających się z osobna w każdym polu składającym się na kryształową powierzchnię. Przesunęłam się lekko i wtedy w kryształowych drzwiach szafy ożyły dziesiątki księżycowych blasków. Zimne srebrzyste światło kładło wszędzie tajemnicze cienie. W końcu na chwilę zmorzył mnie sen, chociaż pewnie lepiej było nie zasypiać. W kółko i bez końca śniłam o siostrze Bernadecie, Alessandrze, Jezusie na krzyżu, drodze do Rzymu i dźwięku nadchodzącego SMS-a. Obudziłam się z myślą o tym SMS-ie. „Nie idę na żaden cmentarz – pomyślałam. – Nie umawiam się z żadnymi facetami, nie zaprzyjaźniam się z zakonnicami, nie rozmawiam o Sergranie...” Tak w ogóle jestem na „nie”. Koszmarnie zmęczył mnie ten dzień. Powaliły mnie emocje. Leżałam w ciemności. Przewracałam się z boku na bok. Ciekawość wygrała ze zmęczeniem i sennością. Usiadłam, zapaliłam lampkę, wzięłam do ręki list od Enrica i odszyfrowałam SMS-a:

„Piłka w grze. Nie ufaj nikomu poza mną. Jesteś cudowna. Czy mówiłem Ci już kiedyś, że Cię Kocham?”.

Położyłam się na łóżku tylko po to, żeby uciszyć galopujące myśli. Zawsze kiedy leżę, to się uspokajam. Może do mojego mózgu dopływa wtedy więcej krwi, a wraz z nią więcej tlenu? Raptem moje obciążone nadmierną pracą komórki mózgowe przestają się dusić, myśli zaczynają płynąć wolnej, spokojniej i sensowniej. Tym razem tak nie było, w każdym razie myśli nie płynęły wolniej i nie dały się uporządkować. Wydawało mi się, że tabunami galopują po mojej głowie. Miałam wrażenie, że pod sklepieniem czaszki czuję żar od impulsów przekazywanych pomiędzy synapsami. Na połączeniach pomiędzy neuronami musiało iskrzyć. „Czy mówiłem Ci już kiedyś, że Cię Kocham?” – wracało bez końca. „Bzdura – pomyślałam – to tylko gra”. Jestem mu po prostu potrzebna. Nie

mam tylko pojęcia do czego. Próbowałam odsunąć od siebie myśl o tym SMS-ie, ale ona wracała jak bumerang. Jak on to napisał? „Piłka w grze. Nie ufaj nikomu poza mną. Jesteś cudowna. Czy mówiłem Ci już kiedyś, że Cię kocham?” Nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok. Myślałam o mnie i o Enricu i nic mądrego nie wyszło mi z tego myślenia. Zaczęło się od tamtej kolacji. Szalonej, niepowtarzalnej, wyjętej z codzienności. Nagle stałam się kimś zupełnie innym, raptem odkryłam inną siebie. Dałam się uwieść, a może ja go uwiodłam. Nie wiem. Żadnych uczuć, tylko czyste pożądanie. Nikt nie zna samego siebie, co dopiero mówić o innych ludziach. Zawsze wydawało mi się, że jeżeli chodzi o seks, jestem odrobinę staroświecka, że ciąży na mnie drobnomieszczańskie wychowanie przez moją ciotkę. Seks bez ślubu był czymś paskudnym i zdrożnym, a co dopiero seks bez uczuć. Nagle zaskoczyłam samą siebie. Pragnęłam się z nim kochać, pożądałam go do granic bólu. Spędziłam z nim szaloną noc, nie kochając go zupełnie. Później przyszło zdziwienie, że nie musimy się tylko kochać, że możemy spędzać razem popołudnia, że godziny spędzone razem bez seksu i erotyzmu też mogą być przyjemne. Zapach świeżo parzonej kawy, cicha muzyka, piosenka o miłości, która oplata jak pajęczyna i trwa wiecznie, migotliwy blask świec odbity w jego oczach, chybotliwe cienie wędrujące po ścianie, Filippo i Amelia, dekorowanie kawy, ich cicha kawiarnia... Czas, który nagle przestał pędzić. Emocje, które z krzykliwego forte przeszły w przyjemne, przynoszące wytchnienie piano i pianissimo. Zdziwienie, że po tamtej nocy nie wszystko musi być erotyczne, podniecające i nadzwyczajne, że liczy się nie tylko czas, kiedy serce uderza jak oszalałe, mięśnie drżą ze zmęczenia, ciało przebiegają kolejne fale rozkoszy, kiedy jego szepty zlewają się w jedno z moimi, kiedy jego usta gaszą moje krzyki... Zaskoczenie, że samo bycie z sobą też może być przyjemne. Nasz pierwszy taniec i wrażenie, że tańczymy z sobą od wieków. Zdziwienie, że nasze ciała się rozumieją. Podobnie jak w nocy, tak i w tańcu nasze ciała stanowiły jedność. Jakby znały się od zawsze. Czułam jego oddech, napięte mięśnie, ślizgające się po moim ciele dłonie. Moje nogi były przy jego nogach, moja głowa przy jego ramieniu, moje włosy muskały jego twarz, moje ciało próbowało stworzyć jedność z jego ciałem. Pamiętam dziwny wzrok, jakim patrzył na mnie, kiedy tańczyłam z Sergranem. Cóż to mogło być? Zdziwienie, zaskoczenie, ciekawość, a może zazdrość? Pamiętam narastający z dnia na dzień jego niepokój o mnie. Telefony, SMS-y, pytania... Zaskakiwał mnie, drażnił, podniecał, zaburzał moje dni, spędzał sen z powiek. Przebojem wdarł się w moje życie. Stał się nierozzerwalną częścią moich dni i nocy. Zawładnął też nagle moją podświadomością. Pamiętam tamten koszmarny sen, z którego obudziłam się z krzykiem przerażenia, bo z otwartej trumny niesionej na ramionach postaci z twarzami z *Krzyku* Edwarda Muncha wysypały się poobcinane głowy, a jedna z nich, która tocząc się, zatrzymała się na mojej nodze, była głową Enrica. Obudził

mnie mój własny krzyk i szloch. Siedziałam na łóżku i z przerażenia brakowało mi powietrza. Próbowałam się uspokoić. Serce czułam w gardle. Pierwszą myślą było, żeby zadzwonić do Enrica, sprawdzić, czy mu się nic nie stało, czy wszystko jest w porządku. Zadzwoniłam.

– Karo? Czy coś się stało? Jest trzecia w nocy... – usłyszałam zaniepokojony głos w słuchawce.

– Trzecia? – Próbowałam uspokoić oddech. – Przepraszam, nie wiedziałam. Właśnie skończyłam malować i nie spojrzałam na zegarek – kłamałam jak z nut. – Myślałam, że jest koło dziesiątej... Przepraszam, to ja ci już nie przeszkadzam.

– Nie przeszkadzasz... Czy coś się stało?

– Nic. Chciałam tylko ci coś powiedzieć.

– Słucham.

– Nic ważnego, powiem ci jutro.

– Skoro jeszcze nie śpisz, to do ciebie przyjadę. Właśnie zacząłem za tobą bardzo tęsknić. Powiesz mi do ucha...

Przyjechał. Kochaliśmy się jak szaleni do rana. Oddalił się koszmarny sen.

Jak to właściwie było między nami? Czyste zauroczenie, pożądanie, seks, erotyzm czy miłość? I nagle dzisiaj przyszedł ten SMS: „Czy mówiłem Ci kiedyś, że Cię kocham?”. Dziwne jest to wszystko. Zasnęłam nad ranem z przeświadczeniem, że lepiej w ogóle się nad tym nie zastanawiać. Całą noc śnił mi się Enrico. Enrico robiący zdjęcia, grający na gitarze, śpiewający, tańczący, kochający się ze mną... Obudziły mnie promienie słońca wdzierające się do pokoju przez nieprzysłonięte okna. Rozbudzone ciepłem muchy brzęczały uporczywie, a duchota w sypialni świadczyła o tym, że wskazówki zegara zbliżają się zapewne do dwunastej. Okna sypialni wychodzą na południowy zachód, co powoduje, że po południu trudno w tym pokoju wytrzymać. Nawet teraz, w końcu maja, jest tu wieczorami duszno i gorąco, pomimo że temperatura na zewnątrz rzadko przekracza dwadzieścia stopni. Spojrzałam na to wczoraj namalowane *Życie Alessandry*. Przyszło mi na myśl, że czegoś istotnego brakuje. Nie powinnam była wczoraj malować. Wczoraj obraz śpiącej Alessandry przeplatał mi się ze wspomnieniami mojej umierającej mamy. Przed oczami miałam obie. A przecież ich losy się różnią. Namalowany poprzedniego wieczora obraz przedstawiał zarys postaci na tle płomiennej czerwieni przechodzącej powoli w blade błękit pociągnięty szarością. Pełnia życia i sen, pełnia uczuć i śpiączka, w której nagle wszystko zamiera i nic się już nie liczy. Nie ma uczuć, nie ma planów, nie ma marzeń. Taki dziwny stan, nijaki, bez wyrazu, bladoniebieski, pociągnięty szarością. Żaden. Przyszło mi na myśl, że ten obraz jest niedokończony. W tej swojej niedokończonej postaci obrazuje dwa życia – życie mojej mamy i życie Alessandry – do tego miejsca, do którego były takie same. Gdyby miał przedstawiać życie mojej mamy, to ten niebieskoszary kolor, rozmyty

i rozwodniony, nijaki i bez wyrazu, powinien przejść w ostry błękit bezchmurnego nieba rozświetlonego promieniami słońca. Po tym niebie powinna szybować jaskółka. Moja mama umarła. Ta jaskółka to dusza uwolniona z ciała, uciekająca od bólu, beznadziejności i śmierci. Alessandra nadal żyje. Jeżeli obraz ma przedstawiać życie Alessandry, to brakuje w nim nadziei na przebudzenie. Zapomniałam zapytać siostrę Bernadettę, jak było z tamtą kobietą, która obudziła się przed laty. Pewnie malowałoby mi się teraz łatwiej. Spędziłam przy sztalugach wiele godzin. Z bladego błękitu zaczęły się wynurzać kwiaty. Na początku jeszcze bladobłękitne, szare i rozmyte, jakby wychodziły z niebytu, przestraszone i niepewne. Później ich łodyżki stawały się intensywnie niebieskie, a liście coraz bardziej zielone. Niebieski kolor łodyżek przechodził w zielony. Wśród zieleni pojawiły się kolorowe kwiaty. Początkowo ich barwy były delikatne i pastelowe, ku obwodowi barwy się nasycaly, stawały się coraz bardziej intensywne, coraz bardziej radosne. Pojawiało się coraz więcej kolorów, a na obwodzie różnymi barwami mieniła się wiosenna łąka. Obraz nazwałam *Życie Alessandry. Przebudzenie*. Zadzwoiłam do siostry przełożonej.

– Mam już coś dla siostry. Pełen nadziei obraz *Życie Alessandry. Przebudzenie*. Przed pięcioma minutami wysłałam jego zdjęcie na adres e-mailowy ośrodka. Może siostra zobaczyć. Obraz jest duży. Można go powiesić na tej szarej ścianie naprzeciw wejścia na oddział śpiączek. Zamiast zimnej szarości oczom odwiedzających ukaże się nadzieja. Mam jeszcze inny pomysł związany z tym obrazem. Zrozumie siostra ten pomysł, kiedy siostra zobaczy to malowidło. Łąkę z tego obrazu można przeciągnąć na ścianę. Złamie się tym surowość korytarza. Kwiaty ułożą się w barwny kobierzec biegnący pasem przez całą długość oddziału. Mogę to sobie dokładnie wyobrazić. Będzie dobrze, inaczej, choć trochę radośniej. Powieje nadzieją. Chyba że siostra jest w jakiś szczególny sposób przywiązana do tej zimnej szarości – powiedziała niepewnie. Nagle mój entuzjizm zmalał, bo po drugiej stronie panowała dziwna cisza.

– Nie jestem przywiązana do szarości – usłyszałam po chwili.

– To cudownie. – Ulżyło mi. – Dobiorę kolory. Kupię farby. Obraz przywiozę pod koniec przyszłego tygodnia. Jeśli mnie siostry przenocują, to przez weekend powinno mi się udać namalować tę kwitnącą łąkę. Zrobi się wtedy odrobinę pogodniej. Powieje nadzieją. Ta łąka będzie jak sen o przebudzeniu...

– Przenocujemy... – weszła mi w słowo.

– To cudownie. Teraz muszę się skoncentrować na mojej wystawie. Muszę wymyślić coś, co zachwyci krytyków, co przełoży się w trakcie licytacji na duże pieniądze...

– A ja myślałam, że ty już nigdy nie przyjedziesz – przerwała mi. Jej głos dziwnie zadrżał w słuchawce. A może tylko mi się tak wydawało. Może to sprawa jakości połączenia. Ja będąc u nich, nie miałam zasięgu. – Bóg zapłać – dotarło do

mnie jak z zaświatów. – Że też Bóg cię nam zesłał.

Kiedy się rozłączyłam, usłyszałam pukanie do drzwi. Pomyślałam, że to pani Mornetti. Nie byłam wczoraj na porannej kawie. Dzisiaj też na tę kawę zasnęłam. Otworzyłam drzwi i stanęłam oko w oko z Markiem z kiosku. Stał oparty ręką o framugę drzwi. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Wejź!

Nawet nie drgnął. Przyglądał mi się podejrzliwie.

– Nie widziałeś nigdy dziewczyny w szortach? – fuknęłam.

– W szortach widziałem, ale to jest piżama – stwierdził odkrywco.

– Nie zdążyłam się jeszcze ubrać. Byłam dzisiaj bardzo zajęta.

– Nie zdążyłaś się ubrać? – spytał z powątpiewaniem. – A ja myślałem, że już idziesz spać. Pomyślałem, że źle się czujesz.

– Która jest godzina?

– Dochodzi siódma. Właśnie skończyłem pracę. W drodze do domu podrzuciłem pani Mornetti gazety i pomyślałem, że zajrzę do ciebie. Widziałem, że twój samochód stoi pod domem.

Mój samochód jest bardzo charakterystyczny. Trudno go pomylić z innym. Trudno go nie rozpoznać. Dawniej zawsze miałam problem ze znalezieniem mojego auta na parkingu. Wszystkie wydawały mi się do siebie podobne, zasadniczo różniły się tylko wielkością i kolorem. Wśród stojących obok siebie srebrnych mondeo nigdy nie mogłam odnaleźć swojego. Kiedyś w akcie desperacji namalowałam na masce samochodu białego słonia – na szczęście. Srebrny wóz z pokaznych rozmiarów słoniem królującym na masce, stojący na podjeździe do domu, należy do mnie. Przy przednim lusterku dynda anioł stróż, który przyjechał kiedyś ze mną z pleneru w Bieszczadach. Anioł stróż i słoń mieli zapewniać mi bezpieczeństwo i czuwać nad moim szczęściem. Różnie im to w przeszłości wychodziło.

– Wejź! – ponagliłam go. – Pani Mornetti na pewno stoi już z okiem przy judaszu. Jutro będzie mnie pytała, dlaczego czekałam na ciebie w piżamie. Przez twój upór przyjdzie mi się jutro tłumaczyć.

Nie zrobił nawet pół kroku. Przystąpił z nogi na nogę i spojrzał na mnie niepewnie.

– Wchodź! – spróbowałam inaczej. – Mam otwarte okno w kuchni. Stoję w przeciągu. Chcesz mnie mieć na sumieniu?

– Nie wchodzę. Muszę lecieć. Wpadłem tylko, bo byłem po sąsiedzku. Od paru dni cię nie widziałem. Myślałem, że coś ci się stało.

– Co miało mi się stać? – spytałam zdziwiona. – Wczoraj miałam jedną sprawę do załatwienia w Rzymie. Nie było mnie do wieczora w Fiano. Poza tym tworzę, organizuję wystawę. Skoncentrowałam się na sztuce. Czas mnie goni. Wystawa we Florencji zbliża się ogromnymi krokami.

– Tworzysz? Skoncentrowałaś się na sztuce? – spytał zdziwiony. – Tak po prostu?

– No właśnie. Co w tym dziwnego?

– Właściwie nic – powiedział z ociąganiem. Przeształ z nogi na nogę. Nie przestawał mi się przyglądać. – Trochę to dla ciebie nietypowe. Żadnego Sergrana? Żadnego cmentarza? Żadnego prywatnego śledztwa? Żadnych rozliczeń z przeszłością? – Pytanie goniło pytanie. Marco nie przestawał mi się przyglądać.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Ja maluję. Skoncentrowałam się na sztuce. Namalowałam wczoraj obraz *Życie Alessandry*. Chcesz zobaczyć?

– Dziękuję. – Spłoszył się. Myśl, że miałby wejść do mojego mieszkania, wydawała się go przerażać. – To ja już nie przeszkadzam – powiedział pospiesznie. – Jakbyś jutro miała chwilę czasu, to wpadnij do mnie do kiosku. Zostawiłem ci dzisiejsze gazety. Myślę, że bardzo cię zainteresują. Wczoraj w Rzymie otworzono testamenty Sergrana. Wyobrażasz sobie? Dwa testamenty. – Nagle się ożywił. – Pierwszy sporządzono na długo przed wypadkiem Alessandry Sergrano. Z tego, co zrozumiałem, było to w dzień ich ślubu. Antonio wszystko zapisał swojej żonie. Nie wiem, czy wiesz, ale okazało się, że jego żona żyje. Jest ponoć w śpiączce... Ale jest jeszcze drugi testament. Życie jest popierdolone i nikt tego nigdy nie zrozumie. Lecę! Wpadnij jutro! Zamknij drzwi, bo się przeziębisz! W końcu stoisz w przeciągu.

Oprzytomniał po chwili. Myślę, że zdążył zaledwie zbiec po schodach. Dźwięk telefonu zbiegł się z trzaśnięciem drzwi wyjściowych od domu.

– Jaki ty obraz namalowałaś? – spytał podekscytowany.

– *Życie Alessandry* – odpowiedziałam spokojnie.

– *Życie Alessandry* – powtórzył. – Chodzi o życie Alessandry Sergrano? Ty jesteś popierdolona. Ciebie już zupełnie na ich punkcie pokopało. Przyjdź jutro do kiosku! Będziesz miała nową pożywkę dla swojej wyobraźni.

Sensacja goniła sensację. Gazety przekrzykiwały się tytułami artykułów. Zarówno te z wczoraj, jak i te z dzisiaj. Tytuły przeczyły sobie. Budziły zainteresowanie, drażniły wyobraźnię, podsycaly niezdrową ciekawość i niepokój... „Alessandra Sergrano żyje!”, „Kto odziedziczy majątek Sergrana?”, „Kobieta pogrążona w śpiączce odziedziczyła fortunę”, „Tajemnice wokół Sergrana”, „Dwa testamenty, dwa podpisy, dwoje ludzi”, „Ten sam człowiek i dwa różne podpisy”, „Tajemniczy Sergrano”, „Sfałszowany testament”... Sergrano, Sergrano, Sergrano, aż zrobiło mi się gorąco od czytania samych tytułów. Wertowałam gazetę za gazetą, czytałam artykuł za artykułem. Serce biło mi coraz szybciej i szybciej. Coraz mniej byłam w stanie z tego wszystkiego zrozumieć. Po śmierci Sergrana zgłosił się notariusz z Rzymu. Przed laty był zaprzyjaźniony

z Antoniem. Od pewnego czasu nie miał z nim żadnego kontaktu. Przechowywał testament rodziny Sergrano. Mówił, że w swoim życiu zawodowym tylko raz przeżył coś takiego. Alessandra Sergrano i Antonio Sergrano złożyli u notariusza wspólny dokument, sporządzony w dniu ślubu i podpisany u niego tego samego dnia tuż po ceremonii zaślubin, nazwany przez nich testamentem. Ponoć to było romantyczne, wyjątkowe i niepowtarzalne. Świadcami złożenia podpisów pod testamentem byli świadkowie ślubu Alessandry i Antonia. Dokument rozpoczynał się słowami przysięgi małżeńskiej: „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci”, rozszerzonymi o parę wyrazów: „i wspierać cię będę z wszystkich moich sił nawet po mojej śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i Wszyscy Święci”. Alessandra Sergrano zostawiała cały swój majątek Antoniowi Sergranowi, a w przypadku jego równoczesnej śmierci wszystkim potomkom narodzonym z ich związku w równym procencie. Antonio Sergrano zostawiał cały swój majątek Alessandrze Sergrano, a w przypadku ich równoczesnej śmierci wszystkim potomkom, którzy narodzili się z ich związku, w równym procencie. Dokument kończył się słowami, że w dniu dzisiejszym połączyli swoje ciała, dusze i majątki i niech tak już zostanie na wieki. W przypadku równoczesnej śmierci i nieposiadania potomstwa przekazywali swój majątek organizacji charytatywnej prowadzącej schronisko dla bezdomnych zwierząt. Organizacja miała siedzibę w Rzymie. Właśnie ze schroniska prowadzonego przez nią pochodził ich ukochany pies Broset. Ponieważ zgodnie z przepisami notarialnymi nie można spisać jednego testamentu dla dwóch spadkodawców i każda ostatnia wola może zawierać rozporządzenia tylko jednego z testatorów, stworzone zostały dodatkowo dwa oddzielne dokumenty. W pierwszym spadkodawcą była Alessandra Sergrano, w drugim Antonio Sergrano. Wszystko wydawałoby się jasne i proste, romantyczne i niepowtarzalne, gdyby nie to, że przed trzema dniami zgłosił się notariusz z Florencji, u którego Antonio Sergrano złożył swą ostatnią wolę przed około trzema laty. Zgodnie z przepisami złożenie późniejszego testamentu uchyla rozporządzenia wcześniej złożonego dokumentu. Nie ma w tym nic dziwnego, bo spadkodawca w każdej chwili może odwołać zarówno cały testament, jak i jego poszczególne postanowienia. Nowy testament podpisano w obecności świadków, którymi było małżeństwo pracujące w jednym z sklepów Sergrana we Florencji. Zgodnie z jego brzmieniem Antonio Sergrano pozostawiał cały swój majątek żonie, Alessandrze Sergrano, pod warunkiem, że w momencie jego śmierci małżonka będzie w stanie zarządzać tym majątkiem i korzystać z niego w sposób świadomy. W innym przypadku przekazywał dziesięć procent majątku na opiekę nad żoną Alessandrą Sergrano przebywającą w domu opieki prowadzonym przez siostry elżbietanki aż do chwili jej śmierci, a resztę swojego majątku przekazywał Marii Vricessi. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, w końcu spadkodawca może

rozporządzać swoim majątkiem zgodnie z własną wolą, gdyby notariusz z Rzymu nie zakwestionował podpisu na dokumencie złożonym we Florencji. Jego zdaniem podpisy pod oboma testamentami się różniły. Dokumenty poddano ekspertyzie. Biegły grafolog wydał orzeczenie, w którym jednoznacznie wykluczał podpisanie obu dokumentów przez tę samą osobę. Biegły uważał, że różnice w charakterze pisma nie wynikają z fluktuacji związanej z wiekiem. Jego opinię potwierdzili dwaj inni rzeczoznawcy. Na tym nie koniec. Podpis pod ostatnio sporządzonym testamentem był zgodny z podpisami na fakturach, przelewach bankowych, na aktach własności podpisanych przy zakupie winnic, sklepów i winiarni oraz na wszystkich innych dostępnych dokumentach podpisywanych ostatnio przez Sergrana. Powstała wątpliwość co do wiarygodności pierwszego testamentu. Jeden z dzienników rozwoził się nad tym, że zapewne notariusz z Rzymu, fałszując dokumenty, chce stworzyć współczesną historię niepowtarzalnej miłości.

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Pojechałam do Florencji. Postanowiłam rozstawić sztalugi na ulicy tuż przy Ponte Vecchio. To moje ulubione miejsce do ulicznego malowania. Tam zawsze jest pełno artystów. Wielu z nich to znajomi. Żyją z tego, co zarobią na ulicach. Trochę tak jak ja. Malują kredą na chodnikach, tworzą malowidła na szkle, rysują portrety, sprzedają oryginalną biżuterię, handlują akwarelkami i rysunkami, malują węglem i kredą na czerpanym papierze... W tle zawsze słychać muzykę. Raz Marica z Budapesztu grywa na skrzypcach, innym razem Augusto na flecie. Kiedyś jakiś chłopak o latynoskiej urodzie śpiewał przy wtórze gitary. Dziś nieznany mi facet grał na ustnej harmonijce w kółko i bez końca motyw przewodni z *Titanica*. „Cóż za pech – pomyślałam. – Mam już po dziurki w nosie rzewnych opowieści o niezwykłej miłości. Chyba się zrzygam. W kółko te słodkie tony”. Spróbowałam się wyłączyć, zająć myśli czymś innym i tego nie słuchać. Przyjechałam tu zapomnieć choć na chwilę o wielkich emocjach i wielkich, powalających na kolana uczuciach, a on w kółko jak na złość grał tę melodię o miłości. Chyba facet uparł się na mnie. Rozejrzałam się wokół. Nikomu poza mną nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie, raz po raz brzęczały monety wrzucane do puszek stojącej tuż przy jego nogach. Na chwilę przestał. Odetchnęłam z ulgą, a on zaczął grać melodię z *Love story*. Romantyk się znalazł! Miałam ochotę podejść i go udusić. Przyjechałam dzisiaj do Florencji trochę się uspokoić. Jak można się uspokoić przy tych przesłodzonych dźwiękach? Chciałam pomalować trochę pod turystów, podreperować swój nadszarpnięty budżet, wtopić się w tłum przelewający się uliczkami przy Ponte Vecchio. Nagle zatęskniłam za tym tłokiem i ścisaniem. Różnorodny gwar mógł choć na chwilę zająć czym innym moje myśli. Chciałam odreagować, uciec od tego wszystkiego, uwolnić się od Antonia i Alessandry. Do sztalug doczepiłam kartkę. „Pejzaże z Toskanii na

zamówienie. Twoja indywidualna pamiątka z Toskanii”. Nie czekałam długo. Już po chwili podeszła do mnie starsza kobieta. Zauważyłam ją wcześniej. Szła, rozglądała się, jakby kogoś lub czegoś szukała w tłumie. Przystanęła koło mnie.

– Co mi pani zaproponuje jako pamiątkę z Toskanii? – zapytała.

– Każdy chce zabrać stąd z sobą coś innego – odpowiedziałam jej spokojnie.

– Każdemu co innego zapadło w pamięć...

– Nie mogę się zdecydować... – Starsza pani obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. – Nie wiem. Tu wszystko jest piękne i inne niż u nas.

– A co pani najbardziej utkwiło w pamięci? – próbowałam jej pomóc.

– Gaje oliwne i winnice... Te krzewy róż sadzone przy każdym rzędzie winorośli w winnicach...

– Sady cytrynowe, polne drogi, pinie, rzędy wysokich cyprysów? – dopowiedziałam za nią.

– Jeszcze te wzgórza po horyzont...

– I pojedyncze domy na wzgórzach? – dopytywałam.

– Tak. Taki właśnie obraz Toskanii chciałabym zabrać z sobą do domu. Ale jest jeszcze coś...

– Co to takiego?

– To nie elementy krajobrazu, lecz atmosfera. – Zaskoczyła mnie. Ona nie chciała dostać pejzażu z rodzaju „jelenie u wodopoju”. Ona oczekiwała ode mnie czegoś zupełnie innego. – Każde miejsce ma swoją atmosferę – tłumaczyła mi. – Każde jest inne. Ja chcę, żeby patrząc na ten obraz, czuło się atmosferę Toskanii. Namaluje mi pani taki obraz?

– Namaluję – powiedziałam z ociąganiem. – Ale na to potrzebuję znacznie więcej czasu... To dość trudne zadanie...

– Wyjeżdżam już jutro – wyjaśniła starsza kobieta.

– Wyjeżdża pani wieczorem czy rano?

– Wieczorem. Mam samolot o osiemnastej – powiedziała spokojnie. – Bardzo mi zależy na tym obrazie. Dobrze pani zapłacę – dopowiedziała, widząc moje wahanie.

– Postaram się zdążyć – obiecałam niepewnie. – To trudne zadanie. Nie lubię tworzyć pod presją czasu.

– Bardzo zależy mi na tym obrazie – powtórzyła.

– Proszę przyjść jutro o czternastej... Spróbuję zdążyć.

Już odchodziła, kiedy przypomniałam sobie, że nie zapytałam, jaka dla niej jest ta Toskania. Melancholijna, radosna, tajemnicza, pastelowa, krzycząca żywymi kolorami, łagodna jak piano, krzykliwa jak forte?

– Jaka jest dla pani Toskania? – rzuciłam pytanie w kierunku oddalających się pleców. Myślałam, że mnie w tym gwarze nie usłyszy. Usłyszała. Zatrzymała się. Obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem.

– A dla pani? – zapytała.

– Moja Toskania jest zwiewna i lekko zamglona, pastelowa i niedopowiedziana. Trochę jak marzenie, jak sen. Zupełnie nierealna. Trwająca od wieków, niezależna od czasu, wieczna...

– Moja jest podobna – przerwała mi. – Czujemy chyba podobnie, a może tak samo. Proszę właśnie o taką Toskanię.

Stałam i malowałam tę jej Toskanię. Kiedy przyjechałam tutaj po raz pierwszy, też zauroczyły mnie wzgórza po horyzont, wstęgi polnych dróg, wąskie ścieżyny wijące się jak wstążki wśród pól, posadzone wzdłuż dróg rzędy cyprysów, mieniające się w słońcu srebrzystozielone gaje oliwne, jasnozielone winnice, krzewy róż posadzone przy winnicach, domy stojące pojedynczo na wzgórzach. Minęło kilkanaście miesięcy, a ja zupełnie inaczej widzę i czuję Toskanię.

Malowałam całe popołudnie i całą noc. Przy sztalugach zastał mnie świt. Namalowałam poranek w Toskanii. Z porannej mgły wynurzały się wzgórza, w dolinach pomiędzy wzgórzami snuły się pasma mgły... Wszystko było łagodne, niedopowiedziane, tajemnicze... Kobieta przysła odebrać obraz. Długą chwilę mu się przyglądała. Chyba była zadowolona, bo zapłaciła wyjątkowo dużo. Stała koło mnie, przestępując z nogi na nogę.

– To straszne czasy, że młodzi artyści muszą chałturzyć na ulicach – powiedziała niespodziewanie. – Kiedyś było inaczej.

Zaskoczyła mnie. Poczułam się zaatakowana.

– Kiedyś były inne czasy – mruknęłam. – Teraz mamy gospodarkę rynkową i kapitalizm. Sztuką też rządzi ekonomia. – Nie panowałam nad emocjami. Byłam chyba na to za bardzo zmęczona. Myślałam, że się obrazi, a ona się uśmiechnęła.

– Prawdziwe talenty powinny mieć stworzone odpowiednie warunki. Żadnych czasów nie stać na taką rozrzutność – powiedziała spokojnie. – To marnotrawstwo. Nie wiem, czy mnie pani rozumie?

Nie rozumiałam.

– Pani powinna się skupić na tworzeniu prawdziwej sztuki – tłumaczyła mi. – Już kiedyś tu panią widziałam. Zaintrygowała mnie pani. Przyjrzałam się pani technice. Malowała pani dom i ogród. Stałam za pani plecami przez dwie godziny. Zajęta malowaniem nawet mnie pani nie zauważyła. Byłam pewna, że gdzieś już panią wcześniej widziałam, i to na pewno nie malującą na ulicy – mówiła, nie odrywając ode mnie oczu. – Myślałam intensywnie i przypominałam sobie. Pani teraz wygląda inaczej. Odrobinę mniej ekstrawagancko. Moim zdaniem lepiej. – Uśmiechnęła się. – Sztuka nie zawsze potrzebuje ekstrawagancji. Szczególnie dobra sztuka. Do wszystkiego trzeba dorosnąć...

Zastanawiałam się, o czym ona mówi. Zaintrygowała mnie. Zdziwiła.

– Byłam przed dwoma laty u przyjaciół w Krakowie – powiedziała kobieta. – To ludzie związani ze sztuką. Zabrali mnie na wernisaż nowej wystawy. Nosiła tytuł *Cztery pory roku* czy coś takiego, przedstawiała za pomocą barw niesamowite emocje towarzyszące kolejnym porom roku i następującym po sobie miesiącom. Autorami obrazów byli Karolina Bielawska i Marek Skalski. Autorzy stworzyli niezwykle cykl prac. Obrazy już na długo przed otwarciem wystawy zaczęły zbierać pochlebne opinie. W prezentowanym malarstwie chodziło nie o kształty, perspektywę, światło, lecz o kolory. Te kolory były najważniejsze.

Wydawało mi się, że śnię. Opowiadała o naszej wystawie. Pomyślałam, że świat jest mały, a życie pełne niespodziewanych zbiegów okoliczności.

– Te barwy były niesamowite – mówiła dalej kobieta. – Oddawały atmosferę kolejnych miesięcy następujących po sobie pór roku. Były genialne. Nigdy wcześniej nie widziałam obrazów, na których kolory budowały tak nadzwyczajne emocje...

Spojrzała na mnie uważniej. Wbiła wzrok w moją twarz. Na moment po jej twarzy przebiegło coś na podobieństwo uśmiechu.

– Chyba się nie mylę, sądząc, że moją pamiętkę z Toskanii namalowała pani Karolina Bielawska?

– Nie myli się pani – wykrztusiłam zaskoczona.

– Ja już mam w mojej kolekcji jeden z pani obrazów. Kupiłam go przed dwoma laty. Nie mogłam się powstrzymać, musiałam go kupić. Zauroczył mnie. Obraz przedstawiał przedwiośnie. Zatyłowała go pani *Krokusowo*. Pamięta go pani?

– Oczywiście, że pamiętam. Operowałam plamami o różnym odcieniu błękitu, bieli i fioleto. To jeden z moich ulubionych obrazów.

– Ja też bardzo go lubię... Musi pani kochać wiosnę. Dla mnie ten obraz przedstawiał łąny krokusów, a pomiędzy nimi jeszcze suchą, miejscami zgniłą ubiegłoroczną trawę i wiele zeszłorocznych liści, które po zimie nie są już ani czerwone, ani złote, ani brązowe, tylko bure, wyprane z kolorów, wyblakłe i wypłowiałe. Z szarości rodzi się nowe, kolorowe życie. To było dobre, zaskakujące, na swój sposób genialne.

– To miał być łąn krokusów – weszłam jej w słowo. – Ma pani rację...

– I to jest niesamowity łąn krokusów – powiedziała. – Pamiętam panią z tamtej wystawy. W pierwszej chwili mój wzrok przykuł pani ubiór. Na tle tych wystrojonych na wernisaż ludzi, drogich garniturów i wieczorowych kreacji wyglądała pani trochę jak gość z innych czasów, jakby z innej rzeczywistości...

Pamiętam siebie z tamtych czasów. Aż dziwne, że jeszcze to pamiętam. Tyle się później wydarzyło, że według mnie to nie dwa lata minęły, ale całe wieki. Długo się wtedy zastanawiałam, co mam włożyć, żeby zostać w zgodności ze swoją sztuką. Włosy miałam splecione w dredy i związane na czubku głowy

pękiem kolorowych rzemyków. Na tamtym wernisażu byłam ubrana w spódnicę ze zgrzebnego lnu sięgającą prawie do kostek oraz w wydziergany ze sznurka sweterek z wplecionymi gdzieniegdzie w ścieg różnokolorowymi koralikami i wstążkami. Gustowałam wtedy w rzemykach, koralikach, muszelkach i wstążkach. Biżuterię robiłam sobie sama...

– A potem zrobiło się o pani cicho... Wielki sukces i cisza. Dużo musiało się tymczasem wydarzyć w pani życiu... – Wydawało mi się, że ona czyta w moich myślach. Zatrzymała wzrok odrobinę dłużej na delikatnych bliznach widocznych po wewnętrznej stronie moich nadgarstków. Odruchowo opuściłam ręce. Zamilkła.

Nawet nie wiem, kiedy usiadłyśmy na murku. Tłum przelewający się w kierunku Ponte Vecchio zgęstniał. Zwykle właśnie po południu było tu najgwarniej.

– Dziwne czasy, które nie dbają o nieprzeciętnych... – odezwała się po chwili. – Los sprawił, że znowu spotkały się nasze drogi. Inne miejsce, inny czas... Prawdziwa artystka nagle zepchnięta do roli ulicznej malarki. Nic z wielkiej sztuki. Śliczne akwarelki jako suweniry z wakacji, udane portrety jako sposób zarobienia na obiad, rysunki kolorową kredą na ulicach Florencji, żeby zdobyć pieniądze na czynsz. Niektórzy zarabiają w ten sposób przez całe życie, ale u pani wcześniej wystawa gonila wystawę, wernisaż poganiał wernisaż...

„Co ją to obchodzi? – pomyślałam z niechęcią. – To moje życie. Mnie się podoba – okłamałam sama siebie – mnie tak jest dobrze”.

– Nie rzuciłam prawdziwej sztuki... – zaczęłam się bronić. Poczułam się zaatakowana. – Ale prawdziwa sztuka rzadko przekłada się na pieniądze. Z czegoś trzeba żyć. Nie kradnę, tylko pracuję... Nie mam rodziców, którzy mogliby mnie wspierać – tłumaczyłam się. – Nie mam bogatego męża. Muszę radzić sobie sama... Zresztą lubię to, co robię. Aby tworzyć, potrzebuję kontaktu z ludźmi.

– Mówisz, że nie porzuciłaś tej wielkiej sztuki. Co teraz malujesz? – Udała, że nie słyszy w moim głosie zaczepnego tonu ani goryczy. W zupełnie naturalny sposób zaczęła zwracać się do mnie per ty.

– Emocje zaklęte w kolor żółty.

– Emocje zaklęte w kolor?

– Tak – potwierdziłam. – Co w tym dziwnego?

– Nic. To ciekawe, co mówisz – powiedziała ciepło.

– Dla mnie w malarstwie najważniejsze są nie realia, ale emocje, nie kształt, lecz barwy... – Sama nie wiem, dlaczego zaczęłam jej o tym opowiadać. – Z Markiem Skalskim tworzymy nową wystawę. Będzie można ją już od września oglądać tutaj, we Florencji. Wystawa będzie miała tytuł *Emocje zaklęte w kolory*.

– Możesz pokazać mi coś z tego, co przygotowałaś na tę wystawę?

– Mam zdjęcia w komórce.

– Pokaż!

Obejrzała kolor czarny, biały, niebieski i zielony. Zamyśliła się. Każde zdjęcie oglądała parę razy.

– Ciekawe – powiedziała po chwili. – Równie ciekawe jak pory roku. A może nawet jeszcze dojrzałe i lepsze... Masz dar, niewielu go ma. Masz talent i pasującą do niego osobowość, pełną niesamowitych uczuć i zaskakujących emocji... Czas już na mnie. – Wstała. – Cieszę się, że udało mi się z tobą spotkać. Podpiszesz mi ten obraz?

– Z przyjemnością.

– A mogę poprosić o dedykację?

– Oczywiście.

– Napisz, proszę: „Profesor Ramonie Kruger na pamiątkę przypadkowego spotkania we Florencji Karolina Bielawska”. Kiedyś ta dedykacja będzie warta majątek. – Roześmiała się.

Zapytała, jakie mam plany po tej wystawie we Florencji. Odpowiedziałam, że jeszcze nie wiem. Zaproponowała mi przyjazd do Pragi, kilka godzin pracy tygodniowo jako nauczyciel w katedrze malarstwa na praskiej uczelni i prowadzenie własnej pracowni. Wspomniała o jakimś grancie artystycznym, który umożliwi mi rozpoczęcie życia i pracy w Pradze. Mówiła o możliwości prowadzenia zajęć z młodzieżą uzdolnioną plastycznie i o tym, że na praskiej akademii zorganizuje moją kolejną wystawę.

– Pójdziemy za ciosem – mówiła pewnie. – Tuż po wystawie we Florencji zorganizujemy następną w Pradze. To, co pcha twórcę do przodu, to wystawy. Nie można dać o sobie zapomnieć. Nazwisko musi być w kółko powtarzane. Ludzie muszą kojarzyć dzieła z ich twórcą. Nie można pozwolić zamilknąć krytykom. Wystawa musi gonić wystawę. Wernisaż musi pędzić za wernisażem. Na początek zrobimy w Pradze powtórkę tej florenckiej ekspozycji i dodamy do tego jeden obraz, który będzie zapowiedzią czegoś nowego. Coś na zachętę... Coś, co da poczucie ciągłości. Coś, co sprawi, że odbiorcy nie będą mogli się doczekać kolejnej wystawy. Nie jedna wystawa, lecz cykl wystaw... Zaczną zapraszać cię inni. Równoległe różne wystawy w różnych galeriach Europy... Będzie dobrze. Nawet bardzo dobrze. Znam się na sztuce...

Wydawało mi się, że śnię. Pożegnała się ze mną, ale po chwili wróciła.

– Mam jedną małą prośbę. Nie maluj, Karolino, fragmentów sklepienia kaplicy Sykstyńskiej kredą na bruku. *Stworzenie Adama* Michała Anioła pomiędzy dziesiątkami butów to nie sztuka, lecz świętokradztwo – powiedziała chłodno.

Ulżyło mi. „Jest już czerwiec – pomyślałam. – Jeszcze trzy miesiące do wystawy we Florencji, a później pojedę do Pragi. Uwolnię się nareszcie od Toskanii”. Tu wszystko znowu zaczęło mnie osaczać i przerastać. Tajemnica

znowu goni tajemnicę. Niedopowiedzenie pędzi za niedopowiedzeniem. Nikomu mam nie wierzyć, nikomu nie ufać... Enrico zamilkł. Już od wielu dni nie przychodzą żadne SMS-y. Poza wystawą nic mnie już nie trzyma w Toskanii. Czuję się tu coraz bardziej zagubiona, coraz bardziej samotna. Zaczęłam żyć myślą, że już niedługo stąd wyjadę, że pojedę do Pragi. Lubię Pragę. Kiedyś lubiłam ją nawet bardzo. Mam mnóstwo ciepłych wspomnień związanych z tym miastem. Praga kojarzy mi się ze studiami, z Janą, z wakacjami w jej rodzinnym domu, ze smażonym serem, knedlikami, piwem i becherovką. Praga, tak jak Toskania, ma w sobie to coś, co powoduje, że jest na swój sposób jedyna i niepowtarzalna. Jest tajemnicza, pełna magii, zaczarowana, szalona, złota, pełna swoistego humoru i dystansu do rzeczywistości. Oaza magii i czarów w środku Europy. Pragę poznałam dzięki Janie. Była z nami na roku. Po studiach wróciła do Pragi. Z pasją malowała pejzaże swojego miasta. Widziałam jej wystawę. Według Jany Praga to zaczarowane miasto pełne magii i tajemnic. Pamiętam, jak pierwszy raz oprowadzała mnie po swoim mieście. To nie był spacer od zabytku do zabytku, ale od tajemnicy do tajemnicy, od legendy do legendy, od szaleństwa do szaleństwa i od piwiarni do piwiarni. Najpierw poszliśmy się przejść po Hradczanach. Potem wzdłuż stojących obok siebie małych kolorowych domków Złotej Uliczki. Powiało magią i przeszłością, duchami alchemików i cesarza Rudolfa. Barwną postacią był ten ich cesarz. Chyba nigdy nie było bardziej obłąkanego władcy w Europie. Przybył do Pragi w wieku dwudziestu czterech lat jako cesarz rzymski, król Czech, król Węgier i Chorwacji, arcyksiążę Austrii prosto z habsburskiego dworu w Madrycie. Współcześni mieli go za szaleńca, i był szalony. Wierzył w magię, astrologię, alchemików, kamień filozoficzny i wieczność. Był gotów oddać duszę w równym stopniu diabłu, co Bogu. Ważny był cel, nie środki. Rudolf II nigdy nie zawarł małżeństwa i nie doczekał się naturalnego następcy, bo wierzył w przepowiednię astrologów, że straci tron na rzecz swego prawowitego spadkobiercy. Sposobów na wrogów zagrażających Habsburgom szukał u magów i alchemików. Wierzył, że możliwe jest znalezienie kamienia filozoficznego, który zapewni właścicielowi bogactwo i długowieczność. Poszukiwał substancji, która pozwoli zmienić ołów w złoto. Jego dwór przyciągał wszelkiej maści szarlatanów, magików, domniemanych czarnoksiężników, alchemików i innych znawców nauk tajemnych, wśród których nie brakowało naciągaczy i oszustów. Praga za jego czasów roiła się od magów. Legenda głosi, że część alchemików mieszkała w maleńkich domkach przylegających do murów zamkowych przy Złotej Uliczce. Cesarz Rudolf był szalony. Odziedziczył po przodkach nie tylko koronę. Habsburgowie od pokoleń żenili się w kręgu bardzo bliskich kuzynów, co powodowało choroby psychiczne. W ich rodzie było wielu psychicznie chorych. Rudolf w tym szaleństwie był największy. Nie wiadomo, w jakim stopniu szaleństwo cesarza spowodowane było genetycznym obciążeniem, a w jakim kilką

wrodzoną, z którą się urodził. Był szalony i szalona była za jego czasów pełna magów, alchemików i czarnoksiężników Praga. Rudolf zbierał obrazy, kolekcjonował szlachetne kamienie, zgromadził ponad trzy tysiące obrazów, w tym takich mistrzów jak Cranach, Tycjan, Pieter Bruegel, Dürer... Kiedy w grę wchodziła sztuka, ceny nie miały dla niego znaczenia. Wydawał mnóstwo pieniędzy na najdziwniejsze osobliwości. Ponoć miał w swoich zbiorach gwoździe z arki Noego, dwugłowe potwory, laskę Mojżesza, odlane w gipsie jaszczurki, skorupy żółwi, grudkę pochodzącej z doliny Hebronu gliny, z której Bóg ulepił Adama... Był kopnięty. Według Jany jego duch spaceruje często po Hradczanach, tak jak duchy alchemików po okolicach Złotej Uliczki. Pamiętam, siedziałyśmy na murku, powoli zapadał zmrok, a my próbowałyśmy wyobrazić sobie Złotą Uliczkę pełną magów i alchemików. Prawie umarłam z przerażenia, kiedy zza rogu wyłoniła się zwalista postać ubrana w płaszcz sięgający niemal do ziemi. Pamiętam jeden z domów na rynku Nowego Miasta. Ponoć w tym domu mieszkał Faust, słynny mistrz czarnej magii, alchemik, lekarz i astrolog. Potrafił wywoływać duchy. Pewnego razu na oczach licznych świadków wywołał ducha Heleny Trojańskiej, kiedyś znów duchy innych bohaterów Homerskiej *Iliady*. Johann Georg Faust nie był lubiany, budził powszechny strach, współcześni posądzali go o czarną magię i kontakty z diabłem. Podobno zaprzedał duszę diabłu. Żył w komitywie z szatanem. Mówią, że właśnie z tego domu na rynku Nowego Miasta został porwany do piekła. W wyniku tego wydarzenia powstał otwór w suficie, którego nie dało się w żaden sposób zamurować. Ten dom to miejsce na ziemi, z którego najbliżej do piekieł. Pamiętam tę moją myśl, że jeszcze nigdy nie byłam tak blisko zła. Któregoś dnia wyprawiłyśmy się z Janą na Stary Cmentarz Żydowski, na grób rabina Löwa, twórcy Golema. Później byłyśmy w synagodze Staronowej na Josefovie. Ponoć na jej poddaszu ukryto szczątki Golema. Pamiętam, jak Jana opowiadała mi tamtą legendę. Ponoć działo się to w szesnastym wieku. Nasiliły się ataki na praskich Żydów, których posądzano o bezbożne praktyki i okultyzm. Aby obronić siebie i innych, rabin Löw ulepił z gliny wielką postać człowieka, którą następnie ożywił za pomocą tajemnych rytuałów i modłów. Na koniec włożył do ust Golema pergamin ze słowem „emet”, co znaczy po hebrajsku „prawda”. Wymazanie pierwszej litery powodowało powstanie słowa „met”, po hebrajsku „śmierć”, co odbierało Golemowi życie. Tak stworzona istota była niema i bezmyślna, ponieważ była dziełem nie Boga, lecz człowieka. Mogła tylko wykonywać polecenia i pracować. Nie miała własnej wolnej woli. Pewnego dnia Golem wpadł w szał i zaczął mordować tych, którym służył. Rabin wyjął mu z ust pergamin i wykreślając pierwszą literę ze słowa „emet”, sprawił, że stwór stał się na powrót glinianym posągami. Rabin ukrył szczątki Golema na strychu praskiej synagogi Staronowej. Zakazał wstępu na poddasze i ów zakaz był ponoć przez wieki respektowany. Tylko raz jeden

z praskich rabinów odważył się tam zajrzeć. Po poddaniu się obrzędowi oczyszczenia, poście i włożeniu szaty pokutnej wyruszył na poddasze przy dźwiękach psalmów śpiewanych przez jego uczniów. Co tam ujrzał, pozostało tajemnicą. Wrócił przerażony. Pamiętam, jak po powrocie z Pragi ulepiłyśmy na zajęciach z ceramiki postać Golema. Nasz Golem nie ożył pomimo zwoju pergaminu włożonego w usta. Pewnie zabrakło odpowiednich modłów, wiary i magii Pragi. Cudowna była ta Praga, którą poznałam dzięki Janie. Nagle zaczęłam za nią tęsknić. Nie mogłam już się doczekać końca września.

Zasnęłam jak kamień. We śnie zwałista postać glinianego Golema mieszała mi się z postacią Fausta, podobny w swej formie do kryształu górskiego grobowiec Franza Kafki z żydowskiego cmentarza w Pradze na moich oczach przeradzał się w prawdziwy, załamujący promienie słoneczne kryształ górski, święty Wacław stał nadal, chociaż już umarł, Jan Nepomucen ginął w nurtach Wełtawy, bo nie chciał zdradzić tajemnicy spowiedzi. Śniło mi się, że piję piwo „U Fleků”, a postawiony przede mną kufel był już szósty, bo na kolorowej podkładce pod piwo pojawiła się szósta kreska... Śniła mi się jeszcze moja ręka przyłożona do tego miejsca pod pomnikiem Jana Nepomucena na moście Karola, co ponoć przynosi szczęście... Obok mojej dłoni pojawiła się druga dłoń, znacznie większa... Nie udało mi się dojrzeć, do kogo należała. Szkoda... Chyba za długo myślałam o tej Pradze. Zbudziły mnie strugi deszczu uderzające o parapet i charakterystyczny dźwięk wody spadającej z rynny prosto do metalowej wanienki zbierającej deszczówkę dla pani Mornetti. Ta kobieta jest niereformowalna. Rozmawiałyśmy już o tym kilka razy. Obiecywała, że usunie wanienkę, po czym wymyślała dziesiątki wymówek, żeby ją tam nadal zostawić. Ta metalowa wanna, pewnie w bardzo odległych czasach używana do prania, stoi tuż pod moim oknem. Jest źródłem mojej udręki, gdy zaczyna padać deszcz. Ten dźwięk potrafi budzić mnie w środku nocy, dręczyć w ciągu dnia. W sypialni pani Mornetti w ulewne dni panuje cisza i spokój, co najwyżej jakieś pojedyncze krople uderzą o parapet. U mnie w pokoju w trakcie rześistego deszczu albo burzy słychać dźwięk podobny do huku wodospadu Niagara. Rynna jest stara i dziurawa, pasuje do tego starego domu. Kończy się ponad półtora metra nad ziemią, co powoduje, że dźwięk wody spadającej do metalowego naczynia jest jeszcze głośniejszy. Ta kobieta jest beznadziejna. Po co jej tyle deszczówki? Za oknami było szaro i ponuro. Aż nie do wiary, że bywają takie dni w Toskanii, i do tego na początku lata. Musiał wiać porywisty wiatr, bo strumienie deszczu uderzały co chwilę w szyby okien. Próbowałam zasnąć. Głowę przykryłam poduszką. Naciągnęłam na siebie kołdrę. Postanowiłam skoncentrować się na liczeniu baranów. Nic z tego nie wyszło. Próbowałam wiele razy. Spróbowałam liczyć kufle piwa. Też nic z tego. Za każdym razem dochodziłam do

pięćdziesięciu, a później moje myśli mimo woli zaczynały się skupiać na dźwiękach dochodzących do moich uszu. Odgłos wody spadającej z rynny do metalowego naczynia dominował nad wszystkim. Pomyślałam, że muszę się poddać. Nie da się przy tym zasnąć. Muszę wstać i malować. Ten cholerny kolor żółty prześladował mnie coraz bardziej. Beznadzieja. Pukanie do drzwi uwolniło mnie od myśli o wzięciu do ręki pędzla.

– Chodź na kawę! – ponaglała mnie pani Mornetti. – Zatrzymałam na chwilę tego chłopaka z kiosku. Przyniósł mi właśnie dzisiejsze gazety. Chciał do ciebie zapukać. Wołałam sprawdzić, jak wyglądasz.

– Wyglądam jak zawsze – mruknęłam pod nosem.

– Dlatego też wołałam sprawdzić – palnęła bez zastanowienia signora Mornetti.

Przebrałam się, chociaż i tak uważam, że szorty i podkoszulek bez rękawów, które służą mi za piżamę, nie kryją w sobie żadnych zdrożności. Być może dekolt podkoszulka jest odrobinę za szeroki i zsuwając się, odsłania ramiona, a sam podkoszulek odrobinę za krótki i ukazuje pępek, ale wiele dziewczyn w podobnych ubraniach chodzi po ulicach, a ja tylko po swoim mieszkaniu. Czasami pani Mornetti bywa irytująco staroświecka. Marco przyniósł nowe gazety, a wraz z nimi nowe sensacje.

– Słyszałaś? – spytał. – W sprawie testamentów Sergrana pojawiły się nowości. Nawet w radiu dzisiaj o tym mówili. Ludzie są popierdoleni – zakończył niespodziewanie.

– Ludzie są popierdoleni – zgodziłam się. – To należy przyjmować za pewnik bez dowodzenia. To tak zwana prawda z definicji.

– A więc już słyszałaś? – spytał zawiedziony.

– Nie słyszałam. Dopiero wstałam. Nie włączyłam jeszcze dzisiaj radia.

– Sprawa Sergrana znowu wraca – mówił podekscytowany. – Tym razem ring wolny, kolejne starcie pomiędzy notariuszami.

– A ty dzisiaj nie pracujesz? – przerwałam mu. – Z racji niejasności w sprawie testamentów Sergrana masz dzisiaj wolne? – spytałam z niedowierzaniem.

– Nie. Coś ty, ja i wolne? Rozwożę gazety. Przywiozłem je właśnie pani Mornetti. Chciałem zamienić z tobą dwa słowa, a signora Mornetti zaprosiła mnie na kawę.

– Rozumiem.

– Notariusz z Rzymu postanowił poświadczyć swoją prawdomówność i rzetelność. Chciał udowodnić prawdziwość przechowywanego przez siebie dokumentu, odszukując świadków ze ślubu Alessandry i Antonia Sergranów.

– I niech zgadnę: nie żyją? – weszłam mu w słowo.

– Skąd wiesz? – spytał zdziwiony. – Mówiłaś, że nie słuchałaś radia.

– Nie słuchałam. Domyśliłam się. Jesteś tak podekscytowany, że może chodzić tylko o zbrodnię.

– Okazało się, że jednym z dwojga świadków była młodsza siostra Antonia Sergrana, Luise. Ta sama, która po zakończeniu studiów w Stanach wróciła do Toskanii, żeby dwa tygodnie później zginąć w nieszczęśliwym wypadku we Florencji w trakcie pokazów skoków przez przeszkody. Drugim świadkiem był Marco Rossoni, przyjaciel Sergrana jeszcze z lat szkolnych – opowiadał podekscytowany Marco. – Ten sam, który przed paroma miesiącami wyszedł na spacer z posiadłości Sergrana i nigdy już nie wrócił, którego ciało odnaleziono po stopnieniu śniegu wczesną wiosną w jakimś przydrożnym rowie, a który ponoć zginął w nieszczęśliwym wypadku, potykając się i uderzając głową o leżący w rowie kamień. Jeszcze raz odżyły w prasie tamte historie. Jeszcze raz powróciła klątwa wisząca nad rodziną Sergrano. Dziennikarze zjadliwie atakowali notariusza. Zarzucano mu, że sfalszował dokument i specjalnie dobrał nieżyjących już świadków.

– Przykre.

– To nie koniec. Notariusz upierał się, że mówi prawdę.

– Cóż mu pozostaje? Zapewne i tak nikt mu nie wierzy.

– Do pewnego momentu nikt mu nie wierzył. Wszystko nie trzymało się kupy i było nielogiczne, ale pojawiły się nowe okoliczności, które dość znacznie podniosły wiarygodność notariusza. Ktoś zauważył, że obie nieżyjące osoby to świadkowie ze strony Antonia Sergrana. Rozszalała się nowa burza; przerwało ją oświadczenie sekretarki notariusza, która przypomniała sobie, że świadków było czworo: dwoje ze strony pana młodego i dwoje ze strony pani młodej. Za zgodą sądu otworzono dokument, który podpisała Alessandra Sergrano. Na dokumencie były podpisy jej świadków.

– Niech zgadnę – przerwałam mu. – Tych dwoje też nie żyje?

– Żyją – stwierdził Marco triumfalnie. – Żyją i mieszkają w Rzymie. Pamiętają wszystko dokładnie. Ich opis przebiegu wydarzeń odpowiada opisowi przedstawionemu przez notariusza. Co więcej, wspólny testament Antonia i Alessandry, ten, który nie jest obowiązujący z powodu przepisów mówiących, że każdy testator ma mieć swoją wolę sporządzoną osobno i że nie można spisać woli dwóch spadkodawców równocześnie, podpisali: Alessandra Sergrano, Antonio Sergrano, Luise Sergrano, Marco Rossoni oraz państwo Anna i Lorenzo Cologgero, którzy od dwóch lat są małżeństwem.

– No i nowa zagwozdzka...

– Rzucono się do poszukiwania innych dokumentów, na których mógłby widnieć podpis Sergrana z tamtych czasów. Pożar, który wybuchł przed rokiem w domu Sergrana, strawił dokładnie wszelkie stare dokumenty znajdujące się w środku. Odnaleziono jednak jego podpis pod aktem ślubu przechowywanym

w kancelarii bazyliki Świętego Sebastiana za Murami przy Via Appia w Rzymie, w której Alessandra i Antonio Sergrano brali ślub. Ten podpis jest zgodny ze złożonym na testamencie przechowywanym przez notariusza z Rzymu. Takich podpisów jest więcej: na pokwitowaniu odebrania dyplomu wyższej uczelni, na poświadczeniu otrzymania książeczki wojskowej...

– No i znowu wszystko wraca do punktu wyjścia. Dwa testamenty, dwa podpisy, jeden facet – przerwałam mu. – Trochę jak kwadratura koła.

– Niekoniecznie. Mogło być jeszcze inaczej.

– Jak?

– Dwa testamenty, dwa podpisy, dwóch Sergranów...

– Coś z pogranicza fantazji – weszłam mu w słowo. – Sklonowano go? – zapytałam z ironią.

– To nieważne – burknął pod nosem. – To nie ma znaczenia. W każdym razie dla mnie. Pomyśl, to jest niesamowite. Nagle w tej naszej małej dziurze pełno jest tajemnic, i to za sprawą jednego faceta, Antonia Sergrana. Jesteśmy znani. Za chwilę przełoży się to na ilość chodzących naszymi ulicami turystów. A to z kolei – na rozwój Fiano. Nagle Fiano stanie się ważnym punktem na drodze pomiędzy Florencją a Certaldo i San Gimignano. Będą tu przyjeżdżać. Będą tu spać. Będą kupować w naszych sklepach. Będą chcieli jeść w naszych restauracjach. Pić kawę w naszych kawiarniach. Nagle ten obcy Sergrano przyczyni się do nigdy wcześniej nienotowanego rozwoju naszego miasta.

– Przesadzasz.

– Nie przesadzam. Tylko pomyśl... Piszą o nas gazety. Mówią o nas w radiu. Jutro ma ponoć przyjechać telewizja.

Olśniło mnie w nocy. To dziwne. Mózg w nocy powinien odpoczywać, a mój miele coś w podświadomości i nagle wyciąga to na światło dzienne (a właściwie nocne), będąc w fazie przejściowej pomiędzy jawą i snem. Przypomniał mi się pies. Usiadłam gwałtownie na łóżku. Fakt, widziałam psa w jakimś zaskakującym miejscu, w dziwnych okolicznościach. Na początku nie mogłam go zlokalizować. Byłam tylko pewna, że go gdzieś widziałam i że to było zaledwie parę dni temu. Widziałam labradora, o tym cudownym ciemnoczekoladowym kolorze, spłaszczonego na podłodze, patrzącego na mnie nieufnie wielkimi brązowymi oczami. Rano pobiegłam na kawę do pani Mornetti.

– Jakiego psa miał Sergrano? – spytałam.

– Nie miał psa – odpowiedziała chłodno. – Daj spokój, Karo, z tym Sergranem! To jakiś obłąd. W kółko i bez końca. Sergrano, Sergrano i Sergrano... – mówiła rozdrażniona. – Ta moda na Sergrana wcale mi się nie podoba. Marco opowiadał wczoraj bzdury. Zająłby się sprzedażą gazet w kiosku, a nie głupotami.

Jest stąd, a głosi poglądy, jakby nie znał zupełnie miejscowych ludzi. Nikt z rodowitych mieszkańców nie chce turystów w Fiano. Turyści są obcy. To w większości cudzoziemcy... Prawdę mówiąc, nie cierpię ich. Nie bierz tego, Karo, do siebie. – Spojrzała na mnie przeprasząco. – Ty to co innego. Toskania zawsze przyciągała artystów. Artyści różnej maści wtopili się już od dawna w ten krajobraz. Oni należą do tokańskiego kolorytu. Bez nich nie byłoby atmosfery Toskanii. Ja mówię teraz o turystach. O tych przybyszach na chwilę. O panach świata na dwa, trzy tygodnie. Rozmawialiśmy dzisiaj o tym w piekarni... Wszyscy są podobnego zdania... – Zamilkła i patrzyła na mnie, jakby czekała na to, co powiem. Ja w tej sprawie miałam zupełnie inne zdanie.

– Myślę, że turyści zostawiają w Toskanii pieniądze. Te pieniądze są tutaj mieszkańcom bardzo potrzebne... Bez nich Toskania umiera.

– Toskania umiera? – fuknęła w moją stronę. – Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Kiedyś Enrico pokazał mi opustoszałe miasto widmo zupełnie niedaleko od Florencji...

– I co z tego? Wszędzie bywają takie miejsca. Powodów mogą być tysiące. Współcześni ludzie wszystko sprowadzają do braku pieniędzy. Pieniądze i tylko pieniądze – powiedziała z pogardą, jakby fakt, że istnieją pieniądze, ją brzydził. – Wszystko kręci się tylko wokół pieniędzy.

Zamilkła. Piła kawę. Raz po raz spoglądała w moją stronę. I pomyśleć, że nie tak dawno chciała mnie wyrzucić z mieszkania, bo zalegałam przez miesiąc z czynszem. Teraz nagle zżymała się, że ludziom do życia są potrzebne pieniądze.

– Turyści... Nie lubię ich – burczała. – Są hałaśliwi. Uważają się za lepszych od nas. Traktują nasz świat jak swoją własność... Próbują nam narzucać swoje zasady gry.

– Nieprawda – przerwałam jej. – Wielu z tych, którzy tu przyjeżdżają, chce się wtopić w atmosferę Toskanii. Chcą ją poznać i przeżyć naprawdę.

– Wybacz, Karo, ale ja myślę inaczej – przerwała mi gwałtownie. – Toskania jest modna. Zawsze można się pochwalić, że się było w Toskanii. Jak Toskania, to chianti, limoncello, lawenda, kwitnące pola słoneczników, cyprysy, oleandry, gaje oliwne i winnice. I na tym koniec – mówiła coraz głośniej. – Jeszcze zabytki, Michał Anioł i Leonardo da Vinci... Nie ciekawi ich nic więcej. Mieszkańcy Toskanii i ich problemy interesują ich mniej od kupowanych różanych i lawendowych mydeł, mniej od oliwy z oliwek i chianti.

– Przesadza pani... – próbowałam trochę wyciszyć jej emocje. Przez przypadek dolałam oliwy do ognia.

– Nie przesadzam. To ty żyjesz w swoim świecie, niczego nie widzisz i nic nie rozumiesz – obruszyła się. – Jesteś ekscentryczna jak wszyscy artyści. Inaczej postrzegasz rzeczywistość. Nie lubię jeździć ani do Florencji, ani do Sieny –

mówiła rozdrażniona. – Tam trudno na ulicy zobaczyć rodowitego mieszkańca. Całe życie toczy się pod dyktando i w rytm turystów z całego świata. Jakaś makabra. Jakby nas podbili bez wypowiedzenia wojny. I teraz pomyśl, Karo, co stanie się w Fiano. Przez Sergrana oni pojawią się także u nas. To dramat, koszmar, nieszczęście. Po prostu tragedia – dokończyła już znacznie ciszej.

Właściwie to chciałam już wyjść. Coś zupełnie nie wyszła nam dzisiaj ta wspólna kawa. Z minuty na minutę udzielało mi się jej rozdrażnienie. Nic z ciepłego nastroju poranka.

– Czemu już idziesz? – Spojrzała na mnie zdziwiona. – Uraziłam cię moim gadaniem?

– Nie. Wszystko w porządku... Muszę trochę popracować.

– O co ty mnie pytałaś?

– O psa Sergrana.

– On nie miał psa.

– Wiem, już mi pani wcześniej powiedziała.

– Nie miał psa, odkąd wrócił do Fiano. Ja w każdym razie nie widziałam go z psem. Chociaż ludzie mówią, że kiedy przyjechał tu po raz pierwszy ze swoją żoną, to mieli z sobą psa. Takie duże, pocieszne psisko, które wszędzie im towarzyszyło.

– Nie wie pani, kto mógłby go pamiętać?

– Maria z apteki powtarza często, że kiedyś kupi sobie takiego psa, jakiego miał przed laty Sergrano. To ponoć był jakiś labrador czekoladowy. Wszystko jedno, co to znaczy.

Powiedziała, że to był labrador, i nagle udało mi się zlokalizować tego psa w pamięci. Takiego psa widziałam u zakonnic. Mignął mi za zasłonką wiszącą w bocznym korytarzu, kiedy siostra Bernadetta oprowadzała mnie po ośrodku. Leżał spłaszczony na podłodze i przyglądał mi się podejrzliwie. Czekoladowy labrador. Pewnie ten sam, który kiedyś przyjechał z Alessandrą i Antoniem do Fiano. Sergrano wyjechał i już nigdy więcej nie wrócił. Zostawił żonę. Jej choroba go pokonała, rzuciła na łopatki. Nie miał siły do niej wrócić. Zaczął życie od nowa. Wyparł z pamięci fakt, że ona żyje. Śpiączkę przyjął za śmierć i na swój sposób już pochował Alessandrę. To jestem w stanie zrozumieć. Ale czy zostawiłby ukochanego psa? To już zupełnie nie trzyma się kupy. Siostra Bernadetta powiedziała, że nie nam oceniać. Nie wiem tylko, czy nie oceniać to znaczy też nie starać się rozumieć. Miałam wrażenie, że to musiała być zupełnie inna historia. Z minuty na minutę byłam o tym coraz bardziej przekonana.

– I jak tam?

Telefon odebrałam automatycznie. Nie spojrzałam, kto dzwoni. Nagle w mój

poranek wdarł się głos Wojtka. Nie pomyślałam, że to on może dzwonić. W końcu minęło już wiele tygodni, odkąd wyjechał z Toskanii, i jakoś jeszcze nie zadzwonił. Ostatnia wiadomość, którą od niego dostałam, to był krótki SMS wysłany, kiedy dojechał do domu. Ten SMS zawierał jedno jedyne słowo „dojechałem”. Dzwoniłam do niego trzy tygodnie temu. Nie oddzwonił. Teraz nagle usłyszałam jego głos w słuchawce. Serce nie zabiło mi mocniej ani świat nie zakręcił się dookoła. Nic z tych rzeczy. Wyleczyłam się chyba z tych emocji. Czulałam tylko zdziwienie i zaskoczenie. Nawet nie byłam ciekawa, dlaczego dzwoni. Usiadłam na stołku i przyglądałam się żółtym plamom na ścianie, które nareszcie powoli zaczęły się przeradzać w dzieło *Emocje ukryte w kolorze żółtym*. Nie odłożyłam nawet pędzla. Nie spodziewałam się dłuższej rozmowy. Bo niby o czym? O niezrozumieniu? Odmienności interesów? Wypaleniu emocji? Przeszłości? Te emocje nie były wiele warte, skoro wszystko się skończyło i nic nawet nie zabolowało.

– I jak tam u ciebie? – powtórzył.

– Dobrze – odpowiedziałam odruchowo. – Normalnie. Bez dużych wzlotów, ale też bez upadków – dodałam pogodnie. – Przygotowuję wystawę, maluję na ulicach, tworzę ilustracje do modlitewnika dla proboszcza z Pitigliano i zakładki ze świętą Elżbietą dla ośrodka pomocy prowadzonego przez siostry elżbietanki, pijam kawę z panią Mornetti, wysypiam się do woli, nie spotykam się z żadnymi facetami... Po tamtym nadmiarze wrażeń postanowiłam na razie skupić się na sztuce.

– Co ty powiesz... Niesamowite. Jakby cię ktoś odmienił. Mówisz poważnie? – Zabrzmiało to ciepło.

– Najpoważniej.

– Cisza, spokój, stabilizacja – wszedł mi w słowo. – Nic z szalonej Toskanii?

– Nic z szalonej Toskanii – powtórzyłam za nim.

– Nic z szalonej Karoliny?

– Nic. Spoważniałam.

– To pewnie trochę nudno.

– Nie narzekam. Pasuje mi ta nuda. Wcześniejszy nadmiar wrażeń przerodził się w zamach samobójczy na moje życie.

– A więc wybrałaś nudę – skwitował. – Nie wierzę.

– No widzisz, a jednak mnie nie znasz – powiedziałam zaczepnie.

– Kiedy wystawa? – Udał, że nie usłyszał.

– Na początku września. Marek będzie musiał przyjechać do Toskanii już w końcu sierpnia. Właściwie wszystko jest już gotowe i w każdym szczególe zaplanowane. Od wernisażu otwierającego wystawę po zamykającą ją aukcję – mówiłam szybko. Drażniło mnie milczenie zapadające pomiędzy poszczególnymi wypowiedziami. Przerwy stawały się coraz dłuższe, coraz bardziej męczące. –

Właściciel galerii jest dobrej myśli. Pomysł marketingowy goni pomysł. W prasie pojawiły się już krótkie informacje. Powoli pojawiają się reklamy na billboardach. Mam przeczucie, że będzie dobrze.

– Będzie dobrze, też tak myślę. A co potem?

– Jak to: co potem? Mam nadzieję, że sukces przełoży się na kolejne wystawy i kolejne propozycje, że pchnie nas z Markiem do przodu, że otworzy przed nami nowe możliwości.

– Nie o to pytam.

– A o co? – spytałam zdziwiona.

– Pytam o twoje plany.

– Przecież właśnie ci o nich mówię.

– Zostajesz w Toskanii czy wracasz do Polski? – spytał obojętnym głosem.

W tonacji rozmów o minionym dniu pracy, o pogodzie, o planach na nadchodzący weekend... We mnie też wszystko było obojętne, stonowane, pozbawione emocji i szare. Chyba wypaliło się we mnie wszystko. Nie zostało nic w środku. Nie było zgliszcz ani ruin. Nie było nawet popiołu. Dawne emocje zastąpiła poprawnie wyważona, nudna obojętność.

– Wyjeżdżam z Toskanii. To już postanowione. Nic mnie tu już nie będzie trzymać.

– Wracasz do Polski? – spytał obojętnie.

– Nie mam po co wracać do Polski.

Nie zaprzeczył. Nie przekonywał. Nie mówił, że na mnie czeka. Przełknął to gładko, jakby jemu też było to na rękę.

– Dokąd się wybierasz? – udął zainteresowanie.

– Jadę do Pragi. Mam propozycję pracy na praskiej Akademii Sztuk Pięknych, będę prowadzić własną pracownię malarską. Pod koniec tego roku będziemy mieli z Markiem wystawę w Pradze. Mam nadzieję, że Markowi spodoba się ten pomysł...

– Przyjadę na waszą wystawę do Florencji – powiedział kamiennym głosem.

– Obiecałem to Markowi. Bardzo mnie o to prosił.

– Chyba żartujesz! – Pani Mornetti wpadła w bezdech, mrugała nerwowo oczami, przyglądała mi się w osłupieniu, przestępowała nerwowo z nogi na nogę.

– Nie żartuję – odpowiedziałam. – Od października zwalniam mieszkanie. Nareszcie będzie miała pani spokój. Żadnego malowania po ścianie. Wszędzie ład i porządek. Żadnego smrodu przypalonego mleka. Żadnej za głośnej muzyki. Żadnych niezrównoważonych psychicznie znajomych. Żadnych pałających się po domu obcych facetów...

– Poczulaś się urażona przez to moje głupie gadanie o cudzoziemcach? –

spytała.

– Nie, skądże – zaprzeczyłam gwałtownie. – Każdy ma prawo mieć swoje zdanie.

– To skąd nagle taki pomysł?

– Wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz z Fiano? Chcesz zamieszkać gdzie indziej? Przestało ci się u nas podobać? Znudziłeś ci się? Zateśniłaś nagle za wielkim światem? – Pytanie gonilo pytanie. Powietrze stało się aż ciężkie od znaków zapytania.

– Wyjeżdżam z Toskanii.

– Ale dlaczego? – Patrzyła na mnie zdziwiona i nie mogła zrozumieć. – Mówiłaś zawsze, że kochasz Toskanię, że zostaniesz tutaj na dłużej... Kiedyś nawet słyszałam od ciebie, że Toskania to twoje miejsce na ziemi i że zostaniesz tutaj na zawsze, a teraz nieoczekiwanie mówisz, że wyjeżdżasz. Nic z tego nie rozumiem. Usiądź spokojnie! Wypij kawę, zjedz rogalika, przemyśl to jeszcze raz. Może spadł ci poziom cukru i dlatego mówisz takie brednie. Przecież to, co mówisz, jest głupie i nielogiczne. Zupełnie, moim zadaniem, pozbawione sensu.

– Niedługo nic mnie już nie będzie trzymać w Toskanii.

– Jak to: nic? – spytała zdziwiona. – O czym ty mówisz? To jakieś brednie.

– Wystawa zaczyna się na początku września. Potrwa miesiąc.

– I co z tego?

– Nic. Sama pani mówiła, że nie mogę wiecznie malować na ulicach. Znowu przyjdzie jesień i zima. Będzie zdecydowanie mniej turystów... – bredziłam bez sensu. – Dostałam propozycję stałej pracy – wydusiłam z siebie.

Spojrzała na mnie uważnie. Obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Wracasz do swoich? – spytała. – Wracasz do tego swojego byłego, wyblakłego i pozbawionego iskry bożej faceta?

– Nie, jadę do Pragi.

Wydawało mi się, że jej nagle ulżyło, chociaż zupełnie nie rozumiałam dlaczego.

– To daleko – powiedziała po chwili.

– Nie tak daleko, będę przyjeżdżała do Toskanii na wakacje.

Nagle poczułam się lepiej. Najtrudniej jest podjąć decyzję. Podjęłam ją i nagle zaczęłam się bardzo cieszyć na ten mój wyjazd do Pragi. Rozповідаłam o nim naokoło. Opowiadałam o nim wszystkim.

Mijały dni. Dni układały się w tygodnie. Tygodnie zaczęły się układać w miesiące. Żyłam już tylko zbliżającą się wystawą. Każdego dnia pędziłam do Florencji do galerii. Obrazy już wisiały na ścianach. Zaproszenia były wysłane. Każdego dnia pojawiały się jakieś drobiazgi, które wymagały omówienia. Wczoraj

były to kwiaty. Pomysł wydawał się prosty. Postanowiliśmy umieścić w korytarzu prowadzącym do sal wystawowych duży bukiet kwiatów jako dekorację. Samotny bukiet w olbrzymim szklanym wazonie ustawionym na wysokim na półtora metra sześcianie granitu. Ta kompozycja miała załamać pustą przestrzeń korytarza, zdziwić, zaskoczyć, zainteresować, wprowadzić w odpowiedni nastrój. Zadzwonili z galerii z pytaniem, jakie to mają być kwiaty. Pozornie proste pytanie zrodziło mnóstwo wątpliwości i zaprzątnęło moje myśli na wiele godzin. Po pierwsze, żaden kolor kwiatów nie powinien być w tym bukiecie dominujący. Po drugie, kwiaty powinny być odpowiednio duże. Po trzecie, powinny być w barwach prezentowanych na obrazach. Są obrazy przedstawiające emocje związane z kolorem czarnym i brązowym. Nie ma takich kwiatów. Sztuczne kwiaty dodane do bukietu obok żywych od razu staną się dominujące. Siedziałyśmy nad tym z florystką pół nocy. Wybrałyśmy długie eustomy, z których każdą z osobna maczałyśmy w roztopionych kolorowych woskach. Wosk zastygał na kwiatach. Usztywniał je, nadawał odpowiedni kolor. Powstał niespodziewanie bukiet sam w sobie zaskakujący. Bukiet jak dzieło sztuki. Ciekawa byłam, jakie będzie kolejne nietypowe wyzwanie. Do galerii jeździłam ubrana w ciuchy od Franceski. W tych ubraniach odgrywałam rolę młodej malarki, która nagle złapała wiatr w żagle i której skrzydła urosły u ramion. Dla mnie zaczęła się teraz liczyć tylko ta wystawa. To było moje być albo nie być. Chciałam zainteresować nami krytyków, zaistnieć, zacząć bywać, stać się rozpoznawalną wśród innych artystów. Przełożyć sukces na następne wystawy. Zostać malarką, której obrazy zapiszą się na stałe w historii nowych trendów we współczesnym malarstwie. Postawiłam na sukces. Wierzyłam w niego, przyciągałam go dobrymi myślami, czarowałam całą sobą. Z Markiem bywało różnie. On był nastawiony sceptycznie. Miewał chwile zwątpienia.

– Żeby nas tylko nie uhonorowali medalem złotego gówna za najbardziej gównianą wystawę roku – palnął kiedyś przez telefon. – Do odebrania tej nagrody jedno z nas wystarczy. Ty, Karo, jesteś na miejscu. Może oszczędzę sobie kosztów i nie przyjadę?

Innym razem zapytał mnie, co zrobię, jeśli nikt nie przyjedzie na tę naszą charytatywną aukcję kończącą wystawę.

– Karo, jak będziemy wtedy wyglądać w oczach tych twoich zakonnic? Poczują się koszmarnie rozczarowane. One liczą zapewne na tę kasę – tłumaczył mi. – Przecież one nie wiedzą, że to wszystko jest palcem na wodzie pisane, a ty jesteś zdrowo kopnięta.

Zadzwoił do mnie przedwczoraj późnym wieczorem. Padałam już ze zmęczenia. Siedziałam w fotelu i próbowałam w nim nie zasnąć. Nie miałam siły wstać i pójść się rozebrać. Umycie się pod prysznicem wydawało mi się wyzwaniem z pogranicza sportów ekstremalnych, a przygotowanie kolacji czymś

niemożliwym. Dogorywałam po pełnym pracy dniu. Dogrywałam catering, pisałam swoje wystąpienie na otwarcie wystawy, z projektantką wewnątrz ustawiałyśmy lampiony... Nigdy nie przypuszczałam, że to mogą być tak obciążające psychicznie i fizycznie zajęcia. Po tym zwariowanym dniu nawet droga do łóżka wydawała mi się nie do pokonania. Kiedy zdecydowałam się spać w fotelu, zadzwonił Marek.

– Karo, a może zrobimy coś zupełnie szalonego? – zaczął bez żadnego wstępu.

– O czym myślisz? – Spróbowałam się rozbudzić. Nie byłam pewna, czy on dzwoni naprawdę, czy ta rozmowa należy już do snu. Marek jest poukładany, poważny, systematyczny, przewidywalny. Robienie rzeczy szalonych nie leży w jego naturze. Na rozmowy o czymś szalonym byłam tego dnia za bardzo zmęczona i było na nie już zdecydowanie za późno.

– Jak się ubierzesz na wernisaż? – spytał.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz?! – powiedział głośno. – To przecież już za dwa tygodnie.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Może jutro o tym porozmawiamy...? Jestem potwornie zmęczona.

– Włóżysz długą zgrzebną spódnicę? – Nie dał się zbyć. – A włosy spleciesz w dredy, jak na naszej pierwszej wspólnej wystawie?

– Nie. To już inne czasy. – Szczypałam się w nogę, żeby tylko nie zasnąć.

– No to jak się ubierzesz? W końcu musimy do siebie z grubsza pasować. Ja nie mam zgrzebnych spodni... Anna powiedziała, że mi ich nie kupi.

– Nie wiem. Myślę, że wybiorę coś eleganckiego, ale odrobinę prowokującego, przyciągającego wzrok, pobudzającego wyobraźnię... Coś, co może zachwycić, ale też zbulwersować. Coś, co powinno wzbudzić emocje, zapaść w pamięć wernisażowych gości.

– Zmienili cię jednak ci Włosi... – wszedł mi w słowo. – Wojtek pokazał mi twoje zdjęcia w Internecie. Może zamiast naszych obrazów zaprezentujemy twoje fotografie?

– Bredzisz! – przerwałam mu gwałtownie. Myśl, że Wojtek pokazał mi tamte zdjęcia, rozbudziła mnie zupełnie. Szlag mnie od razu trafił.

– Trzeba byłoby tylko dorobić jeszcze parę zdjęć z tym włoskim kochasiem – brnął dalej Marek. Nie wyczuł, że jestem naprawdę wściekła. – Zmienić tytuł na *Przeleć mnie*. Wystawa przyciągnie tłumy... Do tego można przygotować fotki na autografy. To będzie hit jesiennej Florencji.

– Przestań! – warknęłam. – Jesteś okropny! Zachowujesz się jak palant! Dzwonisz do mnie w środku nocy i mnie drażnisz.

– Żartowałem. Przepraszam – wycofał się przestraszony. – Zżerają mnie już nerwy – powiedział przepraszająco. – Swoją drogą super wyglądasz na tych

zdjęciach. Naprawdę. Mówię ci to jako facet, nie jako przyjaciel – plół bez sensu. – Sam bym sobie takie zdjęcie powiesił w pracowni. To byłoby antidotum na starość, szarość i nudę. Taki zastrzyk witalnej energii...

– Nie chcę rozmawiać o tych zdjęciach – ucięłam krótko. – Jeżeli chcesz o tym rozmawiać, to się rozłączam. Temat nawet nie leży obok tematu „wystawa”. Tamte zdjęcia to moja prywatna sprawa, jak twoją prywatną sprawą są malowane przez ciebie akty.

– Przepraszam – burknął pod nosem. – Nie o tych zdjęciach chciałem z tobą rozmawiać.

– To o czym?

– Chciałem się tylko dowiedzieć, w co się ubierzesz na wernisaż – nie dawał za wygraną.

– Chyba włożę szafirową sukienkę z tej kolekcji, którą widziałeś w Internecie.

– Poczekaj, mam włączony komputer, zaraz popatrzę.

Trwało to całą wieczność. Miałam wrażenie, że zaraz zasnę. On patrzył, a mi się oczy zaczęły ze zmęczenia znowu zamykać.

– Mam! – Głos Marka wydarł mnie ze szponów snu. – Znalazłem w tej kolekcji tylko jedną szafirową sukienkę. Jest uszyta z bardzo przewiewnej tkaniny. Materiał ma intensywny kolor, jest na tyle cienki, że pozwala zobaczyć twoje uda i koronkową czarną bieliznę. O tej kreacji mówisz?

– O tej – burknęłam. – I co o niej sądzisz?

– Poczekaj! Niech się jeszcze przyjrę. Majtki są w porządku. Biustonosz pobudzający wyobraźnię, koronkowy. Jak dla mnie mógłby być jeszcze odrobinę bardziej skąpy, mocniej wykrojony, trochę bardziej uwalniający piersi.

– O czym ty znowu mówisz? – warknęłam. – Coś ci się dzisiaj stało w głowę?

– Zapytałaś, co o tym sądzę. Mówię o moich wrażeniach... Patrzę na ciebie w tej sukience jak na dzieło sztuki. Zastanawiam się, co bym poprawił...

– Nic nie będę poprawiać – odpaliłam. – Nie jestem dziełem sztuki. Jestem twoją koleżanką, z którą tworzysz wystawy.

– Co ty dzisiaj jesteś taka drażliwa? – zapytał zaskoczony.

– Nie drażliwa, tylko zmęczona. Nie mam siły słuchać bredni. Nic nie zmienię w tamtej sukience – wróciłam do przerwane go tematu.

– Nie musisz nic zmieniać Tak tylko sobie gadam... Wszystko jest fantastyczne. Sukienka jest lekko rozkloszowana na biodrach, opina się na twojej talii, śmiałym dekoltem odsłania odważnie piersi, kończy się nad kolanami. Dół wydaje się tańczyć przy każdym twoim ruchu. Ta sukienka jest idealna – mówił wolno, jakby analizował każdy szczegół. – Na ten wieczór będzie wymarzona. Pasuje do mojego pomysłu... Ewentualnie tylko pomysł o tej bielinie – dorzucił

niepewnie.

– O jakim pomysle ty mówisz? – Zaintrygował mnie. Nagle zaczęła mnie zżerać ciekawość.

– Zaraz ci powiem. Poczekaj jeszcze momencik... Musisz jeszcze do tej kiecki dobrać odpowiednie buty. Na tym zdjęciu jesteś na boso. Mamy koniec lata. To muszą być jakieś sandały na wysokim obcasie. One podkreślą twoje nogi, sprawiają, że będą się wydawały jeszcze dłuższe. Musisz dokupić do tego jakieś ciemnoszafirowe wdzianko. Narzucisz je na wierzch na ten oficjalny początek, żeby na wstępie nie zbulwersować kogoś, nie uderzyć zbyt mocno w pruderię i drobnomieszczańskie obyczaje... – Mówił powoli, zastanawiał się. – Potrafię to sobie już wyobrazić. Będzie świetnie – dodał po chwili. – Wszystko będzie pasowało idealnie.

– O czym ty mówisz? – dopytywałam.

– O moim pomysle.

– Powiedz coś o nim nareszcie!

– Wyobraź sobie, że ty masz na sobie tę sukienkę, a ja jestem w smokingu. Smoking nie jest czarny, tylko grafitowy. Po oficjalnym otwarciu wystawy wychodzimy na ulicę. Przed galerią stoją sztalugi. Na nich płótna. Ja maluję wariacje na temat szafiru twojej sukienki, a ty na temat grafitu mojego smokingu i bieli mojej koszuli. Tworzymy na oczach idących ulicą ludzi. Tamtędy przewalają się zwykle tłumy. Myślę, że przyciągniemy wzrok wielu. Będzie to swoiste zaproszenie na wystawę.

– Oszalałeś? Wypiłeś coś? Zapaliłeś trawkę? Uderzyłeś się w głowę?

– Dlaczego? – spytał zdziwiony.

– To dla ciebie nietypowe.

– Raz kozie śmierć – stwierdził nieoczekiwanie. – Może nie będę miał nigdy więcej okazji malować na ulicach Florencji.

– Piłeś? – zapytałam jeszcze raz.

– Nie.

– Ćpałeś?

– Nie – zaprzeczył gwałtownie.

– To skąd nagle u ciebie taki szalony pomysł?

– Ty, Karo, masz dwadzieścia sześć lat. Ja znacznie więcej. Dla mnie to takie „teraz albo nigdy”.

Zatrzymałam się tuż przy kiosku. Zahamowałam tak gwałtownie, że anioł stróż wiszący przy przednim lusterku rozkołysał się na dobre, a idąca chodnikiem starsza kobieta odwróciła się przerażona, słysząc tuż za sobą pisk hamulców. Jechałam do galerii. Byłam już odrobinę spóźniona. Umówiłam się z florystką.

Postanowiłyśmy, że przy każdym obrazie powiesimy po jednym z kwiatów pokrytych kolorowym woskiem, dzięki czemu bukiet postawiony tuż przy wejściu do galerii stanie się nierozzerwalną częścią wystawy. Wczoraj udało mi się kupić w Sienie kawałek tiulu. Brakowało mi tylko szpilek. Pomyślałam, że Marco miewa w kiosku dziwne rzeczy. Może będzie miał i szpilki? Chciałam kawałkiem białego, cieniutkiego jak mgiełka tiulu złamać surowość granitu, na którym stał już wazon z pokrytymi woskiem kwiatami. Tiul miał lekko osłaniać bukiet, sprawić, że stanie się on jeszcze bardziej tajemniczy, jeszcze mniej dopowiedziany, a drugim końcem będzie opadać na bryłę granitu. Do upięcia materiału potrzebowałam szpilek.

– Prawie zapomniałem, że ty tu jeszcze mieszkasz... – Marco przywitał mnie chłodno. Obrzucił niechętnym, wręcz wrogim spojrzeniem.

– Szykuję wystawę. Jestem bardzo zajęta – zaczęłam się tłumaczyć.

– I co z tego? – burknął. – Czy to coś zmienia?

– Nic – stwierdziłam zdziwiona.

– No właśnie... Wielka artystka i znajomi z jakiegoś tam Fiano – powiedział z żalem. – Dwa światy, które nagle przestały do siebie pasować...

– Ugryzło cię coś, że tak głupio gadasz?

– Nie.

– To co tak cudaczysz? – warknęłam poirytowana. – Zachowujesz się, jakby coś ci się stało w głowę.

Nie odpowiedział. Zaczął poprawiać czasopisma na półce. Nawet nie patrzył w moją stronę. Poczułam się paskudnie.

– Tyle się działo. Później nie mogłam ochłonąć – zaczęłam się tłumaczyć. – Kiedy zabrałam się do pracy, zostało mi już za mało czasu. Tyram od rana do nocy. Wracam do Fiano coraz później. Śpię coraz krócej. Jadę do Florencji coraz wcześniej. Trudno mi z wszystkim zdażyć. Przerosło mnie to.

– Pani Mornetti powiedziała, że do niej też już prawie nie zaglądasz. Ponoć wyjeżdżasz po zakończeniu wystawy.

– Nikt tu nie będzie po mnie płakał.

– Jesteś tego pewna? – Podniósł na mnie wzrok. – Jest wielu ludzi, którzy cię lubią. Na swój sposób są z ciebie dumni. Utożsamiają cię z Fiano. Poczują się zawiedzeni.

– Nie mam kasy – powiedziałam szczerze. – Idzie zima. Nie dam rady malować na ulicach. Dostałam stałą pracę. Wyjeżdżam. Na pewno będę przyjeżdżać do Toskanii... – zaczęłam się tłumaczyć.

– Rozumiem – burknął pod nosem. – Szara rzeczywistość. Brak kasy niszczy wszystko, nawet przyjaźń. A czego potrzebujesz dzisiaj?

– Pudełka szpilek.

– Szpilek? – zapytał zdziwiony. – Znowu chcesz wbijać coś w ścianę...?

Po jego twarzy przebiegło coś na kształt uśmiechu.

- Tym razem tylko szpilki? – zapytał z ironią. – Żadnych żyłek?
- Nie chcę niczego wbijać w ścianę. Chcę upiąć kawałek tiulu.
- Kawałek tiulu? – Spojrzał na mnie zdziwiony. – Tiul kojarzy mi się tylko z suknią ślubną. Wychodzisz za mąż?
- Nie. Wiedziałbyś o tym. Muszę owinąć w tiul kawałek granitu.
- Granitu?
- Granitu.
- Nikt nie nadaży za artystami – skwitował. – To inni ludzie...

Wychodziłam już ze szpilkami w rękę, kiedy usłyszałam, że coś jeszcze mówi za moimi plecami.

– Idiotyczny jest ten werdykt sądu dotyczący ostatniej woli Sergrana. Urzędnicy to pojeby!

Stałam jak wryta. Zupełnie o tym zapomniałam. Gdzieś wśród przygotowań do wystawy oddaliło się i wyblakło wszystko, co dotyczyło Antonia Sergrana.

- Nic nie wiem – wykrztusiłam. – O niczym nie słyszałam.
- Mówiłem pani Mornetti, żeby ci powiedziała.
- Nic nie mówiła.
- Zapewne cię nie widziała. Późno wracasz do domu. Ona chodzi wcześniej spać – spekulował. – Kolejny raz mam wrażenie, że światem rządzą popierdoleńcy. Wyobraź sobie, że sąd uznał ważność tego późniejszego testamentu. Tego, w którym Sergrano pozostawiał cały swój majątek żonie, pod warunkiem, że w momencie jego śmierci będzie ona w stanie zarządzać tym majątkiem i korzystać z niego w sposób świadomy. W innym przypadku przekazywał dziesięć procent na opiekę nad żoną aż do jej śmierci, a resztę przekazywał Marii Vricessi.
- Żartujesz? – Wpadłam w bezdech. – Dlaczego?!
- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Sam prawie przeoczyłem tę informację. Notka była krótka. Podana w kronice towarzyskiej. Nikt się nawet na ten temat nie rozpisywał. Myślę, że dziennikarze wymiękli. Sąd jest sądem. Sąd chyba nie musi się tłumaczyć, tym bardziej że od werdyktu nie ma kto się odwołać.

Przerosło mnie upinanie materiału na bryle granitu. Wydawało mi się, że z nerwów rozerwę ten tiul na kawałki. Chyba już z dziesiąty raz drapowałam tkaninę za pomocą mnóstwa szpilek. Nadal nie byłam zadowolona. Trudno tiulem ożywić kamień. Właśnie podniosłam się z kolan, żeby zobaczyć swoje dzieło z pewnej perspektywy, kiedy usłyszałam dźwięk SMS-a. Po krótkiej chwili nadszedł drugi. „Tylko nie dzisiaj” – pomyślałam z niechęcią. Nie chcę teraz żadnych SMS-ów, które znowu zaburzą rytm przygotowań, żadnych słów, które wedrą się przebojem w moje życie, żadnych wypraw na cmentarz, kolacji

z inspektorem Brossim, wyjazdów do Alessandry... Nie pragnę żadnych gier słownych dotyczących miłości. Nie chcę niczego, co mnie zdekongcentruje, oderwie od pracy, zajmie moje myśli, wprowadzi mętlik w mojej głowie. Nie mam na to czasu. Nie mam czasu nawet się podrapać. Byłam w drodze z Sieny do domu, kiedy nadeszły dwa kolejne SMS-y. „Chyba zwariuję” – pomyślałam. Kupiłam w Sienie duży kawałek tiulu, tego samego, który rano upinałam na granitowym sześcianie stojącym na korytarzu w galerii. Zamierzam go użyć jako szala do tej szafirowej sukienki. Stanę się przez to jakby elementem ekspozycji. Nie będę wyizolowanym ze swej wystawy, stojącym z boku twórcą, lecz stanę się jej częścią. Zadzwoiłam do Marka. Opowiedziałam mu o tym pomysle. Był zachwycony. Ciekawość wygrała z rozsądkiem, dopiero kiedy wyszłam z wanny. Wycierałam włosy, kiedy nagle sobie o tych SMS-ach przypomniałam. Pierwszy jak zawsze był pusty. W drugim szereg liczb układał się w wiadomość: „Wysłałem Ci dzisiaj rano e-maila. Przeczytaj!”. Dwa razy wysłał tę samą wiadomość. Czyżby znał mnie aż tak dobrze, by przewidzieć, że nie od razu ją przeczytam? Czyżby wyczuł, że mam już dosyć tych tajemnic, niedopowiedzeń, niezrozumiałych zadań? Włączyłam komputer i odebrałam e-maila. Zrobiłam to, chociaż to było zupełnie idiotyczne. Dobrze wiedziałam, że tam będzie jakieś nowe zadanie, na które nie miałam teraz ani siły, ani czasu, ani ochoty. „Karo, pojedź do sióstr elżbietanek. Odwiedź Alessandrę. Po powrocie opowiadaj wszystkim, że Alessandra wybudza się ze śpiączki, że z nią rozmawiałaś. Opowiedz o tym koniecznie w kiosku, w piekarni, na plebanii, pani Mornetti, inspektorowi Brossiemu... Przekonaj o tym siostry zakonne. Piłka jest w grze. Już niedługo trafi do bramki. Chyba że się mylę i jestem idiotą. Nie daj się zwieść iluzji. Prawda ma zawsze drugie, trzecie, a może i czwarte dno. Nie ufaj nikomu!” Walczyłam z sobą całą noc. Nie zmrużyłam oka. Rozsądek nakazywał mi trzymać się od tego z daleka, przygotowywać wystawę, skupić się na sztuce. Serce podpowiadało coś zupełnie innego. Górę wzięły serce i emocje. W końcu rozsądna nie byłam nigdy. Postanowiłam pomóc Enricowi jeszcze ten jeden ostatni raz. „On mnie nigdy nie zawiódł – myślałam – więc i ja go nie zawiodę. On by mi pomógł, więc i ja muszę mu pomóc”. Podjęłam tę szaloną decyzję i od razu poczułam się lepiej. Wsiadłam rano do samochodu i pojechałam. „No cóż – pomyślałam – najwyżej zabraknie czasu i nie będzie tego szala na sukience”. W końcu to był tylko jakiś tam pomysł. Nic się nie stanie, jeżeli nie zostanie zrealizowany. Nie pójde do fryzjera i może lepiej, bo nie lubię sztuczności. Posiedzę wieczorem przed lustrem i wymyślę coś sama. Kiedy minęłam Sienę, nagle zaczęłam się cieszyć, że tam jadę. Nigdy nie przypuszczałam, że polubię pingwiny.

– Karo? Ty tutaj? Przecież za trzy dni otwarcie wystawy. – Siostra Bernadetta przyglądała mi się podejrzliwie. – Stało się coś? – spytała z lękiem.

– Nic się nie stało. Mam już powyżej dziurek w nosie tych przygotowań do

wystawy. Postanowiłam od tego wszystkiego jeden dzień odpocząć – skłamałam gładko. – Przywiozłam siostrze plakaty. Można je będzie powiesić na ścianie przy sklepiku. Na plakatach jest napisane, że aukcja odbędzie się na rzecz ośrodka. Pomyślałam, że mogą się przydać...

– Przydadzą się na pewno...

Patrzyła na mnie uważnie. Chyba nie uwierzyła, że przejechałam te trzysta dwadzieścia kilometrów tylko z powodu plakatów.

– Chciało ci się jechać do nas taki szmat drogi w ten upał? – spytała podejrzliwie.

– Chciałam też z siostrą porozmawiać. Wydarzyło się coś, co mi nie daje spokoju...

– Słucham. – Nie spuszczała wzroku z mojej twarzy.

– Słyszała siostra o uznaniu ważności drugiego testamentu Sergrana? – zapytałam.

– Słyszałam – powiedziała z ociąganiem. – Niezbadane są wyroki Boże... – dokończyła z kamiennym wyrazem twarzy.

– Siostra myśli, że Pan Bóg miał z tym coś wspólnego? – powątpiewałam.

– Nie wiem, Karo – powiedziała chłodno. – Wszystko, co się dzieje, dzieje się za sprawą Boga.

– Skoro siostra musi tak mówić... Ja nie muszę. To jest nielogiczne i niesprawiedliwe.

– Często nie rozumiemy wyroków Bożych. Nie nam je osądzać. My mamy wierzyć i ufać. Nie wolno nam podawać w wątpliwość – mówiła spokojnie, jakby sama siebie też chciała o tym przekonać. – Wykonawca testamentu dzwonił już do mnie w tej sprawie – dodała po chwili. – Zostanie założone konto, na które ma spływać dziesięć procent majątku Antonia Sergrana. Ma być stworzona jakaś rada, która będzie nadzorowała wydawanie tych pieniędzy. Chodzi o to, że one są tylko dla niej. Mamy księgować wszystkie wydatki. U nas nigdy tak nie było... Nie wiem, czy rozumiesz. – Podniosła na mnie wzrok. – Działamy dzięki fundacji, wspierają nas prywatni sponsorzy, same próbujemy pozyskiwać środki... To zawsze było dla wszystkich. Biednie, ale po równo. Przez całe lata na utrzymanie Alessandry nie wpływały żadne środki, a jednak niczego niezbędnego jej nie brakowało. Nie wiem, czy mnie rozumiesz?

Oczywiście, że ją rozumiałam. Poszłam do Alessandry. W końcu przyjechałam do niej. Zmieniło się tutaj trochę. Na wprost wejścia na oddział śpiączek wisi mój obraz *Życie Alessandry*. Ognista czerwień złamana gdzieniegdzie kolorem pomarańczowym przechodziła w spokojny błękit pociągnięty delikatnie chłodną szarością, z której wylaniały się lodygi i liście pierwszych kwiatów, rozsypujących się na obwodzie w prawdziwą wiosenną łąkę. Łąka wychodziła z obrazu i ciągnęła się wzdłuż całego korytarza, aż do ostatnich

drzwi, tych prowadzących do pokoju Alessandry. Byłam tutaj przed kilkoma tygodniami. Spędziłam u zakonnic weekend. Poznałam tajemnicę ośrodka, czekoladowego labradora, którego zostawił tutaj przed laty Sergrano. Spróbowałam tchnąć nadzieję w tę ich szarość. Udało się. Wiosenna łąka ciągnąca się przez cały korytarz pachniała nadzieją. Przeszłam wzdłuż tego kobierca z kwiatów i weszłam do pokoju Alessandry. Leżała pogrążona w śpiączce. Była gdzieś na bezdrożach pomiędzy życiem i śmiercią. Według siostry Bernadetty dobry Bóg jeszcze o jej losach nie zdecydował, dlatego tkwiła w tym stanie. Pozornie niewiele zmieniło się tutaj od ostatniego mojego pobytu, ale po bliższym przyjrzeniu się można było zauważyć różnice. Pościel miała inny kolor, jakby cieplejszy. Przez uchylone okno wpadały raz po raz powiewy letniego wiatru. Pojedyncze promienie słoneczne, którym udało się dotrzeć do środka, igrały na poduszce. Jak zawsze słychać było pracę pompy od antyodleżynowego materaca. Dzisiaj jej odgłos mieszał się z cichą muzyką. Jakiś solista śpiewał zachrypniętym głosem o miłości, która trwa wiecznie. „Pewnie taka była ta ich miłość – pomyślałam. – Antonio i Alessandra, Alessandra i Antonio, tak zapewne miało być na wieki”. Jak oni napisali w tym testamencie? Dokument rozpoczynał się słowami przysięgi małżeńskiej „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci”, rozszerzonymi o jedno zdanie: „i wspierać cię będę z wszystkich sił moich nawet po mojej śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszzechmogący w Trójcy jedyny i Wszyscy Święci”. Jak to możliwe, że on wyjechał i nigdy już tu nie wrócił? To jakieś brednie. Pojechał i zamieszkał sam w ich wymarzonym domu nieopodal Fiano. To przecież idiotyczne. Musiało być zupełnie inaczej. Przynęłam sobie krzesło do jej łóżka. Pogłodziłam muzykę. Delikatny podmuch wiatru poruszył zasłonę. Promienie słoneczne zaigrały na twarzy Alessandry, a w pewnym momencie przebiegł po niej grymas podobny do uśmiechu. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. A ona uśmiechała się, jakby nagle te promyki słońca albo ten podmuch wiatru przywiodły jakieś odległe wspomnienie. Powiedziałam o tym siostrze Bernadecie.

– Karo, to niemożliwe. – Bernadetta skupiła wzrok na mojej twarzy. – Ona się nie uśmiecha – mówiła powoli. – Jeszcze nikt nie widział, żeby się uśmiechała.

– Widziałam to wyraźnie – weszłam jej w słowo.

– Jesteś zmęczona. Musiałaś na chwilę zasnąć i przyśniła ci się uśmiechnięta Alessandra.

– Nie spałam. Siedziałam na krześle przy jej łóżku. Nagle od otwartego okna powiał lekki podmuch wiatru. Poruszyła się zasłona. Promienie słoneczne wpadły do środka. Jasne smugi przebiegły po jej twarzy. Na chwilę pogłodziłam odtwarzacz. Chciałam usłyszeć słowa tej piosenki. Myślałam, że to piosenka chwalać Boga, a ona była o ludzkiej miłości. Przyglądałam się twarzy Alessandry, bo dzisiaj wyglądała ładniej. Pomyślałam, że pastelowy kolor pościeli na łóżku

ocieplił kolor jej skóry. Dzisiaj jej twarz nie wydawała mi się tak woskowo blada. Patrzyłam na nią, a po jej twarzy przebiegł uśmiech.

– Karo, przykro mi, ale to niemożliwe – powtórzyła siostra Bernadetta. – Wiem, że bardzo byś chciała...

– Ja to widziałam naprawdę – próbowałam ją przekonać.

– Ona śpi już parę lat. W wyniku wypadku doszło do rozległego uszkodzenia mózgu. Powstał olbrzymi krwiak. Miała trepanację czaszki. Neurochirurdzy ewakuowali krew. Powiało optymizmem. Potrzymano ją dwa tygodnie w śpiączce farmakologicznej i wszyscy wierzyli, że będzie można ją wybudzić. Na początku nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego się nie udało. Ponoć przyczyną było rozległe stłuczenie pnia mózgu. Tego nie było widać w pierwszym rezonansie. To pojawiło się później. Ona ma rozległe zmiany zanikowe w wyniku stłuczenia pnia mózgu. Ona nie może się obudzić. Tylko dobry Bóg wie, dlaczego trzyma ją jeszcze przy życiu.

Najpierw zadzwoniłam do Marca. W końcu miałam powiedzieć wszystkim, że Alessandra Sergrano się budzi. Kiosk Marca świetnie nadaje się do rozpowszechniania tego typu wiadomości.

– Karo? Zabrakło ci szpilek? Mam zamówić? – Nie dopuścił mnie do głosu. – Przemyslałam wszystko. Czepiam się niesłusznie. Przepraszam – mówił szybko. Bał się, że mu przerwę. – Ta wystawa jest bardzo ważna. Mam nadzieję, że nie gniewasz o to, co mówiłem wczoraj.

– Szpilek wystarczyło. Nowych nie potrzebuję. Nie gniewam się – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

– To dlaczego dzwonisz? – zapytał zdziwiony. – Stało się coś?

– Byłam u sióstr elżbietanek podrzucić plakaty. Wyobraź sobie, że Alessandra Sergrano się budzi.

– Żartujesz... – Wpadł w bezdech. – Niemożliwe, krzyczeliby o tym w prasie.

– Nikt o tym jeszcze nie wie. Jesteś pierwszą osobą, której to mówię. Usiadłam na chwilę koło niej, a ona zaczęła się uśmiechać. Pomyślałam, że mi się wydaje. Zawołałam jedną z sióstr, była to bodajże siostra Klara – kłamałam jak najęta. – Ona mi powiedziała, że to zdarza się coraz częściej i że czasami Alessandra otwiera oczy. Siostry każdego dnia wnoszą modły za przebudzenie. Na razie boją się nalotu dziennikarzy, więc trzymają to w tajemnicy. Ja je rozumiem. Ale ona się budzi. Na mnie też dzisiaj popatrzyła – brnęłam dalej w nieprawdę. – Wyobrażasz sobie taką rewelację?

– Niemożliwe – powiedział sceptycznie. – To jakieś bzdury.

– Mówię prawdę. Zadzwoniłam do ciebie, bo pomyślałam, że się ucieszysz.

Rozłączyłam się pospiesznie, nim zaczął mówić, że się cieszy. Byłam pewna, że zanim wrócę wieczorem do Fiano, wiadomość rozejdzie się po miasteczku lotem błyskawicy i dosięgnie każdego mieszkańca.

Wybrałam numer telefonu inspektora Brossiego.

– Inspektor Roberto Brossi. Słucham – zabrzmiało chłodno w słuchawce.

– Karolina Bielawska.

– Nie teraz – powiedział pospiesznie. – Teraz nie mogę rozmawiać. – Powiało dystansem i chłodem. – Zaraz do pani oddzwonię.

Zadzwoił po chwili.

– Przepraszam. Prowadziłem odprawę. Nie mogłem rozmawiać – tłumaczył się.

– Nic nie szkodzi.

– Zadzwoiła pani tak niespodziewanie. Stało się coś? – dopytywał. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Chciałam tylko przypomnieć, że za trzy dni jest wernisaż.

– Pamiętam. Jak bym mógł zapomnieć? – zapewnił ciepło i przyjaźnie. – Czuję się zaszczycony. Nigdy jeszcze nie byłem zaproszony na otwarcie wystawy. Jest pani w galerii? Może krótka przerwa? Z przyjemnością zapraszam panią na kawę.

– Dopiero jadę do galerii. Mam około stu kilometrów do Florencji. Wracam z Rzymu. Byłam u sióstr elżbietanek.

– Nowe pomysły? Tak tuż przed wystawą? Pani jest niesamowita – bredził bez sensu. – Wszystkich na pani miejscu zżerałyby już nerwy, a pani robi sobie wycieczkę do Rzymu.

– Zawiozłam siostronom plakaty informujące o aukcji na rzecz ośrodka.

– Nie łatwej było wysłać pocztą? – zdziwił się. – Nie byłoby to tak męczące. Ominęłoby panią stanie w ten upał w korkach...

– Nie żałuję – przerwałam mu. – Spotkało mnie tam coś niesamowitego.

– Niechaj zgadnę – odparł rozbawiony. – Siostry poczęstowały panią kawą i upiekły na pani przyjazd ciasto?

– Kawę wypłam i ciasto zjadłam, ale ja nie o tym mówię. Mówię o emocjach.

– Emocje u zakonnicy? – zapytał z niedowierzaniem. – Niemożliwe. To byłoby coś z pogranicza cudu. U nich wieje chłodem. Kamienny wyraz twarzy, ciało ukryte pod habitem i znak krzyża. W zakonie nie ma miejsca na emocje.

– A jednak się pan myli. Przeżyłam dzisiaj sporo wzruszenia i mnóstwo radości.

– Trudno mi jakoś w to uwierzyć.

– Proszę sobie wyobrazić, że Alessandra Sergrano się budzi – zakomunikowałam radośnie. Kłamało mi się coraz łatwiej. Chyba we wszystkim

można dojść do wprawy. To tylko kwestia liczby powtórzeń. Za chwilę będę tak przekonująco kłamać, że sama w to uwierzę.

– Niemożliwe – skwitował krótko. – Siostry sieją plotki.

– Siostry nie mają z tym nic wspólnego. To ja siedziałam dzisiaj przy Alessandrze. Poszłam do niej. Chciałam spojrzeć na nią przez pryzmat tego mojego obrazu *Życie Alessandry*.

– I co? – Nieoczekiwanie zaczął mnie ponaglać.

– Wiatr powiał przez lekko uchylone okno, ciepłe promienie słoneczne zatańczyły na jej twarzy i ona uśmiechnęła się przez sen. Sądziłam, że to pewnie skurcz mięśni ułożył się na jej twarzy w grymas podobny do uśmiechu. Posiedziałam przy niej trochę. Pomyślałam, że to gra mojej wyobraźni. Sam pan rozumie.

– I zapewne tak było – wszedł mi w słowo. Zabrzmiało to oschle i nieprzyjemnie.

– Nie było – przerwałam mu zdecydowanie. – Było zupełnie inaczej.

– Chyba pani sama nie wierzy w to, co mówi? To jakieś brednie.

– Już zbierałam się do wyjścia, kiedy ona otworzyła oczy. Próbowwała ze mną rozmawiać – kłamałam gładko. – To była jedna z najbardziej wzruszających chwil w moim życiu. Coś niesamowitego.

Dobiegała dziesiąta, kiedy wracałam z galerii. Światło sączyło się wąską smugą spod lekko uchylonych drzwi mieszkania pani Mornetti. Nie miałam wyjścia. Zapukałam. Byłam pewna, że albo ja do niej teraz wejdę, albo ona przyjdzie do mnie za pięć minut. Pomyślałam, że jestem tak zmęczona, że wolę być gościem niż gospodynią. Stracę mniej czasu.

– Słyszała pani dobrą nowinę?! – krzyknęłam od drzwi.

– Słyszałam. Karo, to jest niesamowite – cieszyła się pani Mornetti. – Alessandra się budzi. Nikt już nie zgarnie jej majątku. Ależ musi być wściekła ta Maria Vricessi.

Stałam jak wryta. „Ależ ja jestem ostatnio zakręcona – pomyślałam. – Zupełnie nie skojarzyłam tych faktów”.

Obudził mnie dźwięk telefonu. Jego uporczywy jazgot z trudem przebijał się przez mój ból głowy. Miałam wrażenie, że wiertło dentystyczne wwierca mi się w głąb czaszki. Przez chwilę wydawało mi się, że przewierciło ją na wylot, bo ból zlokalizował się w lewej skroni. Był tętniący, pulsujący, przybierał na sile i stawał się nie do wytrzymania. Jakby tego było jeszcze mało, z minuty na minutę było mi coraz bardziej niedobrze. Miewam czasami migreny, ale dlaczego dzisiaj? Ostatnia zdarzyła mi się przed dwoma laty. Opuściła mnie na jakiś czas. Pozwoliła o sobie zapomnieć. Dzisiaj dopadła mnie znowu. Zawsze przychodzi w najmniej

oczekiwanych momentach. Jak widać, w tej materii nic się nie zmieniło. Wróciła na dwa dni przed otwarciem wystawy. Ponoć to przez serotoninę zawartą w serach pleśniowych i w czekoladzie... Nie jem na co dzień serów pleśniowych, unikam czekolady. Zapomniałam zupełnie o tej idiotycznej serotoninie i zjadłam wczoraj u zakonnic ciasto czekoladowe. Bardzo mi smakowało. Zjadłam aż dwa kawałki. Lekarz mówił mi kiedyś, że w przypadku ataku migreny trzeba wziąć lek przeciwbólowy, zaciemnić pomieszczenie, wyizolować się od wszelkich dźwięków i spróbować ten ból przespać. Leku przeciwbólowego nie miałam. Postanowiłam sprowadzić wszystko do snu. Nie udało się. Ktoś psuł całą terapię, dzwoniąc do mnie bez przerwy. Telefon dzwonił jak oszalały. Odebranie połączenia wydawało mi się niewyobrażalnym wysiłkiem, przedsięwzięciem wprost niewykonalnym. „Oleję to – pomyślałam – w końcu nic się nie stanie”. Często nie odbieram telefonów, kiedy pracuję. Wiedzą o tym wszyscy moi znajomi. Wiedzą też ludzie z galerii. Ktoś najwyżej zadzwoni jeszcze raz trochę później. Komórka zamilkła tylko po to, żeby odezwać się po chwili jeszcze bardziej przeciągłym jazgotem. Przykryłam głowę poduszką. Naciągnęłam na siebie pled. Próbowałam nie słyszeć. Nie wiem, na jak długo udało mi się zasnąć. Obudziło mnie coś o wiele głośniejszego niż dźwięk telefonu. Tym razem ktoś dobijał się do drzwi.

– Nie ma mnie w domu! – wrzasnęłam w kierunku drzwi. Dźwięk własnego głosu spowodował w mojej głowie nową detonację. – Boli mnie głowa. Muszę się przespać.

– Karo, otwórz! – usłyszałam głos pani Mornetti. – Chcę tylko zobaczyć, czy nic ci się nie stało. Nie odbierasz telefonów. Wielu ludzi próbuje się do ciebie dodzwonić.

Jej głos wydawał się mieć dzisiaj moc gromu.

– Koszmarnie boli mnie głowa – krzyknęłam stłumionym głosem. – Mam migrenę. Poza tym wszystko u mnie dobrze. Zajrzę trochę później do pani, kiedy mi chociaż trochę przejdzie.

Kołatanie w drzwi ucichło. Odetchnęłam z ulgą. Na chwilę zelżał ból głowy. Nawet wymiotować mi się już nie chciało. Wydawało mi się, że zasypiam, gdy usłyszałam zgrzytnięcie klucza w zamku. Nienaoliwione drzwi skrzypnęły przeraźliwie i do pokoju wtargnęła pani Mornetti. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

– Żyjesz! – Odetchnęła z ulgą. – Nie odbierasz telefonów. Twoja komórka od paru godzin dzwoni bez przerwy. Twoi znajomi odchodzą od zmysłów. Zaczęli wydzwaniać do mnie. Marco z kiosku dzwoni co dziesięć minut...

– Skontaktuję się z nim później. Boli mnie głowa i jest mi niedobrze. Mam migrenę – powtórzyłam, nie licząc na zrozumienie. – Nie jestem w stanie rozmawiać. Migrena dopadła mnie znienacka. Jest mi niedobrze. Drażnią mnie dźwięki. Męczy mnie światło. Muszę poleżeć...

– Ty tu się wylegujesz, a wszyscy umierają z niepokoju – powiedziała signora Mornetti z wyrzutem.

– Niby dlaczego? Bo nie odbieram telefonów? – Nie rozumiałam. – Często nie odbieram, kiedy pracuję, i nikogo to nie niepokoi. Wszyscy o tym wiedzą.

– To ty nic nie wiesz? – Spojrzała na mnie zaskoczona. – Nic nie rozumiesz? Nie oglądałaś telewizji, nie słuchałaś radia...? Dzisiaj w nocy próbowano zabić Alessandrę Sergrano, a ty przecież byłaś wczoraj u niej. Nawet mówiłaś, że próbowała z tobą rozmawiać. Przyniosę ci aspirynę – dodała po chwili. – Dwie tabletki aspiryny zażyte równocześnie powinny natychmiast postawić cię na nogi.

Tytuł gonił za tytułem. „Skorumpowany oficer policji wmieszany w próbę zabójstwa Alessandry Sergrano”, „Brawurowa akcja policji”, „Wielokrotny morderca złapany na próbie popełnienia kolejnej zbrodni”, „Francesca Roni wychodzi na wolność”... Od samych nagłówek zakręciło mi się w głowie. Kiedyś Marco z kiosku napisał: „Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas”. Kartka z tym zdaniem wisi przypięta magnesem do mojej lodówki. Patrzę na nią każdego dnia. Bywa, że nawet parę razy. Dodaje rozsądku. Jej treść staje się dla mnie coraz bardziej uniwersalna. Spojrzałam jeszcze raz na tytuły w gazetach i zrobiło mi się radośnie. „Szelma – pomyślałam o Enricu. – Dopadł gnoi”. Nie zaczęłam od razu czytać. Chciałam się napawać atmosferą triumfu. Najpierw włączyłam cicho piosenkę, którą Enrico śpiewał w finale *The Voice of Italy*. Niedawno udało mi się kupić we Florencji CD z piosenkami z finału. „Nieważne, co mówią inni. Mam to gdzieś. Jak długo w lustrze sam sobie mogę patrzeć prosto w oczy, to wiem, że wszystko jest ze mną OK. Nadal siebie lubię”. „Też cię lubię – pomyślałam – nawet bardzo”. Później zrobiłam sobie caffè latte. Na jej powierzchni namalowałam patyczkiem tę moją bramę, tę aleję prowadzącą na teren posiadłości Antonia Sergrana i tę moją *Toskańską drogę do nieba*. Od malowania tej alei zaczęła się dla mnie cała historia z Antoniem Sergranem. „Wiem znacznie więcej niż oni” – pomyślałam, kończąc czytać ostatni artykuł w ostatniej posiadanej przeze mnie gazecie. Jak ja bym zatytułowała tę historię? Sama nie wiem. W sumie historia wielkich emocji. Opowieść o miłości, namiętności, korupcji, szaleństwie i zbrodni. Nic ze spokojnej, łagodnej, zaczarowanej, rozmarzonej Toskanii. Żadne piano, piano, piano, tylko nieustające forte. Zmęczyły mnie już te emocje. Pomyślałam, że jeszcze tylko wystawa, a później muszę odpocząć od tego wszystkiego. Wyleczyłam się na jakiś czas z tych wzgórz ciągnących się po horyzont, gajów oliwnych, winnic, cyprysów, łąk lawendy... Może na zawsze. Obiecałam opowiedzieć wszystko pani Mornetti. Ale przerosło mnie to zadanie. Czas mnie gonił. Dzwonili z galerii, że ktoś wpadł na całkiem nowy pomysł ułożenia dywanów na podłogach w salach

wystawowych. Dywany miały być purpurowe. Pomysł był z piekła rodem. Jego autor musiał być idiotą. Tym absurdalnym planem niszczył całą koncepcję wystawy i dokonywał aktu barbarzyństwa pod idiotycznym pretekstem ochrony parkietu przed piaskiem i błotem, które mogą wnieść na butach goście odwiedzający wystawę. Na dworze było trzydzieści stopni. Słoneczna letnia pogoda miała się utrzymać do końca września, a ten dupek chciał zniszczyć naszą wystawę. Musiałam tam pojechać, zanim zdążą rozłożyć te swoje dywany.

– Karo, mów! – ponaglała mnie pani Mornetti. – Opowiadaj! Muszę wiedzieć, co się działo w Fiano. Głupio mieszkać tu i o niczym nie mieć zielonego pojęcia. Ludzie wyśmieją mnie w piekarni. Nie będę mogła pójść do Anastazji na kawę... – argumentowała.

– Opowiem, jak wrócę. Wpadnę do pani wieczorem...

– Wieczorem? – spytała z niedowierzaniem. – Powiedziałaś, że wpadniesz do mnie wieczorem? – powtórzyła. – To ja mam przez ciebie cały dzień siedzieć w domu? Znajomi pomyślą, że jestem chora albo że umarłam.

Złamała mnie.

– Opowiem w telegraficznym skrócie. To sprawa fałszywego Antonia Sergrana, paru morderstw, skorumpowanego oficera policji, paru drobnych prowokacji i sprawnego ujęcia przestępców...

Spojrzała na mnie spode łba. Zmierzyła mnie ostrzegawczym wzrokiem. Rozsiadła się wygodnie w fotelu i czekała.

– Chcesz mnie zbyć? – wysapała w moim kierunku. Potrząsnęła z oburzenia głową. Loczki na czubku jej głowy podskoczyły jak sprężynki.

– To musi w tej chwili wystarczyć. Muszę jechać do Florencji. Terminy mnie naglą. Jutro otwarcie wystawy...

– Nie dam się zbyć – warknęła. – Nie igraj z ogniem! Znoszę cię już tyle miesięcy. Toleruję wszystko. Krzyki, jęki, orgazmy, malowidła na ścianie, noże w tynku, smród spalonego mleka, nocne telefony, a ostatnio nawet głośną muzykę... w kółko i bez przerwy jakieś zawrota głowy o patrzeniu sobie w oczy w lustrze...

– To piosenka Enrica – weszłam jej w słowo.

– Nie wiedziałam. – Spłoszyła się. – Gdybyś ją puszczała odrobinę ciszej, to nawet byłaby znośna. No mów! – ponaglała mnie. – Nie dam się zbyć – powtórzyła kolejny już raz.

– Nie zamierzam pani zbyć, tylko nie chcę zanudzać szczegółami – przerwałam jej.

– Nie zanudzisz mnie. Tego nie musisz się obawiać – mruknęła odrobinę przyjaźniej. – Poczekaj chwilę. Zrobię tylko kawę.

Podreptała do kuchni. Wróciła z kawą. Postawiła na stole filiżanki. Obok nich pękata cukiernicę. Na małym talerzyku położyła parę rogalików. Rozsiadła się

jeszcze wygodniej i czekała. Miałam przed sobą trudne zadanie.

– Opowiadaj! – naciskała.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku – stwierdziła genialnie. – Tak będzie chyba najprościej.

– Według mnie początkiem był moment, kiedy do Fiano przyjechał po raz pierwszy Antonio Sergrano ze swoją dopiero co poślubioną żoną Alessandrą. Była to ich podróż poślubna. Parę dni wcześniej złożyli przysięgę małżeńską w bazylice Świętego Sebastiana za Murami przy Via Appia w Rzymie. Byli bardzo szczęśliwi. Kochali się mocno. Dobrali się jak w korcu maku. Pasowali do siebie jak połówki tego samego jabłka. Chcieli się kochać na wieki. Byli romantyczni, staroświeccy, wyjątkowi i niepowtarzalni. Przed wszystkim romantyczni.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – Spojrzała na mnie zdziwiona. – Nie było cię wtedy w Fiano. Przyjechałaś dopiero półtora roku temu.

– Tak sędzę. W każdym razie wszystko, co wydarzyło się potem, na to wskazuje. Niech pani tylko pomyśli, w dzień swojego ślubu złożyli u notariusza testament. To zaskakujące, niespotykane, takie zupełnie niedzisiejsze. Pisali, że ślubem połączyli swoje ciała, dusze i majątki i niech tak już zostanie na wieki. Dokument rozpoczynał się formułą przysięgi małżeńskiej „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci” rozszerzoną o słowa: „i wspierać cię będę ze wszystkich sił moich nawet po mojej śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i Wszyscy Święci”.

– Skąd to wiesz? – zdziwiła się. – Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? – spytała z niedowierzaniem.

– Z gazet – odpowiedziałam. Zapewne ją rozczarowałam. – Niedawno rozpisywano się o tym. Alessandra Sergrano zostawiała cały swój majątek Antoniowi Sergranowi, a w przypadku jego równoczesnej śmierci wszystkim potomkom narodzonym z ich związku w równym procencie. Antonio zostawiał cały swój majątek Alessandrze, a w przypadku ich równoczesnej śmierci wszystkim potomkom, którzy narodzili się z ich związku w równym procencie. W przypadku równoczesnej śmierci i nieposiadania dzieci przekazywali swoje pieniądze organizacji charytatywnej prowadzącej schronisko dla bezdomnych zwierząt. Organizacja miała siedzibę w Rzymie. Z prowadzonego przez nią schroniska pochodził ich ukochany pies Broset. Na podróż poślubną wybrali Toskanię. Najbardziej spodobała im się okolica Fiano.

– Pamiętam ich z tamtych czasów – przerwała mi signora Mornetti. – Przyciągali wzrok. Byli swoistą sensacją w Fiano. Dwoje obcych, którzy chcieli tu zostać. Próbowali wtopić się w atmosferę miasteczka. Widziałam ich w kościele. Siedzieli w pierwszej ławce. Miałam czas im się przyjrzeć. Oni byli tak spokojnie piękni. Nie wiem, czy rozumiesz? – Spojrzała na mnie.

– Chyba rozumiem.

– Ty też jesteś ładna, ale inaczej... Pamiętam jej włosy, bo były długie i jasne, splecione w gruby warkocz sięgający prawie do pasa, garsonkę w kolorze brudnego różu, bo u młodej dziewczyny dziwiła i szokowała, spódnicę, która sięgała do kolan i była dłuższa od mojej. Pamiętam jej twarz, bo zaskoczyła mnie brakiem makijażu. Niewiele więcej pamiętam. Minęło parę lat. – Zamilkła na chwilę. Przymknęła oczy. Próbowwała sobie jeszcze coś przypomnieć. – Pamiętam jeszcze jej uśmiech – dodała po chwili. – Chyba już nic więcej, w każdym razie nic więcej nie mogę sobie przypomnieć.

– A Antonio?

– Jego jakoś mało pamiętam. Antonio jak Antonio... Jemu się nie przyglądałam. Facet jak facet. Sama rozumiesz...

Oczywiście, że rozumiałam. Oczy mieszkańców Fiano koncentrowały się na Alessandrze. Antonio wydawał się szary i nijaki.

– Pamiętam, że oglądali mnóstwo domów i posiadłości w okolicy. Szukali czegoś na stałe – opowiadała pani Mornetti. – To wydawało mi się wtedy takie dziwne, że ktoś chce przeprowadzić się z Rzymu do Fiano. Z Wiecznego Miasta do takiej zapyziałej dziury. Byli też w tym domu, który stoi na końcu naszej ulicy. Dom jak dom, nawet im się podobał, ale oni szukali czegoś innego: winnic, gajów oliwnych, otwartych przestrzeni... W końcu wybrali dla siebie posiadłość położoną na wzgórzu, do której prowadziła cienista aleja. Ten dom, w którym zamieszkał później Sergrano, kiedy wrócił tu sam po wypadku żony. Wiesz, ja całe lata myślałam, że ona nie żyje... – dodała.

– Nie pani jedna... Wszyscy myśleli, że zginęła w tym wypadku.

– On mówił, że Alessandra odeszła. Nikt się nie dopytywał. Sama rozumiesz... Taka delikatna sprawa.

– W wypadku doznała urazu głowy. Była operowana. Miała się obudzić, ale się nie obudziła. Ze szpitala została przewieziona do ośrodka opieki, na oddział śpiączek. Widziałam ją. Byłam tam kilka razy. Jest w domu opieki imienia świętej Elżbiety, położnym na obrzeżach Rzymu. Ośrodek prowadzą siostry zakonne.

– To po to jeździłaś ostatnio do Rzymu? – Pani Mornetti spojrzała na mnie zaskoczona. – Myślałam, że masz nowego faceta.

– Nie mam nowego faceta – odpowiedziałam odruchowo. – Powiedziałabym pani o tym...

Z powątpiewaniem pokiwała głową. Chyba mi nie uwierzyła.

– Nie mam czasu na miłość – dodałam. – Mam wystawę. Skoncentrowałam się na sztuce. To mi wystarcza.

– Sztuka zastępuje ci orgazmy? – Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Bywa podniecająca – palnęłam.

– Jak seks z Enrikiem?

– Już prawie zapomniałam.

– Zapomniałaś? Nie kłam. Może chcesz sobie przypomnieć? Mam gdzieś na półce magazyn „Moda”. Rewelacja! Ty i on, maślane oczy i gęsia skórka... *Przeleć mnie*. Patrząc na was, przypominałam sobie moją młodość. Za moich czasów byliśmy jednak bardziej subtelni...

– Mówiłam, że prawie nie pamiętam – przerwałam jej.

– Tego nie mogłaś zapomnieć.

– Nie rozmawiamy o mnie i o Enricu, tylko o małżeństwie Sergrano – ucięłam krótko. Poczulałam się rozdrażniona.

– Myślałam, że rozmawiamy tak ogólnie o miłości – powiedziała obojętnym tonem signora Mornetti. – Ich była cicha i łagodna. Wasza głośna, ale obie były miłością.

– Nie mam ochoty rozmawiać o mnie – mruknęłam pod nosem.

Pani Mornetti na chwilę zamilkła. Nie bawiły mnie porównania łagodnej i cichej miłości z zauroczeniem pełnym namiętności i żądy. Nie cierpię, gdy ktoś wchodzi z butami w moje życie, porównuje i myśli, że ma prawo oceniać. Zrozumiała.

– Antonio spędził parę miesięcy u elżbietanek. Siedział tam dzień i noc przy pogrążonej w śpiączce żonie – zaczęłam opowiadać. – Po paru miesiącach wyjechał na krótko i już nigdy tam nie wrócił. Trudno powiedzieć, co stało się później. Wiadomo tylko, że Antonio przebywał parę lat w ośrodku specjalizującym się w leczeniu zaburzeń pamięci. Ponoć te zaburzenia powstały w wyniku niedotlenienia, do którego doszło podczas próby samobójczej. Podobno się powiesił. Pomoc przyszła za późno. Doszło do uszkodzenia mózgu. W chwili próby samobójczej nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Trafił do ośrodka jako bezimienny. Czy sam targnął się na swoje życie, czy ktoś mu w tym pomógł, to się okaże dopiero w toku śledztwa.

– Żartujesz? Jaki ośrodek? Jakie zaburzenia pamięci? – Powietrze zaroilo się od znaków zapytania. Pani Mornetti przyglądała mi się sceptycznie. – Przecież on wrócił do Fiano!

– To nie on wrócił do Toskanii – odpowiedziałam spokojnie.

– Nie Sergrano?

– Sergrano, ale nie Antonio, tylko Paolo, a właściwie to Paolo Vricessi.

– Paolo Vricessi? – powtórzyła za mną z niedowierzaniem. – Karo, ty już coś piłaś? Pijesz z rana, a później jeździsz samochodem, i to na tej szybkiej trasie pomiędzy Sieną i Florencją.

– Nie piłam.

– Kiedyś czułam na korytarzu zapach marihuany.

– Pewnie z zewnątrz. Ja nie palę.

– To dlaczego tak bredzisz?

Wbiła we mnie wzrok i próbowała przesyć mnie nim na wylot.

– Nie bredzę, tylko opowiadam. Sama pani chciała – fuknęłam w jej stronę rozdrażniona. – Może pani o tym przeczytać sama w gazetach...

Signora Mornetti spojrzała z nieukrywaną niechęcią na stertę gazet leżącą na stole. Poczłapała do kuchni. Wróciła z nowym zapasem rogalików i świeżo zaparzoną kawą.

– Mów dalej! – Zabrzmiało to jak rozkaz.

– Sergrano miał brata bliźniaka. Z jakichś nieznanych powodów bliźniaków rozdzielono tuż po urodzeniu. Antonia wychowywali rodzice. Mieszkał z nimi w Rzymie. Tu też chodził do szkoły, studiował. Miał starszego brata i młodszą siostrę. Drugi z bliźniaków, Paolo, dorastał wraz z przybraną siostrą Marią w domu ciotki, Amandy Vricessi. Amanda Vricessi mieszka w Szwecji. Siostry nie utrzymywały kontaktu, a może kontakt się urwał, kiedy rodzice Antonia zginęli w wypadku. On sam chodził wtedy jeszcze do szkoły. Antonio i Paolo się nie znali. Antonio nie miał pojęcia o istnieniu brata bliźniaka.

– Poczekaj, Karo, mówisz za szybko. Nie nadążam. Więc do Fiano wrócił nie Antonio Sergrano, tylko Paolo Vricessi?

– Dokładnie tak powiedziałam. Do Fiano przyjechał Paolo Vricessi.

– Podając się za Antonia Sergrana?

– No właśnie.

– Ale dlaczego?

– Zagarnął majątek Antonia. W pewnym sensie przywłaszczył sobie jego życie. Być może na początku chciał tylko na krótko przyjechać do Fiano. Pomieszkać trochę w kupionym przez Antonia domu i go sprzedać. Został na dłużej. Pewnie mu się spodobało.

– Nic nie zauważyłam – powiedziała pani Mornetti matowym głosem, jakby czuła się winna. – Myślałam, że wrócił Antonio Sergrano – dodała.

– Chyba nikt nic nie zauważył.

– Myślę, że Francesca coś zauważyła – zaskoczyła mnie signora Mornetti.

– Francesca? – spytałam zdziwiona.

– Pamiętam, jak kiedyś mówiła, że on jest pozornie taki sam, ale zupełnie inny. Nie potrafiła tego tylko sprecyzować. Wiesz, jaka ona jest kopnięta na punkcie facetów. Nikt nie brał tego, co mówiła, na serio. On się izolował. Sprawiał wrażenie faceta zimnego jak lód. Ją to podniecało. Im bardziej się izolował, tym bardziej rosło w niej pożądanie. Kiedyś słyszałam, jak mówiła, że sam jego wygląd powoduje u niej orgazm. On był dla niej jak wyzwanie... Pewnie nienawidziła go za to, że jej nie przeleciał. Znasz dobrze Francescę... Ona na punkcie seksu ma trochę odbite...

„To prawda” – pomyślałam. Według Franceski wszystko, co robimy, to element gry wstępnej, kończącej się wcześniej czy później okrzykami rozkoszy

w łóżku. Według niej całe życie kręci się wokół zmysłowości, pożądania i seksu, a człowiek wolny to taki, który potrafi całym sobą wykrzyczeć swoje potrzeby, chęci, marzenia, oczekiwania i erotyczne fantazje.

– A więc do Fiano przyjechał Paolo? – dopytywała pani Mornetti.

– No właśnie. Resztę to już pani z grubsza wie.

– Co niby wiem? – Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem. – Ja nic nie wiem. Skąd mam cokolwiek wiedzieć?

– Żył mu się dobrze. Miał głowę do interesów. Produkował chianti i limoncello, skupował winnice, zakładał sklepy, zatrudniał ludzi... Z roku na rok pomnażał swoją fortunę.

– To wie każdy – fuknęła rozczarowana.

– No właśnie. Zapewne byłoby tak już zawsze, gdyby nie to, że zaczęli go nękać swoimi przyjazdami ludzie z bliskiego otoczenia Antonia Sergrana. Najpierw siostra, później brat, na końcu ten znajomy ze szkolnych lat. Ten ostatni bywał u niego wiele razy. Pewnie go szantażował. Nastąpił dziwny ciąg pechowych wypadków... W krótkim czasie trzy trupy.

– Kłątwa wisząca nad rodziną Antonia Sergrana – weszła mi w słowo signora Mornetti.

– Nie kłątwa, tylko pasmo morderstw.

– Gazety pisały, że Antonio był czysty – powiedziała z oburzeniem w głosie pani Mornetti. – Tak przynajmniej wynikało ze śledztwa. Był czysty jak łąza. Niewinny jak niemowlę – dodała. – Mój syn pracował wtedy razem z Enrikiem w policji. Mówił, że w tym coś śmierdzi. Potem Enrica wrobili w to wszystko, a mojego syna przenieśli do Rzymu. Nigdy już później z nim na ten temat nie rozmawiałam. Nie było o czym...

– Paolo miał w policji swojego człowieka. Wysoko postawiony urzędnik potrzebował dodatkowych pieniędzy...

– Jeszcze był ten pożar na wzgórzu... – przypomniała sobie pani Mornetti.

– Paolo bał się, że krąg się zaciska. Wolał się pozbyć wszystkich starych dokumentów, pamiątek rodzinnych, zapisków. Pożar to było świetne rozwiązanie. Ogień strawił wszystko...

– A potem?

– Kiedy wydawało mu się, że może nareszcie zacząć żyć spokojnie, pojawił się u niego Antonio.

– Antonio? Skąd wiesz?

– Widziałam Antonia Sergrana, jak wchodził na teren posiadłości. Uświadomiłam to sobie nie tak dawno. Nie miało to dla mnie wtedy żadnego znaczenia. Jakiś facet, jakaś brama... Miało znaczenie dla Paola Vricessiego. Musiał mnie widzieć ze sztalugami, z aparatem. Stałam się niewygodnym świadkiem, którego musiał się pozbyć. Dla mnie zaczęło się piekło.

- Mówiłaś, że Antonio przyjechał do Paola...
- Myślę, że Antonio odzyskał pamięć. Dowiedział się, że ktoś, podszywając się pod niego, mieszka w kupionej przez niego posiadłości, i zamiast zawiadomić policję spróbował najpierw to sprawdzić...
- Idiotyczny pomysł – skwitowała pani Mornetti. – Tylko facet mógł coś takiego wymyślić. Głupia odwaga uwarunkowana posiadaniem jąder – dokończyła niespodziewanie.
- Paolo go uwięził i parę dni później zabił. Zwłoki zostawił na wzgórzu zwanym Lawendowym Uroczyskiem. Skorzystał z zamieszania, które wybuchło po uwolnieniu się toksycznej substancji z przewróconej cysterny. Przez przypadek stał na tym wzgórzu przez parę godzin samochód Alberta Accardiego. Zostawiając zwłoki na wzgórzu, Paolo mógł liczyć na to, że w przypadku odkrycia zbrodni podejrzenie padnie na Alberta.
- A co tam robił Accardi?
- Nie wiem. Myślę, że miał randkę z Francescą. I tak jakoś pechowo wdepnęli w to wszystko...
- No nie mówiłam? Ta dziewczyna jest kopnięta... Rozumiem Antonio, ale Alberto Accardi... Widziałam jego zdjęcie w gazecie. On mógłby być jej dziadkiem. Koszmar! Ta dziewoja jest zdrowo stuknięta!
- Zgaszona moim wzrokiem nagle zamilkła.
- Ten Paolo to w sumie łebski facet – stwierdziła nieoczekiwanie. – Szkoda tylko, że morderca... – dodała pośpiesznie. – Pamiętam wszystko dokładnie. Na początku wszystko wskazywało na śmierć w wyniku zatrucia. Każdy tak myślał. Nie można było wtedy myśleć inaczej. Ty też miałaś objawy zatrucia... Wyglądałaś potwornie. Twarz miałaś spuchniętą, oczu ci prawie nie było widać, skórę miałaś czerwoną, upstrzoną fioletowymi wybroczynami. Rzygałaś, słaniałaś się na nogach, nie trzymałaś pionu... Zatrutych ludzi było wtedy mnóstwo. Wszyscy wyglądali jak ty i martwy Sergrano. No, niech będzie, że on wyglądał od ciebie odrobinę gorzej – przyznała z wahaniem. – Pamiętam, jak wtedy mówili w telewizji, że obłok trującego gazu wyjątkowo szybko rozprzestrzenił się po okolicy. Wiał lekki wiatr. Upał spowodował, że stężenie trującej substancji było bardzo wysokie... Dobrze, że żyjesz – dodała po chwili. – Enrico by mi nie darował. Nie mogłam mu wtedy uwierzyć, że ty w ten upał pojechałaś malować bramę wjazdową na posesję Sergrana. Przepraszam...
- Nic się przecież nie stało – przerwałam jej.
- Stało się – fuknęła pod nosem. – Nie zareagowałam, bo myślałam, że on bredzi. Był tak pijany, że z trudem trzymał się na nogach. Wyrznął jak długi w moim przedpokoju. Później słuchałam tych komunikatów i nadal nic z tym nie zrobiłam, bo myślałam, że pojechałaś malować do Florencji. Mogłaś przeze mnie umrzeć.

– Bzdura. Nikt nie umarł z wyjątkiem Antonia Sergrana, a on nie umarł z powodu zatrucia oparami tej substancji, tylko został zamordowany. Po odkryciu jego zwłok Paolo zmuszony był opuścić dom i Fiano. Co do identyfikacji ciała jako pierwszy powziął wątpliwość dentysta. Nie kwestionował przyczyny śmierci, wierzył w zatrucie toksycznymi oparami, ale kwestionował osobę zmarłego. Upierał się, że Antonio Sergrano, którego zdjęcia ukazały się w gazetach, to nie jego były pacjent, lecz ktoś inny. Na jednym zdjęciu Sergrano stał na tle swojej winnicy, na drugim był na uroczystym otwarciu sklepu w Certaldo. Wysłana przez dentystę dokumentacja medyczna okazała się zgodna z uzębieniem denata, czyli zwłoki nie należały do faceta ze zdjęć, tylko do jego pacjenta sprzed lat. W pewnym sensie wiedział już dużo, ale nie mógł tego udowodnić.

– Pamiętam to dokładnie – przerwała mi pani Mornetti. – Wszyscy mówili, że ten dentysta to świr. Pamiętam, jak rozlepił w całym Fiano ogłoszenia, że skupuje zdjęcia, na których jest Sergrano. Ogłoszenia wisiały wszędzie: na kiosku, na płocie kościoła, na latarniach, nawet w naszej piekarni na rogu... Płacił pięć euro za sztukę. Sama mu sprzedawałam dwa zdjęcia. Bywałam na degustacjach chianti pochodzącego z winnic Sergrana. Miałam Antonia na fotografiach. Wypowiadałam się z tego później. Ten dentysta był chory, a ja tę jego chorobę wykorzystałam. Ksiądz mówił, że wielu zachowało się tak jak ja, że powinniśmy się tego wstydzić. Pokutę odprawiłam, ale wstydzę się nadal. Podle wykorzystałam chorego...

– Wie pani, że on nie żyje?

– Kto nie żyje? – spytała zdeorientowana. – Ksiądz?

– Nie ksiądz. Ten dentysta.

– Jak to: nie żyje? – Zamrugła ze zdziwienia oczami. – To jakieś brednie! On wyjechał. Mówiła mi o tym jego kuzynka. Spotkałam ją kiedyś w kościele. Mówiła, że się bardzo martwi, bo jej kuzyn był zawsze taki sumienny i nagle ta sumienność poplątała mu zmysły.

– Niedawno czytałam w gazecie o jego śmierci...

– Co pisano? – Nie mogła zrozumieć. – Że on nie żyje? – dopytywała. – Czemu ktoś miałby zabić niegroźnego świra i do tego ponoć dobrego dentystę?

– Nie był świrem – powiedziałam spokojnie. – Wiedział, że było dwóch różnych Sergranów. Zbierał materiał, żeby to udowodnić.

– A może on umarł zwyczajnie, tak jak każdy umiera? – spekulowała signora Mornetti. – Może miał zawał, albo udar? Dlaczego od razu myślisz, że każda śmierć to zbrodnia?

– Poszedł w góry, spadł w rozpadlinę i się zabił.

– Zdarza się – stwierdziła pani Mornetti. – Chodzenie po górach nie zawsze jest bezpieczne. Często zdarzają się wypadki.

– To nie był wypadek. Jemu chyba ktoś w tym pomógł. Tak przynajmniej

sugerują gazety...

– Karo, nie wierz we wszystko, co piszą! Dziennikarze często wypisują bzdury. Bzdury się lepiej sprzedają. Ludzie kochają sensacje.

– Na parę dni przed śmiercią dentysty w jego domu wybuchł pożar. Na parterze tego domu znajdował się gabinet. Spłonęły wszystkie dokumenty. Myślę, że także wszystkie skupowane wcześniej zdjęcia.

– Wiesz, że przez tego dentystę wstrzymano pogrzeb Antonia Sergrana? – przerwała pani Mornetti.

– Pamiętam. Dobrze się stało, bo odkryto ślady zbrodni. Ktoś zauważył dziwne ślady na szyi denata.

– To prawda. W Fiano wtedy zawrzało. Całe miasteczko zaczęło żyć tylko tym morderstwem. U nas nigdy nie było takiej zbrodni...

– Później został zamordowany Alberto Accardi – weszłam jej w słowo. – Francesca wpadła w panikę. Wcześniej z Albertem szantażowali Antonia Sergrana. Domyślała się, że śmierć Alberta musi mieć z tym jakiś związek. Liczyła się z tym, że może być następna. Przedtem słyszałam od inspektora Brossiego, że Francesca została zatrzymana przez policję w Paryżu. W dzisiejszej gazecie przeczytałam, że sama zgłosiła się na policję. Złożyła fałszywe zaznania. Chciała być koniecznie aresztowana. Przyznała się do popełnienia dwóch morderstw. Przyznała się również do zastraszania mnie. To była chyba jedyna prawda. Ta postać na ścianie w mojej kuchni na pewno wyszła spod jej pędzla. Podobnie jak napisy na lustrze i malowidła na samochodzie. Myślę, że to nie miało związku z zabójstwami. Pewnie bardziej z Enrikiem.

– Też tak sędzę – wtrąciła oschle pani Mornetti. – Na swój sposób zapewne była zazdrosna...

– Wie pani, że Francesca jest już na wolności? Dzwoniła do mnie dzisiaj rano. Mówiła, że mam się pani zapytać, czy ma panią zabrać jutro, jadąc na wernisaż.

– Opowiedz mi tylko jeszcze o tym, co się zdarzyło ostatnio.

– Paolo jako Antonio Sergrano złożył przed trzema laty testament u notariusza we Florencji. Nie wiedział nic o wcześniejszym testamencie Antonia, spisany w dniu jego ślubu z Alessandrą. W testamencie zostawiał swój majątek Alessandrze Sergrano pod warunkiem, że w momencie jego śmierci będzie ona w stanie zarządzać w sposób świadomy tym majątkiem. W innym przypadku przekazywał dziesięć procent na dożywotnie utrzymanie Alessandry, a pozostałą część zostawiał Marii Vricessi, swojej przybranej siostrze. Czyste zrzędzenie losu, ale tak sformułowana ostatnia wola zapewniała mu w tej chwili dostęp do pieniędzy. Próbowano zakwestionować ważność tego dokumentu. Sprawa trafiła do sądu. Przed paroma dniami ukazała się w gazetach informacja, iż sąd uznał ważność złożonego przed trzema laty testamentu. Pozornie wszystko sprzyjało

Paolowi. Umarł jako Antonio Sergrano, ale dziewięćdziesiąt procent majątku dziedziczyła jego siostra. Nagle niespodziewanie pojawiła się informacja, że Alessandra Sergrano się budzi. To była prowokacja. Paolo Vricessi został zatrzymany w momencie próby zabójstwa Alessandry Sergrano. Przy okazji wyszła na jaw korupcja jednego z oficerów florenckiej policji, który już od dawna sprzyjał fałszywemu Sergranowi...

– Karo, poczekaj! – Pani Mornetti nagle oprzytomniała. Spojrzała na mnie uważnie. Jej wzrok wydawał się przebijać mnie na wylot. – To przecież ty mówiłaś wszystkim, że Alessandra się budzi! – wysapała.

Uśmiechnęłam się niepewnie, zaskoczona jej atakiem.

– Ty chyba oszalałaś! Ty nie masz za grosz rozumu! – wymamrotała. – Artyści to idioci! Pan Bóg jedno daje, a zabiera drugie. Tobie zabrał rozum! – wrzasnęła.

Zastygła w bezruchu i mierzyła mnie od stóp do głów wściekłym wzrokiem.

– Czemu znowu mieszałaś się w kolejne gówno?! – spytała lodowatym głosem. – Mało ci było biedy?! Już zapomniałaś?!

Milczałam. Próbowalam odnaleźć w sobie choć cień skruchy.

– Ktoś cię kiedyś po prostu udusi – mówiła głośno signora. – Ktoś ci kark skręci... Ty umrzesz, a ja już nigdy nie wynajmę tego mieszkania. Nikt nie będzie chciał zamieszkać w lokalu, w którym popełniono morderstwo. Jesteś skrajną egoistką! – sapała wściekła. – Nie liczysz się z innymi ludźmi... Ciebie zabiją, a ja zostanę bez środków do życia.

Ruszyłam do drzwi. Miałam pretekst, żeby się ulotnić.

– Egoistka! – usłyszałam wrzask za moimi plecami. – Skrajna egoistka! Świat pełen jest niewdzięczników, którzy tylko czyhają na okazje, żeby zrujnować innym życie.

Została z ustami otwartymi w krzyku, z niedopitą kawą i niedojedzonymi rogalikami. Myśl, że tracę na rozmowę z nią cały poranek, a w tym czasie jakiś palant niszczy dywanami w kolorze purpury całą koncepcję mojej wystawy, nie pozwalała mi już dłużej zostać. Zresztą, wbrew pozorom, godność osobista też odgrywała pewną istotną rolę. W sumie było już niewiele do dodania. Tylko tyle, że na liście nietykalnych brakowało dwóch nazwisk: Roberta Brossiego i Antonia Sergrana, a właściwie Paola Vricessiego. Moja przygoda na cmentarzu była wynikiem nadmiernego zainteresowania sprawą Antonia Sergrana i udowodniła, że domysły Enrica, który podejrzewał, że coś tu nie gra, były w stu procentach uzasadnione. Kolejny raz chciano mnie zastraszyć. Wieść, że Alessandra się budzi, sprowokowała fałszywego Sergrana. W innym przypadku pieniądze już wkrótce wylądowałyby na koncie pani Marii Vricessi, Paolo gdzieś by się zaszył i żył długo i szczęśliwie, a skorumpowany policjant doczekałby się awansu za udaną akcję ujęcia nietykalnych i w aurze sławy czekałby na niezasłużoną emeryturę. „Uff, co

za historia” – pomyślałam.

Pomysł Marka był doskonały. Nie było przechodnia, który by nie zwrócił na nas uwagi. Tłum gapiów gęstniał wokół nas z minuty na minutę. Wielu z nich ruszało po chwili ścieżką wyznaczoną przez lampiony w kierunku schodów wiodących do galerii. Wyglądaliśmy niecodziennie. Marek w szarym smokingu i śnieżnobiałej koszuli z przypiętym do smokingu szafirowym kwiatem. Ja w szafirowej sukience. Nasze sztalugi, postawione pod sąsiednimi latarniami, dzieliło parę metrów chodnika. Na sztalugach ustawione płótna. Powoli zapadał zmrok. Nigdy wcześniej nie malowałam przy migotliwym świetle gazowych latarni. Pomyślałam, że mnie to przerośnie. Raptem kręgi ostrego światła reflektorów wycięły nas z szarości i mroku. Ostra linia oddzielała nas od panoszącej się wokół ciemności. Wyglądaliśmy jak przybysze z innej rzeczywistości. Krąg światła, my, sztalugi i sztuka. Przestałam widzieć stojących w mroku ludzi. Słyszałam od czasu do czasu ich głosy. Ktoś się śmiał, ktoś dziwił, ktoś komentował... Budziliśmy emocje. Gdzieś z oddali, od strony rzeki, dochodziły ciche dźwięki jakiejś melodii. Muzyka stała się tłem tego naszego przedstawienia, była jego częścią, uzupełniała i dopełniała wszystko. Ktoś grał na harmonijce. Słodkie dźwięki układały się w rzewną melodię o miłości. Marek malował mnie, ja jego. Skupiłam się tylko na nim. Ostre światło reflektora sprawiło, że poza postawionym na sztalugach płótnem i Markiem nie widziałam już nikogo i niczego więcej. Wyrazna postać w szarym smokingu, czarnych spodniach i śnieżnobiałej koszuli na tle czerni nocy. Kolory szary, czarny i biały reprezentujące zimno, elegancję i dystans. Tak sztywno, że aż wieje chłodem. Tak oficjalnie, że brak miejsca na uczucia. Tylko szafirowy kwiat, który był przypięty do smokingu, wydawał się nielogiczny i krzykliwy, łamał chłód i budził nadzieję, był szalony. Ten kwiat sprawiał, że pasowaliśmy do siebie. Aż dziwne, jak sztywny smoking może pasować do mojej sukienki. Frywolnej, cienkiej jak mgiełka, tańczącej przy każdym ruchu, opinającej talię, odsłaniającej ramiona, kończącej się w połowie wysokości uda. Miałam namalować wariację na temat tej chwili. „Teraz albo nigdy” – przypomniały mi się słowa Marka. Nagle wszystko inne przestało się liczyć. Zaczęłam malować. Samotny artysta w białym kręgu światła, nie malarz, lecz aktor, który wypowiedział ostatnie słowa swojej kwestii, zawiesił głos i czeka na reakcję publiczności. Nie widzi siedzących na widowni ludzi. Nie słyszy ich głosów. Nie wie, czy widownia jest pełna, czy pusta, czy za chwilę gruchną oklaski, czy będzie panowała kamienna cisza... Stoi i czeka. Zapewne serce bije mu jak szalone. Niepewność, zwątpienie, nadzieja... Dużo, dużo nadziei. Malowałam jak szalona. On też malował. Czas nagle przestał się liczyć. Zwolnił. Na moment zapomniałam, że maluję na ulicy. W tej chwili liczyły się tylko płótno

i farby. Wiał lekki wiatr od rzeki. Podmuchy unosiły brzegi sukienki. Początkowo mnie to krępowało. Z czasem przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczyła się tylko sztuka. Raz po raz czerń nocy rozświetlał błysk fleszy. Oprzytomniałam, kiedy krąg światła się rozszerzył i zobaczyłam stojących wokół mnie ludzi.

– Rewelacja! – powiedziała jakaś starsza kobieta. – Aż ogrzałam się od emocji. A mówią, że już nie ma sztuki, że wszystkiego można się wyuczyć... Słyszałam kiedyś, że pozbawiony talentu człowiek przepuszczony przez maszynę akademii sztuk pięknych stanie się przeciętnym artystą. Brednie! To się ma albo się tego nie ma. Pan Bóg w tym względzie nie dzieli sprawiedliwie.

– Niesamowite! – rzucił jakiś chłopak. – Kilkadziesiąt minut i rewelacja.

– Już kiedyś panią widziałam – odezwała się do mnie ciemnowłosa dziewczyna. – Dzisiaj wygląda pani inaczej. Wtedy malowała pani jakiś tokański pejzaż. Miała pani sztalugi rozstawione przy Ponte Vecchio. Wszystko było inne. Miała pani dzinsy i jakąś bluzkę na ramiączkach. Trampki na stopach. Włosy spięte do góry... Dzisiaj wieczorem wygląda pani zupełnie inaczej. Poznałam panią po ruchach. Pani się cieszy, malując...

– Ja też panią widziałem – powiedział starszy mężczyzna. – Pracuję jako dzwonnik w katedrze Santa Maria del Fiore. Malowała pani kredą na bruku tuż przy wejściu do katedry. W pierwszej chwili byłem oburzony. Takie miejsce i malowidła na bruku. Malowała pani postacie na koniach. Myślę, że inspiracją były freski z piętnastego wieku, znajdujące się w lewej nawie kościoła. Te konie były wspaniałe. Tamtego dnia wieczorem zrobiłem im kilka zdjęć. Chciałem je uwiecznić. Bałem się, że następnego dnia znikną, rozdeptane przez setki butów.

Zauważyłam Filippa i Amelię. Stali tuż przy latarni. Dzielił nas gęsty szpaler ludzi. Amelia pomachała mi ręką.

– Mieli państwo wspaniałą pomysły. – Mikrofon wylądował tuż przy mojej twarzy. Stojący obok mnie mężczyzna miał identyfikator wpięty w klapę marynarki. Reprezentował Radio Kultura. – Mistyczne przedstawienie. Artyści i ich sztuka... Karolina Bielawska i Marek Skalski oraz niekończące się uczucia i emocje. Oboje pochodzicie z Polski. Pani od ponad roku mieszka w Toskanii. Pan Skalski nadal w Polsce. Dzisiaj odbywa się otwarcie państwa wystawy we Florencji. Niestandardowy początek. Niepowtarzalne przedstawienie. Wspaniała oprawa. Tylko wy, krąg światła, cicha muzyka i przelewane na płótna emocje. To zachęca, nęci, wzbudza ciekawość, powoduje nieustający ścisk w przedsionku galerii, sprawia, że tłumy przelewają się przez wystawę... Rewelacyjny pomysł. – Nie przestawał mówić. – Powabna nimfa i mocno stąpający po ziemi mężczyzna. Młoda dziewczyna i dojrzały mężczyzna. Pozornie kontrast... Ale tylko pozornie. Obejrzałem już państwa wystawę. Jesteście pozornie bardzo różni, a w odbieraniu emocji bardzo podobni... Nawet teraz powstały dwa dzieła kipiące od emocji. Czy mogę zapytać, jak rodzą się takie dzieła? Rozumiem, że te wydarzenia, w których

przed chwilą uczestniczyliśmy, to produkt, że tak powiem, finalny. Kiedy powstał pomysł na ten obraz, który pani przed chwilą namalowała?

– Dzisiaj wieczorem. Nie wiem, która jest teraz godzina. Zaczęliśmy malować o dwudziestej...

– Nie było wcześniej żadnych szkiców, przymiarek, próbek? – spytał z niedowierzaniem.

– Nie było. – Uśmiechnęłam się.

– A przemyśleń? – nie dawał za wygraną.

– Obrazy miały przedstawiać ulotność tej chwili. Uczucia, które nam w tym momencie towarzyszą. Trudno to przewidzieć i zaplanować. Nie ma nic bardziej ulotnego niż emocje.

– Wszystko, co pani robi, jest nasycone emocjami. Nie boi się pani nimi tak szafować?

W pierwszej chwili go nie zrozumiałam.

– Piękna kobieta, gorące obrazy, przewrotny wygląd i emocjonalne forte. Czy nie boi się pani, że rozda pani wszystko? Nic pani sobie na później nie zostawi?

– Emocje się regenerują. Nie znikają. Można się nimi dzielić do woli i bez końca.

– Świat byłby cieplejszy, gdyby wszyscy myśleli tak jak pani.

– Nie wyobrażam sobie życia bez emocji.

Namalowane przez nas obrazy zawisły obok siebie na ścianie przedsionka galerii. Aktor wypowiadający ostatnie słowa swojej kwestii i oczekujący na reakcję widowni i tańcząca przy sztalugach, pewna tego, co robi, radosna dziewczyna.

To był sukces. Nawet pani Mornetti udzielił się nastrój zwycięstwa.

– Wiesz co, Karo, nie żałuję, że wynajęłam ci mieszkanie. Teraz wszyscy w Fiano będą mi zazdrościć. Może nawet na moim domu pojawi się kiedyś jakaś tabliczka.

– Wątpię – powiedziałam sceptycznie, przerażona jej entuzjazmem.

– Dlaczego nie? – zapytała zdziwiona. – Wszystko jest możliwe. Ja nawet jestem tego pewna. Tabliczkę powinno się powiesić tuż przy wejściu do domu. Najlepiej na miejscu tej skrzynki z kwiatami. No wiesz której, tej, co wisi po prawej stronie. Dla pelargonii będzie można poszukać jakiegoś bardziej ustronnego miejsca...

– Nie za bardzo wiem, o czym pani mówi – przerwałam jej.

– Jak to: nie wiesz?! Przecież to proste i oczywiste. Byłam kiedyś w Wenecji. Na jednym z pałaców przy Canal Grande jest tabliczka informująca, że Ernest Hemingway mieszkał prawie dwa lata w tym pałacu.

– I co z tego?

– Jak to: co z tego?! – spytała zdziwiona. – Kiedyś na moim domu pojawi się tabliczka, że mieszkała tu przez półtora roku Karolina Bielawska – paplała jak najęta. Usta jej się nie zamykały. – Nagle wzrośnie wartość mojego domu. Stanę się bogata. Moje wnuki odziedziczą fortunę.

– Ma pani wnuki? – przerwałam jej zaskoczona.

– Nie mam, ale będę miała – odpowiedziała z przekąsem. – Teraz młodzi nie spieszą się do posiadania dzieci. Takie durne czasy. Światem rządzą pieniądze, to one zajmują pierwsze miejsce, na drugim miejscu jest kariera, na trzecim wygoda, dopiero na czwartym rodzina. Kiedyś było inaczej, normalniej...

– Przesadza pani – przerwałam jej. – Wszystkich mierzy pani jedną miarą. Każdy jest inny...

– Masz rację, każdy jest inny, ale wracając do tej tabliczki, to powiem ci, Karo, że Pan Bóg jednak jest sprawiedliwy: wynagradza cierpienia. Na starość będę bogata. Zasłużyłam na to. Tylko ja wiem, jak trudno jest żyć pod jednym dachem z artystką... Do tego tak zdrowo stukniętą – nie omieszkała dodać. – Te huśtawki emocjonalne, obcy faceci, krzyki i jęki, smród spalonego mleka, głośna muzyka, niekończący się bałagan, trzaskanie drzwiami i ruszanie z podjazdu z piskiem opon, malowidła na ścianach... – wyliczała jednym tchem. – I do tego te ciągle stresy... Ta twoja tendencja do wdeptywania w coraz większe gówno...

– Już niedługo – przerwałam jej. Poczulałam irytację. – Jeszcze trzy tygodnie, jeszcze tylko do końca wystawy. Później sobie pani ode mnie odpocznie. Wyjeżdżam z końcem września.

Nic nie odpowiedziała, zamyśliła się. Drugi raz posłodziła swoją herbatę. Zamieszała ją starannie i zastygła z łyżeczką w ręku.

– A może ty, Karo, wcale nie musisz stąd wyjeżdżać? – spytała niespodziewanie. – Teraz będziesz już znana we Florencji. Na pewno małe galerie zaczną sprzedawać twoje obrazy. Później sięgną po nie te bardziej znane i większe. Będziesz miała z czego żyć – mówiła spokojnie, nie patrząc nawet w moją stronę. Sądzę, że myślała o tym wcześniej. Mówiła pewnym głosem rzeczy, które miała dobrze przemyślane. – Piszą o tobie w gazetach, mówią o waszej wystawie w radiu... Ty podobasz się dziennikarzom. Nie wiem, czy to rozumiesz? – Uniosła na chwilę wzrok. Oderwała go od filiżanki. Spojrzała w moją stronę. – Masz talent i wyglądasz. Ludzie chcą, żeby artyści też wyglądali. Masz za sobą ten incydent z magazynem „Moda”. To ci nie zaszkodziło, wręcz przeciwnie, to podnieca i przyciąga, pobudza wyobraźnię, dodaje pikanterii. Kto jak kto, ale artysta nie może być mdły i nijaki. Rozmyje się wtedy w tłumie. Ty masz talent, wygląd i szaloną osobowość. Jesteś na swój sposób kopnięta. To przyciągnie ludzi do ciebie. Ludzie to kupią. Staniesz się znana...

– Wyjeżdżam – próbowałam jej przerwać. Nagle i mnie nie chciało się już

opuszczać Toskanii.

– Nie masz warunków do malowania... – Udawała, że mnie nie słyszy. – Twoje mieszkanie jest za ciasne. Nie masz odpowiedniego światła. Nie masz perspektywy. W Fiano jest miejsce, które mogłoby być pracownią malarską. Już kiedyś mówił mi o tym proboszcz...

– Wyjeżdżam – powtórzyłam głośniejszym tonem głosu próbowałam przekonać samą siebie.

– W pałacu była kiedyś sala koncertowa. Ma szklany sufit i szklaną jedną ścianę. Przez to olbrzymie okno widać ciągnące się po horyzont wzgórze. Kiedyś w tej sali odbywały się koncerty fortepianowe przy świecach. Można było słuchać muzyki, oglądając rozgwieżdżone niebo, albo patrzeć na światła w oknach domów rozrzuconych po wzgórzach. Zawsze wydawało mi się, że te światła są zawieszane gdzieś w połowie drogi pomiędzy ziemią i niebem. Dawne czasy... Teraz nie ma tam już koncertów, a sala stoi pusta. To jest fantastyczne miejsce. Ja się na tym może i nie znam, ale nasz proboszcz bywa w świecie. To on wpadł na pomysł, że mogłaby tam być twoja pracownia. Obiecał nawet negocjować warunki z właścicielem hotelu mieszczącym się w pałacu... Byłaś kiedyś w tym pałacu?

– Byłam. – Na samo wspomnienie tamtej nocy w pałacu zrobiło mi się gorąco.

– To wyjątkowe miejsce, a w nim mogłaby być twoja pracownia.

– Muszę wyjechać. – Kolejny raz próbowałam jej przerwać.

– Posłuchaj, Karo, przemyśl to raz jeszcze. Zawsze można wszystko odkręcić – usiłowała mnie przekonać. – Czytałam w gazecie, że galeria chce za parę miesięcy zorganizować kolejną wystawę... Będziesz kojarzyła się wszystkim z Toskanią i z Florencją. A my będziemy się cieszyli, że ty jesteś od nas, z Fiano...

– Wyjeżdżam – weszłam jej w słowo. – To już postanowione. Od października zaczynam pracę na praskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pani profesor już wszystko załatwiła. Będę mieć własną pracownię, prowadzić zajęcia ze studentami, mieć czas na prawdziwą sztukę – mówiłam, starając się przekonać samą siebie.

– Ty na etacie? – Roześmiała się. – To jakaś bzdura. To tak, jakby motyla zamknąć w słoiku albo jaskółkę w klatce. Ty bez swojej wolności? Poszamoczesz się, powalczysz i uciekniesz...

– Podpisałam już wszystko – uciełam. Z minuty na minutę było mi coraz smutniej. – Mam umowę na dwa lata. Zawsze później będę mogła wrócić. Będę w tym czasie przyjeżdżać do Toskanii.

– Teraz zaczniesz bywać wszędzie. Nie będziesz już z Fiano – powiedziała z żalem pani Mornetti. Powiało smutkiem. Nawet mnie dopadła melancholia. Szlag by to trafił! Dałam się zdołować tej kobiecie. Jestem potwornie miękką bułą. Przyzwyczajam się do miejsc i ludzi. Będzie mi brakowało Toskanii.

– Ja nie pochodzę z Toskanii – powiedziałam przekornie. – Niedawno mówiła pani, że nie lubi pani obcych.

– Mówiłam, że nie lubię obcych, ale mówiłam również, że nie dotyczy to artystów. Ci mi nie przeszkadzają. Toskania zawsze przyciągała malarzy, pisarzy, muzyków... Przemyśl to, Karo. Fiano jest teraz twoim miejscem na ziemi. Wyjedziesz i już nie będziesz z Fiano.

Powiedziała, że nie będę już z Fiano. Nagle pomyślałam, że ja już znikąd nie jestem. Wyjeżdżam z Toskanii. Nic mnie nie ciągnie do Polski. Wojtek nie przyjechał na wernisaż. Ponoć miał pacjenta, któremu musiał poświęcić całą swoją uwagę. Zadzwoił dwa dni przed wernisażem.

– Karo, nie dam rady – powiedział beż żadnego wstępu. – Marek napiera, ale to jest nielogiczne. Musiałbym zaraz wracać. Przejadę tysiąc pięćset kilometrów, żeby być jeden wieczór z wami we Florencji. Nawet z sobą nie porozmawiamy. Będą was otaczać inni ludzie. Następnego dnia musiałbym wracać. Mam terminy, których nie mogę odwołać...

– Wiem, rozumiem. Masz pacjentów – powiedziałam obojętnie.

– Większość waszych obrazów już widziałem – zauważył bez sensu. Tłumaczył się idiotycznie. Każdym słowem pogrążał się coraz bardziej. „Dobrze, że ja go już nie kocham – pomyślałam. – To by mnie zabiło. Zresztą on mnie też już nie kocha, dlatego tak mówi”. – Inne wasze obrazy mogę zobaczyć na zdjęciach – plótł dalej. Sam nie wiedział, co mówi. Obrazy na zdjęciach to tak, jak *Polonez A-dur* Chopina w radiu. Zamiennik bez duszy. Milczałam. Nawet tego nie zauważył, tak bardzo pochłonęło go to, co mówił. – Marek coś wspominał o wystawie w Krakowie. Ponoć ma być jeszcze w końcu tego roku. Będę miał okazję zobaczyć te wasze obrazy. Tak będzie prościej... Kraków to Kraków.

– Nie ma sprawy. Rozumiem – powiedziałam chłodno. „Jest tak jak zawsze – pomyślałam. – Najważniejsi są obcy ludzie, jego pacjenci”.

– Naprawdę rozumiesz? Nie chciałbym ci sprawić przykrości.

– Nie sprawisz – odpowiedziałam obojętnie.

– Na pewno? – dopytywał. Chciał uciszyć wyrzuty sumienia.

– Na pewno.

– Cieszę się, że mnie rozumiesz. – Ulżyło mu. – Marek twierdził, że będzie inaczej. Upierał się, żebym przyjechał. Parę razy powtarzał mi, jakie to jest ważne. Myślę, że mówił o sobie...

– Też tak myślę – przerwałam mu. – Może chciał mieć twoje wsparcie. Damy radę. Mam przecucie, że będzie dobrze.

– Tego jestem pewny. Znowu złapiecie wiatr w żagle. Ta wystawa pchnie was do przodu.

– Dwa obrazy będą później wystawione na licytację, inne będziesz mógł zobaczyć w Krakowie.

– No właśnie. Też tak myślałem.

Na chwilę zapadło milczenie. W uszach dzwoniła mi cisza.

– A tak w ogóle, to co u ciebie słychać? – zapytał po chwili.

– Wszystko dobrze – odpowiedziałam obojętnie. – A u ciebie?

– Też dobrze.

Rozmowa nie miała sensu. Pytania były idiotyczne. Odpowiedzi dorównywały pytaniom. Pożegnałam się pospiesznie. Odetchnęłam z ulgą. Serce ani razu nie zabiło mi mocniej. Nie czułam żadnych emocji. Widocznie nie ma już we mnie żadnych uczuć. Rozmowy o niczym to męczarnia.

Goniec przyniósł bukiet kwiatów do galerii. Eustomy... Białe obok jasnoseledynowych, różowych, chabrowych, kremowych i intensywnie fioletowych. Podał mi kwiaty i kopertę. Pismo na kopercie było znajome. Przypomniało list, który czytałam dziesiątki razy, który znałam na pamięć, który mogłam odtworzyć litera po literze. Serce zabiło mi mocniej. Świat wokół zawirował. Nagle wydawało mi się, że w salach wystawowych brakuje powietrza.

– Skąd to masz? – zapytałam chłopaka.

– Kwiaty są od nas, z kwiaciarni. Pracuję w kwiaciarni „Fiolire”. Kwiaciarnia mieści się w Palazzo Pitti przy Via di Santo Spirito. To niecałe trzy kilometry stąd. Bukiet jest zgodny z zamówieniem. Podoba się pani?

– Jest piękny.

– To było trudne zamówienie. Już nie ta pora roku. Eustomy kwitną do końca sierpnia. – Chłopak rozgądał się na dobre. – Trudno było zdobyć teraz te kwiaty. Do tego w takiej gamie kolorów.

– Są piękne. A list? – spytałam. Chciałam, żeby to zabrzmiało obojętnie.

– List został dosłany pocztą.

– Przyszedł pocztą?

– Poczta.

– Rozumiem. – Przez moment miałam ochotę zapytać o kopertę. Powstrzymałam się z trudem. Nie wypadało wyjść na idiotkę. Chłopak wyszedł, a ja zaczęłam czytać.

*

Karo!

Niech szlag trafi to wszystko! Gdybym wiedział, że się zakocham, to nie zaczynałbym tej wojny. To była taka prywatna kruczata sfrustrowanego faceta, któremu ktoś wcześniej podłożył świnię. Kiedy ją rozpoczynałem, nie miałem nic do stracenia. Liczył się tylko cel. Chciałem ich dopaść. Sukces ma gorzki smak. Mam nowy życiorys, nowe imię i nazwisko. Zaczynam wszystko w nowym miejscu od

nowa. Nauczyłem się swojego nowego życia na pamięć. Mam nową datę urodzenia, moi rodzice mają inne imiona, chodziłem do innej szkoły, miałem innych kumpli... Enrico musiał zniknąć po tej akcji. Nie miał żadnych szans. Nie przeżyłby nawet tygodnia. Szybko dołączyłby do tych z parku sztywnych. Jego już nie ma. Zawieruszył się gdzieś. Wyparował. Rozwiązał się we mgle. Szkoda, bo w sumie lubiłem faceta. Stworzono mnie na nowo. Jestem taki sam, a zarazem zupełnie inny. Mam drugie życie jak drugą szansę. Nie chcę w tym życiu być już gliną. Teraz jest już coś, co mógłbym stracić, jest ktoś, o kogo bym się bał. Uczucia są cudowne, ale wszystko utrudniają. Emocje zaburzają ostrość postrzegania, zwalniają myśli, powodują, że zaczynamy marzyć o rzeczach, o których nam marzyć nie wolno, pragniemy czegoś, co wydaje się nieosiągalne. Jeszcze nigdy w życiu nie miałem tak wstętnej pracy jak ta ostatnia i nigdy wcześniej się tak nie zakochałem. Wiem, że nasze drogi kiedyś jeszcze się spotkają, w innym miejscu, w innym czasie, wśród innych ludzi... Inaczej nic nie miałyby sensu. Pokazałaś mi, że w Toskanii jest droga do nieba. Nagle ją zobaczyłem. Wąski skrawek błękitu gdzieś na końcu pnącej się ku górze alei. Błękit rozświetlony promieniami ciepłego tokańskiego słońca. Nigdy wcześniej nie wierzyłem w niebo. Zawsze wydawało mi się, że wszędzie, gdzie ja jestem, jest tylko piekło.

Enrico

PS. Dziękuję. Bez Twojej pomocy nigdy nie dokończyłbym tej akcji.

PS. Cudownie wyglądałaś w tej szafirowej sukience.

PS. Kocham Cię.

Dzisiaj zdarzyło się coś dziwnego. Spieszyłam się do akademii. Czas mnie gonił. Od czterech tygodni żyłam z zegarkiem w ręku. Nagle moja wolność została ograniczona godzinami pracy na akademii. Coś za coś. Dzisiaj byłam wyjątkowo spóźniona. Malowałam w nocy, spałam za krótko, wstałam za późno. Nie zdążyłam zjeść śniadania. Podjechałam metrem. Tramwaj mi uciekł. Nie chciałam czekać na następny. Postanowiłam zrobić skrót przez Stare Miasto i pójść na piechotę. Na moście Karola było jeszcze pusto i spokojnie. Wszystko wokół było szare, niedopowiedziane, otulone w mgłę, senne. Powoli przez tę mgłę zaczynały się przebijać pierwsze promienie słońca. Wieże po drugiej stronie rzeki stawały się coraz wyraźniejsze. Hradczany wyłaniały się z mgły i dostojnie górowały nad miastem. Drzewa nad rzeką odzyskiwały jesienne barwy. Wraz z pierwszymi promieniami słońca budził się nowy dzień. „To już koniec października – pomyślałam – a jeszcze tak pogodnie i ciepło”. Tylko dni są coraz krótsze, słońce wstaje coraz później, wieczór zapada szybciej. Spojrzałam na zegarek. Był kwadrans przed ósmą. Przyspieszyłam kroku. Nagle jak spod ziemi wyrosła tuż obok mnie młoda Cyganka. Mogła mieć kilkanaście lat. Ubrana była w kwiecistą,

czerwoną, sięgającą do stóp spódnicę i białą haftowaną bluzkę. Na plecy miała narzucony gruby szal. Wyglądała kolorowo, ciepło i radośnie na tle panoszącej się wokół jesieni. Głos miała ciepły, przyjazny. Włosy sięgały jej do połowy pleców i związane były niedbale w gruby węzeł. W czerwonej chuście przewieszanej przez pierś dziewczyny spało paromiesięczne maleństwo. Stałam jak wryta. Sama nie wiem, czemu się zatrzymałam.

– Powrózę pani... – zaczęła mnie.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam szybko. Czas mnie gonił. Dziewczyna wzbudziła we mnie ciekawość, ale rozsądek nakazywał spieszyć się do pracy.

– Powrózę pani – nalegała Cyganka. Stała tuż przy mnie, tuliła swoje maleństwo, uśmiechała się pogodnie. Wyglądała sympatycznie.

– Dziękuję. – Walczyłam z sobą. – Spieszę się. Jestem już spóźniona. Kwadrans po ósmej powinnam być w pracy – próbowałam przywołać do porządku samą siebie. – Mam nową pracę. Nie mogę się spóźnić...

– Zajmę pani tylko chwileczkę. Nie potrzebuję dużo czasu. Znam się na tym, wróżę z ręki już od wielu lat – przekonywała Cyganka. – U nas ta umiejętność przechodzi z pokolenia na pokolenie. Moja matka wróżyła, moja babka... Nazywam się Jafranka. Jestem z rodu Łakatosz.

– Nie mam czasu – przerwałam jej. – Muszę pędzić do pracy.

„Dziwne spotkanie” – pomyślałam. Rozejrzałam się niepewnie dookoła. O tej porze na moście Karola było jeszcze pusto. Jacyś pojedynczy przechodnie mijali nas w pośpiechu. Nie było gwaru, nie było tłumu turystów. Nie rozstawiono jeszcze kramików z pamiątkami ani sztalug artystów. Nie rozbrzmiewała muzyka ulicznych grajków. Nie było brzuchomówcy z kukiełką, którego widuję codziennie, ani katarzyniarza z papugą. Była tylko ta dziewczyna. Gdzieś za moimi plecami usłyszałam dźwięk Orloja. Sześćsetletni zegar z południowej ściany ratusza obwieszczał światu, że jest ósma.

– Boże, ósma – jęknęłam. – Muszę lecieć... Ile chcesz za te wróżby? – spytałam.

– Zwykle co łaska – powiedziała dziewczyna. – Ale od ciebie nic nie chcę.

– Muszę lecieć. Może innym razem...

Zostawiłam dziewczynę na środku mostu i puściłam się biegiem w kierunku akademii. Co ona powiedziała? Ode mnie nic nie chce za wróżbę? Niby dlaczego?

Spotkałam ją wczesnym popołudniem. Umówiłam się z Janą przy posągu króla Karola, na Starym Mieście, tuż przy moście Karola. Miałyśmy pójść do piwiarni „U Fleků”. Chciałyśmy powspominać studenckie czasy przy ciemnym piwie o posmaku karmelu i kawy. Zawsze szłyśmy tam, kiedy byłyśmy w Pradze. Tym razem nam się jeszcze nie udało. Byłam w Pradze już cztery tygodnie, ale ciągle brakowało mi czasu. Nowe mieszkanie, nowa praca, nowy obraz na nową wystawę, która ma się odbyć już na początku grudnia. Wszystko nabrało tempa.

Czas się skurczył. Dni pędziły jak szalone, a moje życie zaczęło się toczyć pod dyktando i w takt terminarza. Motyl zamknięty w słoiku, jaskółka uwięziona w klatce... Coś było z prawdy w tym, co mówiła signora Mornetti. Dzisiaj nareszcie miałam wolne popołudnie. Postanowiłyśmy je spędzić na piwie „U Fleků”. Ta piwiarnia jest wyjątkowa. Jej historia sięga piętnastego wieku. Dobre piwo, miłe otoczenie, dźwięk harmonii, stare malowidła na ścianach, kelnerzy potrafiący dźwigać na tacach po trzydzieści pełnych kufli. Czas, który nagle zaczyna płynąć wolniej... Jana się spóźniała. Wysłała SMS-a, że będzie za dwadzieścia minut. Stałam przy barierce oblepionej setkami kłódek zakochanych. Czytałam umieszczone na nich napisy – imiona z całego świata obok krótkich wyznań miłości. Jak na złość znowu przypomniła mi się Toskania. Kiedyś Enrico opowiadał, że zwyczaj zawieszania takich kłódek pochodzi z Florencji. Uczniowie szkoły Sanita in Costa San Giorgio zabierali kłódki ze swoich szkolnych szafek i wieszali je z wyznaniem miłosnymi na Ponte Vecchio. Szlag by to trafił! Nawet most Karola kojarzy mi się z Toskanią. A może wszystko kojarzy mi się z Toskanią, bo coraz bardziej za nią tęsknię? Nagle także mieniąca się w słońcu Wełtawa zaczęła mi przypominać rzekę Arno, kamienny most Karola – Ponte Vecchio, a mosty na Wełtawie – mosty we Florencji... Pamiętam Ponte Vecchio, Ponte Santa Trinità, Ponte alle Grazie. Tu most Karola, most Branicki, most Legii i jedenaście innych mostów... Koszmar! Moje myśli wciąż krążą wokół przeszłości. W kółko tylko Toskania i Enrico, Enrico i Toskania. Z zamyślenia wyrwał mnie głos Cyganki. Podskoczyłam jak oparzona.

– Zobaczyłam cię z daleka. Pomyślałam, że na kogoś czekasz – powiedziała przyjaźnie.

– No bo czekam.

– Wygląda na to, że tym razem nigdzie się nie spieszysz – stwierdziła pogodnie. – Powrózę ci...

– Nie chcę – próbowałam się bronić.

– Naprawdę nie chcesz? – spytała. – Nie wierzysz, że potrafię?

Zawahałam się. Już chciałam otworzyć usta i powiedzieć, że nie wierzę, kiedy tamta zaczęła mówić.

– Brakuje ci kogoś. Tęsknisz za nim z każdym dniem coraz bardziej. Znajomość z nim wydawała ci się krótką przygodą. On zniknął z twojego życia, a ty teraz myślisz i czujesz inaczej. Chcesz gdzieś wrócić. Tęsknisz za jakimś miejscem.

– Blefujesz – przerwałam jej. – Przez przypadek czasami trafiasz. Może powiesz coś bardziej szczegółowo?

– Nie ma sprawy – roześmiała się dziewczyna. – Czekasz na znajomą. Chcecie razem spędzić popołudnie. Spóźnia się, a ciebie nachodzą wspomnienia...

– Skąd to wiesz? – Patrzyłam na nią zaskoczona.

– Terazniejszość mogę wyczytać z twojej twarzy. Przyszłość tylko z twojej ręki. Naprawdę nie chcesz, żebym ci powróżyła? – kusiła mnie, widząc, że gdzieś w środku walczę z sobą. Pomyślałam, że jeszcze chwila, a uwierzę w jej nadprzyrodzone możliwości.

– Wróżby to zabobony... – próbowałam przekonać samą siebie. – Przegrały z naukowym prognozowaniem.

– Naprawdę tak myślisz? – Cyganka przyglądała mi się z niedowierzaniem. – Może wszędzie, ale nie w tym mieście. To miasto zawsze należało do astrologów, wrózek, czarnoksiężników, magów... Po jego ulicach krążą duchy...

– Z duchami to przesadzasz.

– Wcale. Byłaś kiedyś na moście Karola o dwunastej w nocy?

– Nie.

– To przyjdź! Przyjdź koniecznie! Stań spokojnie i poczekaj. Usłyszysz śpiew straceńców z szesnastego wieku, może uda ci się zobaczyć wodnika czyhającego pod mostem na dusze samobójców albo spotkać templariusza z własną głową pod pachą. Jego duch pojawia się często w tych okolicach. Templariuszowi odcięto głowę za pijaństwo, a jego duch błąka się teraz po Starym Mieście i wciąż próbuje się napić, wlewając alkohol do obciętej głowy. Czasami można się natknąć na ducha dwumetrowego studenta, który sprzedał swój szkielet za trzysta sztuk złota, a teraz pęta się nocami po mieście z puszką na datki, próbując zebrać pieniądze na odkupienie swojej duszy... Możesz spotkać ducha Turka, który przemierza Pragę z głową swej ukochanej w ręku... Przejdź się koło kościoła Świętego Mikołaja. Usłyszysz szuranie zamiatającej miotły...

– To tylko legendy – przerwałam jej.

– Skąd wiesz, że to tylko legendy, że nie ma w nich ziarna prawdy, skoro nie chodzisz nocą po Pradze? Praga jest pełna tajemnic.

Pomyślałam, że dziewczyna pięknie opowiada. Ponoć Cyganie rzadko kończą szkoły...

– To miasto magów. – Dziewczynie usta się nie zamykały. – Tu wszystko przesączone jest tajemnicą. Mnie najlepiej wróży się w Pradze. Powróżyć ci? – spytała znowu.

– Nikt w dwudziestym pierwszym wieku nie bierze wróżb poważnie. Wróżby to zabawa.

– To moją wróżbę też potraktuj jako zabawę, przecież wcale nie musisz w nią wierzyć – kusiła.

„Raz kozie śmierć – pomyślałam – przecież to tylko zabawa”. Usiadłyśmy na murku. Niepewnie wyciągnęłam ku niej rękę. Dziewczyna chwyciła moją dłoń w swoje ręce, podniosła do oczu i zaczęła się jej wnikliwie przyglądać. Robiła to z coraz dziwniejszą miną. Początkowo było to zaskoczenie, później zdumienie, niedowierzanie, zwątpienie.

– Żyjesz jak szalona – powiedziała po chwili. – Jesteś artystką – dodała niespodziewanie. – Świat powinien się bać szalonych artystów. Malujesz obrazy... Ostatnio wiatr wieje ci w żagle, skrzydła rosną u ramion. Wiedzie ci się. Miałaś niedawno jakąś wystawę. Niedługo będziesz miała następną, później będą kolejne... Będziesz coraz bardziej i bardziej znana. Coraz więcej ludzi będzie chciało kupować twoje obrazy...

– Skąd to wiesz?

– Z układu linii na twojej dłoni.

„Ależ to jest bajer” – pomyślałam. Zapewne dziewczyna ruszyła rano moim śladem aż do budynku akademii. Nie oglądałam się za siebie. Spieszyłam się. Szłam szybkim krokiem, momentami biegłam. Mogła iść tuż za mną. Do akademii można wejść bez przeszkód. Na parterze znajduje się sekretariat wydziału malarstwa. Na ścianach przy sekretariacie wiszą zdjęcia współpracujących z akademią artystów. Obok zdjęć krótkie noty biograficzne. Od czterech tygodni wisi tam też moje zdjęcie.

– Nie da się tego wyczytać z układu linii na dłoni. To niemożliwe... To jakaś ściema, jakieś totalne bzdury...

– Pomyliłam się? Nie jesteś malarką? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– Jestem.

– Nie odnosisz sukcesów?

– Odnoszę.

– Nie szykujesz obrazów na nową wystawę?

– Szykuję.

– Więc dlaczego masz wątpliwości?

– Nie da się tego odczytać z dłoni.

– Da się – roześmiała się dziewczyna. – Da się wyczytać o wiele więcej. Mówiłam ci już, że to miasto jest pełne magii. Tu dzieje się wiele dziwnych rzeczy...

Nie puściła mojej ręki. Nadal uważnie jej się przyglądała.

– A co mi powiesz poza tym?

– Niewiele – powiedziała niepewnie. Wpatrywała się w moją rękę, jakby uczyła się na pamięć rozkładu linii na dłoni. – Trudno to zrozumieć. To jakaś płątanina miejsc, czasu i przestrzeni. Widzę mężczyznę o dwóch życiach. Nikt nie może żyć dwa razy. Świat jest złożony z tysięcy pozorów. Bardzo trudno w tej płątaninie odnaleźć choćby jeden konkretny. Zaskakujący jest ten twój facet... Już niedługo znowu go spotkasz. Spróbuj tego nie zniszczyć... – dodała.

– Nie mam nikogo – przerwałam jej.

– Dlaczego kłamiesz? – Spojrzała na mnie rozczarowana. – Chcesz oszukać samą siebie? Sama przed sobą nie chcesz się przyznać do tego, co czujesz.

Już otwierałam usta, żeby kolejny raz skłamać, kiedy ona wzięła do ręki

jedną z wiszących obok kłódek.

– Ta mogłaby być wasza – powiedziała.

Świat zawirował dookoła. Zaszumiało mi w głowie. Dziewczyna trzymała w ręku kłódkę z namalowanym serduszkim i napisem. „Karo i Enrico. Razem na zawsze”.

Tak jak podeszła niespodziewanie, tak i odeszła. Jana mówiła, że ta Cyganka należy do legend tego miasta. Nikt Jafranki ponoć już od dawna nie widział.

„Sukces” – dziwne słowo, które bardziej się czuje, niż rozumie. Pochlebne opinie krytyków, tłumy na wernisażu, wywiady, konferencje prasowe, zdjęcia... Przed paroma miesiącami sukces we Florencji, teraz w Pradze. Inne spojrzenie na sztukę, coś zupełnie nowego. Nie kształt, lecz kolor, nie perspektywa, tylko barwa, nie cienie, ale cała paleta odcieni. Świat emocji i uczuć zaklęty tylko w kolory. Szalony pomysł, który udało się zrealizować. Stworzyliśmy z Markiem niepowtarzalną wystawę. Jego kolory – fioletowy, pomarańczowy, seledynowy, brązowy i złoty, moje – czern, biel, zieleń, czerwien, błękit i żółty. Uczucia zaklęte w każdym płótnie. Powietrze aż gęste od emocji. W końcu życiem rządzą emocje, tylko one się liczą. Nadają życiu barwę, dodają smaku, powodują, że serce bije szybciej, oddech się pogłębia, myśli szybują wysoko, jest po co wstawać rano i po co kłaść się wieczorem. Wszystko inne nie ma znaczenia. Nasze płótna to czyste emocje. Każdy widzi inaczej, każdy czuje zupełnie co innego. Liczy się magia chwili, ulotność wszystkiego, zmienność nastrojów. W powietrzu unoszą się wykrzykniki, znaki zapytania, zachwyty, okrzyki oburzenia, groza, złość, miłość i bezwstydną namiętność obok chłodnego wyrachowania, agresji i oziębłości. Można płakać, śmiać się i kłać. Można pławić się w emocjach do woli. Zanurzyć się w nich zupełnie bezkarnie. Dać im się porwać bez konsekwencji, bez narażania się na straty moralne. Można przeżyć wiele, nie ryzykując niczego. To tak jak oglądanie dobrego filmu w kinie, czytanie porywającej książki. Przez chwilę można się pożywić emocjami innych, ukryć się za cudzymi plecami, by przeżywać wzloty i upadki, nie ryzykując własnego spokoju. Sztukę wymyślono chyba tylko po to, żeby emocje stały się dostępne dla każdego. Wystawę kończy obraz samotnie wiszący na ścianie. Oddalony od innych, wyraźnie niepasujący do całości, powieszony tuż przy wyjściu, jakby był za karę postawiony do kąta. To płótno jest zapowiedzią cyklu, którego jeszcze nie ma, który na razie jest tylko we mnie, a właściwie w moich wspomnieniach. Emocje zaklęte w taniec. Cała gama uczuć, namiętności i pożądania zaklęta w ruch na parkiecie. Kilka pozornie bezładnie rozrzuconych linii, plam i kresek załamujących biel płótna. Niby nic, ale pobudza wyobraźnię. Nie widziałam nikogo, kto by się przy nim nie zatrzymał. Ten obraz to wspomnienie pewnego wieczoru, pewnego tańca, pewnej chwili,

której nie mogę zapomnieć. Pamiętam dobrze tamten taniec. Lubię tańczyć. On też lubił. I nasze ciała bardzo się lubiły. Zarówno w nocy, jak i w tańcu nasze ciała stanowiły jedność. Czułam jego oddech, napięte mięśnie, ślizgające się po moim ciele dłonie. Pamiętam zapach wody kolońskiej mieszający się z zapachem moich perfum. Odurzające połączenie zapachu cedru z wonią drzewa sandałowego i piżma. Pamiętam, że w brzuchu tańczyły mi setki motyli. Moje nogi były przy jego nogach, moja głowa przy jego ramieniu, moje włosy muskały jego twarz, moje ciało próbowało stworzyć jedność z jego ciałem... Świat wirował dookoła coraz szybciej i szybciej. Wydawało mi się, że nic nie dzieje się naprawdę, że nie ma żadnego tu i teraz, że tańczymy w odrealnionym świecie, bez określonego miejsca i w nieokreślonym czasie, jakbyśmy tańczyli w nieskończoności. Jakiś krytyk napisał, że jest niebywałą sztuką stworzyć za pomocą paru kresek tak wysublimowane złudzenie ruchu. Pomylił się, patrzył nieuważnie, zobaczył tylko to, co jest powierzchowne. Dał się zwieść swoim zmysłom. Widział tylko pierwsze dno, tylko pierwszą odsłonę. W tym obrazie chodzi nie o ruch, lecz o ukryte za tym ruchem emocje – zauroczenie, nieśmiałość, zdziwienie, lęk i niepokój w okolicach serca. W tym tańcu zakłęte są: niepewność, ciekawość, radość i rodząca się namiętność. Ten taniec to preludium nocy, cichych szeptów, głośnych krzyków, pomruków rozkoszy... To historia rodzącego się pożądania. A może historia rodzącej się miłości? Nazwałam ten obraz *Niespełnieniem*. Ponoć sztuka to odzwierciedlenie duszy. W takim razie moja dusza jest niespełniona i spragniona od paru miesięcy. Przyłapałam się na tym, że stoję i gapię się na własny obraz. Nie widzę bieli płótna, nie widzę czarnych kresek ani położonych gdzieś czarnych nieregularnych plam, tylko widzę ciemne włosy Enrica i wpatrzone we mnie brązowe oczy, czuję ciepło jego ciała, dotyk dłoni przesuwających się po mojej sukience, czuję ciepły podmuch jego oddechu, słyszę wyszeptane tuż przy moim uchu słowa: „Chyba nasze ciała się lubią...”.

– Odwieźć cię do domu? – Głos Marka zadudnił tuż za moimi plecami. Podskoczyłam jak oparzona. Teraźniejszość wdarła się brutalnie w świat wspomnień. Postać Enrica rozmyła się wśród czarnych linii i plam. Znowu było tylko płótno wiszące samotnie na ścianie, którego biel zламаłam gdzieś nieregularną czernią.

– Nie, dziękuję – powiedziałam pospiesznie. – Zostanę tu jeszcze chwilę. Chcę się nacieszyć. W końcu nie codziennie otwieramy nową wystawę. Ten dzień to swoiste święto.

– Jeszcze ci mało? – spytał zdziwiony. – Tłumy zwiedzających, dziennikarze, wywiady, zachwyty... A to dopiero początek. Jeszcze się nacieszysz. W końcu to dopiero wernisaż. Chodź, odwieżę cię. Jest już późno.

– Chcę zostać na chwilę sama – powiedziałam głośnie. Zabrzmiało to zapewne odrobinę niegrzecznie. – Chcę się nacieszyć po swojemu – dodałam

przyjaźniej.

– Jak chcesz – odparł niepewnie. Stał niezdecydowany. Przeszłoby niecierpliwie z nogi na nogę. Spieszyło mu się, bo miał odwiedzić żonę na lotnisko. Anna musiała jeszcze dzisiaj wrócić do Krakowa. Jutro czekało ją jakieś ważne spotkanie, którego nie dało się przełożyć. Przyjechała tylko na dzisiejszy wieczór, tylko na wernisaż. – Późno już – nie dawał za wygraną Marek. – Wolałbym cię odwiedzić. Praga to duże miasto... Duże miasta bywają nocą niebezpieczne.

– Pojadę taksówką – powiedziałam pospiesznie, bojąc się, że mimo wszystko zechce na mnie poczekać. Zabrzmiało to zdecydowanie. Zrozumiał, w końcu znamy się bardzo dobrze. Kiedyś był jednym z moich nauczycieli w ASP. Wtedy wydawał mi się sztywny, drętwy, nadęty i stary, wypalony wewnątrz i pozbawiony duszy. Taki człowiek bez wyrazu, którego najlepszy czas już minął i któremu na ziemi pozostała tylko nudna, spokojna, pozbawiona wzlotów i upadków vegetacja. Pozory myliły. Od ponad dwóch lat razem tworzymy wystawy. Nasze drogi życia splotła z sobą sztuka. Mamy wspólną pasję, podobne podejście do malarstwa, taką samą wrażliwość, jesteśmy tak samo szaleni, podobnie nieprzewidywalni. Kochamy emocje. Ja przy nim odrobinę spoważniałam, on przy mnie sporo odmłodził. Nawet jego żona twierdzi, że odkąd razem tworzymy wystawy, to mu lat ubyło. Nagle w jego życiu pojawiły się: nowa energia, nowe marzenia, nowe cele, mniej dekadencji, więcej radości. Odrodził się jak Feniks z popiołów. Anna mówi, że rozbudziłam w nim nieodkryte wcześniej obszary wrażliwości, że w pewnym sensie stworzyłam go na nowo jako artystę. Ja też wiele Markowi zawdzięczam. Wiarę w to, że mam talent. Wystawa goni wystawę, sukces pędzi za sukcesem. Złapaliśmy wiatr w żagle i w ciągu dwóch lat urosły nam u ramion skrzydła. Czasami złości się na mnie, czasami zlorzeczy, twierdzi, że go zmuszam do tworzenia rzeczy niewykonalnych. Klnie, miota się, ale mnie lubi. Odnosimy razem coraz większe sukcesy. Wystawy swą innością przyciągają tłumy, krytycy już dawno przestali nas atakować, koneserzy sztuki kupują nasze obrazy, galerie proponują nam kolejne wystawy. Sukces! Już od paru miesięcy czuję się jak odurzona, jakby mnie ktoś odmienił i zaczarował. Sukces ma w sobie coś magicznego.

– W takim razie cześć, Karo, do jutra! – Słowa Marka dotarły do mnie jak z zaświatów. – Nie siedź tutaj za długo! Nie podrywaj taksówkarza! Nie tańcz dzisiejszej nocy! Wyśpij się sama w swoim łóżku! Ubierz się jutro porządnie! Żadnych ciuchów od Franceski! Nie spóźnij się na wywiad do czeskiej telewizji! Pamiętaj jutro, że Czesi są konserwatywni... – Powietrze aż zadrżało od wykrzykników.

– Zgred! – burknęłam pod nosem.

Roześmiał się. Machnął mi ręką. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Zostałam sama. W starych piwnicach panował półmrok, kręgi ostrzejszego

światła padały tylko na obrazy, cienie kładły się po kątach, ciemność kuliła się za filarami, w dużych lampionach poustawianych na ceglanej podłodze dopalały się powoli ogarki świec. Tajemnicze otoczenie dodawało mocy naszym obrazom. Niesamowita jest ta wystawa w Pradze. Ma magiczną atmosferę. Wszystko wydaje się ulotne, niedopowiedziane, tajemnicze, trochę jak marzenia, trochę jak sen. Dziwny jest ten dzisiejszy wieczór. „Głupi wieczór – przemknęło mi przez myśl. – Przez jedno pytanie wróciło tyle wspomnień”. Pytanie padło w trakcie konferencji prasowej. Zadał je mężczyzna stojący z tyłu sali. Przedstawił się, ale nie dosłyszałam. Ważniejsze od nazwiska i reprezentowanej gazety było jego pytanie.

– Nagrodzony obraz jest zapowiedzią kolejnego cyklu i zapewne kolejnej wystawy. Obraz przedstawia tańczącą parę. Zatyłowała go pani *Niespełnienie*. Czym jest taniec?

Zaskoczył mnie tym pytaniem, zdziwił, wprawił w konsternację. Widać nie tylko mnie, bo parę osób odwróciło głowy w jego stronę.

– Taniec? – powtórzyłam automatycznie jego pytanie, z przerażeniem szukając w myślach jakiejś sensownej odpowiedzi. – Jako dziecko chodziłam na balet. To była taka głupia fanaberia moich rodziców. Drobnomieszczańskie przekonanie, że dziewczynka z dobrego domu powinna chodzić na balet. Uczono mnie wtedy, że taniec to forma sztuki performance, składająca się z celowo wybranych sekwencji ludzkiego ruchu. Ruch ten ma wartość estetyczną i symboliczną. Była to dla mnie wtedy czysta abstrakcja, jak czystą abstrakcją był ten cały balet – mówiłam coraz pewniej, coraz spokojniej. Gdzieś w zakamarkach mojego mózgu odnalazłam hasło „taniec”. – Taniec to bodaj najstarszy rodzaj sztuki i najwcześniejszy przejaw artystycznej działalności człowieka. Zrodził się z potrzeby uzewnętrzniania swoich uczuć za pomocą gestów, ruchu, mimiki. Uważany jest za pierwszy środek komunikacji międzyludzkiej, za swoisty przekaz myśli i emocji za pośrednictwem ruchów, za szczególny, uniwersalny, ponadkulturowy język, umożliwiający porozumiewanie się bez słów...

– Ja nie o to pytam – przerwał mi mężczyzna stojący w końcu sali. W jego głosie wyczułam nutę rozbawienia. – Ja pytam, czym jest taniec dla pani.

– Czym jest dla mnie taniec? – powtórzyłam pytanie, żeby się upewnić, że rozumiem jego sens. Zrozumiałam. „Wścibski facet – pomyślałam – próbuje mnie zmusić do tego, żebym nie oddzielała siebie od sztuki, prywatności od profesji, własnych uczuć od tych malowanych, żebym obnażyła się przed innymi ludźmi, odsłoniła swoje wnętrze. Głupi palant nie wie, że mnie stać na odrobinę szczerości. Sądzi, że się przestraszę”. – Dla mnie taniec jest czymś wyjątkowym, jest swoistym misterium. To zakłete w ruchu emocje – mówiłam spokojnie. – To cała gama uczuć, tych skrywanych i tych krzyczanych głośno... Zauroczenie, zaciekawienie, niepewność, dziesiątki motyli tańczących w brzuchu i niepokój w okolicach serca. To potęgująca się z minuty na minutę radość, rodząca się namiętność i pożądanie.

Taniec to preludium tego, co się dopiero wydarzy, czegoś z pogranicza marzeń i snów... To początek pewnej historii, którą dopiero zaczyna pisać życie...

Szepty w sali ucichły. Dziesiątki oczu skierowało się na mnie. Zapewne w myślach próbowano oddzielić naiwną szczerość od artystycznej maniery.

– Kiedy pani ostatnio tańczyła? – dopadło mnie kolejne pytanie. Wyglądało na to, że mężczyzna nie ma zamiaru się ode mnie odczepić.

– Parę miesięcy temu – odpowiedziałam bez zastanowienia.

– Tak rzadko pani tańczy? – W jego głosie usłyszałam ciekawość, a może ironię.

– Może i rzadko. Nie tańczę z każdym – palnęłam.

Nie widziałam twarzy pytającego. Słyszałam tylko jego głos. Przez moment ten głos wydał mi się znajomy. W półmroku panującym w miejscu, gdzie stał, dostrzegałam tylko zarys postaci opartej o filar. Parę osób parsknęło śmiechem. Ktoś zaczął bić brawo.

– Ten, z kim tańczę, musi być kimś wyjątkowym. Jak wspomniałam, dla mnie taniec to swoiste misterium.

Z końca sali nie padło już więcej żadne pytanie. Konferencja prasowa powoli dobiegała końca. Jeszcze pojedyncze pytania, jeszcze błysk fleszy, jeszcze zapowiedzi następnych wystaw, pamiątkowe zdjęcia, uściski dłoni, kwiaty, terminy wywiadów. Mój wzrok mimo woli raz po raz wędrował w kierunku tamtego filara. Facet stał bez ruchu. Jego postać zlewała się z szarą kamienną bryłą. Wyszedł tuż przed końcem konferencji. Już go nie było, kiedy rozbłysły górne światła, ponad rozmowy wzbil się hałas odsuwanych krzesel, przeredził się tłum. „No i dobrze” – pomyślałam. Facet wzbudził we mnie dziwny niepokój, uwolnił przez przypadek całą lawinę niepotrzebnych wspomnień. Przyłapałam się na tym, że stoję i gapię się nadal na ten obraz wiszący w końcu sali. Na tę moją burzę emocji zaklętą w taniec. Powiedziałam, że nie tańczę z każdym. To prawda, ale przecież mogę zatańczyć sama. Głosy zwiedzających wystawę ludzi się oddalały. Z pomieszczeń wystawowych przeniosły się na korytarz, później do szatni. Z czasem zupełnie ucichły. Byłam sama, w każdym razie w tym pomieszczeniu poza mną nie było nikogo. Spojrzałam jeszcze raz na *Niespełnienie*. „Nie tańczę z każdym, ale przecież sama mogę zatańczyć” – powtórzyłam w myślach. Zaczęłam poruszać się w rytm tylko dla mnie słyszalnej muzyki. Pamiętam, że już kiedyś tańczyłam sama. To było parę miesięcy temu we Florencji. Zaledwie przed kilkoma miesiącami, a mnie się wydaje, że minęły wieki. Tyle rzeczy wydarzyło się tymczasem. Pamiętam, że wyszliśmy z Enrikiem z kawiarni od Filippa. Jeszcze pięć minut wcześniej dekorowałam z Amelią ostatnią kawę, słuchałam muzyki ze starych winylowych płyt, jadłam panna cottę z truskawkami, przysłuchiwałam się cichym rozmowom na zupełnie nieznanym mi temacie i czułam się na swój sposób bezpieczna i szczęśliwa. Spędzałam spokojne tokańskie popołudnie. Przez parę godzin liczyły

się tylko: dobra kawa, dobre ciasto, dobre wino i czas, który na to popołudnie postanowił na chwilę zwolnić. Wysłałam stamtąd oszołomiona, zaskoczona, zdziwiona, zauroczona tym leniwym popołudniem. Enrico zaprosił mnie do klubu. On został przy barze. Ja poszłam tańczyć. Obserwował mnie, kiedy wtopiłam się w tłum na parkiecie, kiedy zaczęłam się poruszać w takt muzyki. Nie odrywał ode mnie wzroku. Wtedy to jego spojrzenie z minuty na minutę podniecało mnie coraz bardziej. Było wspomnieniem nocy, czułych szeptów, głośnych krzyków, bezwstydných pocałunków, wyuzdanych pieszczot, rozkoszy. Miałam na sobie czarną sukienkę. Była zbyt obcisła i odważnie za krótka. Wyróżniała mnie z tłumu. Przyciągała wzrok nie tylko Enrica. Czułam na sobie spojrzenia wielu mężczyzn. Tę sukienkę włożyłam tamtego wieczoru specjalnie dla niego. Zwykle tak się nie ubieram. To nie mój styl. Tylko narzucona na ramiona chusta była w moim stylu. Delikatna jak mgiełka, ozdobiona moimi ulubionymi motylami, próbującymi się oderwać od trzymającej je pajęczyny cienkich nitek, starającymi się odfrunąć w kierunku słońca, nieba, nieograniczonej przestrzeni, wolności. Kiedyś robiłam dziesiątki takich chust na sprzedaż. Rozchodziły się jak świeże bułeczki. Pozwoliły mi przetrwać pierwszy okres mojego pobytu w Toskanii. Zostawiłam sobie tylko tę jedną. Wydawała mi się najpiękniejsza. Motyle na niej są karminowo-czerwone. Przerażliwie czerwone motyle rzucone na delikatną pajęczynę czarnych nitek pasowały do karminowych szpilek i mocnego makijażu, były przewrotne i grzeczne w tej całej niegrzecznej całości. Mój strój drażnił, podniecał, przykuwał wzrok, zniewalał myśli, rozbudzał męską wyobraźnię. Zupełnie niespodziewanie odkryłam wtedy swoją kobiecość i nagle chciałam się nią bawić. Dzisiaj jestem ubrana inaczej. Ale czy do końca? Mam na sobie kremową sukienkę, pozornie grzeczną i elegancką, opinającą biust i talię, podkreślającą biodra, kończącą się na wysokości kolan, ale odważnym rozcięciem obnażającą przy każdym kroku uda. Na ramiona mam narzuconą czarną chustę. Krem i czerń. Elegancja i pozorny chłód, a we wnętrzu kipiący wulkan. Jak cudownie jest tańczyć. Świat wokół zaczął wirować wraz ze mną. Chusta krępowiała mi ruchy. Przewięzałam się nią w pasie. Opieła się na biodrach, pokreśliła talię. Zrzuciłam buty. Przeszkadzały w tańcu. Tańczyłam jak szalona. Wtedy tańczyłam dla niego, chociaż sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać. Teraz tylko dla siebie. Dziwny wieczór, nagle jedno głupie pytanie uwolniło całą burzę wspomnień. Raptem z zakamarków pamięci wypełzało na światło dzienne coś, o czym starałam się od paru miesięcy zapomnieć. Znowu emocje i uczucie, uczucie i emocje bez końca. Takie nieustające emocjonalne forte! Tańczyłam jak szalona. Wyjęłam spinki z włosów. Pozwoliłam kosmykom opaść na ramiona. Bose stopy, rozpuszczone włosy, przyspieszony oddech, krew płynąca w naczyniach w rytm niesłyszalnej muzyki. Ściany pomieszczenia wirowały coraz szybciej i szybciej. Nagle wszystko zlało się w jeden kolorowy tunel, który oddzielał mnie do rzeczywistości.

Zauważyłam go dopiero, kiedy stanął tuż obok. W pierwszej chwili pomyślałam, że to wytwór mojej wyobraźni. To był dzień pełen wrażeń. Moje zmysły były już zmęczone. Wyobrażenia miesza się z prawdą, iluzja z rzeczywistością, obrazy z przeszłości z teraźniejszością. Z zakamarków mojej jaźni wypełzały na światło dzienne marzenia ukrywane miesiącami.

– Zatańczysz ze mną? – spytał jak kiedyś.

Lubię tańczyć. On też lubi. I nasze ciała chyba nadal bardzo się lubią. Czulałam jego oddech, napięte mięśnie, ciepło jego dłoni. Moje nogi były przy jego nogach, moja głowa przy jego ramieniu, moje włosy muskały jego twarz. Raptem zapach cedru zaczął się mieszać z wonią drzewa sandałowego i piżma. Aromat jego wody kolońskiej zmieszał się z zapachem moich perfum. Nagle pomyślałam, że chciałabym tę chwilę zatrzymać na zawsze. Taki dziwny, zaklęty czas.

– Zaczniemy wszystko od początku. Tak zupełnie inaczej – usłyszałam cichy szept tuż przy moim uchu. – Pozwól, że ci się przedstawię. Nazywam się Robert Dvorzak. Moja mama była Włoszką, ojciec Czechem. Jestem fotoreporterem. Od pół roku mieszkam w Pradze. Czy zgodzisz się, że odprowadzę cię dzisiaj pod drzwi twojego domu?

Robert, a nie Enrico? Dvorzak, a nie Rossi? Nie ma żelu na włosach. Nie ma długiej czupryny. Włosy wydają się jaśniejsze, krócej przystrzyżone. Tylko oczy zostały takie same – błyszczące i roześmiane. Właśnie tych oczu nie mogłam zapomnieć.
